

Nancy Taylor Rosenberg

Pierwsze Przesłęstwo

First Offense

przełóżył: Jan Kraśko

Wydanie oryginalne: 1994.

Wydanie polskie: 1995

TMN

*Dla całej bandy:
dla Forresta i Jeannie, dla Chessly i Jimmy'ego,
dla Hoyta, Amy, Nancy i mego męża,
Jerry'ego Rosenberga*

Podziękowania

Pragnę podziękować wszystkim tym, którym podziękowania się należą. Michaela Hamilton, moja cudowna redaktorka z wydawnictwa Dutton Signet, bardzo mi pomogła i przyczyniła się do tego, że niniejsza książka jest tym, czym jest. Mike, jesteś nie tylko redaktorką — jesteś wspaniałą przyjaciółką i znakomitą nauczycielką. Zawsze umiałaś zmusić mnie do większego wysiłku.

Chcę wyrazić wdzięczność mojemu agentowi, Peterowi Millerowi z PMA Literary and Film Management Ltd., za jego nieustające starania oraz Jennifer Robinson, również z PMA, mojej przyjaciółce i doradczyni. Chciałabym także podziękować całemu zespołowi redakcyjnemu Penguin USA, a zwłaszcza Peterowi Mayerowi, Marvinowi Brownowi, Elaine Koster, Lisie Johnson, Johnowi Paine'owi i wielu innym osobom, szczególnie zaś — ciężko pracującemu i zawsze mnie wspierającemu personelowi działu handlowego.

Specjalne wyrazy wdzięczności winna jestem Alexis Campbell, mojej wydawczyni i bliskiej przyjaciółce, za jej pilność i pracowitość.

Książkę tę napisałam w hołdzie tysiącom oddanych kuratorów sądowych oraz urzędnikom sprawującym dozór nad więźniami zwolnionymi warunkowo — ludziom wykonującym pracę ciężką, a przynoszącą niewiele zaszczytów. Dzięki wam nasz świat jest dużo bezpieczniejszy, a wymiar sprawiedliwości — bogatszy o wasz rozsądek i bezstronność.

Rozdział 1

Sąd był gotowy do otwarcia posiedzenia. Wszyscy czekali. Glen Hopkins, zastępca prokuratora okręgowego, popijał kawę i robił notatki. Harold Duke, obrońca, nerwowo spoglądał na zegarek. Dwaj sekretarze i umundurowany *bailiff** — pomocnik szeryfa i woźny w jednej osobie — patrzyli prosto przed siebie, zastygli w bezruchu niczym posągi. Anna Carlisle, kurator sądowy, atrakcyjna, krótko ostrzyżona blondynka o klasycznych rysach twarzy, siedziała podpierając ręką brodę i od czasu do czasu zerkała w stronę dobrze zbudowanego prokuratora, chcąc przechwycić jego spojrzenie.

Siwowłosey sędzia Hillstorm znów spojrział na zegar, po czym przeszył wzrokiem obrońcę.

— Pański klient się spóźnia, panie Duke — skostatował z naganą w głosie; pochodził z Georgii i wciąż mówił z wyraźnym południowym akcentem. — Rozprawę wyznaczono na godzinę czwartą. Dokładnie za sześćdziesiąt sekund orzeknę przepadek kaucji i wydam sądowy nakaz aresztowania pozwanego.

Harold Duke, drobny, żyłasty człowieczek, głośno przełknął ślinę. Po raz setny odwrócił się w stronę wejścia i westchnął z wyraźną ulgą, bo gwałtownie pchnięte skrzydła wahadłowych drzwi otworzyły się na oścież i do sali wkroczył szczupły, długowłosey młodzieniec w czarnych dżinsach i w czarnych skórzanych butach, ozdobionych po-brzękującymi łańcuszkami i atrapami ostróg. Krokiem tak pewnym i zadzierzystym, jakby sala rozpraw należała do niego, podszedł prosto do stołu obrońcy i opadł na krzesło między swoim adwokatem a kuratorem sądowym. Ułga, jaką odczuwał Duke, szybko minęła, gdy zobaczył, kto mu towarzyszy.

Sędzia już podniósł młotek i otworzył usta, żeby rozpocząć posiedzenie, ale raptem — skamieniał. Do sali wparadowały cztery bardzo młode dziewczęta. Wyglądały jak niegdysiejsze hipiski: spodnie dzwony, buty na koturnach, gołe brzuchy, sterczące i podskakujące piersi, długie, proste włosy. Jednocześnie posłały sędziemu uśmiech, po czym wślizgnęły się do ławy przy drzwiach i usiadły ciasno jedna przy drugiej.

**Bailiff* (ang.) — urzędnik pełniący funkcję szeryfa lub jego zastępcy. Ma prawo do egzekwowania nakazów aresztowania, podczas rozprawy sądowej utrzymuje porządek na sali (przyp. tłum.)

Tuż za nimi do sali wkroczył wysoki, młody i przystojny Chińczyk. Szybko podszedł do oskarżonego i uklękawszy na jedno kolano, chwilę coś do niego szeptał, a potem zajął miejsce o kilka rzędów przed dziewczętami, zerknawszy na nie przez ramię i posławszy im uśmiech.

Sędzia Hillstorm poczerwieniał, grzotnął młotkiem w pulpit i ogłosił rozpoczęcie rozprawy. Wtem drzwi otworzyły się znowu i do sali wpadł jeszcze jeden przystojniaczek, tym razem blondyn. Zlustrował rzędy ław i szybko usiadł obok młodego Chińczyka.

— Skoro wszyscy już się zebrali i czekają na rozpoczęcie przedstawienia — zaczął zgryźliwie sędzia Hillstorm — może byśmy tak spróbowali choć przez chwilę zając się kwestiami natury prawnej? Stan Kalifornia przeciwko Jamesowi Earlowi Sawyerowi młodszemu. — Skinął głową w stronę kuratora sądowego i rozpoczęły się wystąpienia stron.

— Od chwili zatrzymania do rozprawy sądowej, na której ustalono wysokość kaucji, pan Sawyer spędził w areszcie sześć dni, co, zgodnie z prawem, liczy się podwójnie — powiedziała Anna Carlisle z charakterystyczną dla niej dykcją. — W tej sytuacji oskarżony powinien zapłacić grzywnę wysokości tysiąca dolarów i pozostać dwa lata pod opieką kuratora. Ponieważ zarzut pierwotny dotyczył również posiadania i zażywania narkotyków, wnosimy o oddanie oskarżonego pod ścisły dozór sądowy, obejmujący prawo do przeszukania mieszkania na żądanie sądu i poddawanie oskarżonego badaniom na obecność narkotyków.

— Rozumiem — odrzekł powoli sędzia, przenosząc wzrok na zastępcę prokuratora okręgowego. — Panie Hopkins?

Glen Hopkins właśnie spoglądał na Annę Carlisle, siedzącą po drugiej stronie sali. Był mężczyzną wysokim i muskularnym; dobijał czterdziestki. Twarz miał raczej wyrazistą niż przystojną; widocznie zbyt dużo czasu spędzał na słońcu, gdyż policzki miał pokryte siecią drobniutkich zmarszczek, zbiegających się wokół warg. W młodości ujeżdżał w Kolorado byki na rodeo i ten nieokiełznany duch walki dotąd go nie opuścił. W eleganckim i dobrze skrojonym garniturze czuł się nieswojo, jakby ubranie było za ciasne, a wykrochmalony kołnierzyk koszuli go dusił.

Anna Carlisle zaczerwieniła się, gdy zdała sobie sprawę, że Hopkins ją obserwuje. Kilka miesięcy wcześniej, po roku zabiegów i flirtowania, wreszcie mu uległa i szybko odkryła, że współżycie seksualne z Glenem to prawdziwa przygoda. Wiedząc, że Hopkins patrzy na nią, powoli założyła nogę na nogę, by natychmiast powrócić do poprzedniej pozycji. Wyprostowała się, zła na siebie, że takie myśli nachodzą ją w sali sądowej, i odwróciła wzrok.

— Panie Hopkins, posiedzenie sądu jeszcze trwa. Czy mógłby pan wziąć to pod uwagę?

— Słucham? — Natychmiast się skoncentrował i z szelmowskim uśmiechem spojrział na Hillstorma. — Oczywiście, wysoki sędzie. Myślę, że pani kurator się myli. Zgodziliśmy się na grzywnę i na uznanie dwunastu dni aresztu, ale nie na ścisły dozór sądowy. Wynegocjowana umowa mówi o dozorze doraźnym.

Sędzia Hillstorm zajrzał do akt, szeleszcząc papierami.

— Pani Carlisle, czy ma pani kopię tej umowy?

Anna podniosła wzrok.

— Tak, wysoki sędzie, mam te dokumenty przed sobą, ale jest w nich mowa tylko o dwuletnim dozorze sądowym. Nie ma zaś mowy o tym, czy chodzi o dozór ścisły, czy doraźny.

— To zwykłe przeoczenie — wtrącił niecierpliwie Hopkins, zwracając się do Anny zamiast do sędziego. — Maszynistka opuściła słowo „doraźny”, które powinno znaleźć się przed słowem „dozór”.

— Co pan na to, panie Duke? — spytał Hillstorm.

Drobny adwokat wstał, sposobiąc się do wygłoszenia oficjalnej mowy.

— To pierwsze wykroczenie, wysoki sędzie. Mój klient jest poważnym młodym człowiekiem, który, niestety, uległ złemu wpływowi rówieśników. Nigdy dotąd nie zażywał narkotyków. Obecnie przygotowuje się do wstąpienia na wyższą uczelnię. Przyjmując od nieznanego narkotyk, sądził, że są to pastylki pobudzające. Nie wiedział, że proszki te należą do grupy środków chemicznych, w rzeczy samej halucynogennych, których produkcja i rozprowadzanie są ściśle kontrolowane przez państwo. Ów nieznanomy powiedział panu Sawyerowi, że pastylki pomogą mu osiągnąć wyższy stopień koncentracji. Po zażyciu wyżej wymienionych pastylek mój klient...

— Panie mecenasie — przerwał mu sędzia Hillstorm — w tej chwili omawiamy tylko tę jedną kwestię, a nawet i tej kwestii byśmy nie omawiali, gdyby nie przeoczenie maszynistki. Oczywiście jest pan świadom, że porozumienie w sprawie pańskiego klienta zostało już zawarte? Nie pomylił pan sal, prawda?

Sędzia uśmiechnął się, a dowcip nagrodzono stłumionymi chichotami.

— Oczywiście, że nie — odrzekł Duke, nerwowo wzruszając ramionami.

— W takim razie — mówił dalej Hillstorm — stoi przed nami taki oto problem: czy oddamy pańskiego klienta pod doraźny dozór sądowy, czyli, praktycznie rzecz biorąc, pozostawimy go bez żadnego dozoru, czy też oddamy go pod dozór ścisły, przydzielając mu kuratora. Kiedy to ustalimy, wszyscy będziemy mogli pójść do domu.

Duke starannie modulował głos, by nie okazać po sobie, że jest zirytowany.

— Nie ma powodu, żeby oddawać mojego klienta pod ścisły dozór sądowy — odrzekł.

Sędzia Hillstorm zastanawiał się nad orzeczeniem i bawił się okularami. Zdejmował je, nakładał, znów zdejmował, by w końcu oznajmić:

— Jamesie Earlu Sawyerze, w sprawie numer A pięćset trzydzieści cztery dziewięćdziesiąt osiem trzydzieści siedem niniejszym skazuję pana na dwa lata zmodyfikowanego dozoru sądowego. W tym czasie sąd będzie miał prawo do wydawania nakazu przeszukania w pańskim domu i żądać, aby poddał się pan badaniom na obecność w organizmie substancji wskazujących na zażywanie narkotyków. Ponadto zapłaci pan grzywnę wysokości pięciu tysięcy dolarów. Ma pan na to dokładnie rok, licząc od dnia dzisiejszego. Wiem, że orzeczona grzywna jest wyższa, niż przewiduje umowa zawarta między stronami, ale umowa, jaką zawarliśmy my dwaj, przewidywała, że stawi się pan w sądzie punktualnie o godzinie czwartej. Tymczasem pan się spóźnił, panie Sawyer, a to — wyjaśnił chichocząc — nazywamy niedotrzymaniem warunków umowy. Przeprowadzenie takiego procesu kosztuje kupę szmalu, jak by to ujęli pańscy rówieśnicy. Jeśli zaś chodzi o dozór sądowy, raz w miesiącu będzie się pan zgłaszał do swego kuratora. Na pańskiego kuratora wyznaczam panią Carlisle, tę piękną młodą damę, która siedzi obok pana. Czy pan zrozumiał orzeczenie?

— Tak, zrozumiałem — odrzekł sztywno Sawyer, nie patrząc na Annę, która z oburzenia aż otworzyła usta.

— W takim razie zamykam posiedzenie sądu — oznajmił Hillstorm. Wstał i szybko wyszedł.

Gdy tylko zniknął za drzwiami, protokolantka zaczęła pakować maszynę do stenografowania, a urzędnicy sądowi popędzili do wyjścia. Anna siedziała za stołem i nie mogła w to uwierzyć: Hillstorm znowu wyciął jej numer. Stary sędzia miał denerwujący nawyk ustalania własnych reguł i przepisów. Owszem, sędzia mógł zmienić warunki dozoru sądowego, ale coś takiego jak „zmodyfikowany” dozór sądowy w ogóle nie istniało, chyba że należało to zinterpretować jako dozór osobisty. Ten stary dinozaur uważał, że każdy sprawca wykroczenia musi mieć swego kuratora, co było po prostu niemożliwe. Kuratorzy terenowi sprawowali dozór tylko nad niektórymi przestępcami, a mimo to liczba spraw, jakie mieli na głowie, była tak ogromna, że aż niemożliwa do ogarnięcia. Hillstorm już raz Annę tak urządził, a dziś znowu wyznaczył jej klienta do osobistego dozoru i Anna kipiała wściekłością. I bez tego na jej biurku piętrzył się gigantyczny stos akt.

— O co mu chodziło? — spytał Jimmy Sawyer. — Sędziemu, no, wie pani. O czym on gadał?

Anna zerknęła przez ramię z nadzieją, że wyręczy ją obrońca, ale Harold Duke już dawno zwiął, jak wszyscy. Jak wszyscy, z wyjątkiem Glena Hopkinsa. Zastępca prokuratora okręgowego wciąż siedział za stołem i naburmuszony pakował akta do dużej czarnej dyplomatki.

— To chyba znaczy, że jestem twoim kuratorem, Jimmy — odrzekła z ponurą miną, dając mu do zrozumienia, że ta sytuacja wcale jej nie cieszy. — Zadzwoń do mnie jutro, to umówimy się na spotkanie, dobrze? Każę spisać warunki dozoru i wszystko ci wyjaśnię. — Wzięła swoje akta i ruszyła do wyjścia.

Sawyer wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać.

— Wiem, co to jest dozór, ale o co mu chodziło z tymi badaniami i przeszukianiem?

— O to, że raz w miesiącu, kiedy cię tylko o to poproszę, będziesz musiał oddać mocz do butelki. Jeśli wynik analizy będzie kiepski, pójdziesz do więzienia za pogwałcenie warunków dozoru sądowego.

Wreszcie to do niego dotarło i aż się wzdrygnął.

— Łącznie z prawem do analiz na żądanie sędziego orzekł również prawo do przeszukiwania. To znaczy, że kiedykolwiek zechcę, bez żadnego ostrzeżenia mogę wejść do twego domu i przeszukać go, żeby sprawdzić, czy nie ukrywasz narkotyków. Jeszcze coś?

Twarz Sawyera spopieliała.

— Może pani wejść do mego domu, kiedy tylko pani zechce? — powtórzył. — Czy to nie jest pogwałcenie moich konstytucyjnych praw?

— Jakich praw, Jimmy? — ucięła szorstko. — Zostałeś oddany pod dozór sądowy, nie masz żadnych praw.

Ruszyła do drzwi przejściem między ławami. Dogonił ją Glen Hopkins.

— Dasz temu wiarę? — spytała. — Hillstorm znów mnie zrobił. Owszem, chciałam, żeby oddał faceta pod dozór, ale to nie znaczy, że chcę być przykuta do niego na całe życie. Stary, głupi pierdoła.

Na korytarzu przystanęła i odwróciła się do Hopkinsa.

— A prokuratura musi zaprzestać tej zabawy, Glen. Rezygnujecie z ciężkich zarzutów i koncentrujecie się na drobnych wykroczeniach. Sawyer to młodociany przestępca z bogatą przeszłością kryminalną. Znalaziono przy nim tonę narkotyków, a skazano go za mało znaczący występpek. — Posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie; nie lubiła godzić się na zmianę kwalifikacji czynu, jeśli pociągała ona za sobą łagodniejsze orzeczenie. — Odwal się ode mnie, Glen, dobra? I wiesz co? Najlepiej daj temu facetowi medal i adresy wszystkich szkół podstawowych w mieście, żeby mógł sobie spokojnie pracować. Cholera jasna, przecież to handlarz!

Zerknęła przez ramię i zobaczyła Jimmy'ego Sawyera, który cały czas szedł za nimi i słyszał każde słowo. Spotkali się wzrokiem i Anna szybko odwróciła głowę. Chwilę później usłyszała, jak łańcuszki i ostrogi Sawyera pobrzękują w głębi korytarza.

— To pierwsze przestępstwo, które popełnił jako człowiek dorosły — odrzekł łagodnie Hopkins, patrząc za oddalającym się Sawyerem, ale kiedy spojrzał na Annę, głos miał niezwykle ostry. — Posłuchaj. Nie znoszę tego tak samo jak ty. Pokaż mi choć jedną osobę, która haruje ciężiej niż ja, żeby tylko podciąć tym ptaszkom skrzydła. No, pokaż, hę? Spójrz na to z szerszej perspektywy. Mamy na głowie cztery procesy o morderstwo, siedem procesów o gwałt i Bóg wie ile spraw o bandyckie postrzelenie czy dźgnięcie nożem. Nie możemy tracić czasu na sądenie takich Sawyerów, tak jak ty nie

powinnaś tracić czasu na ich nadzorowanie. — Najwyraźniej coś mu się przypomniało, bo nagle zmarszczył czoło. — Myślałem, iż będziesz zadowolona, że wniosłem o dozór doraźny. Pomieszłaś mi szyki, Anno. I bardzo mnie zaskoczyłaś.

Lekko skonsternowana, odsunęła się od niego. Często dyskutowali na temat niedoskonałości systemu sądowego, a zwłaszcza wymiaru sprawiedliwości w sprawach karnych, ale Glen nigdy dotąd tak na nią nie napadł. Zawsze był opanowany i spokojny, argumentował klarownie i bez żadnego wysiłku, jak w sali rozpraw. To Anna wciąż się ekscytowała, to ona zaczynała go atakować, jak choćby teraz.

— To bzdura, i dobrze o tym wiesz. Zanim skażą faceta po raz pierwszy, może popełnić od cholery przestępstw. I nie mam tu na myśli pierwszego aresztowania, nie, chodzi mi o pierwszy wyrok sądowy. Wystarczy zapoznać się z biografią kryminalną niejakiego Sawyera. To młodociany przestępca.

— Jego kartoteka jako młodocianego przestępcy to zamknięty rozdział, Anno. — Wzruszył ramionami, odzyskując opanowanie. — Sama wiesz, że nie możemy tego wykorzystać. Zresztą większość zarzutów cofnięto. Posłuchaj. Jeśli nie chcesz mieć do czynienia z Sawyerem, po prostu wypełniaj formularze i nie zawracaj sobie nim głowy. Tak robią wszyscy kuratorzy.

Oczy Anny się zwęziły.

— Może wszyscy, ale nie ja. Za dwa lata Sawyer będzie żałował, że przyszedł na ten świat. Dorwę go, do tyłka mu zajrzę, cholera, ale go dopadnę. Hillstorm oddał mi go pod dozór? Oddał. I Sawyer będzie miał taki dozór, że popamięta. Niech tylko coś zrobi, niech poczęstuje kogoś choćby aspiryną, a przywlokę go do sądu. — Oparła się o ścianę, spojrzała na kochanka i zobaczyła, że twarz mu tężeje. Nagle zdała sobie sprawę, że przesadziła. — Przepraszam, Glen. Musiałam się na kimś wyładować. — Roześmiała się. Byłby ze mnie kiepski oskarżyciel. Dobrze, że nie poszłam na prawo. Gdybym przegrała sprawę, mogłabym nie wytrzymać i komuś przyłożyć.

— Naprawdę? — Nie słuchał jej. Rozcierał sobie skroń, jakby rozbolała go głowa. Zaniepokoiła się.

— Dobrze się czujesz? Coś cię gnębi? Wyglądasz...

Hopkins rozluźnił krawat. Krzywił się przy tym, jakby chciał zerwać go z szyi.

— Nie, nie, nic mi nie jest.

Na jego czole i na górnej wardze dostrzegła kropelki potu.

— Ale źle wyglądasz.

— Cały czas myślę o tym Delvecchiu — mruknął.

Odczekała, aż minie ich kilka osób, przechodzących korytarzem.

— Przecież sprawa szła gładko. Co się stało?

Hopkins podniósł wzrok i pokręcił głową.

— Fielder nie chce oskarżyć go o te zabójstwa. Uważa, że nie ma wystarczających dowodów.

Robert Fielder, prokurator okręgu Ventura, był szefem Glena.

Zaskoczona i skonsternowana, zasłoniła usta ręką. Przeciwko Randy'emu Delvecchiowi toczył się proces o zgwałcenie czterech kobiet. Trzy miały po sześćdziesiąt lat, a jedna nawet siedemdziesiąt parę. Musieli to jeszcze udowodnić, ale pracownicy prokuratury i departamentu policji okręgu Ventura byli pewni, że Delvecchio jest również sprawcą dwóch nie wyjaśnionych zabójstw. Jak w przypadku gwałtów ofiarami były starsze kobiety. Zamordowano je brutalnie, z wyrafinowanym okrucieństwem, dlatego Glen postanowił zrobić wszystko, żeby skazać Delvecchia na długoletnie więzienie. Anna rozumiała tę bezwzględność i zapamiętanie — Glen miał matkę w wieku ofiar Delvecchia. Była sędzią Sądu Najwyższego stanu Kolorado i łączyły ich bardzo bliskie stosunki.

W sąsiedniej sali zakończyła się rozprawa i na korytarz wyległ tłum ludzi. Szukając odosobnienia, Anna wzięła Glena za rękę i poprowadziła go do ciężkich stalowych drzwi, wychodzących na półpiętro schodów przeciwpożarowych.

— Ale za gwałt go skażą, prawda? — Na klatce schodowej niosło się echo jej głosu. — Tak wczoraj mówiłeś. Że na pewno go skażą.

— Anno, chcę, żeby oskarżyli go o zabójstwo. Ten szaleniec morduje ludzi i ma mu to ująć na sucho? Nigdy do tego nie dopuszczę.

— Glen, to tylko kolejna sprawa — powiedziała łagodnie.

Zauważyła, że na czoło spadł mu kosmyk włosów, i czule go odgarnęła. Odtrącił jej rękę.

— Nie, Anno, to nie jest tylko kolejna sprawa. Jedna z ofiar była nauczycielką, uczyła mnie angielskiego w szkole średniej. Cholera, przecież te wszystkie kobiety są w wieku mojej matki!

Nic dziwnego, że jest taki spięty i rozkojarzony — pomyślała. Dobrze znała sprawę Delvecchia (oskarżony pogwałcił warunki dozoru sądowego), bo musiała sporządzić protokół, na podstawie którego sąd miał orzec o jego winie, w związku z czym mogła wywrzeć znaczny wpływ na wyrok ostateczny.

— Dopilnuj, żeby skazano go za wielokrotny gwałt — powiedziała stanowczo. — Są okoliczności obciążające, bo użył broni. Wniosem o orzeczenie czterech dodatkowych wyroków za sodomie i wsadzą go co najmniej na dwadzieścia lat.

— I za dziesięć lat wyjdzie. O ile w ogóle dostanie złącz. W połowie odbywania kary sędzia może wyznaczyć rozprawę dodatkową. Stwierdzą, że skazany jest wzorowym więźniem, i po pięciu latach skurwiel będzie na wolności. On ma tylko dwadzieścia sześć lat, Anno.

Podeszła bliżej i chcąc mu się przymilić, musnęła palcami kłapy jego marynarki.

— Dostanie najwyższy wyrok, zobaczysz. Dobrze wiesz, że sąd zawsze przychyła się do moich sugestii. Kiedy zgwałcił te kobiety, był pod dozorem. To jest okoliczność obciążająca. — Widząc, że twarz mu łagodnieje, posunęła się o krok dalej. — I nie zapomnij, że Delvecchio jest Murzynem z bogatą przeszłością kryminalną.

Uśmiechnął się słabo.

— Naprawdę wierzysz, że w przypadku kolorowych sąd orzeka wyższy wymiar kary?

— Ależ oczywiście, ja to wiem, to fakt stwierdzony. Niedobrze mi się robi, jak o tym pomyślę, ale cóż, popełniając tak ohydne przestępstwa, ułatwiają nam zadanie.

Uśmiechnął się szeroko; podwinięta warga odsłoniła ząb.

Wabiąc go i kusząc, przesunęła ręką po poręczy schodów, później po swojej szyi. Gdy jej dłoń spoczęła nad piersią, powiedziała:

— Ludziom takim jak Jimmy Sawyer wiele uchodzi na sucho tylko dlatego, że są biali i mają forszę na opłacenie najlepszych adwokatów. — Uwodzicielsko krążyła dłońmi wokół piersi. — Ale wierz mi, Delvecchio spędzi w więzieniu wiele lat.

Wciąż się uśmiechał, mimo to pokręcił głową.

— Jesteś w błędzie, Anno. Jedynym powodem, dla którego kolorowi dostają surowsze wyroki, jest to, że popełniają cięższe przestępstwa. Czyżbyś już zapomniała, że ja wierzę w nasz system?

— Tak, pamiętam — odrzekła figlarnie. — Jesteś ostatnim skautem. Udowodniłeś mi to w zeszłym tygodniu, na plaży. — Kopnęła go lekko w czubek buta.

Glen zachichotał.

— Wolę być ostatnim skautem niż Aniołem Śmierci. Słyszałem, że tak o tobie mówią więźniowie.

Zesztywniała.

— Skąd o tym wiesz?

— Od jednego klawisza. Mówił, że wdzięczysz się do tych bydlaków, robisz słodkie oczy i wyciągasz z nich obciążające zeznania. Potem wykorzystujesz je w sądzie i żądasz wyższego wymiaru kary. To prawda?

— Oczywiście, że nie — zaprzeczyła szybko. — Boże, przecież to kryminaliści. Nie zdziwiłabym się, gdyby wygadywali jeszcze większe bzdury.

Glen przechylił głowę i puścił do niej oko.

— Ejże, ja wiem, że tak jest.

Opanowała się, choć mało brakowało, a wybuchnęłyby śmiechem. Była ostrożna, nie chciała przyznać, że wypowiedziała zbrodniarzom swoją prywatną wojnę: że skłaniała przestępców do zwierzeń, jakich nie wyciągnąłby z nich nikt inny. Robiła tak od lat. obrońcy często podnosili larum, oskarżając ją o podstępne zdobywanie zeznań, ale, jak dotąd, żadna rozprawa apelacyjna nie doprowadziła do zmiany proponowanego przez nią orzeczenia. Inni kuratorzy budzili u oskarżonych lęk i wrogość, tymczasem ona miała tak zniewalający sposób bycia, że zdobywała ich zaufanie niemal natychmiast po wejściu do sali przesłuchań.

Już się odwracała, żeby odejść, gdy Glen wziął ją w ramiona.

— Potrzebuję cię, Anno — wyszeptał z natarczywą nutką w głosie, którą zaczynała już rozpoznawać.

— Muszę wracać do pracy — odrzekła, z trudem łapiąc oddech.

Wspomnienia tamtej nocy, gdy kochali się ostatni raz, rozpały jej ciało. Glen zabrał ją do kina i wsunął jej rękę pod spódnicę. Kiedy wychodzili, Anna była dziko podniecona i jednocześnie przerażona, że ktoś mógł ich widzieć. Glen pojechał prosto na plażę, tam kochali się pod gołym niebem. Namówił ją do tego, i ta konserwatywna Anna, lubująca się w pastelowych sweterkach, białych bawełnianych bluzeczkach, w których wyglądała jak nauczycielka, odkryła w sobie drugą naturę. Glen sprawił, że wszystko wyglądało tak naturalnie. Przekonał ją, że dzień spędzony w dusznym, zatłoczonym sądzie to katorga, że namiętność powinna być spontaniczna, a nawet trochę niebezpieczna, że należy jej ulegać — i to nie tylko w sypialni.

— Nie musisz — wydyszał niskim, namiętym głosem.

— Muszę podyktować protokół — szepnęła, odpychając go łagodnie.

— Proszę, Anno, pragnę cię. — Położył dłonie na jej pośladkach i przywarł do niej jeszcze mocniej. — Przecież tego chcesz. — Roześmiał się krótko i chrapliwie. — Widać to po twojej twarzy.

— Nie, Glen — zaprotestowała. Podniosła głowę, napotkała jego usta, próbowała od nich uciec. — Nie rób tego... nie tutaj.

— Dłużej nie wytrzymam. — Tulił ją, tańczył wzrokiem po jej twarzy i niecierpliwiał się. — Nikt nas nie zobaczy.

Czuła, jak jego pierś unosi się i opada, przez spódniczkę czuła napór wzwiedzionego członka. Nie powinna była tu przyprowadzać Glena, nie powinna była prowokować go swoim zachowaniem. Ale to uczucie, ten mężczyzna — myślała. Wszystko jest takie nowe, takie podniecające...

Przesunął ręce niżej i opuszkami palców musnął jej uda. Powoli, centymetr po centymetrze uniósł brzeg spódnicy, potem zadarł ją do pasa, odsłaniając rajstopy. Anna dotknęła pośladkami zimnej ściany.

— Nienawidzę rajstop — mruknął.

Wsunął pod nie palce, potem dłoni, szarpnął, zerwał je i dostał się między uda, by ją tam dotykać i pieścić.

— Glen, proszę cię — szepnęła rozdarta, nie wiedząc, czy uciekać, czy ulec mu i zrobić wszystko, co zechce.

Pocałował ją w kark, później ssał przez jedwabną bluzkę jej lewą pierś, pozostawiając na materiale wilgotną plamkę. Anna roześmiała się nerwowo.

— Jesteś niepoprawny.

Rozpiął marynarkę, przygniół Annę do ściany, delikatnie ułożył jej głowę na swym ramieniu i zaczął masować jej krzyż. W klatce schodowej rozbrzmiewał szelest pocieranego materiału.

— Odpręż się, Anno. I spójrz na mnie. Lubię widzieć twoją twarz, gdy jesteś podniecona.

Miała otwarte usta i zamknięte oczy. Jeśli ich nie otworzę, myślała, może zapomnę, gdzie jesteście. Nie wytrzymała, otworzyła.

— Nie mogę, Glen. Ktoś nas zobaczy.

— Możesz — wyszeptał. — Na plaży mogłaś. I bardzo ci się podobało.

— Ale nie tutaj. — Potoczyła wokoło wzrokiem. Klatka schodowa, pomalowana na stalowoszary kolor, wyglądała jak wnętrze okrętu wojennego — posępnie i surowo. Sufit oplatały wielkie zwoje przewodów wentylacyjnych. Malować musieli niedawno, bo w powietrzu unosił się zapach świeżej farby.

Jęknęła głośno, czując, jak w nią wchodzi.

Glen podniósł jej nogi i zaczął się w niej poruszać, niespiesznie i namiętnie. Odnalazł jej oczy, zajął w nie i szepnął:

— Uwielbiam cię, Anno. Wiesz, co mnie najbardziej podnieca?

— Mmmmm... — odpowiedziała jedynym dźwiękiem, jaki zdołała z siebie wydobyć.

Glen mówił, a ona tonęła w jego słowach i odpowiadała ruchami ciała, które wychodziło mu naprzeciw.

— Pozornie jesteś taka wymuskana i powściągliwa, taka na miejscu... I ta szparka między przednimi zębami. — Objęła go nogami w pasie, a Glen położył rękę na jej podbrzuszu, tuż nad włosami łonowymi. — Ale tam, w środku, jesteś taka gorąca — szeptał rozpalony — tak niewiarygodnie gorąca...

Wstrzymała oddech. Płynęła, dryfowała jak na wielkiej wodzie, a podniecenie zduśliło wszelkie obawy. Nie krzyknęła, ale czuła, jak przesywa ją rozkoszny dreszcz, jak jej wnętrze zalewa fala wilgoci, jak jej ciało drży i dygocze, by nagle zeszywnieć. Milczący i skupiony Glen zaczął poruszać się szybciej, pośladki Anny coraz szybciej uderzały o ścianę, wreszcie eksplodował w niej i zastygł bez ruchu.

Raptem usłyszała jakiś odgłos. Podniosła szybko wzrok i zdążyła jeszcze zobaczyć, jak drzwi wychodzące na korytarz powoli się zamykają.

— Glen... — szepnęła, ogarnięta narastającą paniką.

Nie zważając na jej protesty, pocałował ją w usta, zachichotał i przygniół jej ramiona do ściany. Anna zaczęła się wyrwać, więc uwolnił ją, westchnął, przeczesał ręką włosy i lekko oszołomiony rozejrzał się wokoło.

— Chryste, Glen, ktoś otworzył drzwi, ktoś nas widział. — Obciągnęła spódnicę i zobaczyła na podłodze strzępy rajstop. — Przed chwilą się zamknęły. Boże, dlaczego dałam się na to namówić? — Twarz miała zaczerwienioną i wilgotną od potu.

— Było wspaniale, co? — Oparł się znużony o ścianę, lecz widząc trwogę w oczach Anny, natychmiast oprzytomniał. — Poważnie? Ktoś nas widział? — Szybko we-

pchnął koszulę do spodni, jednocześnie zapinając rozporek. — Kto? Rozpoznałeś go? — Poprawił zarzucony na ramię krawat, wygładził włosy, obciągnął marynarkę. — Zdawało ci się.

— Nie, Glen. Widziałam, jak zamykają się drzwi. Skoro się zamknęły, ktoś je musiał otworzyć. Same się nie otworzyły, są za ciężkie.

Popatrzyła na niego jak na dziecko, które zbłądziło. Był zaniepokojony, to prawda, lecz zauważyła również, że obnażenie się w miejscu publicznym bardzo go podnieciło.

— Mam syna, Glen — powiedziała cicho, lecz dobitnie. — Nie mogę sobie pozwolić na takie wybryki, nie mogę wystawiać się na pośmiewisko. Zwłaszcza tutaj, w sądzie.

Chciał ją objąć, ale odepchnęła go i podeszła do drzwi.

— Nie sądzisz, że Dawid przeżył wystarczająco dużo? — rzuciła przez ramię drżącym głosem. Jeszcze tego brakowało, żeby doszły go słuchy, że jego matka pieprzy się w sądzie na schodach przeciwpożarowych.

— Anno — odrzekł, próbując ją uspokoić — nawet jeśli ktoś nas widział, Dawid nigdy się o tym nie dowie. Czy aby trochę nie przesadzasz? Fakt, może to i było ryzykowne, ale nie widzę w tym żadnej tragedii.

Westchnęła, czując, jak napięcie powoli mija. Miał rację. Gnębiły ją większe zmartwienia. Choćby Dawid.

— Po prostu chcę, żeby cię zaakceptował, żeby cię poznał, zanim się dowie, że ze sobą sypiamy. Bo on się dowie, Glen. Może już teraz coś podejrzewa. Jak na dwunastoletka jest bardzo spostrzegawczy.

Zirytowany Glen podniósł rękę.

— Przecież próbowałem, prawda?

Stali i patrzyli na siebie bez słowa. Anna współczuła mu. Rzeczywiście, zrobił wszystko, żeby zyskać aprobatę jej syna. Tydzień temu wspomniała zdawkowo, że Tommy Reed, jej stary przyjaciel, detektyw z wydziału zabójstw, zabiera Dawida na mecz Reidersów. Glen też chciał iść na ten mecz. Chłopiec nie tylko zachowywał wobec Hopkinsa daleko posuniętą rezerwę, ledwo go zauważając, ale razem z Reedem celowo wykluczał go z rozmowy. Glen kupił mu nawet proporczyk Reidersów, lecz kiedy mecz dobiegł końca, Dawid zostawił prezent na stadionie, mówiąc, że nie lubi proporczyków. Owszem, zbeształa go za to, ale nic więcej nie mogła zrobić.

Wiedziała, że musi oddać Glenowi sprawiedliwość. Stawił czoło wrogowi nastawionemu dziecku i kobiecie dochodzącej do siebie po stracie męża — w takiej sytuacji większość mężczyzn by zrejterowała.

— Dawid się do ciebie przekona, Glen, zobaczysz. To tylko kwestia czasu. — Spojrzała na zegarek i znów wyciągnęła rękę do klamki. — Muszę iść.

Dotknęła palcem jego ust w żartobliwym pocałunku, uśmiechnęła się i wyszła.

Wróciwszy do biura, wpadła do sali przesłuchań i podyktowała protokół. Zanim skończyła i usiadła za biurkiem, większość kuratorów zdążyła już wyjść do domu. Powinna zadzwonić do Dawida i uprzedzić go, że się spóźni, ale po szaleństwie na schodach ogarnął ją nastrój melancholii i apatii. Biorąc aktówkę, postanowiła nie dzwonić, tylko wyjść natychmiast, ale jej wzrok padł na zdjęcie męża stojące na biurku. Położyła aktówkę, wzięła fotografię i przyjrzała się jej z bliska. Zawsze będzie tak wyglądał — pomyślała. Ani śladu siwizny, ani jednej zmarszczki — wiecznie młody. Czasami pamiętała go tylko takim, jakim był na tej fotografii.

Już pora — zdecydowała. Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Otworzyła szufladę biurka i delikatnie wsunęła do niej zdjęcie, wiedząc, że to znaczący moment. Śmieszne — pomyślała. Kamienie milowe na drodze życia człowieka wyznaczają bardzo prozaiczne sprawy. Fotografia schowana do szuflady. List wrzucony do skrzynki. Klucz zdjęty z kółka.

Dzięki ci, Panie, za Glena i za jego wytrwałość — pomyślała, idąc z aktówką pod pachą do windy. Było jej lżej, czuła się o wiele młodziej, jakby nagle ubyło jej lat. Bez Glena ugrzęzłaby w przeszłości. Siedziałyby w domu, spędzała wieczory samotnie i rozczułała się nad sobą. W minionym roku siedem razy zapraszał ją na kolację i siedem razy mu odmówiła. Był jednak cierpliwy. Ilekroć się spotykali, zawsze pytał ją o samopoczucie i o syna, ponawiał zaproszenia, aż w końcu uległa.

— No, jasne, czemu nie? — Zachichotała, wcisnęła guzik i winda ruszyła w dół.

Od tamtego czasu zdążyła go już trochę poznać. Zastanawiała się, czy fakt, że tyle razy dała mu kosza, nie podziałał na niego stymulująco i nie wzmógł jego zainteresowania. Zresztą, czy to nie wszystko jedno? Może i był arogancki i trochę zwariowany, ale sprawił, że odżyła. Musiała tylko przełamać opory Dawida i dać mu bodziec do życia.

Wiedziała, że to niełatwe zadanie, bo chłopiec był uparty jak jego ojciec.

Hank Carlisle — „Buldog”, jak nazywali go koledzy — pracował w drogówce. Mierzył metr osiemdziesiąt, ale był mężczyzną krępy i przysadzistym, przez co odnosiło się wrażenie, że jest dużo niższy. Włosy miał jasnokasztanowe, strzygł się na wojskowego jeża, a swój przydomek zawdzięczał grubemu karkowi, małym, przebiegłym oczom i wybuchowemu usposobieniu. Anna widziała w jego gwałtowności swego rodzaju polisę ubezpieczeniową i w przeciwieństwie do większości żon policjantów nie bała się, że w czasie służby spotka go coś złego. No, tak, ale ojciec Anny był kapitanem policji, a ona sama rozpoczynała karierę zawodową od pracy w departamencie policji okręgu Ventura. Tak więc nie należała do żon przeciętnych.

Zawsze uważała, że Hank jest człowiekiem niezniszczalnym. W biurze żartowała nieraz, że boi się nie o niego, lecz o kierowców i przechodniów, których mąż kontroluje.

A potem, przed czterema laty, zdarzyło się coś zupełnie niezrozumiałego: Hank Carlisle po prostu zniknął z powierzchni ziemi. Porzucony radiowóz znaleziono na po-

boczu drogi między stanowej, na tym długim, zapyłonym odcinku szosy, którą policjanci z drogówki nazywają ziemią niczyją — niby już w Arizonie, ale tuż za granicą Kalifornii. Kłapa bagażnika i drzwi były szeroko otwarte, a wewnątrz nie znaleziono najmniejszych śladów walki. Ostatnią wiadomość nadał do centrali na godzinę przed zniknięciem.

Prowadzący śledztwo wyciągnęli jeden możliwy wniosek. Owej letniej nocy przed czterema laty sierżant Hank Carlisle dokonywał rutynowej kontroli drogowej. Kierowca, którego zatrzymał, zapewne w celu ukarania mandatem za przekroczenie dozwolonej szybkości, był poszukiwanym przestępcą. Wiedząc, że policjanci z drogówki zawsze sprawdzają, czy na kontrolowanych nie wydano nakazu aresztowania i czy nie ściga się ich listami gończymi, osobnik — albo osobnicy — zaatakował Carlisle'a w chwili, gdy ten wracał do radiowozu, żeby skontaktować się przez radio z centralą. Najprawdopodobniej Hank został uderzony od tyłu czymś ciężkim, niewykluczone, że rękocięciem pistoletu lub rewolweru. Nieprzytomnego rozbrojono, przewieziono w jakieś ustronne miejsce i tam zgładzono.

Po miesiącach kopania w piaszczystej, jałowej ziemi nie zdołano odnaleźć ciała. Wykorzystywano psy, helikoptery, najbardziej czuły sprzęt aerofotograficzny, przeczesano teren pieszo i dżipami. I nie znaleziono nic. Nie było włók, nie było dowodów, nie było najmniejszego punktu zaczepienia.

Anna musiała znieść wyczerpujące przesłuchania, odpowiadać na setki pytań, jakie zadawali jej prowadzący śledztwo. A pytali o wszystko: o ich małżeństwo, o sprawy finansowe, o kolegów z pracy. Powiedzieli, że muszą wyeliminować każdą możliwość, nawet taką, że z nieznanego jeszcze powodu Hank upozorował zniknięcie.

Dzięki Bogu, myślała, wysiadając z windy, że tę ostatnią możliwość oficjalnie wykluczyli i zapisali to w aktach. Dzięki temu zyskała nie tylko spokój ducha. Departament policji przysyłał jej wprawdzie co miesiąc czek na niewielką sumę z funduszu emerytalnego Hanka, ale polisy ubezpieczeniowej jeszcze nie odblokowano. A za te pieniądze będzie mogła posłać Dawida do koledżu.

Na rozległym parkingu stały nieliczne samochody. Anna podeszła do swego czarnego dżipa kombi rocznik osiemdziesiąt siedem, wsiadła i przekręciła kluczyk w stacyjce. Usłyszała ciche kliknięcie, nic więcej.

— Szlag by to... — zakląła i spróbowała jeszcze raz. Znowu cichy metaliczny trzask — silnik nie reagował. To nie akumulator — myślała, z każdą sekundą coraz bardziej poirytowana. Akumulator wymieniła w zeszłym tygodniu. Tym razem to coś innego, jeszcze kosztowniejszego, może rozrusznik. Wysiadła, zatrzasnęła drzwi i stała chwilę, zastanawiając się, co zrobić.

Popatrzyła na gmach sądu. Wrócić i wezwać pomoc drogową? Oparła się o samochód. Chłodny wieczorny wiatr owiewał jej twarz, a ona wmawiała sobie, że takie drobności zupełnie jej nie denerwują.

Przeniosła wzrok na gmach aresztu i obserwowała ciemne sylwetki ludzi przesuwane się za oknami. Olbrzymi kompleks budynków rozciągał się od przecznicy do przecznicy i mieścił niemal wszystkie instytucje i agendy rządowe okręgu. Rano nie sposób tu było zaparkować, choć Anna oceniała, że na rozległej betonowej płycie jest miejsce dla około pięciuset samochodów. Władze poszły na całość i wysupłały pieniądze na przyzwoite urządzenie terenu. Parking otaczały krzewy oleandrów, tworząc wysoki żywopłot, który tłumił hałas dobiegający z Victoria Boulevard, głównej alei przelotowej miasta, ulicy rozdzielonej szerokim pasem trawy. Anna uważała, że krzewy są ładne, bo ożywiają szary beton, no i miała za oknem choć trochę zieleni.

Wiedziała, że jeśli to rozrusznik, jak przypuszczała, pomoc drogowa niewiele jej pomoże. Wezmą dżipa na hol, odstawią go do najbliższego warsztatu, i tyle. Postanowiła wracać do domu na piechotę. Nie było jeszcze późno, a Dawid pewnie i tak przez całe popołudnie czymś się obżerał. Rano poprosi męża szefowej, żeby tu kogoś przysłał; pracował w dziale serwisowym miejscowego salonu samochodowego i często naprawiał jej dżipa za darmo. A może wrócić do sądu i wezwać taksówkę? Nie, mieszka przecież niedaleko, od domu dzieli ją tylko pięć przecznic. Jeśli się pospieszy, piechotą będzie szybciej.

Odruchowo skierowała się w stronę wyjazdu, ale potem skręciła. Między krzewami oleandrów, w przeciwległym rogu parkingu, dostrzegła wąskie przejście, którym mogła wydostać się na Victoria Boulevard; potem tylko pokona wzgórze i już będzie w domu.

Gdy doszła do przejścia między krzewami, usłyszała głośny trzask. Drgnęła, obróciła głowę. Trzask brzmiał jak wystrzał z pistoletu. Zlustrowała wzrokiem pusty parking, zerknęła przez krzaki na ulicę. Nie zauważyła niczego podejrzanego. Uspokoiła się. To pewnie gaźnik. Ludzie często te odgłosy mylą. Pracując w policji, zaliczyła setki takich fałszywych alarmów.

Pochyliła się i weszła między krzewy — obcasy butów natychmiast ugrzęzły w błocie. Zmarszczyła gniewnie czoło, dochodząc do wniosku, że droga na skróty nie była najlepszym pomysłem. Automatyczne zraszacze musiały się niedawno wyłączyć i ziemia nasiąkała wodą.

— Cholera jasna — mruknęła przykucnąwszy, żeby obejrzeć buty powalane błotem. Musi pamiętać, żeby przed wejściem do domu dobrze je wytrzeć, bo dywan diabli wezmą.

Rozgarnęła gałęzie wysokich krzewów i już miała wyjść na chodnik, gdy wtem znów usłyszała donośny trzask. Ramię... lewe ramię.

— Boże... — jęknęła. Zakręciło się jej w głowie, nie mogła złapać tchu. Odruchowo przyłożyła dłoń do bolącego miejsca i wyczuła wilgoć. Uniosła rękę, zobaczyła krew i krzyknęła: — Postrzelili mnie! Boże, pomóżcie... Ktoś do mnie strzelił!

Usłyszała warkot silnika, pisk opon, poczuła wyraźny swąd spalonej gumy.

Na ziemię, myślała, szybko! Ale, sparaliżowana strachem, nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Zatoczyła się i rozgarniając rękami krzaki, upadła na betonowy chodnik, osłoniwszy twarz prawym ramieniem.

— Postrzelono mnie! Niech mi ktoś pomoże! Proszę... Wezwijcie karetkę... policję...

Choć rozpaczliwie próbowała krzyżeć, by zwrócić na siebie uwagę, tylko mamrotała coś pod nosem. Przez bluzkę sączyła się gorąca krew, jakby polano jej wrzątkiem plecy.

Próbowała uspokoić oszalałe serce, próbowała odnaleźć w panice siłę. Kula mogła uszkodzić aortę. Walcząc z bólem i obezwładniającym strachem, wyprostowała palce, zanurzone w szybko powiększającej się kałuży jej własnej krwi.

Życie wyciekało z niej na chodnik, a ona wsłuchiwała się w swoje ciało. Słyszała z nienaturalną wyrazistością, jak jej płuca z trudem łowią oddech, serce zaś — łump-łump, łump-łump — tłoczy krew niczym pompa w szybie naftowym. Umierała. Nie, nie mogła umrzeć, to by było niesprawiedliwe. Przecież swoje już wycierpiała. Jej ukochane dziecko, jej synek... Tak bardzo jej teraz potrzebował. Była wszystkim, co na tym świecie miał. Nie, jeśli Bóg istnieje, nie pozwoli jej umrzeć.

Jezdnią śmigają samochody. Spaliny dławily ją, oddychała z coraz większym trudem. Próbowała krzyżeć głośnie, chciała zwrócić na siebie uwagę, zanim straci przytomność, zanim będzie za późno. Ale na próżno.

— Pomóżcie mi... proszę, pomóżcie... Postrzelono mnie...

Głowa jej opadła i Anna otarła sobie policzek o chropowaty beton. Przed oczyma tańczyły jej czarne plamy, odczuwała mdłości, było jej gorąco i jednocześnie zimno. Nie mogę zemdleć, myślała, nie mogę zemdleć. Jeśli stracę przytomność, wykrwawię się na śmierć.

Zacisnęła zęby, odepchnęła się ze wszystkich sił i zdołała podnieść się na czworaka. I natychmiast upadła, by znowu się dźwignąć i znowu upaść.

Dźwięki jeszcze słyszała, jeszcze je rozróżniała: warkot samochodów pędzących ulicą, głosy ludzi, śmiech, wycie syreny gdzieś w oddali, ryk odrzutowca przelatującego nad miastem. Jestem tutaj, krzychała bezgłośnie, tutaj! Przecież wokoło jest tyle ludzi. Dlaczego mnie nie widzą, dlaczego nic nie słyszą?

— Na pomoc! — krzyknęła, tym razem nieco głośnie. — Proszę, pomóżcie mi!

Odwróciła głowę i zdała sobie sprawę, że po drugiej stronie ulicy jest parking restauracji Marie Callender's. Ludzie wchodzili i wychodzili. Była tak blisko i tak daleko zarazem. Odgradzał ją od nich ruch uliczny i szeroka, rozdzielona pasem zieleni jezdnia, w dodatku leżała pod żywopłotem, prawie zupełnie niewidoczna w jego cieniu.

— Na pomoc! — krzyknęła jeszcze raz, skupiając wzrok na mężczyźnie i kobiecie z małym dzieckiem, którzy podchodzili do granatowego samochodu. Kobieta śmiała się i trzymając synka za rękę, mówiła coś do mężczyzny. W tej samej chwili chłopiec odwrócił się i spojrział na drugą stronę ulicy. Patrzył prosto na nią!

— Tutaj! Jestem tutaj! — krzyknęła, dźwigając głowę z chodnika. — Postrzelono mnie! Sprowadźcie pomoc!

Ale matka pociągnęła dziecko za rękę i zrozpaczona Anna patrzyła, jak cała rodzina wsiada do samochodu i odjeżdża.

— Nie! — jęknęła żałośnie. — Nie zostawiajcie mnie...

Umierała.

Kałuża krwi była coraz większa, ból coraz silniejszy. Próbowwała przywołać obraz twarzy Dawida, by się nim wzmocnić, by czerpać z niego życiodajną siłę. Usiłowała wstać, odepchnąć się rękami od ziemi i zapominając o bólu dźwignąć osłabione ciało. Nie, to nie aorta, wmawiała sobie, nic ci nie będzie. Może to nawet nie kula. Może nadszedł na metalowy zadzior, na coś ostrego...

I nagle usłyszała głos swego ojca: „Zachowaj spokój, Anno”.

Wypowiedział te słowa, gdy zaraz po skończeniu akademii policyjnej zobaczyła pierwszego w życiu trupa — zwłoki małego dziecka. Wróciła do domu i oświadczyła, że tego nie wytrzyma, że zamierza złożyć rezygnację, że jest za młoda, zbyt wrażliwa, żeby pracować w policji. „Śmierć porusza każdego — powiedział wtedy ojciec stanowczo. — Gdybyś nie była wrażliwa, nie byłabyś człowiekiem. Kilka razy głęboko odetnij i zdaj się na swoją siłę wewnętrzną”.

I nagle stwierdziła, że wstała, że stoi. Widziała jak przez mgłę, wszystko było zamazane i zniekształcone, ściekający z czoła pot zalewał jej oczy, ale stała. I wiedziała, co musi teraz zrobić: musi przejść na drugą stronę ulicy.

— Pani jest ranna? — usłyszała czyjś zaniepokojony głos. — Co się stało?

— Ktoś... Ktoś do mnie...

Próbowwała wytrzymać, chciała odwrócić głowę i coś powiedzieć. Nadeszła pomoc. Teraz wszystko będzie dobrze.

Traciła siły, ale czuła, że ktoś ją obejmuje, czuła kojące ciepło ludzkiego ciała, więc uległa i ten ktoś pomógł jej się położyć.

— To ty? — wymamrotała, gdy ujrzała nad sobą jego twarz. Bo ciała tam nie było, tylko twarz, która pływała przed jej oczyma, jakby unosząc się w powietrzu. Twarz i te łagodne, zatroskane, wpatrzone w nią oczy, najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała.

— Wezwijcie karetkę! — krzyknął tak głośno, że aż się przestraszyła. — Szybko, ona krwawi. Zaraz będzie w szoku. I koce, przynieście koce. Z bagażnika mojego samochodu.

Wydawszy polecenia, głos natychmiast złagodniał, stał się spokojny, kojący i Anna zobaczyła nad sobą pochylonego mężczyznę, którego koszula muskała jej twarz.

— Musimy to miejsce ucisnąć. Kula przebiła aortę. Niech się pani nie rusza, proszę się odprężyć. Karetka już jedzie.

Ukucnął z drugiej strony i poczuła, że ją dotyka. Wciąż obserwowała jego twarz, zagubiła się w jego oczach. Pamiętała je, tak, była pewna, że już je widziała. Kiedyś, gdzieś,

daleko stąd. Wciąż przytomna, lecz odurzona, dryfowała na pograniczu świadomości i czarnej głębinie niebytu, w mrocznym, rozfalowanym świecie przypominającym morską otchłań. Dobięły ją głosy ludzi, tupot nóg, ale widziała tylko tę twarz, słyszała tylko ten głos, odczuwała tylko ciepło bijące od ciała nieznanego.

Jak przez mgłę usłyszała przenikliwe zawodzenie syreny. Mężczyzna pogładził ją po czole i znów spojrzął jej w oczy. Poczowała muśnięcie jego włosów.

— Twoje włosy... — wyszeptała. Były jak miękki koc.

— Wszystko będzie dobrze — zapewnił ją głos. — Kula trafiła w ramię.

Anna wyteżyła siły, żeby lepiej widzieć, żeby lepiej słyszeć, bo twarz miał już niekształconą. I ogarnęła ją fala gwałtownego uczucia, fala miłości i zupełnego spokoju.

— Hank — szepnęła. — Wiedziałam, że wrócisz.

Zatrzepotała powiekami, mimowolnie zamknęła oczy.

Jakaś nieznana siła wsysała ją w mroczną otchłań i obraz pochylonego nad nią mężczyzny zaczynał powoli zniknąć. Rozpaczliwie próbowała ten obraz zatrzymać, bo był jedyną rzeczą, jaka dzieliła ją od wabiącego niebytu, ale nie dała rady i pograżyła się w otchłani. Słyszała głos Hanka, czuła zapach jego ciała i silny uścisk jego ręki. Hank wrócił. Dawid będzie miał ojca. Mogła przestać walczyć. Kilka sekund później pochłonęła ją ciemność.

Rozdział 2

Sierżant Thomas Reed, detektyw z wydziału zabójstw, miał pięćdziesiąt lat i wciąż był okazem zdrowia. Mierzył metr osiemdziesiąt dwa, ważył dziewięćdziesiąt jeden kilogramów, jeszcze nie wyłysiał i miał tylko dwa siwe pasemka włosów. Spojrzął w lustro i wyszczerzył zęby. Większość żółtych plam zniknęła, bo rzucił palenie; był świadkiem śmierci Lenny'ego Bradocka — Lenny umarł na raka płuc — i to go w końcu zmobilizowało. Ale zmarszczki na twarzy pozostały. I pozostaną, bo zbyt wiele lat spędził na kalifornijskim słońcu. Zresztą słyszał, że zmarszczki przydają twarzy charakteru. Parsknął śmiechem. Czego jak czego, ale charakteru na pewno mu nie brakowało.

Dodawał sobie animuszu kilka razy dziennie, ilekroć szedł do kibelka. Pracował w departamencie policji okręgu Ventura. Pięćdziesiątkę skończył w tym roku — przekroczył wielki próg, a za progiem było paskudnie, dokładnie tak, jak powiadali ci, co przekroczyli go wcześniej. Wciągnął brzuch i przyrzekł sobie, że dziś wieczorem wpadnie do sali gimnastycznej. Przychodzili tam gliniarze o wiele młodszy, fakt, ale nieko-

niecznie silniejszy od niego, a już na pewno nie lepsi. Licho wie, jak to naprawdę jest, ale ja widzę to właśnie tak — pomyślał. Zmiał papierowy ręcznik, wrzucił go do kosza na śmieci i ruszył do drzwi.”

Gdy tylko przekroczył próg, zobaczył Noaha Abramsa, który z zatrwożoną miną szedł korytarzem. Niewiele brakowało, a Reed uciekłby z powrotem do ubikacji, ale się pohamował. Nagłe wezwanie — pomyślał, dobrze wiedząc, że Noah zaraz go dopadnie. Nici z sali gimnastycznej.

— Niech pan łapie — powiedział Abrams, rzucając kluczyki. — I tak nie pozwoliłby mi pan usiąść za kierownicą. Postrzelili Annę Carlisle. Wiozą ją do szpitala okręgowego.

Kluczyki upadły z brzękiem na wyłożoną linoleum podłogę. Reed zbladł jak ściana, ale nim Abrams zdążył zrobić trzy kroki, detektyw pochylił się, płynnym ruchem podniósł kluczyki i już pędził korytarzem w stronę wyjścia na parking.

— Gdzie?

— Na parkingu przed kompleksem sądowym — wysapał Noah, biegnąc z nim ramię w ramię. — Niewiele wiem, przed chwilą przyszedłem...

— W jakim jest stanie?

— Nie mam pojęcia. To ten. Ten zielony.

Wskoczyli do nie oznakowanego samochodu policyjnego. Abrams wystawił na dach „koguta”, Reed wcisnął gaz do deski. Zapiszczały opony, wóz wpadł w poślizg, o włos omijając inne samochody, i wyjechał z parkingu na ulicę. Abrams tymczasem obracał pokręteł radiostacji, żeby przechwycić komunikaty karetki pogotowia wiozącej Annę do szpitala.

Tommy Reed był wstrząśnięty. Postrzelono nie byle kogo. Lenny Braddock, ojciec Anny, szkolił go w szkółce dla rekrutów, był jego mentorem od pierwszego dnia pracy w policji. Na łożu śmierci wezwał go do siebie i kazał mu przyrzec, że zaopiekuje się jego córką, że dopilnuje, by nikt jej nigdy nie skrzywdził. Lenny mawiał, że Anna jest dziewczyną impulsywną i zawziętą, że któregoś dnia na pewno oberwie. No i miał rację — pomyślał Reed, zagryzając wargę. Grzmotnął rękami w kierownicę i omal nie stracił panowania nad rozpędzonym samochodem. W brzuchu miał rozedrganą pustkę, którą odczuwał, ilekroć tracił wpływ na przebieg wydarzeń.

— Mam ich! — wrzasnął Abrams, przekrzykując ryk syreny. Wsłuchiwał się chwilę w medyczny żargon i znów wrzasnął: — Przekroczył pan sto sześćdziesiąt, sierżancie. Uwaga na prawo!

Zbliżali się do skrzyżowania, a przy tej szybkości to rzecz niebezpieczna. Gdyby kierowca samochodu wyjeżdżającego z przecznicy nie słyszał syreny, nie uniknęliby śmiertelnego w skutkach zderzenia.

Z ryczącego głośnika dobiegał medyczny bełkot — lekarz przekazywał komunikaty do szpitala. Kiedy minęli skrzyżowanie, Abrams wyłączył syrenę, żeby lepiej słyszeć radio. Kilka chwil później Reed zdjął nogę z gazu i samochód zwolnił do nieco bezpieczniejszej setki.

Anna żyła.

Pocisk przebił aortę, ale nie naruszył organów wewnętrznych. Straciła mnóstwo krwi, prawdopodobnie czekała ją operacja, ale wyglądało na to, że się wylize.

— Włączyć syrenę? — spytał Abrams, spoglądając na swego partnera.

— Nie. Nasi już tam są?

— Pięciu policjantów i porucznik. Przyjechali natychmiast. Centrala mówi, że jest też prokurator okręgowy. Twierdzą, że postrzelił ją jakiś świrus z okna pędzącego samochodu.

— Pierdolone bydlaki — warknął Reed.

Zerknął na Adamsa i znów spojrzął przed siebie, czując, jak ulga pierzcha, ustępując miejsca wściekłości. Anna i jej syn byli dla niego jak rodzina, a od zniknięcia Hanka zżyli się jeszcze bardziej. A nikt nie ma prawa strzelać do ludzi, których Reed zaliczał do rodziny. Nikt. W gardle urosła mu kwaśna gula. Sięgnął do kieszeni, wymacał pastylkę i wrzucił ją sobie do ust.

To, co na początku było dotrzymywaniem przyrzeczenia złożonego umierającemu przyjacielowi, stało się treścią życia detektywa, bo chociaż Reed spotykał się z wieloma kobietami, żaden związek nie był z jego strony na tyle silny, żeby skłonić go do małżeństwa. Jednak bardzo pragnął mieć rodzinę i czuł, że pod wieloma względami ją ma.

Wziął mikrofon i wywołał porucznika czuwającego na miejscu przestępstwa. Czekali na ekipę z laboratorium sądowego i zbierali zeznania świadków. Nikt nie widział ani sprawcy, ani pojazdu. Widzieli tylko Annę leżącą w kałuży krwi. Zanim przyjechał lekarz, straciła przytomność.

— Natychmiast skontaktuj się z Claudette Landers — syknął Reed. — Niech się opiekuje synem Anny. Jest pewnie sam w domu. Ci z prasy już tam są?

— A jak myślisz? — odrzekł porucznik Cummings. — Roi się tu od nich jak od pcheł na psie.

— Zajmij się dzieciakiem, Pete. Nie byłoby dobrze, gdyby oglądając telewizję, dowiedział się, że postrzelili mu matkę.

Upuścił mikrofon. Rozdarty wewnętrznie, zastanawiał się, czy nie powinien załatwić tego sam, ale Claudette umiała postępować z dziećmi, bo miała własne, a poza tym była bliską przyjaciółką Anny. Kobiety są w takich sytuacjach lepsze.

— Sierżancie, a może pojedzie pan do szpitala i sprawdzi, co z Anną, tymczasem ja podskoczyłbym po dzieciaka i zawiózłbym go do domu tej Landers, co? Niech pan podrzuci mnie na posterunek, to wezmę inny wóz.

— Już prawie dojeżdżamy — powiedział Reed ostrzej, niż zamierzał. — Upewnimy się tylko, czy nic jej nie grozi, i od razu zaczniesz wypełniać papierki.

Usadziwszy Abramsa, detektyw opuścił szybę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Odkąd Hank zniknął, Noah wielokrotnie próbował dobrać się do Anny, ale ilekroć wspominał jej imię, Reed był gotów ukręcić mu łeb. Nie miał zielonego pojęcia, dlaczego Abrams tak się na nią napalił. Owszem, Anna, kobieta o miłej, świeżej twarzy, była na swój sposób pociągająca, ale na pewno nie należała do kobiet w guście Abramsa. Noah lubił seksbomby: wielkie piersi, modne fryzury, ekstrawaganckie stroje. Miał za sobą trzy nieudane małżeństwa. Reed dostawał szału, ilekroć Abrams zbliżył się do Anny na odległość mniejszą niż trzy metry. Noah miał trzydzieści siedem lat. Był przystojnym mężczyzną o kasztanowych włosach i piwnych oczach, a jego nos i czoło zdobiły drobniutkie piegi. Objawiał niepohamowaną skłonność do ręcznie malowanych krawatów z jedwabiu. Dziesięć lat z rzędu mógł chodzić w jednym garniturze, ale potrafił wybulić sto dolców za krawat. Dzisiaj wybrał ten z podobizną Marilyn Monroe.

— Noah, skoro już o tym mówimy, pozwól, że cię o coś spytam — powiedział Reed, ocknąwszy się z zamyślenia. — Dlaczego krążysz wokół Anny jak jakaś paskudna hiena? Ona nie jest w twoim typie. Widziałem, z jakimi kobietami się zadajesz.

— Wypraszam sobie, sierżancie odrzekł Abrams. — Może i nie mam najlepszego gustu, jeśli chodzi o kobiety, ale nie jestem kompletnym świrem. Chyba pan zapomina, że znam Annę niemal tak długo jak pan. — Na chwilę umilkł, a kiedy odezwał się ponownie, mówił głosem cichym i szczerym. — Naprawdę mi na niej zależy. Kurczę, przecież pracowałem z nią, kiedy oboje byliśmy kadetami. I nieźle się wtedy bawiliśmy. Może się pewnego dnia ustatkuję. Jeśli do tego dojdzie, chciałbym mieć żonę taką jak Anna.

Reed poruszył się niespokojnie w fotelu.

— Ach tak? Ale ona się z kimś spotyka, więc możesz wybić ją sobie z głowy.

W rzeczywistości miał Hopkinsa za nic, podobnie jak Abramsa. Hopkins był dla Anny za szybki z tym swoim szpanerskim rollsem i motocyklem. A w ogóle to głupi kowboj z niego i tyle. Te jego wieczne przechwałki, te wspominki z rodeo. Kogo to, do diabła, obchodzi?

— Tyle przeżyła po zniknięciu męża — mruknął — a teraz ktoś naszpikował ją ołowiem. Nie uważasz, że życie to jedna wielka kurwica?

Abrams nie słuchał. Siedział pochylony, zapierając się o deskę rozdzielczą.

— Z kim się spotyka? Myślałem, że z nikim się nie widuje. Dlaczego mi pan nie powiedział, że ona kogoś ma?

— Nieważne. Dajmy temu spokój. — Reed skręcił na parking przed szpitalem i wyłączył silnik.

— Ale niech pan przynajmniej powie, kto to jest — nalegał Abrams.

— Taki jeden — mruknął sierżant. — Zastępca prokuratora okręgowego. — Wsiadł i ruszył spiesznie w stronę wejścia do oddziału przypadków nagłych.

Ambrams pognął za nim.

— Jak się ten facet nazywa? Od jak dawna się widują? Czy ona... Czy z jej strony to coś poważnego?

Reed zatrzymał się nagle, odwrócił do Abramsa i chwycił go za klapy marynarki.

— Trzymaj się od Anny z daleka, kapewu? Postrzelili ją, dziewczyna jest ranna. Pozwolisz, że się tym zajmę, dobra? Możesz na chwilę zapomnieć o polowaniu na kolejną żonę? Do diabła, przecież miałeś już trzy!

Abrams poczerwieniał, wyszarpnął się.

— Pierdol się, Reed. Nawet nie można z tobą pogadać. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Reed zacisnął usta i stanął na wycieracze przed automatycznie otwieranymi drzwiami.

— Proszę uprzejmie — powiedział, gdy drzwi się rozsunęły.

Kiedy Abrams przekroczył próg, Reed dał mu szybkiego kopniaka w tyłek i wybuchnął śmiechem. Naprawdę lubił tego Noaha.

— No, co jest? — zapisał Abrams, łapiąc się za pośladki. — Dlaczego pan to zrobił?

— Bo miałem ochotę — odrzekł z niewinnym uśmiechem Reed. — To dobry sposób na odreagowanie. — Sięgnął do kieszeni, wyjął legitymację służbową, otworzył ją i zatknął za pasek.

— Świetnie — mruknął sarkastycznie Abrams. — Może i ja powinienem odreagować. — Zrobił ruch, jakby chciał oddać kopniaka, ale powstrzymał się. Wiedział, że nigdy w życiu tego nie zrobi. Nie znał człowieka twardszego i bardziej nieprzewidywalnego niż Reed. Gdyby go kopnął, sierżant porachowałby mu wszystkie kości. I to w marszu, bo nawet by nie przystanął.

Podpierali ścianę, stojąc zaledwie o kilka centymetrów od linii oddzielającej sterylną część oddziału chirurgii, dokąd wstęp był wzbroniony. Podłogę za linią wyłożono płytkami innego koloru. Zastanawiali się, czy nie powinni wrócić na posterunek i przyjechać tu później.

— Ciekawe, co by było, gdybym stanął na tych zielonych? — powiedział Abrams. — Włączyłby się alarm? Zleciałyby się pielęgniarki? — Zachichotał. — To by mogło być nawet zabawne.

Reed spojrział na niego i jęknął. W tej samej chwili wahadłowe drzwi otworzyły się na oścież i na korytarz wyszedł chirurg ubrany w zielony papierowy fartuch, zbryzgany krwią.

Reed oderwał się od ściany i pokazał mu legitymację.

— Sierżant Thomas Reed. — Wskazał głową Noaha. — To jest detektyw Abrams. Co z nią?

— Dobrze — odrzekł młody lekarz. — Pocisk uszkodził odgałęzienie aorty pachowej; gdyby nie to, już by się ocknęła. Kości i organy wewnętrzne są nienaruszone. Zszyliśmy aortę i powstrzymaliśmy krwawienie. Zakładając, że nie będzie żadnych komplikacji, mniej więcej za tydzień powinna wyjść.

— Odzyskała przytomność? Powiedziała coś? — spytał zatroskany Reed, marszcząc czoło.

— Panowie, przez jakiś czas pani Carlisle nie będzie mogła składać żadnych zeznań. Najlepiej będzie, jak przyjedziecie tu jutro rano.

Chciał odejść, ale Noah zaszedł mu drogę.

— Panie doktorze, ta kobieta to jakby członek rodziny — szepnął, unosząc brwi i zerkając znacząco na Reeda. — Jej ojciec był kapitanem, ona też pracowała kiedyś w policji.

— Rozumiem. — Lekarz spojrzał na Reeda, na Abramsa, potem znów na Reeda i zawahał się. — Powiedziano mi, że nie wykluczają napaści na tle seksualnym. Lekarz, który ją przyjmował, postąpił zgodnie z regulaminem i pobrał próbki, ale nie mogliśmy czekać, aż przyjedziecie, bo zależało nam przede wszystkim na jak najszybszym powstrzymaniu krwotoku. Na sali operacyjnej odzyskała na chwilę przytomność i coś mówiła, ale nie można było tego zrozumieć. Kilka razy powtórzyła imię jakiegoś mężczyzny. Brzmiało to jak „Hank”.

— To imię jej męża — wyjaśnił Abrams ze znużeniem w głosie.

— Jest tutaj? Może to wasz winowajca?

Zaszokowany Reed podszedł bliżej.

— Została zgwałcona? — spytał. Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do Abramsa, dźgnął go palcem w pierś i zupełnie straciwszy głowę, powiedział: — Widzisz? Właśnie o tym mówiłem. Wszystko przez takich kutasów jak ty, Abrams, przez palantów, którzy nie potrafią utrzymać fiuta w gaciach. Chcesz wiedzieć, dlaczego ją chronię przed...

Noah odtrącił jego rękę.

— Ja jej nie zgwałciłem, do cholery. Co panu jest? Niech się pan weźmie w garść, sierżancie.

Chirurg odchrząknął i obaj detektywi przypomnieli sobie, gdzie się znajdują.

— Jej mąż nie żyje, doktorze — mruknął Reed. — Na jakiej podstawie wyciągnęliście wniosek, że została zgwałcona?

— Myślę, że ci z izby przyjęć stwierdzili obecność spermy, ale nie znaleźli żadnych urazów wewnątrzpochwowych.

Oszołomiony Abrams pokręcił głową. Reed podszedł jeszcze bliżej.

— Co znaczy „myślę”? Znaleźli spernę czy nie? — Zaczął wymachiwać rękami, jego głos dudnił w korytarzu. — I niby z czym mamy iść do sądu? Co z zabezpieczeniem dowodów? Jeszcze się tego nie nauczyliście?

Lekarz zachowywał spokój, nawet się uśmiechał.

— Panowie, ja jestem tylko chirurgiem. Powinniście porozmawiać z doktorem Richardem Oglebym. Myślę, że jest jeszcze na oddziale przypadków nagłych. To on ją przyjmował. Przepraszam, ale muszę już iść. Kończymy pobieranie wymazów i próbek, bo chcemy przewieźć pacjentkę do sali pooperacyjnej.

Gdy tylko odszedł w głąb korytarza, Abrams spytał:

— No i co pan o tym myśli? Jakiś wariat ją zgwałcił, a później postrzelił?

Ale Reed szedł już do drzwi. W brzuchu kotłowało mu się i burczało.

— Wezwij radiowóz — warknął. — Niech tu przyjadą i zabiorą dowody rzeczowe. — Przystanął, beknął, wsunął rękę do kieszeni w poszukiwaniu lekarstwa. Sytuacja była gorsza, niż myślał. Całe śledztwo mógł szlag trafić. — Chcę zobaczyć, co znaleźli na miejscu przestępstwa.

— A jak się ocknie? — spytał Abrams, próbując opanować gniew. Wyjął z kieszeni pudełko miętowych pastylek na nadkwasotę żołądka i podał sierżantowi. — Może go opisz? Bez rysopisu szukaj wiatru w polu.

Zdziwiony Reed spojrział na pastylki, potem na Abramsa.

— To chyba choroba zawodowa — mruknął Noah.

Sierżant zażył lekarstwo.

— Słyszałeś, co powiedział lekarz. Jest nieprzytomna.

— Pan tu rządzi.

— A żebyś wiedział, że ja — odrzekł z naciskiem Reed. — I powiem ci coś jeszcze, Abrams.

— Tak?

— Złapię tego bydlaka, który ją tak urządził, i zabiję sukinsyna gołymi rękami.

Noah bez słowa kiwnął głową. Oczy miał zimne i bezlitosne. Jak oczy Reeda.

Była pierwsza w nocy. Dawid Carlisle siedział w poczekalni, obejmując rękami kolana, gdy w progu stanął Glen Hopkins. Dawid był chłopcem przysadzistym, o wiele za tęgim jak na swój wzrost i bardzo podobnym do ojca: miał kasztanowe włosy, oliwkową cerę i kwadratową szczękę. Bładoniebieskie oczy odziedziczył po matce, ale rzęsy miał ciemniejsze i dłuższe, co sprawiało, że w całej twarzy najpiękniejsze były właśnie oczy. Miał na sobie niebieską bawełnianą koszulę i dżinsy. Ze spodni wystawała mu poła nie dopiętej na brzuchu koszuli, włosy miał zmierzwione, ale to Hopkinsa nie uderzyło. Uderzyła go wrogość bijąca z zimnych oczu chłopca.

Nie dostrzegł w nich ani łez, ani smutku, tylko otwartą wrogość.

— Jak się masz — powiedział cicho, siadając obok Dawida na sofie obitej zielonym winylem. — Ciężko jest, no nie? Przykro mi z powodu twojej matki. Ale chyba się trzymasz, co?

Dawid natychmiast wstał, przeszedł na drugą stronę poczekalni i włączył telewizor. Nie wrócił już na sofę, tylko usiadł pod przeciwległą ścianą.

— Powiedzieli mi, że z tego wyjdzie — mówił dalej Hopkins. — Pewnie będzie musiała trochę poleżeć, ale lekarze uważają, że wyzdrowieje. Widziałeś ją już?

Dawid nie odpowiedział. Hopkinsowi przyszedł do głowy pewien pomysł: jedyną rzeczą, na którą mały uparciuch zazwyczaj reagował, było jedzenie.

— Nie jesteś głodny? Mają tu na dole bar. Moglibyśmy zjeść po ciastku.

— Nie wolno mi jeść ciastek — odburknął chłopiec przez ramię. — Jeszcze pan o tym nie wie?

— Jak chcesz.

Hopkins spojrział na ekran telewizora. Szedł jakiś stary film. Chłopak go ogląda czy chce być niegrzeczny? Wyzbywszy się atutowego asa, Glen nie wiedział, co robić, więc gdy w progu stanął Tommy Reed, szybko do niego podszedł i zaczął się wylewnie witać.

Sierżant spojrział ponad jego ramieniem w stronę chłopca.

— Chodź, stary — powiedział. — Przeszmugluję cię do matki. Wciąż leży w sali pooperacyjnej, ale nikogo tam nie wpuszczają. Może się jednak wkrótce ocknie. Chciałbym, żeby wtedy zobaczyła twoją przystojną mordkę.

Dawid zerwał się na równe nogi. Spojrział na Hopkinsa i wesoły uśmiech na jego twarzy zmienił się w uśmiech szyderczy.

— Ale on z nami nie idzie, prawda?

— Przepraszam pana na chwilę — powiedział grzecznie Reed do Hopkinsa. Trzeba dać chłopakowi dobry przykład — pomyślał, podciągając Dawidowi spodnie. Położył rękę na ramieniu chłopca, wyprowadził go na korytarz i ruszyli w stronę sali pooperacyjnej. — Wiesz, Dawid, nie powinieneś tak traktować przyjaciół mamy. On nie jest chyba taki zły, co? Przecież mama by go nie lubiła, gdyby był aż takim palantem, nie uważasz?

— To nudziarz. Nienawidzę go. I wcale nie jest przyjacielem mamy. Ty jesteś jej przyjacielem. — Dawid uniósł brwi i spojrział Reedowi w oczy. — Nie jestem głupi. Wiem, na czym polega różnica.

No i dobrze — pomyślał sierżant. Chłopak nie cierpiał Hopkinsa, on też — obaj nadawali na tej samej częstotliwości.

Szli dalej. Żeby dotrzymać policjantowi kroku, Dawid musiał prawie biec, a ponieważ miał sporą nadwagę i odczuwał wstręt do wszelkich ćwiczeń fizycznych, zasapał się. Chwycił Reeda za rękę.

— Tommy, czy mama... Czy nic jej nie będzie? — Z tłumionego od dawna napięcia załamał mu się głos. — Nie okłamujesz mnie, prawda? Inni zawsze mnie okłamują. Powiedz, że nic jej nie będzie.

Reed wiedział, co chłopiec ma na myśli. Chodziło mu o te nieszczęsne cztery miesiące po zniknięciu ojca. Miał wtedy tylko osiem lat i zdecydowali, że powiedzą mu o Hanku dopiero wówczas, gdy będą pewni, co naprawdę zaszło. Niestety, Anna przesadziła: żeby wytłumaczyć przeciągającą się nieobecność ojca, wymyślała jedną historijkę po drugiej. Dopiero po czterech miesiącach, gdy zbadano wszystkie możliwe ślady i nie znaleziono absolutnie nic, wzięła chłopca na rozmowę i wszystko mu powiedziała. Reed jej nie obwiniął, chociaż radził, żeby powiedzieć chłopcu prawdę już kilka dni po zniknięciu Hanka. Była to jedna z tych tragicznych sytuacji, z których nie ma idealnego wyjścia. Bo gdyby powiedzieli Dawidowi, że jego ojciec nie żyje, i gdyby Hank nagle wrócił...

No cóż — pomyślał sierżant, odpędzając ponure myśli. Przeszłość to przeszłość. Teraz muszą postawić Annę na nogi i pomóc biednemu dzieciakowi znieść jeszcze jedno nieszczęście: bezsensowny akt przemocy skierowany przeciwko jedynej osobie, jaka została mu na świecie. Czuł, że ściska go w gardle i odkaslnął — niewiele brakowało i sam by się załamał. Tak, Dawid próbował ukryć strach, ale Reed go znał. Chłopak był przerażony.

— Nie kłamie — odrzekł, kładąc mu rękę na ramionach i patrząc mu w oczy. — Posłuchaj, mama niedługo wyzdrowieje i wróci do domu. Fakt, to straszne, że zdarzają się takie zbrodnie. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. To przerażające. Po prostu ohydne. Ale nie myślmy o tym. Cieszymy się, że mama żyje. — Przyciągnął chłopca do siebie i mocno go przytulił.

Gdy doszli do sali pooperacyjnej, zasłonił sobą Dawida, otworzył drzwi i zajrzał do środka, żeby sprawdzić, czy siostra przełożona jest wciąż zajęta doглядaniem innego pacjenta. Znał Lucy Childers i wiedział, że jest gorsza niż najsurowszy kapral. Policjant, nie policjant — w sali pooperacyjnej rządziła ona. Kiedyś grzmotnęła go w głowę basenem, bo nie posłuchał jej rozkazu. Przytknąwszy palec do ust, szarpnął Dawida za rękę i wciągnął go do sali. Szybko podeszli do łóżka Anny.

— Czy ona śpi? — spytał chłopiec ze łzami w oczach. Jest taka... biała.

Reed objął Dawida, pchnął go bliżej łóżka, sięgnął ręką za siebie i zaciągnął białą zasłonę.

— Mów do niej, stary. Powinna się zaraz obudzić. Gdy usłyszysz twój głos, na pewno się ocknie.

Dawid zacisnął pulchne palce na poręczu łóżka i nachylił się nad matką.

— Mamusiu, słyszysz mnie? To ja, Dawid. Kocham cię, mamo. Bądź dzielna. Bądź dużą dziewczynką. — Spojrzał na sierżanta. — To było głupie. Nie wiem, co mówić. Ciągłe powtarzała mi, że bym był dużym chłopcem. — Zamilkł. — Potem przestała, bo zrobiłem się gruby — dodał z zakłopotaniem.

— Dawid — wymamrotała Anna i otworzyła oczy.

Zobaczyła jaskrawe światła, poczuła ostry szpitalny zapach. Chociaż minęło już siedem godzin, wciąż leżała na tamtym chodniku. Prerażona ogarnęła wzrokiem salę, powoli wróciła do rzeczywistości i wreszcie zrozumiała, gdzie jest. Ale zanim jej oczy spoczęły na twarzy syna, środki odurzające zepchnęły ją w czarną otchłań i głowa opadła jej na poduszkę.

Widziała wszystko jak na slajdach: oto znów przedziera się przez krzaki, znów czuje, jak kula rozrywa jej ciało, znów dociera do niej zapach krwi. Lecz to nie ból ją przerażał. Przerazała ją świadomość, że leży na chodniku i krzyczy, przerażał ją strach, że nikt nie przyjdzie jej z pomocą. Czubkiem języka przesunęła po spękanych wargach. Spróbowała przełknąć ślinę, ale zaschło jej w gardle. Wtedy usłyszała czyjś głos, ale głos dochodził z bardzo daleka. Nic ci nie grozi — pomyślała, zaciskając palce na brzegu koca. Jesteś w szpitalu, żyjesz. Reszta nie ma znaczenia.

— Anno, to ja, Tommy — mówił cicho sierżant. — Przyprowaździłem Dawida. Jesteś w szpitalu, kochanie, wyzdrowiejesz. Trzymamy za ciebie kciuki.

Dawid chętnie ten wątek podchwycił.

— Tak, mamusiu, trzymamy za ciebie kciuki. Nic ci nie będzie. Czy to boli? Gdzie weszła kula? Wyszła drugą stroną?

Reed skrzywił się i pokręcił głową.

— Musisz gadać o kulach? — szepnął mu do ucha. — Wymyśl coś innego.

Anna słyszała głos syna, lecz ilekroć próbowała wychynąć z mrocznej otchłani, natychmiast zsuwała się w nią z powrotem. Musi być silna. Dla niego, dla Dawida. Sama myśl o tym, jak bardzo chłopiec może się cofnąć, zmroziła ją do szpiku kości.

— Dawid — szepnęła, nie otwierając oczu. — Dawid...

— Jestem, mamusiu.

W głowie miała zamęt, nawiedzały ją dziesiątki obrazów naraz. Zobaczyła samą siebie z fotografią Hanka w rękach, tylko nie pamiętała, gdzie to było ani kiedy. Wtedy przypomniawszy sobie, że przecież Hank wrócił, że przyszedł jej z pomocą. Wszystko było tak bardzo zagmatwane, że nie mogła się w tym rozeznaczyć.

— Długie włosy — wymamrotała, przypomniawszy sobie, że musnęły jej twarz. — Gdzie... Gdzie on jest? Ten z włosami...

Reed ożywił się natychmiast, myśląc, że Anna opisuje napastnika.

— Widziałas człowieka, który to zrobił?

Pokręciła głową i znów próbowała zwilżyć wargi językiem.

— Nie, nie widziałam nikogo podejrzanego. Ten mężczyzna, który... który mnie znalazł. Kto to? — Wtedy była pewna, że pomógł jej Hank, ale wiedziała, że to tylko halucynacje. To naturalne, że pomyślała o nim w tak tragicznej chwili. Był jej mężem, jej obrońcą.

— Znalazł cię Jimmy Sawyer, Anno — odrzekł Reed. — Twierdzi, że jesteś jego kuratorką. Zobaczył, jak upadłaś i zatrzymał się. Przeszkolono go w udzielaniu pierwszej pomocy. Mówi, że jego ojciec jest lekarzem.

Dlaczego? Zadawała sobie to pytanie, a wściekłość, że ktoś mógł zrobić jej coś tak potwornego, przesłoniła całą wdzięczność, jaką mogłaby obdarzyć Sawyera. Dlaczego ktoś miałby do niej strzelać? Co takiego zrobiła? Strzelał na chybił trafił czy polował właśnie na nią?

Ktoś szarpnął zasłonką tak gwałtownie, że Reed aż podskoczył. Lucy Childers, kobieta, której obwód bioder dorównywał jej wzrostowi, z włosami nastroszonymi jak u siwego jeża, dźgnęła go palcem w plecy.

— Nie chcę tu żadnych dzieciaków, Reed. Dobrze wiesz, że tu nie wolno przyprawiać dzieci.

Twarz mu złagodniała. Z udawaną skruchą zaczął się tłumaczyć:

— To jej synek, Lucy. Miej serce. Nie musisz być zimna jak...

— Wystarczy, Reed. — Zmierzyła Dawida wzrokiem i zirytowana dodała: — Młodzi ludzie roznoszą wszelkiego rodzaju zarazki. Macie jeszcze pięć minut. I wychodźcie. Ja liczę, Reed. — Nie żartowała i żeby mu to udowodnić, spojrzała wymownie na zegarek.

Za pielęgniarką Anna zobaczyła twarz Tommy'ego, a zaraz potem serce wezbrało jej miłością, bo wreszcie zdołała skupić wzrok na Dawidzie.

— Och, synku, chodź do mnie — powiedziała głosem cichszym od najcichszego szeptu.

Chciała odwrócić się na bok, ale nie zdołała. Wykrzywiła z bólu twarz i przesunęła rękę do poręczy łóżka, pragnąc dotknąć syna.

— Mamusiu — powiedział Dawid, ściskając jej dłoń; drugą rękę miała w łubkach. — Kocham cię, mamu.

— Ja ciebie też, misiu. Nie martw się. Obiecuj, że nie będziesz się martwić. Wszystko będzie dobrze. — Zatrzepotała powiekami i znów zamknęła oczy. Walczyła z bólem, bo wiedziała, że musi za wszelką cenę pocieszyć syna. — To prawie wcale nie bolało, wiesz? — skłamała, zdobywając się na stłumiony chichot. — Jak ugryzienie pszczoły, nie bardzo. Założę się, że gdybym tylko chciała, mogłabym już wrócić do domu. Zobacz.

Podciągnęła się na zdrowej ręce, zdołała usiąść ze słabym, krzywym uśmiechem na ustach, lecz nagle głowa opadła jej na bok. Reed podtrzymał Annę, ostrożnie ułożył ją na łóżku i gestem ręki wyprosił Dawida za drzwi. Sam został.

Gdzie się podziewa ten Abrams, do diabła? Dzwonił do Reeda zaraz po przesłuchaniu Sawyera i powinien już tu być. Sierżant chciał, żeby Noah zabrał Dawida do domu Claudette.

Chłopiec wyszedł z sali, powłócząc nogami. Jak tylko zniknął na korytarzu, Reed dotknął policzka Anny sękatym palcem i odgarnął jej z czoła kosmyk włosów.

— Anno, posłuchaj mnie. Czy ktoś cię zgwałcił? Czy możesz coś o nim powiedzieć? O człowieku, który ci to zrobił. Anno?

— Nie wiem... Nie wiem, kto to był — wyjąkała z twarzą białą jak prześcieradło. Po jej lewym policzku stoczyła się samotna łza. — To tak bardzo boli, Tommy.

— Wiem, Anno — wyszeptał. — Gdybym mógł cierpieć za ciebie, wiesz, że bym cierpiał.

Spojrzała mu w oczy, czerpiąc pocieszenie z widoku jego twarzy.

— Nikogo nie widziałam. Słyszałam tylko strzały i warkot silnika. — Znów zamknęła oczy, by po chwili je otworzyć. — Nie było gwałtu — dodała. — Nikt mnie nie zgwałcił, Tommy. Ktoś mnie postrzelił.

— Widziałas ten samochód?

Pokręciła głową i wymamrotała:

— Nie.

Reed podniósł wzrok i zobaczył, że w nogach łózka stoi Glen Hopkins. Jak długo tu był?

— Jeszcze nie wolno jej odwiedzać — wypalił. — Jak pan chce coś dla niej zrobić, to niech pan odwiezie dzieciaka do Claudette Landers.

— Ja tylko... — Hopkins chciał zaprotestować, ale dał sobie spokój.

Anna odwróciła głowę w stronę, skąd dochodził głos.

— Glen, to ty? — spytała. — Boże, Glen...

— Prosiłem, żeby zabrał pan Dawida do Claudette — wycedził Reed przez zaciśnięte zęby. — Może pan to dla mnie zrobić czy nie? Próbuję prowadzić śledztwo.

Hopkins podszedł bliżej, szepnął Annie kilka słów pocieszenia i kiwnął na sierżanta głową, dając mu znak, że chce z nim rozmawiać w cztery oczy. Na korytarzu wybuchnął:

— Jesteś chyba największym dupkiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem, Reed. Zależy mi na niej, mimo że ty i jej syn nie chcecie mnie zaakceptować. Poza tym jestem zastępcą prokuratora okręgowego. Zapomniałeś o tym?

Reed wzruszył ramionami.

— Sam odwozę chłopaka do domu — mruknął. — Nie chciałbym, żeby przejechał pan za dużo kilometrów tym wspaniałym rollsem.

Glen zaszurał swoimi kowbojskimi butami.

— Nie bądź dziecinny, Reed. Ten samochód ma dwanaście lat, do diabła, i kupiłem go na licytacji za dwadzieścia patoli.

Reed podszedł bliżej, tak że niemal stykali się brzuchami.

— Co pan tam widział? — spytał, owiewając mu twarz gorącym, nieświeżym oddechem. — Był pan na miejscu zaraz po tym, jak to się stało.

Prokurator odpowiedział hardo:

— Już zeznawałem. Spytaj pan Abramsa. I niech się pan lepiej przyjrzy temu swojemu bohaterowi, Reed — dodał kąśliwie. — Jimmy Sawyer to handlarz. Niewykluczone, że to on jest pańskim podejrzanym.

— Podejrzany? Sawyer? — Reed był tak zaskoczony, że aż rozdziawił usta. — To żart?

Glen obrócił się na pięcie i zerknąwszy przez ramię na detektywa, ruszył do wyjścia.

— Żart?! — krzyknął z głębi korytarza. — Chyba nie, Reed, ty gliniarzu z zadupia. Zaczynj wreszcie główkować, bo odbiorę ci sprawę.

Tommy Reed obserwował Hopkinsa zwężonymi oczyma, dopóki tamten nie zniknął za rogiem korytarza. Sawyer? Facet, który ją uratował? Będzie musiał spytać Abramsa, co o nim myśli. Sierżant uważał, że nie ma podstaw, by podejrzewać Jimmy'ego Sawyera, bez względu na to, co o tym sądzi ten narwany prokurator i absztyfikant Anny w jednej osobie. No bo kto strzela do kogoś, a potem biegnie mu na pomoc? Jeśli ktoś tu powinien zacząć główkować, to raczej Hopkins, nie Reed. Nie mieszkali na Dzikim Zachodzie — mieszkali w kraju, gdzie rządziło uzi, żyli w królestwie obrzynów, w kraju okrutnych dziewiątek. Każdy mógł oberwać — ot tak, za nic, i na pewno nie od bandytów doczekałby się pierwszej pomocy.

Kilka pielęgniarek przeszło obok i jedna z nich uśmiechnęła się do Reeda. Odpowiedział jej uśmiechem, odczekał, aż wszystkie znikną za rogiem korytarza i głośno zachichotał. Hopkins to napuszony głupiec. Groził, że odbierze mu sprawę. Myśli, że jak zacznie wywijać kijem, to taki parszywy gliniarz jak Reed natychmiast położy uszy po sobie. Maminsynek. Kiedy studiował prawo, mamusia odrabiała za niego lekcje. Na pewno.

Dalej, kowboju — myślał, idąc do poczekalni po Dawida. Tylko spróbuj odebrać mi sprawę. Kapitan wyznaczył Abramsa, twierdząc, że Reeda łączą z Anną zbyt bliskie stosunki. I bardzo dobrze. Im mniej papierkowej roboty, tym więcej czasu na prowadzenie własnego śledztwa, a w całym departamencie nie było nikogo, kto miałby lepszych informatorów niż sierżant.

— Jesteś tam, stary? — spytał, wtykając głowę do poczekalni.

Dawid siedział w fotelu. Głowa opadła mu na pierś. Spał głębokim snem.

Rozdział 3

Anna pólleżała, wsparta na kilku poduszkach. Wypisano ją bardzo szybko, po sześciu zaledwie dniach hospitalizacji, a pod koniec następnego tygodnia czuła się już zupełnie dobrze. Dawid siedział na podłodze przy jej łóżku, chrupał chipsy i przeglądał kolekcję zdjęć sławnych baseballistów.

— Pewnego dnia odłożę tyle pieniędzy, że kupię sobie Mickeya Mantle'a* — powiedział. — Nie uwierzysz, ale dziadek Freddy'ego kupił mu Mickeya Mantle'a już w zeszłym roku. A przecież Freddy nie lubi baseballu.

Anna roześmiała się. Co za ironia! Przyjaciel Dawida nie interesował się sportem, ale podobnie jak jej syn był kolekcjonerem. W otoczeniu ulubionych przedmiotów Dawid czuł się bezpiecznie. W nocy ciągle się moczył, kilka razy tygodniowo, i umierał ze strachu, że któryś z jego przyjaciół dowie się o tym. Po latach terapii, jaką przechodził od chwili zniknięcia ojca, wciąż miał zaburzenia psychofizyczne.

— Czas do łóżka — oznajmiła Anna z uśmiechem. — I koniec z chipsami, kochanie. Wiesz, ile kalorii jest w jednym chipsie?

Gdyby sama zrobiła zakupy, w domu by ich nie było, ale odwiedził ich Glen i przyniósł trzy torby jedzenia. Doceniała jego troskę, ale zapomniała mu powiedzieć, żeby takich rzeczy nie kupował. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Dawid znów przybrał na wadze ponad dwa kilogramy.

Dziwna była z nich para, ona i jej syn. Żeby uciec od zmartwień, Dawid jadł, natomiast Anna w takiej sytuacji zupełnie traciła apetyt.

— Weź to — powiedział poważnie, wręczając matce torebkę z chipsami. — Trzymaj je lepiej tutaj, żebyśmy nie mogli się do nich dostać.

Anna wstała, chcąc odprowadzić go do sypialni. Wzięła torebkę, wepchnęła ją do szuflady nocnego stolika, ale zmieniła zdanie i oddała chipsy Dawidowi.

— Ostatnio mieliśmy dużo przejść. Zaczniemy dietę od przyszłego tygodnia, zgoda?

Podczas gdy Dawid przebierał się w łazience, przesunęła rękami po jego prześcieradła, zmiatając na podłogę okruchy herbatników. Pociągnęła nosem, ale nie poczuła zapachu moczu. Ulżyło jej. Nie zmieniała prześcieradła już od dwóch dni, a terapeuta twierdził, że jeśli chłopiec wytrzyma przez tydzień, nawyk nocnego moczenia się powinien ustąpić.

Małe sypialnia Dawida była nieprawdopodobnie zagracona. Chłopak chomikował dosłownie wszystko. Kiedy miał dziewięć lat, zbierał skrawki folii aluminiowej, nawet najmniejsze, by ulepić z nich kulę trzydziestoparocentymetrowej średnicy. Ponieważ sypialnia z trudem mieściła łóżko i niewielkie sosnowe biurczko, pewnego dnia, kiedy syn był w szkole, Anna wyrzuciła te ohydne kulę na śmietnik. I tak to szło: żeby utrzymać jego pokój w stanie nadającym się do zamieszkania, musiała odczekać, aż Dawid straci zainteresowanie tymi czy innymi rupieciami, i po kryjomu je wyrzucić, żeby zrobić miejsce dla następnych.

Spojrzała na półkę z książkami przy łóżku. Miała nadzieję, że teraz przyjdzie kolej na nowe modele samolotów. Starych nie wolno było odkurzać, a syn nie prosił o następny zestaw już od lat, od chwili gdy przykleił sobie palec do nosa superklejem.

*Mickey Mantle — ur. 1931, amerykański baseballista (przyp. tłum.)

Jej uwagę przykuł dziwny widok. Od zniknięcia Hanka Dawid zbierał wszystkie książki, czasopisma i artykuły z gazet na temat UFO. Chociaż nigdy tego głośno nie mówił, Anna wiedziała, że wypracował sobie własną teorię, zgodnie z którą ojciec został porwany przez kosmitów. To na pewno wygodniejsze i przyjemniejsze niż myśl, że go bezlitośnie zamordowano i gdzieś pogrzebano. Skoro Hanka porwał kosmita — tak pewnie uważał — może go pewnego dnia odeśle.

Od chwili gdy ją postrzelono, musiał stawić czoło twardej rzeczywistości. Tak — pomyślała ze smutkiem, widząc, że koło kosza na śmieci leżą zgniecione plakaty z la-tającymi spodkami. Dotychczas nigdy sam niczego z pokoju nie wyrzucał.

— Naprawdę chcesz się tego pozbyć? — spytała, gdy wyszedł z łazienki. — Jeśli nie, lepiej zanieś te plakaty do składziku, bo wylądują w śmieciach.

— Możesz je wyrzucić. — Gdy wstała, padł na łóżko. — Kosmitów nie ma. Statki kosmiczne to bujda. Freddy mówi, że to fotograficzny trik.

Z ciężkim od współczucia sercem pogłaskała go po głowie, musnęła ręką policzek. Zamordowano mu ojca, postrzelono matkę. Żadne dziecko nie powinno zmagać się z tak okrutną rzeczywistością. Zerknęła na ścianę nad łóżkiem, wytapetowaną proporczykami klubów sportowych. Broń — pomyślała kręcąc głową. Kiedy ludzie wreszcie się opamiętają i pozbędą broni? Ilu jeszcze będzie musiało zginąć, zanim Kongres ustanowi odpowiednie prawo, które ostatecznie tę kwestię ureguluje?

— Nie masz proporczyka Reidersów — powiedziała, zakładając ręce i przeszywając go surowym spojrzeniem. — Dlaczego nie chciałeś przyjąć od Glena proporczyka, gdy ci go kupił na stadionie? To było okrutne.

— Reidersi są do kitu — odrzekł, odwracając się na bok. — Poszedłem na mecz tylko po to, żeby być z Tommym, a on przylazł i zepsuł nam cały dzień.

Westchnęła. Następna kłótnia na temat Glena nie miała sensu. Stojąc w progu, spoj-rzała na syna i posłała mu uśmiech.

— Ale czekoladowe herbatniki, które od niego dostałeś, bardzo ci smakowały. W twoim łóżku widziałam dowody. Zapamiętaj, Dawidzie, ciągle ci to powtarzam: nie kłósz ręki, która cię karmi.

Gwałtownie usiadł i ze spiętą twarzą poprosił:

— Mamusiu, nie idź jutro do pracy. Proszę. A jeśli znowu cię postrzelą?

Oparła się o futrynę.

— Już to przerabialiśmy, kochanie. Byłam przypadkowym celem. Temu komuś było obojętne, czy strzeli do mnie, czy do kogoś innego. Ale to dobrze, rozumiesz? To znaczy, że nic takiego się już nie powtórzy. — Chciała rozwiać jego obawy, ale nie wiedziała, jak, bo nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. — Śpij już. Wszystko będzie dobrze. Kocham cię, synku.

Długim korytarzem doszła do sypialni, położyła się na plecach i dotknęła ramienia; wciąż doskwierało. Całotygodniowy pobyt w domu odświeżył bolesne wspomnie-

nia. Hank. Rozejrzała się po sypialni, próbując przypomnieć sobie, jak wyglądało to wnętrze, gdy żył. Mąż zawsze wszystko naprawiał i odmalowywał. Teraz farba łuszczyła się i odłaziła, a dach coraz bardziej przypominał sito. Idąc za radą przyjaciół, postanowiła przerobić sypialnię na własny pokój i rok temu kazała przemalować ściany na pastelowo i ozdobić je kwiecistym wzorkiem. Lubiła przestrzeń, więc nie było tu żadnych zbędnych drobiazgów. Kupiła dwie piękne serwety, przykryła nimi zadrapaną toaletkę oraz nocny stolik, które odziedziczyła po rodzicach, a cały pokój udekorowała sztucznymi kwiatami — takimi samymi jak na wzorku: słonecznikami i liliami — wstawiając je do plecionych koszyków.

W porównaniu z żywymi kwiatami, jakie dostawała od Glena, sztuczne robiły wrażenie wyblakłych i tandetnych. Dziś też przyniósł bukiet. Stał na stoliku przy łóżku i pachniał oszałamiająco. Pełna delikatności troskliwość, jaką Glen okazywał jej od chwili wypadku, przyjemnie ją zaskoczyła. Mężczyźni nadskakują kobietom, gdy wszystko idzie gładko, a przy pierwszych oznakach kłopotów większość rejteruje. Glen udowodnił, że jest inny. Była mu wdzięczna. Uczucie, jakim go darzyła, bardzo się pogłębiło. Daleko mu jednak było do Hanka.

To tam — pomyślała, patrząc na toaletkę, gdzie stała ceramiczna waza, do której Hank wkładał rewolwer i odznakę, gdy wślizgiwał się do sypialni po nocnej służbie. Co rano, gdy tylko wstała, podnosiła jego mundur z podłogi i sprawdzała, czy nadaje się jeszcze do noszenia, czy też trzeba oddać go do pralni. Potem wyjmowała z wazy rewolwer i zamykała go w małym sejfie stojącym w rogu sypialni.

Nawyków trudno się wyzbyć — pomyślała. Nawet teraz, po czterech latach, przyłapywała się na tym, że czasami przystaje w miejscu, gdzie Hank zrzucił mundur, i że po prostu na to miejsce patrzy. Stary sejf przysunęła do okna i przykryła obrusem w falisty wzorek; wciąż przechowywała w nim swój pistolet. Kuratorzy okręgu Ventura nie nosili broni, lecz od dnia, kiedy ją postrzelono, nie zamykała sejfu na klucz, żeby w razie potrzeby mieć do niej szybki dostęp. Minęło tyle lat, że Dawid zdążył już pewnie zapomnieć o istnieniu sejfu.

Spoglądając na gipsową sztukaterię pod sufitem, próbowała sobie przypomnieć, ile ten dom ma lat. Ojciec twierdził, że wprowadzili się tu, kiedy Anna miała trzy latka. Tylko czy dom był wtedy nowy, czy stary? Czas płynął, a ona ciągle zapomniała o to zapytać, tak że teraz, bez dostępu do akt urzędu podatkowego, nie mogła ustalić, czy mieszkali tu przed nimi inne rodziny, czy nie. Czułaby się dziwnie, bo zawsze uważała, że dom należy wyłącznie do niej. Odziedziczyła go po śmierci ojca i po ślubie natychmiast się tu z Hankiem wprowadzili.

Została półsierotą, gdy miała jedenaście lat, dlatego z własnego doświadczenia wiedziała, jak straszliwym przeżyciem jest dla Dawida utrata ojca. Lecz w przeciwieństwie do niego zdawała sobie sprawę, że matka umiera, wiedziała też, gdzie ją pochowano, dzięki czemu łatwiej pogodziła się z jej śmiercią.

Dom był zawsze kością niezgody między nią a Hankiem. Zamknąwszy oczy, przypomniała sobie jedną ze sprzeczek, jakie wiedli na ten właśnie temat. Chcieli kupić dom, więc szukali, aż znaleźli: piękny, nowy i pusty; miał cztery sypialnie i stał niedaleko drogi. Dwu — albo trzyletni Dawid biegał po nim, udając Indianina na ścieżce wojennej.

— Jest wspaniały — skonstatowała Anna, gładząc wykładany płytkami stół w lśniącej kuchni, tak inny od stołu w rodzinnym domu, stołu, którego blatu w żaden sposób nie mogła doczyścić. — I spójrz tylko: prawdziwa spiżarnia.

— Chcesz, żebym złożył ofertę? — spytał Hank, a oczy błyszczały mu z podniecenia.

— Jaką ofertę? — odrzekła Anna zrażona jego entuzjazmem. — Z naszymi pensjami nie możemy sobie pozwolić na takie чудо.

Hank porwał żonę w ramiona i zakręcił nią w powietrzu, tak jak robił to z synem.

— Puść mnie! — krzyknęła i wybuchnęła śmiechem.

— Posłuchaj — odrzekł, postawiwszy ją ostrożnie na podłodze. — Wszystko sobie obmyśliłem. Związek da mi kredyt. Będziemy go spłacać, a ja podłapię sobotnio-niedzielną fuchę jako strażnik nocny albo coś w tym stylu. Damy radę, kochanie — zapewniał ją z uśmiechem. — Kupię ci ten dom.

Anna uwielbiała, kiedy się uśmiechał. Policzki miał wtedy pełne, był rozluźniony, niemal jowialny, a nie twardy i zimny jak w mundurze ze służbową odznaką na piersi.

Przez następne dziesięć minut chodziła po domu, zaglądając do wszystkich szaf i szafeczek, dotykając nowych, błyszczących kranów w łazienkach.

— Łóżko moglibyśmy postawić przy ścianie — powiedziała w sypialni. — Wtedy telewizor stanąłby tam. Czwartą sypialnię można by przerobić na wspaniały gabinet. Wyobrażasz sobie? Prawdziwy gabinet. Miałabym biurko i w ogóle.

— Owszem — odparł rozpromieniony Hank. — A ja mógłbym skrzyknąć paru kumpli z pracy. Pomogliby mi zainstalować w ogródku basenik z gorącą wodą.

Anna spojrzała w okno i całe podniecenie zaczęło powoli opadać. Bo za oknem nie było nic oprócz ziemi. Ani ogródka, ani płotu, ani nawet słupków. Żeby urządzić wszystkie pokoje, musieliby dokupić mebli — oczyma duszy widziała piętzące się rachunki, widziała siebie przy stole w jadalni, jak je pod koniec miesiąca podlicza. Nie. Gdyby kupili ten dom, nie miałyby dość pieniędzy, żeby je zapłacić.

— Nie, Hank — powiedziała, patrząc mu w oczy. — Nie możemy. I tak ledwo wiążemy koniec z końcem, nie mamy nawet hipoteki. Spłata kredytu to co najmniej tysiąc dolarów miesięcznie.

Hank Carlisle należał do osób lubiących trwonić pieniądze. Zanim poznał Annę, wydawał każdego zarobionego centa i nie odłożył nic. Anna kierowała się całkowicie inną filozofią: nie wolno wydawać pieniędzy, których się nie ma. To była pierwsza zasada, jakiej nauczył ją ojciec. Hank spochmurniał.

— No to co? Mówiłem, że wezmę fuchę. Wystarczy na spłatę kredytu.

— Bujasz w obłokach, kochanie. Zapomniałeś, że potrąca nam podatki. Praca w weekendy to tylko dorywczy zarobek i na miesięczne raty na pewno nie wystarczy. Sam mówiłeś, że nie cierpisz roboty w drogówce. Znienawidziłbyś tę fuchę, nawet gdybyś musiał pracować tylko kilka godzin tygodniowo.

Hank podszedł bliżej i przyciągnął ją do siebie.

— Chcę ci kupić ten dom — oświadczył. — Chcę kupić nowy dom, dom, w którym nie mieszkał nikt oprócz nas. Masz rację, skarbie, nienawidzę pracy w policji. Ale nienawidzę jej tylko dlatego, że za moją pensję nie mogę ci kupić rzeczy, na jakie zasługujesz. Nie chcę spędzić reszty życia w tym zrujnowanym sraczu twego ojca. Tam cuchnie starością. — Uniósł zabawnie brwi. — Poza tym nie wiem, czy zauważyłaś, ale Dawid powoli dorasta, a jego pokój jest tuż obok naszego. No i jak tu się kochać? Przecież nas usłyszy.

— Nie jest tak źle, Hank. Proszę cię, kochanie, nie pakujmy się w długi, nie róbmy czegoś, na co nas nie stać. Skąd weźmiemy forszę na przeprowadzkę, nie mówiąc o meblach, zasłonach, wyższym podatku gruntowym i Bóg wie czym jeszcze? Nie, Hank, nie możemy tego zrobić. — Ba! Jemu marzył się luksus. Basenik za domem byłby spełnieniem tych marzeń. Odsunęła się od niego, żeby spojrzeć mu w oczy. — Nie możemy sobie na to pozwolić, Hank. Nie zarabiasz aż tyle.

Skrzywiła się na wspomnienie tego, co zaszło później, żalując, że nie może tego wymazać z pamięci. Zadzwoił telefon i odegnał wspomnienia. Telefonował Tommy Reed.

— Wiesz, że nikt nie przejął moich spraw? — odrzekła, gdy zaprotestował przeciwko jej powrotowi do pracy następnego dnia. — Claudette usiłuje załatwić niektóre sama.

— Tym bym sobie głowy nie łamał — powiedział Reed. — Po prostu martwię się o twoje samopoczucie.

Anna doceniała te wszystkie wyrazy troski, naprawdę je doceniała. Reed był szóstą osobą, która wygłosiła to samo stwierdzenie: „Po prostu martwię się o twoje samopoczucie, kochanie, zdrowiej, a wszystko się ułoży”. Brzmi to dobrze, miło to mówić, nie tak strasznie słyszeć. Glen posunął się jeszcze dalej i nalegał, żeby razem z Dawidem wyjechała gdzieś na kilka miesięcy, na jego koszt oczywiście. Lecz mimo dobrych chęci ludzie, którzy tak chętnie szafowali słowami otuchy, nie widzieli całej sytuacji oczyma Anny. W ciągu ostatnich dwóch tygodni wykorzystwała cały urlop zdrowotny — płatny urlop zdrowotny. Państwo opłacało tylko kilka dni takiego urlopu miesięcznie, dlatego oszczędzała, jak mogła, i brała wolny dzień tylko w ostateczności. Sytuacja była prosta: Anna nie miała wyboru i musiała wracać do pracy.

— Nie martw się o mnie, Tommy — odrzekła, wykrzesując z siebie całą zuchowatość, na jaką było ją stać. — I tak tu wariuję. Powiedz, co sądzisz o Sawyerze. Zatrzymał się, żeby mi pomóc, i powiadają, że gdyby nie on, wykrwawiłabym się na śmierć. Pomyśleć tylko, akurat Sawyer. Nie kto inny, tylko Sawyer.

Zgasiła lampkę, zrzuciła na podłogę dodatkową poduszkę i przekręciła się na bok, żeby porozmawiać z nim w ciemności.

— Obiecałam, że wznowię sprawę, żeby zmienili mu dozór ścisły na doraźny. Nie będzie się musiał co miesiąc meldować. Dostanie coś w rodzaju nagrody.

— Ach tak... To chyba nie wypali, Anno. Dlatego dzwonię. Glen Hopkins chce go aresztować. Przygotowuje nakaz.

Anna usiadła jak porażona.

— Co się stało? Znów go nakryli z prochami?

— Hopkins uważa, że to Sawyer cię postrzelił.

— Nie. — Musiała natychmiast skupić myśli, musiała się nad tym zastanowić. — To jakaś bzdura, Tommy. Najpierw do mnie strzelił, a potem udzielił mi pierwszej pomocy? Kiedy to powiedział? Nie znasz Glena tak dobrze jak ja. Na pewno żartował. Rozmawiałam z nim dzisiaj i słowem nie wspomniał ani o Sawyerze, ani o nakazie aresztowania. — Wyciągnęła rękę i włączyła lampkę.

— Anno, powtarzam ci tylko to, co słyszałem. Hopkins uważa, że Sawyer cię postrzelił, żebyś nie mogła wyegzekwować warunków dozoru sądowego. Wiesz, z drugiej strony, może to i racja. Sawyer miał w domu cały magazyn i spanikował, gdy zdał sobie sprawę, że mogłabyś przeszukać jego chałupę i znaleźć towar. Abrams powiada, że twój samochód...

Reed mówił, lecz Anna go nie słuchała. Trzęsła się jej ręka, w której ścisnęła słuchawkę, serce waliło jak oszalałe. Pogodziła się z tym straszliwym zdarzeniem, myśląc, że był to czysty przypadek. Teraz Reed uświadomił jej, że strzelano do niej z rozmysłem.

— Słyszysz mnie? — spytał.

Objęła słuchawkę obiema rękami.

— Mówiłeś, że to jakiś wariat, że było mu wszystko jedno, do kogo strzela. Noah też tak mówił.

— Bo tak początkowo myśleliśmy. Abrams powiedział mi dzisiaj, że unieruchomiono twego dżipa celowo. Ktoś przeciął przewody cewki zapłonowej. A to już nie był przypadek, Anno.

— W takim razie zastawiono na mnie pułapkę. Wciągnięto mnie w zasadzkę. To znaczy, że ktoś na mnie polował, Tommy. Nie strzelał dla samego strzelania. Celował do mnie.

Detektyw chwilę milczał, próbując wyczuć jej nastrój.

— Posłuchaj, Anno. Może byśmy porozmawiali o tym innym razem? Nie chcę cię denerwować.

— Nie! — wrzasnęła do słuchawki i przypomniawszy sobie o Dawidzie, ściszyła głos. — Powiedz mi wszystko, co wiesz, Tommy. Muszę wiedzieć.

Reed westchnął.

— No, dobra. Hopkins uważa, że Sawyer postanowił zastrzelić cię już w chwili, gdy sędzia wydał orzeczenie. Jak mi nie wierzysz, to go spytaj.

Patrzyła na pokój, na nowo przeżywając całe zdarzenie, odtwarzając każdą zastygłą w pamięci sekundę. Próbowwała o tym zapomnieć, zdławić to w sobie, ale wiedziała, że na próżno. Wystarczyła jedna myśl, jedno słowo i tamten wieczór stanął jej przed oczyma z jaskrawą wyrazistością.

— Anno — ciągnął Reed — czy zaraz po rozprawie, po wydaniu orzeczenia, wysłaś gdzieś z Hopkinsem, a później wróciłaś do sądu?

— Nie — odrzekła zaskoczona. — Przecież wszystko wam opowiedziałam. Nie czytałaś zeznania, które złożyłam Abramsowi? — Sierżant milczał, więc ponownie opisała mu przebieg wydarzeń. — No, dobrze, było tak. Rozprawa trwała mniej więcej pół godziny. Mieliśmy zacząć o czwartej, ale Sawyer się spóźnił, co znaczy, że Glen i ja wyszliśmy z sali gdzieś koło wpół do piątej. — Urwała, nie chcąc mu opowiadać o tym, co zaszło na schodach przeciwpożarowych. — Wróciłam do siebie i podyktowałam protokół. Kiedy skończyłam, wszyscy już wyszli, więc myślę, że było po piątej. Straciłam trochę czasu na parkingu, bo zastanawiałam się, co zrobić z samochodem. Założyłam, że Glen już pojechał, więc postanowiłam wracać do domu pieszo. Wtedy ten ktoś mnie postrzelił. Widocznie Glen zauważył mnie z Sawyerem, gdy wyjeżdżał z parkingu. Mówił, że został trochę dłużej, bo chciał skończyć jakieś notatki.

Reed zamierzał powiedzieć Annie prawdę, przypomnieć jej, że w szpitalu chciano się upewnić, czy nie została zgwałcona, i przeprowadzono badania, które wykazały, iż tego samego dnia odbyła stosunek seksualny. W ostatniej chwili ugryzł się w język, wiedząc, że takie informacje mogłyby wprawić ją w zażenowanie. Umówiła się z Glenem na lunch, a po lunchu poszli do łóżka, by zażyć popołudniowych rozkoszy — wydedukował. Rozmawiał z nią w sali pooperacyjnej, ale była tak naszpikowana środkami oduurzającymi, że choć wspominał o podejrzeniach lekarzy, nic z tego nie pamiętała. Zresztą wtedy zaprzeczyła, więc nie widział powodu, żeby maglować to jeszcze raz.

Anna nie była pewna, czy rozumie tok jego myśli.

— Dlaczego pytasz, czy wychodziliśmy z sądu?

— Nieważne — odrzekł szybko, jakby żałował, że w ogóle poruszył ten temat.

Pożegnali się i Anna powoli odłożyła słuchawkę. Nie zgadzała się z podejrzeniami Glena, lecz nie to spędzało jej sen z powiek. Dobijał ją fakt, że ten ktoś, kto do niej strzelał, chciał do niej strzelić. Właśnie do niej, do nikogo innego. Czy to znaczy, że będzie próbował aż do skutku?

Przeszedł ją dreszcz, więc podciągnęła koc pod brodę i wbiła wzrok w sufit.

Nagle ciszę przerwał płaczliwy głos Dawida.

— Wróć, tatusiu! — krzyczał. — Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie!

Chwyciła z łóżka szlafrok, wybiegła na korytarz i wpadła do sypialni syna.

— Obudź się — szepnęła, potrząsając nim delikatnie. — To tylko zły sen, kochanie.

Dawid gwałtownie usiadł. Piżamę miał przepoconą, włosy zupełnie mokre.

— On tu był, mamusiu — wychrypiał, tocząc błędnym wzrokiem po ciemnym pokoju. — Stał przy mnie. Widziałem go. Naprawdę.

Anna usiadła na brzegu łóżka i mocno przytuliła chłopca. Miejsce, na którym usiadła, było wilgotne, a w powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach moczu. Boże, pomyślała z bolącym sercem, dlaczego on musi tak cierpieć?

— Już wszystko dobrze, kochanie — szepnęła, odgarniając mu z czoła kosmyk mokrych włosów. — Znowu miałeś zły sen.

— Nie — odrzekł, miętosząc poję jej szlafroka. — Tatusz tu był, on naprawdę tu był. Powiedział, że wróci. Powiedział, że nie możesz wyjść za Glena, że muszę cię powstrzymać.

— Och, dziecinko — wyszeptwała rozdygotana. — Za nikogo nie wyjdę, zgoda? A teraz chodź. Musimy zmienić piżamę i prześcieradło.

Wyciągnęła rękę, żeby zapalić światło, gdy wtem usłyszała jego cichy szloch. Żeby oszczędzić mu wstydu i zażenowania, weszła do łazienki, wzięła duży ręcznik kąpielowy, kazała się chłopcu przesunąć i zakryła ręcznikiem mokrą plamę na prześcieradle. Zwykle robił to sam; rano wstawał, zmieniał prześcieradło, a brudne wrzucał do pralki.

Położyła się i przytuliła jego głowę do swej piersi.

— Zostanę tutaj, kochanie — szepnęła głosem łagodnym i pełnym otuchy. — Zamknij oczy i pomyśl o czymś przyjemnym.

— Tatusz pomyśli, że ze mnie małe dziecko — wyjąkał, a jego ciałem wstrząsnął rozpaczliwy szloch. — Dowie się, że ciągle siusiam do łóżka. Muszę przestać, zanim wróci, mamusiu. Po prostu muszę.

Tuliła go i głaskała, dopóki szloch nie ustał, dopóki nie zaczął oddychać równo i spokojnie. Po pewnym czasie wilgoć przesiąkła przez ręcznik i Anna czuła się tak, jakby leżała na tafli lodu. Wyczerpana podciągnęła koce, w końcu zamknęła oczy i pozwoliła, by spłynął na nią kojący sen.

Rozdział 4

Gdy weszła, w całym biurze grzmiał głos rozwścieczonej Claudette Landers.

— Jazda stąd! — wrzeszczała na kogoś. — Mam dość tych pieprzonych narzekań! Won!

Anna zajrzała do małej kuchennej wnęki, nalała sobie filiżankę kawy, odczekała, aż skarcony kurator przemknie obok jak wystraszona polna myszka, i dopiero wtedy weszła do gabinetu Claudette.

Pracowali w tak zwanych gabinetach, to znaczy w maleńkich klitkach oddzielonych przepierzeniami. Claudette była naczelnikiem wydziału, dlatego miała całą klitkę dla siebie, natomiast Anna musiała dzielić swoją z innym kuratorem. Coś takiego jak poczucie odosobnienia tu nie istniało.

Jako naczelnik wydziału zajmującego się przestępstwami popełnionymi przez osoby dorosłe, Claudette przydzielała sprawy kuratorom, omawiała je z nimi — zwykle zatwierdzając ich wnioski i proponowane orzeczenia — oraz była kimś w rodzaju pośrednika między sądem, prokuratorem okręgowym, obrońcami publicznymi a innymi instytucjami związanymi z wymiarem sprawiedliwości.

— No i wróciłam — powiedziała Anna. — Znajdziesz dla mnie chwilkę czasu?

Claudette uśmiechnęła się.

— Dziewczyno, jakże się cieszę, że widzę twoją piękną buźkę. Piana mi z ust jeszcze nie cieknie, ale jak tak dalej pójdzie, to kto wie? Klapnij sobie. Jak się czujesz? Na pewno możesz już pracować? Lekarze pozwolili?

Anna usiadła, ale nie oparła się, bo ramię ciągle jej doskwierało.

— Jestem słaba... trochę obolała.

Znały się tak dobrze, że nie musiała nic wyjaśniać. Tak, mówiły jej oczy, wciąż mnie boli. Tak, jestem przerażona. Tak, nie miałam wyboru, musiałam wrócić do pracy. Odwróciła wzrok i szybko zmieniła temat rozmowy.

— Znów problemy z Rogersem?

Claudette była dobrą przyjaciółką i wspaniałą, twardą kobietą. Anna wiedziała, że nie będzie już mowy o jej ranie, że nie usłyszy banalnych słów troski. Claudette miała trzydzieści pięć lat i należała do kobiet dużych i obfitych, takich, które mają najbardziej puszyste dolne partie ciała. Była Murzynką, inteligentną i wygadaną. W całym okręgu szanowano ją i uważano za wybitnego kuratora.

— Co za namolny gówniarz — odrzekła. — Zakuta pała, kretyn. Ilekroć daję mu sprawę, gdzie trzeba postawić więcej niż jeden zarzut, płacze jak dziecko, cholera. Nie ma pojęcia, co to jest bingotabela, i nie chce się tego nauczyć. Słyszysz mnie, Rogers?!

— wrzasnęła nad przepierzeniem tak głośno, że aż zadudniło. — Mamuśka powinna była porządnie sprać ci dupę, palancie jeden, wtedy byś nie narzekał. Spójrz tylko, Anna jest już w pracy, widzisz? Takich ludzi nam potrzeba, a nie płaczliwych i wiecznie zasmarkanych bachorów.

— Owszem, mamusia mnie prała — odwrzasnął hardo Rogers, który już od lat znosił obelgi Claudette. — Dlatego coś się ze mną porobiło. A teraz mam ciebie za szefową. Jak nie zostawisz mnie w spokoju, oskarżę cię o znęcanie się psychiczne. A może nawet o napastowanie seksualne, jeszcze zobaczą. Dadzą mi odszkodowanie, ale potracą je z twojej pensji. Ha!

— Ty białasie kościstodupy! Nie przeleciałabym ciebie nawet wtedy, gdybyś był ostatnim facetem na ziemi — odparowała szybko Claudette.

Za przepierzeniami rozległy się chichoty i złośliwe docinki. Po chwili ustały i w sali buchnął chór głosów:

— Się masz, Anno! Witaj w domu!

— Dzięki. Cieszę się, że wróciłam.

Koledzy i koleżanki z wydziału wspierali ją w ciężkich chwilach: odwiedzali Annę w szpitalu, proponowali pomoc w opiece nad Dawidem, przynosili do domu jedzenie.

— Chcę postawić Sawyera przed sądem, żeby zmienili mu dozór ścisły na doraźny — powiedziała, gdy w sali zapadła względna cisza. — Co o tym sądzisz? Myślisz, że Hillstorm na to pójdzie? Obiecałam Sawyerowi, że to zrobię.

— Po jaką cholere? — warknęła Claudette, błyskając białkami ciemnych oczu. — Prokuratura zamierza go oskarżyć o napaść z użyciem broni palnej i wsadzić do pierdła.

— On mi uratował życie, Claudette. — Więc jednak to prawda. Nie mogła uwierzyć, że Glen chce oskarżyć Sawyera, nie dysponując żadnymi konkretnymi dowodami. Co więcej, taka gwałtowna i nie przemyślana reakcja zupełnie do niego nie pasowała, bo lubił sprawy pewne, takie, które prowadziły do skazania. — Claudette, wiesz, że spotykam się z Glenem. Jest wściekły, bardzo ten wypadek przeżył. Pewnie myśli, że im szybciej kogoś oskarży, tym pręcej będę bezpieczna. Nie ma żadnych innych podejrzanych, żadnych śladów, więc chce oskarżyć Sawyera.

— Może ma rację — burknęła Claudette.

Anna pokręciła głową.

— Jestem pewna, że to nie on. Ilu znasz ludzi, którzy do kogoś strzelają, a potem udzielają mu pierwszej pomocy? Skoro chciał mnie zabić, dlaczego nie zaczekał, aż wykrwawię się na śmierć?

— Hmm... — mruknęła Claudette. Siedząc na małym krześle, poruszyła obfitymi biodrami i nagle rzuciła się na blat biurka. — Żadnych układów — fuknęła. — Wiesz, jaki mam do tego stosunek. Hillstorm pomyśli, że nie chcesz faceta nadzorować, i tyle. Taki numer nie przejdzie.

Anna szanowała Claudette, ale czuła, że ona zareagowała zbyt bezwzględnie. Gdyby to ją postrzelono, gdyby to ona leżała na chodniku i czekała na śmierć, wiedziałaby, jakimi uczuciami ofiara darzy swego wybawcę. Ale Claudette była szefową, poza tym Anna nie miała teraz siły przeciwstawić się jej.

— Ty tu rządzisz — szepnęła wstając.

Pora skoczyć na głęboką wodę, pomyślała, rzucić okiem na ten burdel, na szkody, jakie mi wyrządzili.

— Cholera jasna! — wrzasnęła, wchodząc do swojej klitki.

Zbiegła się połowa personelu, łącznie z Claudette. Wszyscy z przerażonymi twarzami.

— Przepraszam — powiedziała Anna, zerknąwszy na nich przez ramię. — Tym razem nikt nie chce mnie zabić, chyba że któryś z tych urzędasów od akt. — Kopnęła wielkie tekturowe pudło, żeby zrobić sobie przejście do biurka. — Tylko na to popatrzcie. Wiedziałam, że będzie źle, ale nie myślałam, że aż tak.

Gdzie tylko spojrzała, wszędzie wały się teczki i pudła z aktami. Pracowała tu od dziesięciu lat, była ekspertem w swojej dziedzinie, dlatego przydzielano jej sprawy najtrudniejsze i najbardziej złożone. Nikt jej nie zazdrościł, bo wiązało się to z tonami papieru. Odpisy protokołów sądowych, policyjne raporty, odpisy protokołów z rozpraw wstępnych, kryminalne życiorysy przestępców z innych stanów, protokoły sekcji zwłok, wyniki analiz z laboratoriów sądowych. Wszystkie dokumenty musiała dokładnie przeczytać, ba! — musiała je przestudiować. Leżały wszędzie. Porozrzucano je i poupychano, gdzie się dało: na biurku, na podłodze, gdzie piętrzył się ponad metrowej wysokości stos teczek, i w plastikowym koszu, postawionym na metalowej szafce na akta, który w każdej chwili mógł z niej spaść.

Anna odwróciła się i w progu zobaczyła zatroskaną Claudette.

— Robiłam, co mogłam, Anno, naprawdę. Brałam robotę do domu. Przydzielałam ją innym. Zrób, co się da. — I Claudette ciężko westchnęła.

Wydział przeżywał paskudne chwile. Sprawy napływały i napływały, a wszystkie miały nieprzekraczalne terminy i daty: daty wciągnięcia do akt, daty przesłuchań, terminy rozpraw wstępnych, terminy rozpraw właściwych, daty rozpraw apelacyjnych, terminy spraw o przestępstwa uboczne. I tak byli zawałeni robotą, a narzucone odgórnie terminy powodowały, że na wydziale panowało napięcie nie do wytrzymania.

Kiedy Claudette wyszła, Anna opadła na krzesło. Jej biurko stało dokładnie naprzeciwko wielkiego okna, przez które widziała parking. Natychmiast powędrowała wzrokiem do krzewów w rogu żywopłotu, szukając w nich przejścia na Victoria Boulevard. Znalazła je: dokładnie tamtędy zamierzała przedostać się na chodnik na kilka sekund przed fatalnym strzałem; rano zaparkowała po drugiej stronie budynku, nie chcąc się do tego miejsca zbliżać.

Wzięła akta sprawy Delvecchia i otworzyła je w nadziei, że zajmie się czymś i zapomni o widoku z okna. Minęło pięć minut, dziesięć, a ona wciąż patrzyła przed siebie, myśląc o tamtym miejscu, o tym, że nigdy więcej nie chciałaby go już oglądać. Koledzy walczyli o biurka przy oknie, ale ona wołała teraz siedzieć przy gołej ścianie albo pośrodku sali.

Bezwiednie wstała, obeszła biurko, stanęła przy oknie i przytknęła dłonie do szyby. Gdy zobaczyła swoje ręce, zrozumiała, dlaczego to zrobiła: chciała dotknąć szkła, chciała sprawdzić jego grubość. A tak naprawdę to pragnęła upewnić się, czy między nią a tamtym miejscem w krzakach istnieje jakaś bariera.

Wbrew własnej woli zaczęła sobie zadawać pytania, dziesiątki pytań naraz. Tłukły się jej w głowie, atakowały ją niczym migrena, uciskały czoło i wrażliwe miejsca na skroniach: pytania, nieskończone szeregi pytań, które — była tego pewna — będą ją dręczyć do końca życia, tak samo jak pytania dotyczące Hanka.

— Tak samo, dokładnie tak samo — wymamrotała, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę, by przerwać tok myśli.

Gdzie stał? Kiedy strzelił? Dlaczego w ogóle strzelał? Co temu komuś zrobiła? Kto nienawidził Anny Carlisle do tego stopnia, że strzelił jej w plecy i zostawił ją na chodniku, żeby wykrwawiła się na śmierć? Pytanie za pytaniem, pytanie za pytaniem — jakby żyły własnym życiem.

W końcu oderwała się od okna, usiadła na krześle, spojrzała na góry formularzy i sterty teczek z aktami. Udręka minęła, ale pytania pozostały gdzieś w tle, niczym złowrogi szept.

— Gdzie położyłam akta, które przed chwilą miałam w ręku? — powiedziała na głos, chcąc zagłuszyć natrętne głosy.

Gdzie pogrzebali ciało Hanka?! — ryknęło jej w głowie. Co się tam stało? Wtedy, przed laty, na tej odludnej drodze. Kto wyrócił jej życie do góry nogami?

Oto skutek zadawania pytań, na które nie ma odpowiedzi — pomyślała. Jedno pociąga za sobą drugie. I tak bez końca.

Około dziesiątej wracała z kawiarenki i wpadła na Perry'ego Rogersa.

— Anno — zaczął z nieszczęśliwą miną. Trzymał w ręku gruby plik akt. — Wiem, że dopiero co wróciłaś, i w ogóle, ale za cholerę nie mogę rozgryźć tej koszmarnej bingotabeli. To gorsze niż wypełnianie formularza podatkowego.

Anna zachichotała. Już od dawna w Kalifornii obowiązywało prawo precyzujące kary więzienia za określone przestępstwa, a bingotabelą nazywano specjalną tabelę używaną do skalkulowania liczby lat, które skazany ma spędzić w odosobnieniu za dane przestępstwo albo przestępstwa. I rzeczywiście, niektórzy uważali, że tabela przypomina formularz podatkowy.

— Jasne — odrzekła. — Chodź do mnie. Zaraz się tym zajmiemy.

Perry Rogers, mężczyzna pod trzydziestkę, był cieniem człowieka: chudy i wymizowany, za biurkiem musiał siedzieć na poduszce. Anna nigdy nie widziała, żeby choć tknęła jedzenie, a plotka głosiła, że Perry cierpi na zaburzenia trawienne. Wszyscy go jednak lubili, a Anna zawsze chętnie pomagała mniej doświadczonym kolegom.

— No, dobra, Perry — powiedziała, gdy przystawił krzesło do biurka. — Dawaj tabelę, nakaz sądowy z listą zarzutów, za które facet został skazany, i listę orzeczeń, jakie proponujesz.

Rogers podał jej plik dokumentów i Anna zagłębiła się w lekturze. Zauważyła, że jednym z powodów, dla których napotykał tyle trudności, był fakt, że oskarżenie zawierało wiele zarzutów, a wszystkie nosiły znamię przestępstw na tle seksualnym. Wytyczanie wskazówek dla sędziego prowadzącego taką sprawę jest znacznie bardziej skomplikowane niż wyliczanie kary za inne przestępstwa. Co roku ustanawiano nowe prawa dotyczące ferowania wyroków, a było powszechnie wiadomo, że Anna należy do ekspertów w tej dziedzinie. Mogła obliczyć w pamięci wymiar kary w sprawie zawierającej pięćdziesiąt zarzutów i zajmowało jej to zaledwie kilka minut, podczas gdy Rogers i większość jego kolegów mieli z tym trudności.

— Tutaj zrobiłeś błąd — powiedziała, wskazując odpowiednią rubrykę. — Ten zarzut podlega osobnej karze, a nie odbywanej równoległe z karą za inne przestępstwo. Poza tym w złym miejscu naniosłeś zalecenie podwyższenia kary za wcześniej dokonane włamanie.

Rogers nie mógł tego zrozumieć.

— Dlaczego ten przeklęty sędzia sam sobie tego nie wyliczy? Oni zarabiają więcej niż my.

Anna wzruszyła ramionami. To marzenie — a raczej to chciejstwo — było tak powszechne wśród kuratorów sądowych pracujących na usługach sądów, że nie zrobiło na niej żadnego wrażenia.

— Lepiej sprawdź, co ci teraz wyjdzie — odrzekła, zwracając mu poprawioną bingotabelę, i czekała, aż Perry przeliczy wszystko od nowa.

W miarę upływu lat praca kuratora sądowego nabierała coraz bardziej formalnego i proceduralnego charakteru. Jeszcze pół roku temu Perry Rogers był kuratorem terenowym. Praca na tym stanowisku wymagała sprawowania dozoru nad ukaranymi przestępcami i składania raportów, gdy przestępcy pogwałcili narzucone przez sąd warunki odbywania kary. Kurator terenowy to zupełnie co innego niż kurator sądowy. Ci pierwsi często bywali opieszali w załatwianiu powierzonych im spraw, do pracy przychodzili w dżinsach i podkoszulkach, nader rzadko występowali w sądzie. Gdy Perry został kuratorem sądowym, jego praca sprowadzała się głównie do sporządzania propozycji orzeczeń dla sędziów.

— Dlaczego zaostrzyłeś karę za ten zarzut? — spytała, spoglądając zza jego ramienia na tabelę.

— Bo użył broni — odrzekł Perry.

— Przecież już dodałeś dwa lata za użycie broni palnej. Nie możesz proponować podwyższenia kary. Nie rozumiesz tego? To powtórne pociągnięcie do odpowiedzialności za to samo przestępstwo. Za jedno przestępstwo nie można karać dwa razy.

Rogers był wyraźnie skonfundowany.

— Uznałem, że jego przeszłość kryminalna jest czynnikiem obciążającym, dlatego zaproponowałem wyższy wymiar kary. To nie to samo?

— Nie, nie to samo — odrzekła Anna, która też zaczynała mieć tego wszystkiego dosyć. Wiedziała, że rzecz jest skomplikowana, i współczuła Perry'emu, ale żeby dobrze pracować, musiał rozumieć prawo. — Uznałeś, że czynnikiem obciążającym jest jego przeszłość kryminalna jako taka, jako całość, rozumiesz? Nie widzisz różnicy?

Ogarnęła wzrokiem stos papierów piętrzących się na biurku, potem spojrzała na Perry'ego. Nie miała czasu siedzieć tu cały dzień i tłumaczyć mu jak uczniakowi. Wyrwała Rogersowi tabelę z rąk, wpisała, co trzeba, szybko to przeliczyła i oddała wypełniony dokument.

— Masz. Pewnego dnia będziesz musiał poświęcić trochę czasu, żeby się tego wszystkiego nauczyć.

Rogers wrócił do swojej klitki — mieściła się tuż obok — i zaczął gadać.

— To tam, w tych krzakach, tak? Tam cię postrzelili?

Anna wstała, bez słowa wzięła swoje papiery i cichutko wyszła. Postanowiła znaleźć wolne biurko, które mogłaby chwilowo zająć — byle stało z dala od okna wychodzącego na parking.

O wpół do pierwszej głośniki wyskrzeczwały jej nazwisko. Zebrawszy dokumenty i akta z długiego stołu w sali konferencyjnej, gdzie pracowała, wbiegła do swojej klitki i sięgnęła po słuchawkę telefonu.

— Cześć! Chciałem sprawdzić, jak się pani czuje.

Rozpoznała nosowy głos Jimmy'ego Sawyera.

— Jimmy, jak to miło, że dzwonisz. Szczerze mówiąc, po południu zamierzałam do ciebie zatelefonować. — Nie chciała przekazywać mu złych nowin przez telefon, proponowała więc, żeby wpadł do biura, ale natychmiast zmieniła zdanie. — Nie. Wiesz co? Jestem ci coś winna. Postawię ci lunch. Co powiesz na Marie Callender's? To dobra knajpa.

Bez względu na to, co wygadywali o Jimmym, Anna była mu wdzięczna za pomoc. Większość ludzi rejteruje na widok człowieka rannego w wypadku. Anna wiedziała, że mogła na tym chodniku umrzeć.

— To za daleko od mojego domu — odrzekł Sawyer. — Spotkajmy się w Hiltonie.

Anna weszła do restauracji, zajęła stolik i właśnie przeglądała menu, gdy do sali wkroczył Jimmy Sawyer. Włosy miał ściągnięte do tyłu i związane w koński ogon, był ubrany w dżinsy i białą koszulę z wyszywaną kieszenią.

— Nie mogę zostać — oświadczył stojąc. — Muszę iść. Jestem spóźniony.

— Nie zjesz lunchu? — spytała zdziwiona. — Chciałam ci się jakoś odwdzięczyć. Wiem, że to niewiele, ale...

Zauważyła, że Sawyer z trudem utrzymuje z nią kontakt wzrokowy. Patrzył na nią i natychmiast uciekał spojrzeniem w bok.

— Myślałem, że wniesie pani nową sprawę i powie sędziemu, co zrobiłem. No, wie pani, żeby zmienili mi dozór, żebym nie musiał co miesiąc do pani dymać.

Wpatrywała się uważnie w jego twarz i co chwila zmieniała o nim zdanie.

— Może jednak usiądziesz?

— Nie mogę. Muszę iść. Muszę się uczyć.

— Chodzisz do szkoły? — Nie pamiętała szczegółów jego sprawy. Dziwne. Jakby wszystko, co zdarzyło się tuż przed wypadkiem, po prostu gdzieś wyparowało.

— Nie. Ale zacznę od następnego semestru. Muszę się podciągnąć, chcę lepiej zdać testy kwalifikacyjne. — Nagle urwał i wytarł ręce o spodnie. — Wkuwam, chodzę na taki kurs. Jak nie zdobędę wymaganych punktów, wyląduję w głupim koledżu. Dwa lata harówki i nie dają dyplomu.

Nie dają dyplomu — powtórzyła w myślach, zaciskając z niesmakiem usta. Znała takich, którzy chętnie poszliby do jakiegokolwiek koledżu, choćby tylko na rok.

— To jeszcze nie koniec świata. Po dwóch latach można się przenieść na uniwersytet, wiele osób tak robi. Na przykład mój mąż. Skończył dwuletni koledż, a potem zdobył dyplom na Uniwersytecie Kalifornijskim, i to dyplom z wyróżnieniem.

Wspomniała o Hanku w obecności Sawyera i ogarnęło ją dziwne uczucie. Znów stanął jej przed oczyma tamten feralny wieczór. Dlaczego myślała, że Hank tam wtedy był? Tak, miała halucynacje, mimo to nie potrafiła wymazać tego z pamięci. Jeśli ktokolwiek mógł rozwiać jej wątpliwości, to tylko Sawyer. Bo Sawyer tam na pewno był.

— Jimmy, potrafisz opisać ludzi, którzy się wtedy zatrzymali?

— Widziałem tylko parę staruszków. Zresztą nie wiem. Tak naprawdę to niewiele pamiętam.

— Detektyw Abrams powiedział mi, że zatrzymało się sporo gapiów. Widziałeś wśród nich mężczyznę mniej więcej w moim wieku, krępego, z małymi oczami, ostrzyżonego na jeża? A może kogoś, kto wyglądał na wojskowego?

Sawyer zaczął się denerwować.

— Niech pani posłucha, próbowałem pani pomóc, tak? A gliniarze potraktowali mnie jak podejrzanego — mówił z narastającym gniewem. — Wie pani co? Gdybym znalazł się w takiej sytuacji jeszcze raz, nie wiem, czybym się zatrzymał.

Anna przełknęła ślinę, czując wyrzuty sumienia. Jeśli Glen postawi na swoim, jeśli mu tego nie wyperswaduje, oskarżenie chłopaka dobieje. I już nigdy w życiu nikomu nie pomoże.

— Był tam ten prokurator — dodał Sawyer, jakby czytając w jej myślach. — No, wie pani, Glen Hopkins.

— Nie, chodziło mi o kogoś innego — odrzekła.

— Czy tych facetów nie uczą udzielania pierwszej pomocy? — mówił dalej Sawyer. — Wyglądało na to, że gość nie ma zielonego pojęcia, co robić. Po prostu stał i gapił się na panią jak złamany kutas. Mój ojciec jest lekarzem, dlatego...

A więc to tak — pomyślała. W chwilach krytycznych, wymagających natychmiastowego działania, Glen nie jest tak opanowany jak w sali sądowej. I pomyślała, że być może odkryła prawdziwe pobudki, jakie nim kierowały. Jest jej kochankiem i wpadł w panikę. Chciał oskarżyć Sawyera, bo Sawyer odsłonił jego prawdziwe oblicze.

Jimmy okazywał coraz większy niepokój.

— Po co te wszystkie pytania? Myślałem, że zaprosiła mnie pani, żeby powiedzieć mi coś miłego, a pani przesłuchuje mnie jak gliniarz.

— Przepraszam, Jimmy — odrzekła zakłopotana. — Naprawdę jestem ci wdzięczna za to, co zrobiłeś. Może jednak na chwilę usiądziesz? Będzie nam łatwiej rozmawiać.

Stał pod wielką sztuczną palmą. Zerknął nerwowo za siebie i znów spojrzał na Annę.

— Muszę iść.

— Jak sobie życzysz — odparła, sfrustrowana jego zachowaniem. Nadeszła kelnerka, żeby odebrać zamówienie. — Na pewno nic nie chcesz? Może chociaż colę albo lody?

Sawyer nie odpowiedział. Anna wzruszyła ramionami i zaczęła składać zamówienie, ale cały czas obserwowała go kątem oka. Patrzył na liść palmy z takim skupieniem, jakby w kawałku zwykłego plastiku zawierały się wszystkie tajemnice wszechświata. Gdy kelnerka odeszła, Anna kilka razy wymówiła jego imię, ale nie zareagował. I nagle zrozumiała: Sawyer był na prochach. Na jakich, nie miała pojęcia, ale wiedziała już, dlaczego nie chciał nic jeść, dlaczego nie chciał spokojnie usiąść, dlaczego miał spoczone dłonie.

Zawsze ufała instynktowi, a instynkt podszeptował jej, że Jimmy jest jeszcze jednym zwichrowanym psychicznie dzieciakiem biorącym prochy. Do sądu przyszedł czysty — jeden dzień jako wytrzymał — co nie zmieniało faktu, że jest narkomanem. Przyjrzała się jego źrenicom, żeby sprawdzić, czy są rozszerzone.

— Co brałeś, Jimmy?

— Słucham? — spytał chichocząc, jakby powiedziała coś śmiesznego..

— Jesteś naćpany? — Przypuszczała, że zażył LSD lub amfetaminę.

— Nic z tego. Muszę iść. — Odwrócił się, gotów do ucieczki.

— Stój! — wrzasnęła, zrywając się na równe nogi. — Wracaj!

Była jego kuratorką, nie mogła pozwolić, żeby uszło mu to na sucho, bez względu na to, ile mu zawdzięczała. Kiedyś odpuściła, dała jednemu z podopiecznych trochę luzu: facet połknął pięć tabletek LSD i nożem zadźgał żonę, twierdząc, że jest diablicą. Dziewczyna miała zaledwie dwadzieścia trzy lata i osierociła troje małych dzieci. Dlatego Anna nie chciała więcej ryzykować. Ciężyla na niej zbyt duża odpowiedzialność wobec sądu i społeczeństwa. Lecz Sawyer zniknął już za drzwiami, a ona była zbyt słaba, żeby go ścigać.

— Co za życie — mruknęła siadając. Będzie musiała wezwać go na badania. Wypadną beznadziejnie i skończy się na tym, że pośle do więzienia człowieka, który ocalił jej życie.

Rozdział 5

Wyjechała sprzed gmachu sądów białym służbowym wozem. Chciała rozwiłać sprawę, która zajmowała ją najbardziej; żeby ją rozwiązać, musiała porozmawiać z jedną z ofiar Delvecchia: była nauczycielką Glena. Przed brutalnym gwałtem Estella Summer prowadziła niezależne i aktywne życie, mimo że już dawno przekroczyła siedemdziesiątkę. Jej dzieci i sąsiedzi twierdzili, że miała własny wygodny dom, przyjaciół, że udzielała się w klubie. Była schludną, zadbaną i piękną, jak na swój wiek, kobietą. Dopóki nie spotkała Randy'ego Delvecchia.

Gwałciiciel ukrył się w sypialni. Gdy Estella Summer tam weszła, wyskoczył z szafy, gdzie na nią czekał, i przyłożył jej nóż do gardła. W pończosze naciągniętej na twarz pchnął ją na podłogę; staruszka była tak przerażona, że mimowolnie oddała stolec. Ale Randy to prawdziwy skarb, pomyślała ponuro Anna, uczynny facet: posunął się nawet do tego, że obmył nieszczęsną kobietę. Kiedy skończył, zbił ją, potem zgwałcił i zmusił do stosunku oralnego. Podczas gdy zwałtrowana i zszokowana Estella leżała na podłodze, Randy otworzył lodówkę i zrobił sobie kanapkę z szynką i serem. Na deser przekręcił staruszkę na brzuch i zgwałcił ją doodbytniczo.

Odtąd Estella Summer nie mogła już prowadzić samodzielnego życia. Była tak przerażona okrutną napaścią, że zaczęła cierpieć na poważne zaniki pamięci. Jeszcze wiele miesięcy po gwałcie nie mogła spać i leżąc w łóżku, noc w noc trzęsa się ze strachu. Zmieniła dom w prawdziwą fortecę. Skromne oszczędności wydała na budowę płotów,

na zainstalowanie skomplikowanego systemu alarmowego, na wynajęcie strażnika czuwającego nocą przy drzwiach. Kiedy i to nie rozwiało jej obaw, zabiła deskami wszystkie okna i drzwi i przestała wychodzić z domu. Straszliwie schudła — ważyła trzydzieści kilogramów! — nie mogła powstrzymać potrzeb fizjologicznych i musiała nosić pieluchy. Dzieci umieściły ją w domu starców.

Po trzydziestu latach pracy w szkołach publicznych Estella Summer, oddana i szanowana nauczycielka, nie była w stanie cieszyć się emeryturą i kilkoma latami życia, jakie jej pozostały. Nic dziwnego, że Glen chciał ukarać tego człowieka największym dopuszczalnym przez prawo wyrokiem.

Zaparkowała przed długim ceglany budynek stojącym z dala od szosy, wysiadła i ruszyła do wejścia. Wzdłuż ścieżki wiodącej do drzwi rosły rzędy pięknych kolorowych bratków, ale przez otwarte okna Anna widziała inwalidzkie wózki i szpitalne łóżka.

W holu zobaczyła pielęgniarkę, atrakcyjną blondynkę o niebieskich oczach. Kobieta miała trzydzieści parę lat, puszyste włosy i bardzo jasną skórę.

— Chciałabym porozmawiać z panią Estellą Summer.

Pielęgniarka przybrała poważną minę.

— Czy pani jest krewną?

— Nie — odrzekła Anna, pokazując jej legitymację służbową. — Jestem kuratorką sądową. Muszę porozmawiać z nią na temat sprawy, którą prowadzę.

Pielęgniarka zerknęła na legitymację i spojrzała Annie w oczy.

— Pani Summer zmarła trzy godziny temu.

Anna odskoczyła od biurka, jakby pchnięta niewidzialną siłą. Wiedziała, że to strach, ale nie wiedziała, skąd się wziął. Nigdy Estelli Summer nie spotkała, więc dlaczego jej śmierć tak ją oszołomiła? Szybko znalazła odpowiedź: to przez ten postrzał. Teraz już wiedziała, co znaczy przerażenie, rozpacz, uczucie bezradności. Estella liczyła na policję, myślała, że stróże porządku publicznego znajdą gwałciciela i postawią go przed sądem, lecz nie doczekała tej chwili. Czyżby to samo miało się przydarzyć jej? Czy nigdy nie znajdą człowieka, który do niej strzelał? Czy z każdym dniem będzie w niej narastał strach, by w końcu zawładnąć wszystkimi myślami?

— Miała atak serca? — spytała, nie będąc w stanie stamtąd odejść.

Pielęgniarka zerknęła przez ramię, spojrzała na Annę, wstała i oparła się o biurko.

— Nie, to nie był atak serca. — Spuściła wzrok i zaczęła bezwiednie przestawiać coś na blacie. Anna spostrzegła, że trzęsą się jej ręce. — Przestała jeść. Próbowaliśmy karcić ją zgłębnikiem, ale go wyjmowała. — Popatrzyła na nią. — Wie pani, co mi powiedziała tuż przed śmiercią?

Anna milczała.

Pielęgniarka trzasnęła w biurko metalową podkładką.

— Powiedziała, że wypuścicie tego bydlaka, że sąd uzna go za niewinnego. Dlatego chciała umrzeć. Powiedziała, że nie chce doczekać chwili, gdy zapadnie wyrok.

— Ale to nieprawda — zaprotestowała Anna. — Proces...

Pielęgniarka machnęła ręką i opadła na krzesło.

— Te wasze procesy — mruknęła zdegustowana. — I te wasze wspaniałe obietnice. Mnie też zgwałcono. Pewnej nocy dwa lata temu, kiedy pracowałam w szpitalu okręgowym. Szłam do samochodu. Facet wyskoczył, zaciągnął mnie w krzaki i już. Zrobiłam wszystko, co mi kazała policja: wniosłam oskarżenie, stawiałam się w sądzie. — Urwała, żeby zaczerpnąć tchu, zbyt wstrząśnięta, by mówić dalej. — Uniewinnili go i zwolnili. Wie pani, jak się wtedy czułam?

Anna wolno pokręciła głową.

— Na pewno strasznie. Przykro mi.

— Strasznie? — powtórzyła. — Określiłabym to inaczej.

Nagle przy biurku pojawiła się krucha, skonsternowana staruszka.

— Noszę ósemkę, młoda damo — powiedziała. — Chciałabym tę suknię wymienić. — Położyła na blacie miękki ręcznik kąpielowy i zaczęła rozglądać się za sprzedawcą, żeby jej pomógł.

— Wracaj do pokoju, Mabel — odrzekła pielęgniarka, zwracając jej ręcznik. — Zaraz będzie kolacja.

Gdy staruszka potruchała w głąb korytarza, ciągnąc za sobą ręcznik, pielęgniarka podjęła rozmowę.

— Lekarze chcieli biedaczkę utrzymać przy życiu, położyć ją na oddziale intensywnej opieki i tak dalej, ale ona była już martwa, kiedy tu przyszła. Umarła, gdy ten bydlak ją zgwałcił. Odebrał jej wolę życia.

Anna podała jej wizytówkę.

— Gdyby kiedykolwiek zechciała pani z kimś porozmawiać, jestem dobrą słuchaczką.

— Tak — odburknęła. — Jest wielu dobrych słuchaczy, ale słuchaniem nic się nie załatwi. Niech pani powie to swoim szefom. Zrobi to pani dla mnie?

Wypalona wewnątrz, wyszła na dwór. Nie — zdecydowała, idąc do samochodu w jaskrawym blasku popołudniowego słońca — nie da się zastraszyć, nie spędzi reszty życia jak Estella Summer. I nie pozwoli, żeby śmierć Estelli uszła Randy'emu na sucho. Bo Randy ją zabił. Pielęgniarka miała rację. Delvecchio odebrał jej wolę życia.

Wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik. Jej umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Glen na pewno jeszcze nie wie, że Estella umarła. Była cennym świadkiem w sprawie Delvecchia — teraz sąd mógł odrzucić oskarżenie o gwałt, a Glen twierdził, że nie mają wystarczających dowodów na to, żeby wytoczyć mu proces o trzy zabójstwa. Brak podstaw do oskarżenia o wielokrotne morderstwo, brak podstaw do oskarżenia o gwałt — wiedziała, że Glena to dobije.

Skręcając na autostradę, zobaczyła karawan z napisem Dom Pogrzebowy Hughesa; wjeżdżał w alejkę prowadzącą na tyły domu starców. Przyjechali po Estellę. Zaciśnęła dłonie na kierownicy, wcisnęła pedał gazu i nie patrząc na rozdygotaną strzałkę szybkościomierza, pomknęła przed siebie.

Estella nie mogła już stawić czoła napastnikowi, natomiast Anna — jak najbardziej. Spojrzała na zegarek. Minęła czwarta. Zanim dojedzie na miejsce, Randy Delvecchio powinien już wrócić do celi.

Nie mogąc się doczekać konfrontacji, poszła prosto do aresztu.

Gdy dostała przepustkę i przypięła do bluzki plakietkę z napisem GOŚĆ, strażnik wprowadził ją między dwa rzędy przeszklonych rozmównic.

— Na wartowni powiedziałam, że chcę z nim rozmawiać twarzą w twarz. Nie przekazali panu? — spytała.

— Nie radziłbym — odrzekł, zagryzając usta. — Mieliśmy z nim kłopoty.

— Jakie kłopoty?

— Rzucił się na współaresztanta. Lekarz uważa, że to świr.

— No, jasne, że świr — prychnęła. — To pieprzony zboczuś, który lubi gwałcić starszki. Niech go pan sprowadzi, dobra? Facet jest w moim typie. Lubię takich.

— Jak pani chce — odrzekł.

Podzwaniając i grzechocząc wielkim pękiem kluczy u pasa, poszedł sprowadzić aresztanta do specjalnie zabezpieczonej sali przesłuchań.

Czekając, próbowała się uspokoić. Zamierzała być dla tego potwora słodziutka jak cukiereczek, a potem go przygwoździć. Kilka minut później strażnik wrócił i odprowadził ją do drzwi. Otworzył je, a gdy weszła do środka, przekręcił klucz.

Nie miała przy sobie ani notatnika, ani długopisu, ani magnetofonu. W ten właśnie sposób pracowała. Gdy prowadzący przesłuchanie robił notatki albo nagrywał rozmowę, zatrzymani i więźniowie niewiele mówili. Anna miała znakomitą pamięć. To jej wystarczyło.

— Cześć, Randy — powiedziała wesoło, głosem o kilka tonów wyższym niż zwykle. — Pamiętasz mnie? Rozmawialiśmy przed rozprawą, na której miała być wyznaczona kaucja. Anna Carlisle, kuratorka sądowa. No i jak ci tu? Pewnie ciężko, co?

Delvecchio był mężczyzną młodym i bardzo przystojnym, na swój sposób nawet pięknym. Olbrzymie ciemne oczy z długimi rzęsami, włosy schludnie i modnie przystryżone. Sprawiał wrażenie porządnego człowieka, nawet konserwatywnego. Ubrany w aresztański kombinezon, siedział rozwalony na krześle.

— Nie pamiętam pani — odrzekł. — Ale wiem, że nie zgodzili się na kaucję.

Anna ostrożnie usiadła, obserwując jego oczy. Rozmowa z niebezpiecznym przestępcą w takim miejscu — byli sami, zamknięci w małym pomieszczeniu — groziła nie-

obliczalnymi skutkami. Większość kuratorów wybierała inne wyjście i uciekała za kulooporną szybę. Lecz, tak samo jak notatniki i magnetofony, szklane przepierzenia zamykały więźniom usta. Anna zaryzykowała. Wiedziała, że wciśnięcie alarmowego przycisku przywoła strażnika — o ile zdoła do tego przycisku dotrzeć.

— Randy, wtedy nic nie mogłam dla ciebie zrobić. Kiedy popełniono te przestępstwa, byłeś już pod dozorem sądowym. A to wskazówka dla sędziego, że wyznaczenie kaucji to ryzykowna rzecz. Po to tu między innymi przyszedłam: żeby przygotować protokół w związku z pogwałceniem warunków dozoru sądowego.

— Znowu dadzą mi dozór? — spytał. Na jego twarzy malowało się napięcie.

— To zależy, co ława przysięgłych postanowi w sprawie tych gwałtów, Randy. — Wygięła brwi w łuk, nie mogąc się powstrzymać od zadania przynajmniej jednego ciosu. — Jeśli uznają, że jesteś winny, pójdziesz do więzienia na długie lata. Bez względu na to, co im powiem, dozoru ci nie dadzą.

Założył ręce i spytał:

— Skoro nie dostanę dozoru, to po co tu panią przysłali?

— Dobre pytanie — odrzekła, zastanawiając się, ile razy wyjaśniała to zatrzymanym, którym groziło wieloletnie więzienie. — Chociaż za gwałt nie dadzą ci pewnie dozoru, prawo wymaga, żeby we wszystkich przypadkach orzeczeń skazujących przygotowano odpowiedni protokół. W terminologii prawniczej nazywa się to protokołem zleconym urzędowo, czyli nakazany ustawą, co znaczy, że prawo tego bezwzględnie wymaga. Protokoły takie sporządzają kuratorzy sądowi, to należy do naszych obowiązków. W przyszłym tygodniu będziesz miał sprawę o pogwałcenie warunków dozoru. Jestem tu po to, żeby sporządzić protokół, w którym wniosę o orzeczenie odpowiedniej kary. Natomiast później, jeśli skazą cię za te gwałty, zaproponuję sędziemu wysokość kary, na jaką może cię skazać.

Delvecchio stał się podejrzliwy.

— Niby po co? To on tego nie wie?

— Wie, ale mój protokół pomoże mu podjąć decyzję. Może ustanowili to prawo zakładając, że kuratorzy sądowi lepiej rozumieją przestępców, ludzi takich jak ty. No i jak? Trzyma się kupy?

— A skąd mam, kurwa, wiedzieć?

Anna pochyliła się nad stołem.

— Rzecz w tym, że sędzia nie ma czasu tu przychodzić i rozmawiać z tobą, więc ja go zastępuję. Taka rozmowa to dla ciebie okazja, Randy. Możesz opowiedzieć sądowi o swoim życiu, o problemach, jakie gnębiły cię, zanim to się stało. Nie wolno ci tylko mówić o niczym, co jest związane z toczącym się procesem. O tym dyskutować nie możemy. Jeszcze nie teraz, rozumiesz? O procesie porozmawiamy dopiero wtedy, gdy ława przysięgłych ustali werdykt.

— To po czyjej pani jest stronie? — spytał Delvecchio, mierząc ją groźnym wzrokiem.

— Oczywiście, że po twojej — zełgała. Niewinne kłamstwa wciskane ludziom pokroju Randy'ego nie spędzały jej snu z powiek. Pogodziła się już z myślą, że zabójców Hanka nie znajda, ale na świecie żyło wielu osobników takich jak Delvecchio, więc doszła do wniosku, że ktoś musi za zbrodnie zapłacić.

Przechwyciwszy jego mroczne spojrzenie, próbowała wyzbyć się złych myśli i posłała mu ciepły, przyjacielski uśmiech. No, pewnie, Randy, jestem twoją najlepszą kumpelką.

— Zaczniemy od tego, że zadam ci kilka rutynowych pytań, dobrze?

Kiwnął głową. Patrzył na nią spode łba, wzrok miał jeszcze czujniejszy niż przedtem, oczy przesłonił długimi rzęsami. Piękne blondynki nie rozmawiały z nim tak słodkim głosem. Nie, Randy nie był głupi.

Mimo to Anna go rozruszała, zadając całą serię mało ważnych pytań o jego pracę, o przyjaciół i zainteresowania. Kwadrans później opowiedziała mu dowcip, żeby go rozbawić. Potem znów były pytania i znów zabawna dykteryjka. Kilka razy leciutko dotknęła jego ręki. Posłał jej złowieszczy uśmiech, ale uśmiech to zawsze uśmiech. Po godzinie zmiękczenia i urabiania wyczuła, że przełom jest bliski. Jeszcze tylko parę kroków, myślała, i drzwi do Randy'ego Delvecchia staną otworem.

— O rany, ależ mi się chce pić. A tobie? Napiłbyś się czegoś?

Zarechotał.

— Pewnie. Niech mi pani zamówi duże jasne.

Odrzuciła do tyłu głowę i zaśmiała się razem z nim, jakby powiedział coś przeza-bawnego. Zadowolony z siebie, Delvecchio wybuchnął jeszcze głośniejszym śmiechem, klepiąc się rękami po udach.

— Praca kuratora sądowego ma swoje zalety — powiedziała. Wstała, wcisnęła guzik, a gdy strażnik otworzył drzwi i zajrzał do środka, oświadczyła: — Chce nam się pić. — Spojrzała na Randy'ego. — Wolisz colę czy 7UP?

Delvecchio otarł usta zewnętrzną stroną dłoni.

— Colę.

Strażnik zmierzył go szyderczym wzrokiem, ale nie zaprotestował.

— Tylko koniecznie z lodem — dodała Anna. — Można tu zdechnąć z gorąca.

Kiedy strażnik wrócił z napojami, upiła kilka łyków i zerknęła na zegarek. Jak długo tym razem? Ponad godzinę. Dłużej niż zwykle, ale Delvecchio to trudny przeciwnik.

— Ile pani ma lat? — spytał.

— Zgadnij — odrzekła figlarnie.

— Nie wiem. Trzydzieści? Trzydzieści parę?

— Nie — skłamała. — Czterdzieści trzy. Nieźle się trzymam, co?

— Kurczę, naprawdę ma pani czterdzieści trzy lata? Moja matka ma chyba tyle samo.

— Tak, Randy — powiedziała poważnie. — Ale wracajmy do naszej rozmowy. A propos. Mówiłeś, że z ojcem jesteś w gorszych stosunkach niż z matką. Moja mama umarła, gdy byłam dzieckiem, więc nie miałam okazji poznać jej bliżej. Smutne, prawda? — Spuściła wzrok. Odrobina żalu i współczucia dla samej siebie mogła zaowocować większą otwartością ze strony Delvecchia i przybliżyć ją do tych cholernych drzwi.

— Naprawdę? — odrzekł niewzruszony. Wyglądało na to, że coś go nagle rozdrażniło.

Tuś mi, bratku, pomyślała, natychmiast wzmagając czujność. Jakby spadła mu maska z twarzy, odsłaniając jego prawdziwe oblicze. Celowo dodała sobie lat, zakładając, że podniecają go starsze kobiety. Czyżby to go rozzłościło? A może pytania na temat matki? Dostała gęziej skórki, mimo to nie przestawała się uśmiechać.

Randy pochylił się nad stołem, przekrzywił głowę i przeszył ją gorącym spojrzeniem.

— Pani jest bardzo ładna — powiedział. — Ma pani męża?

— Nie — odrzekła. Poruszyła lekko głową, chcąc rozluźnić mięśnie szyi, i cały czas modliła się, żeby nie wyczuł jej strachu. Oczywiście, myślała, on ma to w oczach. W tych wielkich, ciemnych, osłoniętych długimi rzęsami ślepiach kipiała prawdziwa furia. — Mieszkam sama, z psem. Lubisz psy?

— No, jasne — odparł, zbity z tropu nagłą zmianą tematu. — Wszyscy lubią psy.

Anna obdarzyła go niewinnym uśmiechem.

— Mam owczarka alzackiego. Wiesz, z tych dużych. Powiadają, że człowiek jest taki, jakiego ma psa. — Położyła ręce na stole. — Wiesz co? Zagrajmy w taką grę, ot tak, dla zabawy. Gdybyś miał kupić sobie psa, jakiego byś wybrał?

Delvecchio znów stał się czujny.

— To jakiś test? Nie lubię testów.

— Nie — zapewniła go szybko. — Maglujemy tę sprawę od godziny, więc pomyślałam, że warto zrobić przerwę. No, wiesz, jak w szkole.

— Niedługo chodziłem do szkoły — powiedział, uciekając wzrokiem w bok.

— Boże, wylali cię?

— Nie — odrzekł i oczy mu zwilgotniały. — Nie miałem butów.

— Tak mi przykro, Randy. — Naprawdę mu współczuła, bo widziała, że Delvecchio z trudem powstrzymuje łzy. Nawet najgorsi zbrodniarze miewali chwile słabości, a gdy dostrzegała w przestępcy dziecko, jakim niegdyś był, zawsze ogarniał ją głęboki smutek. Czy siedziałby tu, gdyby ktoś dał mu wtedy parę butów? — Posłuchaj, zapomnij o przeszłości i zagrajmy w tę grę. No więc, gdybyś miał kupić psa, jakiego byś wybrał?

Delvecchio zmrużył oczy, ale zaraz się odprężył.

— Na pewno nie takiego małego kundla z kokardką na szyi. Takie gryzą. Są kurewsko złośliwe. — Zwiesił głowę i rozmasował sobie kark.

— Naprawdę? — spytała z przyklejonym uśmiechem. Była blisko, coraz bliżej. — Właśnie taki kiedyś mnie ugryzł. Chcesz zobaczyć?

— Pewnie. — Był zaciekawiony, dał się w to wciągnąć.

Odsunęła krzesło od stołu i podciągnęła spódnicę.

— Widzisz? Tutaj. — Dotknęła palcem nie istniejącej blizny na udzie. — To był pudel miniatúrka. Zatopił we mnie kły aż miło. Widzisz tę szramę? Chryste, o mało go nie zabiłam. Skopałam ścierwo, że hej. — Zanim zdążył się przyjrzeć, szybko złączyła nogi i obciągnęła spódnicę. Owszem, próbował coś zobaczyć, ale nie to, co mu pokazywała. Znacznie bardziej interesowały go jej długie nogi i to, co się między nimi kryło.

Wprowadzony w tak intymne sekrety, ożywił się jak dziecko. Podwinął rękawy i napiął bicepsy, żeby zrobić na niej wrażenie. Był podniecony, wyraźnie to widziała. Siedział tam, zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niej, i pewnie wyobrażał sobie tę radochę w chwili, gdy zacisnąłby swoje wielkie łapska na jej szyi i ją udusił. Owszem, prowokujące widoczki brały Randy'ego, ale seks jako taki na pewno go nie bawił. Delvecchio był gwałcicielem i mordercą. Tym, co go ekscytowało, co podniecało go do utraty samokontroli, było okrucieństwo i zastraszenie ofiary. Nie, coś takiego jak seks nie istniało dla niego.

Zaśmiał się jej w twarz.

— Ale jaja! Mnie też ugryzł pudel. Tutaj, w kostkę. — Podwinął nogawkę workowatego kombinezonu, odsłaniając muskularną łydkę. — Bolało jak sto sukinsynów. Nienawidzę tych głupich kurdupli.

— Białe czy czarne? Słyszałam, że białe są bardziej złośliwe. Ten mój był biały.

— Racja. — Uśmiechnął się szeroko, pokazując krzywe zęby. — Białe są najzacieklejsze. Mój też był biały i chyba miał czerwoną kokardę na szyi. Może to ten sam?

Anna odchyliła się na krzesło i po raz pierwszy od chwili wejścia do sali przesłuchań obdarzyła go szczerym uśmiechem. Zmarnowała godzinę, siedząc w duchocie naprzeciwko niebezpiecznego zwierzęcia, ale wyciągnęła z niego to, co chciała. Dalsza rozmowa była bez znaczenia, mogła dokończyć ją później. Wstała, przystawiła krzesło.

— Na dziś wystarczy, Randy. Widzisz? Obeszło się bez bólu. Odezwę się za kilka dni.

Na jego twarzy zagościła rozpacz.

— Niech pani zaczeka. Nie powiedziałem pani najważniejszego.

— To znaczy? — Wcisnęła guzik. Dowiedziała się, czego chciała się dowiedzieć, i pragnęła jak najszybciej stamtąd uciec. Była dalej od tego zbrojenia. Patrzył jej w oczy.

— Jestem niewinny. Nie zgwałciłem tych kobiet. W życiu nikogo nie zgwałciłem. Nie jestem gwałcicielem. Kobiety mnie kochają. Nie muszę brać ich siłą.

No, jasne — pomyślała, zdecydowawszy, że na taką deklarację nie warto odpowiadać. W więzieniach siedzą sami niewinni. Gdy tylko strażnik otworzył drzwi, wybiegła na korytarz.

Wróciła do biura i natychmiast zadzwoniła do Tommy'ego Reeda. Powiedziano jej, że jest w terenie, więc poprosiła, by przekazali mu przez radio, że czeka na niego w domu.

Wiadomość zastała detektywa zaledwie kilka przecznic od miejsca, gdzie mieszkała, tak że gdy dotarła do domu, właśnie parkował przy krawężniku. Anna wyskoczyła z samochodu, podbiegła do jego wozu i z twarzą zaczerwienioną z podniecenia zawołała:

— Mam go!

— Kogo?

— Delvecchia.

— Jakim cudem?

— Ugryzł go pies. Przyznał, że ugryzł go pies.

Oczy mu rozbłysły.

— Poważnie?

— Poważnie, zeznam to pod przysięgą, a jestem wiarygodnym świadkiem. Pokazał mi nawet bliznę, powiedział, że to był pudel miniaturowy, biały pudel z czerwoną kokardą na szyi. Mówi ci to coś? Blizna jest na kostce.

— Anno, jest od cholery biały pudel z czerwonymi kokardami — odrzekł sceptycznie. — Powiem ci coś jeszcze. Zaraz po aresztowaniu obejrzelśmy każdy centymetr kwadratowy jego ciała. Przysięgał, że spadł z motocykla, stąd ta szrama na kostce. Jego matka to poświadczyła. — Reed wysiadł, zatrzasnął drzwi i oparł się o samochód. — Poza tym te zabójstwa wydarzyły się ponad rok temu. Rana od ugryzienia zdążyłaby się już dawno zagoić, chyba że pies zdrowo go poharatał. — Cmoknął cicho. Mimo wątpliwości wyraźnie chciał, żeby Anna miała rację. — Naprawdę powiedział, że ugryzł go pudel?

— Przecież ci mówię. — Adrenalina buzowała w niej jak narkotyk. — Przyznał, że bliznę na kostce ma od ugryzienia przez psa.

Jedna z ofiar — staruszka z sześciorgiem wnuków — miała pudla miniaturowego. Uduśono go podczas zbrodniczego napadu na właścicielkę. Anna przestudowała raporty policyjne i doszła do wniosku, że pies zaatakował mordercę, a ten dostał szału i udusił go. Reed oraz inni detektywi zajmujący się sprawą byli innego zdania. Uważali, że psa udusono najpierw, żeby nie zaczął szczekać i nie ściągnął do domu policji. Lecz Anna знаła się na psach i wiedziała, że pudle, zwłaszcza te rozpieszczone, które długo mieszkają z jednym właścicielem — jak w przypadku zamordowanej staruszki — nabywały dość paskudnych zwyczajów i często podgryzały obcych. Jeśli na

kostce Delvecchia została trwała blizna — a przecież została — spece z laboratorium mogli ustalić, czy pochodzi ona od ugryzienia, czy nie. Anna potrzebowała tylko konkretnego dowodu rzeczowego, który wykazałby, że Delvecchio miał związek z morderstwem, i wytoczyliby mu proces.

— Posłuchaj, Tommy. Wiem, że siusiam pod wiatr, ale proszę cię, zapisz to i prześlij Glenowi. On chce tego bydlaka usadzić. Pewnie jeszcze o tym nie wiesz, ale dziś rano umarła Estella Summer. Nie mam pojęcia, ile są warte jej zeznania, ale jeśli sąd odrzuci oskarżenie o gwałt, Delvecchio znajdzie się wkrótce na wolności.

— Umarła, biedaczka... — Reed potarł policzek. — Kiepska sprawa. Zdążyła złożyć zeznania?

— Nie wiem. Posłuchaj. Niech ktoś z laboratorium pojedzie do aresztu, zdejmie odcisk tej blizny i sprawdzi, czy to od ugryzienia. Ale najpierw mnie uprzedź, bo muszę tam wrócić i dokończyć przesłuchanie. Jak Delvecchio odkryje, że go podpuściłam, nie zechce gadać, może mnie nawet zaatakować. — Spojrzała w stronę domu i zobaczyła, że ktoś otwiera drzwi. Dawid. Pewnie obserwował ich z okna i chciał się dowiedzieć, o czym rozmawiają.

— Co się stało z tym psem? — spytała.

— A skąd mam, do diabła, wiedzieć? Pewnie zabrali go ci ze służby sanitarnej. Zabrali i spalili.

Anna była poirytowana, ale próbowała nad sobą panować. Zaczekała, aż Dawid pojdzie do krawężnika, gdzie stali, i wzięła go w ramiona.

— Jak się masz, kochanie. Zostaw nas na chwilę samych, a zaraz do ciebie przyjdę, zgoda?

— Dlaczego nie mogę posłuchać? — zaprotestował, spoglądając to na nią, to na Reeda. — O czym rozmawiacie?

— Wracaj do domu, skarbie. — Pomachała mu ręką. — Rozmawiamy o sprawach służbowych. Wiesz, że nie lubię, jak tego słuchasz.

Na pucołowatej twarzy Dawida zagościł podstępny uśmiezek.

— No, to pójde obejrzeć dziennik. Jakiś facet obciął dzieciakowi głowę i chyba pokazują to w telewizji.

Anna była tak zaszokowana, że rozdziawiła usta. Dawid zachichotał.

— Tylko żartowałem, mamó.

— Dzięki Bogu — wyszeptała z ulgą. Brakowało im tylko kolejnego szaleńca. — Idź, kochanie. Zacznij odrabiać lekcje.

Niechętnie poczłapał do domu.

W tej samej chwili przejechał koło nich rozklekotany Ford i kierowca pomachał jej ręką. Sąsiad. Sąsiedztwo jest miłe, pomyślała, choć niebogate. Domy były stare, małe. Jej dom pomalowano na beżowo i ozdobiono gipsowymi gzymsami i fryzami, a we fron-

tową ścianę wbudowano wielkie okno. Przed domem rosła olbrzymia sekwoja, która w upalne dni dawała dużo cienia. Podwórze zarosło trawą, bo Anna zwykle kosiła ją sama, a od chwili wypadku nie mogła tego robić. Kazała Dawidowi zagrabić liście, ale nie pozwalała mu jeszcze kosić; pewnie była zbyt opiekuńcza. Reed też zauważył, że trawnik jest zaniedbany, i zawstydzził się. Już dawno powinien był zaoferować jej pomoc przy tego rodzaju pracach.

— Skoszę ją w ten weekend — powiedział. — Przepraszam, że nie...

Przerwała mu. Trawę miała gdzieś, bo cały czas myślała o sprawie Delvecchia. Niewykluczone, że znalazła ogniwo łączące go z morderstwami, a Reed oświadcza jej, że najważniejszy dowód rzeczowy szlag trafił.

— Tommy, żeby ci z laboratorium sprawdzili, czy blizna na kostce Delvecchia pochodzi od ugryzienia, musisz znaleźć tego cholernego psa — powiedziała sfrustrowana. — Może leży w chłodni? Przecież to dowód rzeczowy, prawda?

— Jezu, to było ponad rok temu — powtórzył, przechodząc do defensywy. — Nawet jeśli masz rację, bardzo wątpię, czy spece z laboratorium dadzą radę to udowodnić, no, a pomysł, żeby szukać pudła w chłodni, to po prostu mrzonki. Mówiłem już, nie mam zielonego pojęcia, co się z nim stało.

— No, to musisz się tego dowiedzieć — nalegała, trącając nogą ślimaka; spadł z krawężnika na jezdnię.

— Nie zaczynaj z nim, Anno. Chryste, nie zaczynaj z Delvecchiem, bo to niebezpieczny typ, to... potwór.

— Delvecchio siedzi w więzieniu, Tommy, i nieprędko stamtąd wyjdzie. Zaufaj mi, jak z nim skończę, dostanie za te gwałty całą pajdę. A jeśli dołożymy mu cztery sprawy za morderstwo, nie będzie już żadnego Delvecchia. Posiedzi tyle lat, że jak go zwolnią, nie będzie mógł chodzić o własnych siłach, nie wspominając już o gwałceniu i katowaniu staruszek. Zobaczysz, wywożą tego bydlaka na wózku inwalidzkim.

— Daj temu spokój, do cholery! — wybuchnął Reed. — Słyszysz? Daj temu spokój, Anno!

Wydęła usta.

— Nie — odrzekła z uporem. — Znajdź psa.

— Oberwiesz, dziewczyno, nieraz to mówiłem. Wróć, poprawka. Już oberwałeś. Postrzelili cię, a następnym razem cię zabiją.

Anna milczała. Drgała jej górna warga. Fakt, Tommy powtarzał jej od lat, że manipulowanie groźnymi przestępcami kiedyś się na niej zemści, że pewnego dnia któryś z nich da nogę z więzienia i dopadnie ją. Czyżby miał rację?

— Chcesz, to zabiorę Dawida na kolację — zaproponował. — Musisz trochę odpocząć. Wyglądasz jak z krzyża zdjęta. Nie powinnaś była wracać tak szybko do pracy.

Słońce już zaszło. Zapadł zmrok, pochłodziło. Anna skrzyżowała ciasno ramiona na piersiach; nie mogła przestać myśleć o Estelli Summer. Tak, to, co robiła, było bardzo

niebezpieczne, ale nie zważała na to. Bo czyż miała inne wyjście? Czyż mogła odwrócić się na pięcie i tak po prostu odejść? Przecież ktoś musiał za nich mówić, za nich, za ludzi takich jak Estella, za tych, którzy mówić już nie mogli.

— Dawid zje w domu — odpowiedziała twardo. — Ale wiesz, co możesz dla mnie zrobić, prawda?

Spojrzał na nią wilkiem.

— Nie, ale na pewno zaraz mi powiesz.

Zarzuciła mu ręce na szyję, uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. Zanim zwolniła uścisk, przyciągnęła jego głowę i szepnęła mu do ucha:

— Znajdź tego przekłętego psa.

Rozdział 6

Była tak wyczerpana pierwszym dniem pracy, że zaraz po kolacji padła na łóżko i spała aż do rana. Zerknąwszy na kuchenny kalendarz, przypomniała sobie, że ma tego dnia wizytę u lekarza. Szwy już jej zdjął, ale nalegał na przeprowadzenie dodatkowych badań.

Wykręciła domowy numer Claudette, uprzedziła ją, że się spóźni, i wrzasnęła na Dawida:

— Pospiesz się! Spóźnisz się do szkoły!

— Kiedy zdycham z głodu — marudził. — Nie jadłem śniadania. — I nagle rozpromienił się. — Po drodze kupimy pączki, dobra?

Anna podparła się pod boki. Ja ci dam pączki — pomyślała, patrząc na jego wystający brzuch.

— Wykluczone. Mogę ci kupić bułeczkę z otrębami.

— Nie chcę otrębów — jęknął, wychodząc za nią przez kuchnię do garażu. Im bliżej okresu dojrzewania, tym bardziej zmieniał mu się głos. To piał sopranem, to dudnił barytonem. — Po otrębach cały dzień psuję powietrze.

— No, to jagodziankę — zaproponowała ze śmiechem.

Wyszła od lekarza o jedenastej. Wyniki badań były zadowalające. Rana goiła się i wszystko wskazywało na to, że blizna będzie bardzo mała. Jadąc do biura, zastanawiała się, dlaczego Glen nie zadzwonił do niej poprzedniego wieczoru. Do tej pory musiano mu już donieść o śmierci Estelli Summer. Może wiadomość go przybiła i poszedł z przyjaciółmi na kilka głębszych?

Jechała autostradą numer 101, gdy nagle ruch zamarł. Zaraz potem usłyszała zawodzenie syren i domyśliła się, że doszło do jakiegoś wypadku. Niecierpliwie spojrzała na zegarek — w biurze czekała na nią robota. I wtedy przypomniała sobie o Jimmym Sawyerze. Poprzedniego dnia jego sprawa zupełnie wyleciała jej z głowy. Przecież chciała sprawdzić, czy brał narkotyki. Skręciła na pobocze, ominęła sznur samochodów i zjechała z autostrady.

Dziesięć minut później zaparkowała przed skromnym, nienowym już domem. Frontowe drzwi ocieniało hakowate zadaszenie, a prowadzącą do nich ścieżkę obsadzono krzewami róż. Okoliczne domy ze świeżo odmalowanymi ścianami i wypielęgnowanymi ogródkami przypominały jej dzielnicę, w której mieszkała, tylko że tam domy były starsze i w gorszym stanie.

A więc to tutaj mieszka Jimmy Sawyer. Mamusia i tatuś mieli synka dość i wyrzucili go. Pasuje — pomyślała, wysiadając z samochodu i zamykając drzwi. O czymś sobie przypominała: w aktach sprawy wyczytała, że Jimmy wynajmuje dom wraz z dwoma kolegami. Zastanawiała się, czy są to ci dwaj młodzi mężczyźni, których widziała na rozprawie — Chińczyk i blondyn wyglądający na gwiazdora filmowego. Jeśli Sawyer miał do czynienia z narkotykami, tamci dwaj też maczali w tym palce. Wzruszyła ramionami. Nic nie mogła im zrobić. Otworzyła aktówkę, wyjęła z niej papierowy kubeczek na próbki oraz gumowe rękawiczki i przełożyła to wszystko do torebki.

Podeszła do drzwi i zadzwoniła. Czekając, aż ktoś otworzy, stwierdziła, że róże, które z ulicy wyglądały tak wspaniale, są zbrązowiałe i za mocno rozkrzewione. Zniecierpliwiona, chciała zajrzeć przez okno, ale wszystkie były zasłonięte czymś, co przypominało koce.

W końcu zauważyła, że drzwi są lekko uchylone. Otworzyła je szerzej i krzyknęła:
— Jest tu ktoś?!

Odpowiedziała jej cisza. Stojąc w progu, widziała salonik ze zniszczoną sofą i dużymi kartonowymi pudłami, w jakich przewozi się rzeczy podczas przeprowadzki. Cóż, z drugiej strony, nie są żonaci — pomyślała, przypominając sobie, jak wyglądał kawalerski dom Hanka, gdzie stało tylko kilka mebli.

— Czy jest tu ktoś? — powtórzyła. — Na podjeździe widziała niebieskiego Porsche, więc Jimmy musiał być w domu. Może przyjechałam w samą porę — myślała, mierząc wzrokiem pudła. Może Sawyer chce ująć sprawiedliwości, wyjechać do innego stanu, co byłoby ewidentnym pogwałceniem warunków dozoru sądowego. Weszła do środka.

Przeszła przez salonik i zajrzała do sypialń. Oprócz śmieci i drobiazgów, wałających się na dywanie, nie znalazła w nich nic — pokoje były puste. Wyglądało na to, że pusty jest cały dom — Sawyer wyparował.

Kuchnia przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Podłoga była brudna, a wyściełającą ją linoleum upstrzone wypalonymi dziurami. Przyjrzała się im dokładniej. Czyżby

gotowali tu makiwarę? Otworzyła lodówkę i zajrzała do środka. Nie byłaby to pierwsza lodówka, w której przechowywano LSD; kiedyś znalazła tabletki kwasu zamrożone w kostkach lodu. Przez chwilę po prostu stała, delektując się chłodem. Wszystkie okna były zamknięte i w domu panował upał.

W zamrażalniku utworzyła się gruba warstwa lodu, bardziej żółtawego niż białego. Albo od miesięcy lodówki nie otwierano, albo nastawiono ją na maksymalne mrożenie. Gdy próbowała odłupać trochę lodu, zauważyła pięć puszek piwa Miller Light, a za rzędem słoików z ogórkami konserwowymi mignęła jej puszka coli. Piwo i ogórki. Co za dieta!

Cola wyglądała kusząco; w domu panowała duchota i Annie zaschło w gardle. Żeby się do niej dostać — lodówka była bardzo mała i zapchana — musiała wyjąć puszki z piwem, słoiki z ogórkami i ustawić wszystko na stole, ale jakoś ją wreszcie wyciągnęła. Otarła wierzch, podważyła metalowy języczek i z puszki wystrzeliła zimna, spieniona struga.

— Cholera jasna — mruknęła Anna, rozglądając się za papierowym ręcznikiem. Na stole zobaczyła szmatkę. Opłukała nad zlewem ręce, wytarła je i odwróciła się, chcąc wstawić do lodówki to, co z niej wyjęła. Podniosła słoik z ogórkami i wtedy zauważyła coś dziwnego. Co też to może być? Początkowo myślała, że to pędy białych szparagów. Widziała takie rzeczy w delikatesach.

Gdy zdała sobie sprawę, na co patrzy, mimowolnie rozwarła dłoń i słoik roztrzaskał się na podłodze, zalewając linoleum gęstą, brązowozielonkawą cieczą. W cieczy leżały... palce.

Ludzkie palce. Tak, u jej stóp leżały odcięte palce: kciuk, mały palec, palec wskazujący, serdeczny i środkowy. Anna czuła, że w gardle narasta jej dławiąca gęsia skórka, że serce wali jej w piersi jak oszalałe. Ukucnęła, żeby się im lepiej przyjrzeć. Paznokcie były pomalowane. Nie wiadomo, na jaki kolor, bo lakier wyblakł, zmieniając barwę na jasnopomarańczową. W miejscach, gdzie warstwę lakieru nadgryzł kwas ogórkowy, lakier odpadł, odsłaniając biały paznokieć. Anna nie miała zamiaru podnosić palców ani ich dotykać. Wiedziała, że na miejscu przestępstwa nie wolno niczego ruszać. Skłęła siebie w duchu za to, że upuściła słoik. Spece od daktyloskopii mogli co prawda zbadać nawet najdrobniejsze fragmenty szkła, więc może tak bardzo nie narozrabiała.

Poszukała telefonu, ale znalazła tylko puste gniazdko. Będzie musiała zadzwonić z budki. Popędziła do drzwi, otworzyła je na oścież i zbiegła po schodach. Gnała przed siebie prawie na oślep. Przed oczyma miała tylko jedno: koszarne palce rozrzucone na brudnej podłodze.

Odwróciła się gwałtownie, bo nagle przyszło jej do głowy, że zaraz wyskoczy skądś Sawyer i zawlecze ją z powrotem do domu. Porsche wciąż stał na podjeździe — czyżby jego właściciel cały czas był tam razem z nią? Czyżby ukrywał się w jakimś zakamar-

ku? Może obciął tej kobiecie nie tylko palce, myślała, może obciął jej nogi albo ją poćwiartował. Nie, tylko nie wpadaj w panikę. Chociaż zalewał ją zimny pot, spróbowała nad sobą zapanować. Kilka razy głęboko odetchnęła i rozdygotana otworzyła kluczykiem drzwi samochodu.

Człowiek, który uratował jej życie, był potworem lubiącym obcinać ludziom palce i przechowywać je w słoikach z sokiem ogórkowym. Glen miał rację. To Sawyer do niej strzelał, to na pewno on. Nie powinna przychodzić tu sama. Idiotka z niej, kompletna kretynka.

Uruchomiła silnik, wcisnęła pedał gazu, zapiszczały opony i dżip wystrzelił przed siebie jak z katapulty; przez otwarte okno doleciał ją swąd spalonej gumy.

Jadąc w kierunku autostrady, postanowiła nie telefonować. Od gmachu policji dzieliło ją kilka minut drogi. Musiałaby wyrecytować tę ponurą opowieść oficerowi dyżurnemu. Połowa miasta i chyba wszystkie dzienniki prowadzące rubryki przestępstw kryminalnych dysponowały sprzętem do nasłuchu rozmów na częstotliwościach zarezerwowanych dla policji. Zanimby centrala wysłała radiowóz, przed domem Sawyera roіłoby się od reporterów. To nie najlepszy sposób na rozpoczęcie śledztwa. Mogła natrafić na coś poważnego i nie chciała popełnić błędu, który utrudniłby albo nawet uniemożliwił rozwiązanie sprawy.

Wjechała na parking przed posterunkiem, wyskoczyła z dżipa i pobiegła do wejścia. W holu siedział ktoś nowy i próbował ją zatrzymać, ale machnęła mu przed nosem legitymacją i już pędziła korytarzem prowadzącym do gabinetu Tommy'ego. Bez względu na to, jaki los spotkał kobietę, której obcięto palce, zdarzyło się to na obszarze podlegającym Reedowi i to jego grupa poprowadzi śledztwo.

Tommy wieształ marynarkę na oparciu fotela, jakby właśnie zamierzał usiąść.

— Anna? — spytał zaniepokojony. — A co ty tu robisz? Co się stało?

Rozejrzała się nerwowo po gabinecie i zobaczyła dwóch podwładnych Reeda.

— Mam coś, Tommy — wysapała. Opadła na krzesło, z trudem łapiąc oddech. — Dobrze by było, żeby Abrams i Harper też tego posłuchali. Musimy działać, i to natychmiast.

Reed przysunął fotel do biurka. Twarz mu stężała. Abrams i Harper usłyszeli, co powiedziała Anna, i podeszli bliżej.

— Wal — wychrypiął Tommy. — Czekamy.

— No, dobra — zaczęła szybko — oto co odkryłam. Jimmy Sawyer trzyma w domu ludzkie palce. Złożyłam mu nie zapowiedzianą wizytę i znalazłam je w słoiku po ogórkach.

Reed gwałtownie pobladł.

— Kurwa mać. Palce? Ludzkie palce? Pojechałaś do niego sama? Bez obstawy?

— Wiem, powinnam była zadzwonić po radiowóz, ale, Tommy, w życiu nie puszczalam, że...

— Zaczynj od początku — przerwał jej Reed, biorąc długopis i żółty notatnik.

Anna zaczerpnęła powietrza.

— Dobrze. Nikogo tam nie było, ale jego samochód stał na podjeździe. Sawyer jeździ Porschem, prawda? Tak mówiłeś. — Spojrzała na Abramsa.

Abrams kiwnął głową.

— Mów dalej.

— Zniknęły prawie wszystkie meble i rzeczy. Wygląda na to, że on chce zwiać. Ale na pewno wróci po samochód, więc jeśli się pospieszymy...

Abrams już wstawał z krzesła.

— Zaczekaj, Noah, pozwól mi dokończyć. Zobaczyłam, że drzwi są nie domknięte, i weszłam do środka. Rozejrzałam się trochę i tuż przed wyjściem postanowiłam otworzyć lodówkę, żeby sprawdzić, czy Sawyer nie trzyma tam prochów. Zobaczyłam w niej słoje z ogórkami... — Urwała. Patrzyli na nią dziwnym wzrokiem. Nagle zdała sobie sprawę, że jej opowieść brzmi co najmniej dziwacznie. Popatrzyła na detektywów i twardym, stanowczym głosem mówiła dalej: — W jednym ze słoików było pięć ludzkich palców. Kobięcych, z pomalowanymi paznokciami.

— Zabrałaś je? — spytał Reed.

— Upuściłam słoik. Rozbił się i palce wypadły na podłogę — wyznała, płonąca z upokorzenia. Dlaczego upuściła ten cholerny słoik?! — Nie chciałam jeszcze bardziej zacierać śladów, więc natychmiast przyjechałam tutaj — dodała szybko, próbując ratować twarz.

Noah Abrams szybko sięgnął po marynarkę.

— Jedźmy, zanim się ich pozbędzie — rzucił krótko, zakładając uprząż z rewolwerem.

— Chwila — powstrzymał go Reed. Był sierżantem, on tu dowodził. Jeśli popełnią jakiś błąd, wina spadnie na niego. — Nie możemy tam jechać na wariata i włamywać się do jego domu. Pomyślmy, jak to wygląda od strony prawnej.

— Pomyślmy — warknął Abrams. — A tymczasem facet wrzuci te palce do kibla albo przepuści je przez maszynkę do mielenia odpadków.

— Zamknij się, do kurwy nędzy! — wrzasnął Reed i spojrzał na Annę. — Posłuchaj, jesteś zaprzysiężoną urzędniczką sądową. Możemy mieć kłopoty z rewizją i zajęciem dowodów rzeczowych.

— Sawyer jest pod dozorem — odrzekła szybko. — To nie wystarczy?

Reed pokręcił głową, analizując problem.

— Nie. O ile dobrze pamiętam, sąd dał ci prawo do rewizji tylko w celu znalezienia narkotyków, a nie do rewizji ogólnej. Możesz szukać prochów i tylko prochów. Ludzkie palce to nie narkotyki.

Anna wyrzuciła ręce w górę.

— Przecież to śmieszne!

— Kurde mol, to nie ja ustanawiam prawo, ja tylko pilnuję, żeby prawa przestrzegano. To, co tam znalazłaś, to niedopuszczalny dowód, kapewu? Każdy sąd go odrzuci.

Anna nie myślała o tych kwestiach od lat. Praca kuratora sądowego i praca policjanta to dwa zupełnie różne zajęcia. Mimo to była przekonana, że jej postępowanie mieści się w granicach prawa.

— Myślę, że sprawa jest czysta, Tommy — odrzekła. — Sąd potraktowałby to jako dowód oczywisty.

Działanie policji i jej prawo do zagarnięcia dowodu rzeczowego jest uwarunkowane dwiema doktrynami: doktryną tak zwanego dowodu oczywistego i doktryną dowodu niedopuszczalnego. Jeśli policjant zauważy coś leżącego na widoku — na przykład rewolwer na fotelu w samochodzie — może go skonfiskować jako oczywisty i dopuszczalny dowód rzeczowy. Natomiast jeśli ten sam rewolwer jest ukryty pod fotelem, a policjant nie dysponujący nakazem rewizji mimo to samochód przeszuka, sąd natychmiast taki dowód odrzuci, zgodnie z doktryną dowodu niedopuszczalnego. Sam fakt, że się w takiej chwili nad tym zastanawiali, dowodził absurdalności prawa karnego, bo okazało się, że przeszukując dom Sawyera mogli pogwałcić prawa obywatela, który obcina ludziom palce.

— Chyba trzeba to przeprowadzić przez prokuraturę — skonstatował Reed. — Słój był zamknięty w lodówce, a ty ją otworzyłaś. Trudno to nazwać dowodem oczywistym.

Lecz Abrams i Harper coraz bardziej się niecierpliwili.

— Zgarnijmy faceta, weźmy te palce i znajdziemy ciało — podsunął Noah. — Stroną prawną niech się zajmie prokurator. Od tego jest, nie?

Reed kiwnął głową, wstał, chcąc jak najszybciej rozpocząć akcję, i nagle klapnął na krzesło. Wyglądał jak balon, z którego uszło powietrze.

— Nie — mruknął. — Zadzwoń do Hopkinsa, Anno. Szlag by to trafił. Hopkins miał nosa.

— A, to na pewno. — Wykręciła numer, a gdy Glen podniósł słuchawkę, streściła mu przebieg wydarzeń i przedstawiła szczegóły. Hopkins milczał.

— Uważam, że jesteś czysta — odrzekł w końcu. — Nie poszłaś tam jako funkcjonariuszka policji. To nie było przeszukanie. Złożyłaś mu nie zapowiedzianą wizytę jako kuratorka i przypadkowo znalazłaś ludzkie palce.

Anna słuchała go uważnie. Nie pierwszy raz zwracała się do niego z prośbą o radę. Instruował ją, mówił, co powinna mówić, gdyby sprawa trafiła do sądu. Gdyby zeznała, że chciała dom przeszukać — nie mając nakazu rewizji — mogła mieć kłopoty. Tymczasem ona szukała w lodówce narkotyków, do czego miała pełne prawo. Ale to znaczyło, że musiałaby skłamać pod przysięgą.

Detektywi wbijali w nią wzrok, czekając na odpowiedź. Żeby namotać sprawę, Anna zrobiłaby wszystko, ale... Przecież to krzywoprzysięstwo.

— W takim razie musimy dostać nakaz — zdecydowała. — Wtedy się do nas nie przyczepią. Z czymś takim nie warto ryzykować.

— Dobra — odrzekł Glen. — Dyktuj. Wypełnię formularz i pójdę do sędziego Madsena. Jak tylko podpisze nakaz, przefaksuję ci kopię i przyjadę na miejsce z oryginałem. Zaczynaj. Jeśli się pospieszysz, zajmie mi to nie więcej niż piętnaście — dwadzieścia minut.

Reed stał już przy biurku Abramsa i telefonował, żeby powiadomić o akcji porucznika i kapitana. Później ściągnął paru ludzi z patrolu. Anna przerwała dyktowanie nakazu przeszukania i zerknęła na Harpera.

— Zrobisz coś dla mnie? Skocz do mego samochodu i przynieś akta Sawyera. Są mi potrzebne. To czarny džip, stoi na parkingu. Drzwi zostawiłam otwarte.

Harper wybiegł, a po chwili wrócił z żółtą teczką. Anna natychmiast ją otworzyła i przedyktowała Glenowi szczegóły: nazwisko podejrzanego, numer sprawy i jego adres na Henderson Avenue.

Hopkins dotrzymał obietnicy i po dwudziestu minutach biurowy faks zapiszczał, wypływając kopię nakazu rewizji, Anna i Reed byli tak podekscytowani, że podbiegając do stolika, omal na siebie nie wpadli. Tommy wyrwał dokument z maszyny i spojrzał na Annę wzrokiem, który mówił wszystko: „To on, to Sawyer do ciebie strzelał”. Teraz wiedzieli o tym oboje, ona i Reed. I jeśli Sawyer był jeszcze w kraju, nawet o tysiące kilometrów stąd, Tommy go znajdzie.

Samochody utworzyły kawalkadę. Anna jechała z Reedem w brązowym służbowym chryslerze. Za nimi pędziły cztery czarno-białe radiowozy, furgonetka wyposażona w laboratorium oraz nie oznakowane samochody: Abramsa, Harpera, porucznika i kapitana.

— Co będzie, jeśli Sawyer wrócił po swój wóz? — To pytanie gnębiło ją od pół godziny i wreszcie je z siebie wydusiła. — Kiedy wyszłam, mógł wrócić i zobaczyć rozbity słój. Jeśli będzie sprytny, wrzuci te palce do oceanu, i do widzenia.

Reed wziął ostry zakręt w prawo, aż zarzuciło tyłem samochodu. Spojrzał na Annę i przeniósł wzrok z powrotem na drogę.

— Trzeba było jechać bez nakazu.

Anna przełknęła głośno ślinę. Wiedziała. Na pewno już wszyscy o tym wiedzieli.

— Zrobiłam błąd, tak? Niepotrzebnie nalegałam, żeby zagrać zgodnie z regułami.

— Trzeba postępować zgodnie ze swoim sumieniem — odrzekł Reed, wciskając pedał gazu.

Samochód wysunął się na czoło kawalkady.

Dojechali na miejsce i zaparkowali na końcu Henderson Avenue. Z radiowozów wysypali się policjanci. Porucznik przywołał do siebie mundurowych.

— Hilgard, Evans i Baumgarten, zadzwonicie do drzwi. Harper, Abrams i Reed, wejdziecie od podwórza. Porsche ciągle tam stoi. Podejrzany może być w domu. Kapitan i ja zajmiemy pozycje przy płotach sąsiednich posesji, bo stamtąd widać i podwórze, i frontowe drzwi. Gdy będzie próbował wiać w naszą stronę, zatrzymamy go.

Anna stała z opuszczonymi rękami. Nie miała broni. Nagle poczuła się niepotrzebna, bezradna.

Po chwili Reed pstryknął przełącznikiem przenośnej krótkofalówki i spytał, czy policjanci zajęli wyznaczone pozycje.

— Tak jest — odpowiedzieli. — Czekamy na dalsze rozkazy.

Gdy trzech mundurowych zadzwoniło do drzwi, oznajmiając, że są z policji, Reed przeskoczył przez płot i pognął na podwórze, gdzie stała wielka ciężarówka z napisem PRZEPROWADZKI na burcie.

Anna nie ruszyła się z miejsca. Z domu dobiegły ją krzyki i odgłosy szamotaniny. Po chwili w drzwiach ukazała się głowa jednego z policjantów.

— Mamy Sawyera! — krzyknął do Reeda. — Jest sam!

Tommy i pozostali detektywi weszli tylnymi drzwiami. Policjanci czekający na ulicy też wpadli do domu i w małym saloniku zrobił się tłok.

Teraz chyba moge już wejść pomyślała Anna. Gdy ruszyła do drzwi, nadjechał Glen. Zaparkował przy krawężniku i wyskoczył z samochodu, z nakazem rewizji w ręku. Za nim wysiadł Ray Hernandez, śledczy z biura prokuratora okręgowego.

Glen spojrzał na Annę.

— Co się dzieje? — spytał.

— Mają Sawyera.

We troje przekroczyli próg domu i weszli do zatłoczonego saloniku. Kątem oka zauważyła Harpera, który wyprowadzał skutego Sawyera drzwiami od podwórza. Glen szybko poszedł za nimi.

— Gdzie są te kurewskie palce?! — ryknął Reed nad morzem głów. Miał czerwona, spoconą twarz. W domu było gorąco jak w piecu. Zaczął rozpychać policjantów. — Ty i ty — rzekł, wskazując mundurowych. — Wyjdźcie, tu nie ma czym oddychać. — W końcu dotarł do wejścia. — Gdzie są te palce? — spytał Anny.

— W kuchni. Leżą na podłodze.

— Tam nie ma żadnych palców — odrzekł rozdrażniony.

Tłum ludzi zaczął się przelewać w stronę kuchni.

— Tam. — Musiała stanąć na palcach, żeby cokolwiek zobaczyć nad ich głowami. — Wyjęłam słoje z lodówki i upuściłam go. Kiedy wychodziłam, palce leżały na podłodze. Było ich pięć.

Mocno pracując łokciami, przepchnęli się do lodówki. Reed zaczął wyjmować z niej puszkę piwa i stawiać je z trzaskiem na stole. Wreszcie zobaczył słoje z ogórkami i spytał:

— To ten?

— Jeden z nich. — Oczywiście to nie ten słoje upuściła, ale jego zawartość wyglądała podobnie. Skoro w jednym słoju było pięć palców, w drugim mogło być pozostałych pięć. — Tak — dodała — to Vlastic, no wiesz, nazwa ogórków. Słoje ogórków Vlasica. Były dwa. To jest ten drugi.

— Gdzie są ci z laboratorium?! — wrzasnął Reed. Naciągnął białe gumowe rękawiczki, ostrożnie wyjął słoje z lodówki i podniósł go do światła.

— Pokaż, Tommy! — zawołała Anna, chociaż zdążyła już spostrzec, że zawartość słoja wygląda zupełnie inaczej. — Sok jest bardzo mętny... — Przysunęła się bliżej, żeby lepiej widzieć. — Otwórz go. Ja też początkowo myślałam, że to ogórki albo pędy białych szparagów, czy coś w tym rodzaju.

W kuchni zapadła cisza. Annie zakręciło się w głowie, zemdlilo ją i czuła, że jeszcze trochę, a zwymiotuje. Tommy odkręcił wieczko i wetknął do słoika dwa palce. Wstrzymała oddech. Patrzyła i czekała. Reed wyjął coś ze słoja i powąchał. Oparł się o stół, spojrzał na Annę, wetknął to coś do ust i odgryzł spory kawał. Jak na komendę wszyscy głośno wciągnęli powietrze w płuca.

— Ogóreczki — oznajmił Tommy, wypluwając na dłoń kawałek zwykłego ogórka. — Koniec przedstawienia. Opuścić pomieszczenie! Zostaje tylko ekipa daktyloskopijna i laboratoryjna. Ogórki, panowie, zwyczajne ogórki. To chyba fałszywy alarm.

Anna wbiła wzrok w podłogę, zbyt zażenowana, by spojrzeć ludziom w oczy. I nagle zauważyła, że podłoga jest czysta, czyściutka, a nie brudna, jak przedtem.

— Tu leżały ludzkie palce, Tommy — powiedziała ze spuszczoną głową. — Na miłość boską, potrafię odróżnić ludzkie palce od ogórków. Wrócił i pozbył się ich.

Reed milczał, mimo to miał zastrzeżenia. Od chwili gdy Annę postrzelono, nawięzły ją koszmary, mogła więc wyciągnąć błędne wnioski. Była tu sama, wiedząc, że i Hopkins, i on, Reed, podejrzewają Sawyera o dokonanie zamachu na jej życie. Zauważywszy w słoju coś, co nie przypominało ogórków konserwowych, po prostu spanikowała. Detektyw wiedział, że ludzki umysł potrafi płać dziwne figle, zwłaszcza w stresie. W krytycznych chwilach najbardziej doświadczeni policjanci popełniali poważne błędy. Nie ustrzegł się ich nawet on.

— Posłuchaj, Tommy — mówiła szybko Anna. Przedtem podłoga była brudna. A teraz? Jest czysta. Na pewno wrócił do domu, zobaczył palce, pozbył się ich i wytarł podłogę. Nie sprawdzą tego? Nie będą szukać śladów? Powinni dokładnie zbadać podłogę. Znajdą resztki płynu ze słoja, a w płynie mogą być ślady krwi, które na pewno dadzą się zidentyfikować. No i fragmenty szkła... Powinny tu być odpryski szkła. Byłyby dowodem na to, że mówię prawdę.

Sierżant rozważał to chwilę. Rzeczywiście, podłoga była czysta, podczas gdy w całym domu panował straszliwy bałagan.

— Przeczeszemy całą chałupę — zdecydował. — Zbierzemy wszystko, co się da, i wyślemy do laboratorium. Twarz mu złagodniała. — Nigdy nie wiadomo, może coś znajdziemy. Myślę, że Sawyer i jego kumple handlowali narkotykami. Niewykluczone, że sami je wytwarzali. — Urwał i spojrzał na nią ponuro.

Handlarze często sami wytwarzali narkotyki, zwłaszcza kwas, czyli LSD, oraz amfetaminę. Domowe laboratoria wyrastały dosłownie wszędzie jak grzyby po deszczu.

— Kiedy aresztowaliśmy go pierwszy raz, miał przy sobie cały listek wysokogatunkowego LSD i kopertę pełną amfetaminy. Ci od narkotyków twierdzą, że ostatnio pojawiło się tego od groma, że dzieciaki ze szkół średnich obżerają się tym jak cukierkami. Przypuszczam, że towar pochodził właśnie stąd, z tego domu.

— Myślisz, że mieli tu laboratorium? — spytała. Zauważyła, że Glen już wrócił i że ku nim zmierza.

— Jak tylko Hopkins zaczął podejrzewać, że to Sawyer cię postrzelił, zaczęliśmy faceta sprawdzać — odrzekł Reed, przenosząc wzrok na zastępcę prokuratora okręgowego. — To, co o nim wiemy, wskazywałoby, że założyli tu małą wytwórnię.

Coraz bardziej rozsierdzona Anna spojrzała na Tommy'ego, potem na Glena.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? — spytała. — Sąd oddał mi go pod dozór, fakt, ale to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego do mnie strzelał.

— Owszem, wyjaśnia — odparł beznamiętnie detektyw. — Strzelał do ciebie, bo chciał cię powstrzymać od tego, co zrobiłaś dzisiaj: od niezapowiedzianej wizyty, podczas której mogłabyś przyłapać ich na gorącym uczynku. — Reed westchnął i rozczarowany pochylił ramiona. — Wygląda na to, że przenieśli laboratorium gdzie indziej. Widziałaś tę ciężarówkę na podwórzu? Sawyer przyjechał prawdopodobnie po ostatnie pudła, może po lodówkę. Ale głowę daję, że w pudłach nie ma nic interesującego.

Anna nie mogła w to uwierzyć. Oni mówili o nielegalnym laboratorium, tymczasem jej chodziło o życie człowieka.

— Co z tymi palcami? — spytała. — Ja je widziałam, Reed. Nie jestem kretynką, wiem, jak wygląda ludzki palec. — Spojrzała na niego wyzywająco.

— Bez osobnego nakazu nie możecie przeszukać ciężarówki — wtrącił szybko Glen. — Ten, który przywiozłem, dotyczy tylko domu.

— Posłuchaj pan — syknął Reed, wykrzywiając z niesmakiem usta. — Wiem, że ma pan opory, ale jeśli ta kobieta, której obcięto palce, żyje, jeśli leży w tej ciężarówce i wykrwawia się na śmierć, to co? Jeśli Anna naprawdę coś widziała? Co wtedy?

Hopkins chwycił go za ramię, ale rozsierdzony detektyw wyszarpnął się.

— Nie podchodź do tej ciężarówki bez nakazu, Reed — warknął zastępca prokuratora okręgowego. — Słyszysz? Jeśli to zrobisz, nie będziecie mogli wykorzystać w sądzie nic, co w niej znajdziecie. Jasne? Zaczekaj, aż załatwimy to jak trzeba i zdobędziemy drugi nakaz. Czy musisz coś jeszcze dodawać?

— Pan tu jest prokuratorem, nie ja — prychnął sierżant.

— Chodź, Anno. Podwiozę cię do sądu — zaproponował Glen.

— Nie teraz — odrzekła, nie spuszczając oczu z twarzy detektywa. — Myślisz, że to sobie wydumałam, Tommy? Powiedz. No, powiedz, chcę to usłyszeć z twoich ust.

Ale Reed tylko wzruszył ramionami.

— Gdzie Sawyer?! — wrzasnął w stronę saloniku.

— Z Harperem! — odkrzyknął niewidoczny Abrams.

— Ja te palce widziałam, Tommy.

— Nie powiedziałem, że ci nie wierzę, złotko — odrzekł cicho detektyw. — Ale teraz nie ma tu żadnych palców.

— Musiał się ich pozbyć, zanim dojechaliśmy — tłumaczyła, zaczerwieniona z gniewu. — Przecież mówiłam: wróci i pozbędzie się ich. Mówiłam czy nie?

Reed chciał jak najszybciej wyjść i przepytac Sawyera. Tak czy inaczej, musieli ustąpić miejsca ekipie laboratoryjnej, bo czas uciekał. Zbyt długo pracował w policji, żeby beczynn timer siedzieć i przeżuwać w myśli to, co powinni, a czego nie powinni byli robić.

— Posłuchaj, Anno. Jak tylko chłopcy zaczną robotę, przewieziemy Sawyera na posterunek. Pozwolę ci wziąć udział w przesłuchaniu.

— Dobrze — odrzekła, patrząc, jak znika w saloniku.

No, dalej, myślała, śmiało! Robisz ze mnie durnia, wystawiasz mnie na pośmiewisko, a na osłodę rzucasz mi kość, jak parszywemu psu. A więc to tak. To ona jest wszystkim winna. Czy to dlatego Reed jest taki nabuzowany? Dlatego ją lekceważy? Wini ją za to, że nie posłuchała rady Glena i nie nagięła faktów, by ułatwić sobie sprawę? A może po prostu myśli, że jest rozhisteryzowaną babą, która nie wie, co widziała?

Tak czy inaczej, Anna kipiała z gniewu.

Poinstruowawszy policjantów, którzy mieli przepytac sąsiadów i dowiedziec się czegoś o mieszkańcach domu przy Henderson 875, Tommy Reed wrócił na posterunek sam.

Objechał budynek, zaparkował i znieruchomiał za kierownicą, gapiąc się w przednią szybę. Słońce wisiało nad horyzontem niczym wielka pomarańcza i niebo rozgorzało jaskrawymi kolorami.

Spuścił wzrok i zaczął analizować szczegóły sprawy. Będą musieli załatwić nakazy i zgarnąć kumpli Sawyera. Problem tylko w tym, na jakiej podstawie. Jeśli ekipa laboratoryjna przeszuka dom oraz stojące w saloniku pudła i nie znajdzie ani śladu narkotyków, wytrzaśnięcie nakazu aresztowania dla pomagierów Sawyera będzie graniczyło z niemożliwością.

— Szlag by to trafił — mruknał i wysiadł z samochodu.

Gdy wszedł do gabinetu, Anna zerwała się na równe nogi; czekała przy jego biurku.

— Gdzie Sawyer? — spytała.

— Już go wiozą.

— Tommy, to były kobiece palce. Widziałam na nich ślady lakieru do paznokci. Musimy sprawdzić w dziale osób zaginionych, może coś mają.

Reed zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu fotela.

— Anno, nawet jeśli znajdziemy meldunek o zaginięciu jakiejś kobiety, to co nam to da? Jedynym dowodem na potwierdzenie twojej tezy byłoby znalezienie trupa bez palców.

Anna była wkurzona i sierżant dobrze o tym wiedział. Wystarczyło tylko na nią spojrzeć: ręce założone na piersiach, wysoko uniesiony podbródek, zdecydowane spojrzenie. W odpowiedzi posłał jej spojrzenie mówiące: „Liczą się tylko fakty”. Chciał jej pokazać, że on jest detektywem, a ona tylko kuratorką sądową.

— Potem trzeba sprawdzić wszystkie kostnice — nalegała. — I meldunki o zaginięciu kobiet w Venturze i Los Angeles.

Reed pochylił się nad biurkiem i zapisując coś w notatniku, odrzekł:

— W Los Angeles codziennie zgłaszane są zaginięcia około dwudziestu pięciu osób. Policja większość meldunków olewa. Nawet ich nie odnotowuje. — Pisał dalej, nie zwracając na nią uwagi.

Kilka minut później do gabinetu wszedł policjant, prowadząc za sobą Sawyera.

— Co z nim zrobić? — spytał.

Sierżant kazał odprowadzić Sawyera do sali przesłuchań, a sam, wezwany przez kapitana, przeszedł do pokoju za przeszkloną ścianą. Anna musiała poczekać na korytarzu. Zerknęła przez szybę i zobaczyła Glana wymachującego rękami i chodzącego nerwowo po gabinecie. Kilka razy przechwyciła ponure spojrzenie Reeda. Umierała z ciekawości, o czym rozmawiają. Czyżby o niej?

Gdy sierżant w końcu wyszedł, na jego twarzy malowało się napięcie.

— Sawyera przesłucha Noah. To rozkaz kapitana.

— Dlaczego Noah?! — wykrzyknęła. — To ty jesteś sierżantem. To poważna rzecz.

— Dlatego, że Noah prowadzi śledztwo w twojej sprawie, a Sawyer jest teraz głównym podejrzanym... jego podejrzanym. — Urwał i przecesał ręką włosy. — Słuchaj, nigdy nie twierdziłem, że ci nie wierzę. Nie wiem, dlaczego tak się tym gryziesz. Po prostu tych palców tam nie było i tyle.

— Ale pomyślałaś sobie, że histeryzuję — odrzekła nieco łagodniej. — Inni też.

Uśmiechnął się.

— Dziecko drogie, nie możesz mnie winić za to, co myślą inni.

Odwzajemniła uśmiech. Ostatnio miała aż za dużo wrogów, nie powinna więc zrażać do siebie przyjaciół.

— Mimo to mogę wziąć udział w przesłuchaniu, tak? Mówiłeś, że mogę.

Reed zmarszczył czoło.

— Może byś poszła do domu i odpoczęła, co? Sawyera już mamy, Noah go przydu-
si. Zadzwońię do Melanie Chase z laboratorium i spróbuję ją namówić, żeby przyspie-
szyli badanie dowodów. — Unikał odpowiedzi na pytanie i czuł, że Anna o tym wie.
Zmarszczył czoło jeszcze bardziej i odchrząknął. — Anno, kapitan uważa, że ponieważ
jesteś ofiarą przestępcy, przeciwko któremu toczy się śledztwo, nie wolno ci brać udziału
w przesłuchaniu. Taka jest nasza polityka. — Podniósł ręce, żeby uciszyć jej ewentualne
protesty. — Sama wiesz, że łączy się z tym duża odpowiedzialność. Czasami ludzie się
mścą, a krewni podają nas do sądu. Kapitan wolałby, żebyś tu raczej nie przychodziła.
Opieprzył mnie nawet, że zabrałem cię na przesłuchanie.

Poczuła się tak, jakby zatrzaśnięto jej drzwi przed nosem. To ją postrzelili, to ona
tam leżała i wykrwawiła się prawie na śmierć. Mimo to wiedziała, że sprawa jest poza
jej zasięgiem. Mogła przekabacić Reeda, ale nie mogła obalić zwyczajów panujących
w policji.

— No, dobra — odrzekła zrezygnowana. — W takim razie chyba pojedę do domu.

W drodze do wyjścia celowo przeszła koło drzwi do pokoju z weneckim lustrem
i pod wpływem nagłego impulsu przekręciła klamkę. Drzwi były zamknięte, co po-
twierdziło jej przypuszczenia, że przetrzymują tam Sawyera. Czy Abrams już go prze-
słuchiwał? Przytknęła ucho, chcąc podsłuchać, o czym rozmawiają, i skłęła siebie w du-
chu, bo wiedziała, że gdyby ktoś przechodził korytarzem, wyszłaby na kompletną idiot-
kę. Ale tak trudno było stamtąd odejść, gdy za drzwiami, o kilka kroków od niej, siedział
człowiek, który do niej strzelał. Chciała go przesłuchać, spojrzeć mu w twarz, stawić mu
czoło tu i teraz, natychmiast. Powinna mieć do tego prawo bez względu na to, co twier-
dzili Reed i reszta. Fakt, padła ofiarą przestępstwa, ale Sawyer był jej podopiecznym.

Nagle stanął jej przed oczyma koszmarny widok ludzkich palców i odczuła ulgę, że
to nie ona musi siedzieć w tym pokoju sam na sam z Sawyerem. Jeśli to on obciął nie-
szczęsnej kobiecie palce, jest uosobieniem zła. Nie można było przewidzieć, co by zro-
bił, gdyby go nie schwytano, jak daleko by się posunął. Tak jak nie można było stwier-
dzić, czy nie popełnił innych, równie odrażających zbrodni. Kiedy wsiadała do samo-
chodu, przyszła jej do głowy przerażająca myśl: gdyby Sawyer nie miał wtedy rewolwe-
ru, czym próbowałby ją zabić? Rzeźnickim nożem?

Nie chciała tego wiedzieć.

Rozdział 7

Noah Abrams przystanął przy biurku i wziął magnetofon.

— Miejmy nadzieję, że z niego samochwała — mruknął, gdy wyszli z Reedem na korytarz. — Będziesz się temu przysłuchiwał z pokoju obserwacyjnego?

— Nie — odrzekł sierżant — ale Hopkins na pewno. Sawyer jest twój, Noah. Rób, co do ciebie należy, i tyle. Ja mam na łbie co innego. Muszę poskładać to wszystko do kupy, zmusić tych z biura osób zaginionych do obdzwonienia kostnic. Jeśli Anna naprawdę widziała ludzkie palce, gdzieś musi być reszta.

Gdy Abrams wszedł do sali przesłuchań, Jimmy Sawyer siedział spokojnie z rękami na kolanach i niewinnym, wyczekującym wyrazem twarzy, nie zdając sobie sprawy, że Hopkins obserwuje go przez weneckie lustro.

— No i kogóż my tu widzimy? — zaczął Abrams, rozluźniając krawat. — Proszę, proszę, Jimmy Sawyer. — Zdjął marynarkę. — Znowu się spotykamy, he? Tylko okoliczności są trochę inne, bo ostatnio widzieliśmy się, gdy postrzelono panią Carlisle, prawda?

Sawyer uśmiechnął się ni w pięć, ni w dziesięć i odrzucił do tyłu długie włosy. Zęby miał białe i równe, co musiało być rezultatem wielu lat kosztownych zabiegów ortodontycznych. Zobaczył magnetofon i uśmiech spełznął mu z twarzy.

Siadając przy długim stole, Abrams zmierzył wzrokiem przeciwnika. Noah był znakomitym fachowcem. Potrafił zdobyć zaufanie przesłuchiwanego i szybko go zmiękczyć. Gdy się klient odprężył, detektyw przystępował do ataku.

— Ostatnim razem rozmawialiśmy o twojej kuratorce, Jim. Wygląda na to, że pani kurator przysparza ci nielichych kłopotów. Mam ci mówić Jim czy Jimmy?

— Wszystko jedno — odrzekł zadziornie handlarz. — Nazywają mnie i tak, i tak.

— Ja mam na imię Noah — powiedział Abrams, sympatyczny i stonowany. — Przestańmy być tacy oficjalni.

— Ładny krawat — zauważył Sawyer. — To James Dean?

— Tak, James Dean. — Detektyw wyprostował krawat, żeby Sawyer mógł mu się lepiej przyjrzeć. — Mam taki sam z Marilyn Monroe. Lubię lata pięćdziesiąte. A ty?

— O tamtych czasach wiem tylko tyle, ile widziałem w „Happy Days”. Wie pan, to taki telewizyjny show.

— No, to skąd wiesz, że to James Dean?

— Niech się pan nie wygłupia — prychnął Sawyer. — Wszyscy o nim słyszeli. Kiedyś w nocy puścili film „Buntownik bez powodu”. Nawet niezły. Najlepszy był wyścig samochodów na skraju przepaści.

— Lubisz niebezpieczeństwo, co? — spytał Abrams.

Sawyer był zbyt bystry, żeby się na to złapać.

— Czy to znaczy, że jestem aresztowany?

— Niekoniecznie. Na razie musisz odpowiedzieć na kilka pytań.

— Rozumiem — odparł powoli Sawyer. Pod stołem coś zabrzęczało. Nosił buty z łańcuszkami i ostrogami i widocznie przestawił nogi. — Jakich?

— Jeśli chcesz, możemy porozmawiać o dzisiejszym zdarzeniu i wyjaśnić całą sprawę. Możemy też poczekać na twego adwokata i przedyskutować to później. Zależy od ciebie.

— Co tam, będę mówił — odrzekł pewny siebie i parsknął śmiechem. — Wie pan, to idiotyczne. Nie mogę w to uwierzyć. Ona naprawdę wam powiedziała, że trzymam w lodówce konserwowe... palce?

— Owszem, Jimmy, tak powiedziała. Myślisz, że skłamała? Po co?

Sawyer nie wahał się ani chwili.

— Bardzo niechętnie o tym mówię, ale... Widzi pan, ona jest na mnie zła. Wymyśliła to, żeby się na mnie zemścić.

Noah Abrams poczuł w powietrzu nieprzyjemny smrodek.

— Niby dlaczego jest na ciebie zła?

Nawet mu powieka nie drgnęła. Pochylił się nad stołem i patrząc na detektywa zimnym, bezczelnym spojrzeniem, odrzekł:

— Bo jesteśmy kochankami.

Noah zachował zimną krew, ale z gniewu żołądek podjechał mu do gardła. Anna była dobrą, porządną kobietą. Ten bydlak mógł ją zabić. Rzygać mu się chciało, gdy pomyślał, że musi siedzieć naprzeciwko niego. Co on znowu wykombinował?

— Naprawdę? Ty i twoja kuratorka sądowa?

— Mniej więcej od dwóch tygodni — potwierdził Sawyer, ostrożnie badając grunt.

— Doszło do tego z jej inicjatywy. Wtedy, po rozprawie.

— Naprawdę? — spytał detektyw głośniej, niż zamierzał. — A gdzie to się stało?

— W jej biurze, w magazynie. Czekałem na nią na korytarzu, bo chciałem, żeby mi wyjaśniła, co mówił sędzia.

— Opowiadaj, Jimmy, opowiadaj — zachęcał łagodnie Abrams.

Miał przed sobą kartkę papieru i ołówek. Żeby zapanować nad nerwami, zaczął coś machinalnie rysować.

— Chyba kończyła pracę. O ile pamiętam, prawie wszyscy już wyszli. Tak, bo zanim ją zobaczyłem, przechodzili koło mnie... — Urwał i wbił wzrok w przestrzeń, jakby przypominając sobie tę scenę. — Rozmawialiśmy. Była bardzo miła. Wyjaśniła mi orzeczenie i spytała, czy mam dziewczynę. Odpowiedziałem, że nie mam. Wtedy powiedziała, że skoro prowadzi moją sprawę, powinniśmy się lepiej poznać.

Abrams posłał mu paskudne spojrzenie, ale Sawyerowi to nie przeszkodziło.

— Później zaproponowała, żebyśmy przeszli na chwilę do tego magazynu, bo chciałyby pogadać ze mną na osobności. I tam do tego doszło.

— Dokładnie do czego, Jimmy? — spytał Abrams. Przycisnął ołówek tak mocno, że złamał grafitowy czubek. Zirytowany, cisnął ołówkiem w kąt.

— Powiedziała, że spróbuje mi załatwić zmianę dozoru ścisłego na doraźny, żebym nie musiał się co miesiąc meldować i sikać do butelki. — Powiedziała... powiedziała, że się jej podobam, że ze mnie przystojniaczek, czy coś w tym stylu. — Zadowolony z siebie, podniósł wzrok. Miał dużo dziewczyn, więc doskonale wiedział, że to ostatnie kłamstwo zabrzmiało prawdziwie. — Aha, i powiedziała jeszcze, że jej mąż nie żyje. Podrywała mnie na całego, była napalona jak suka.

— Nie zalewasz? — spytał Abrams, podnosząc brwi, jakby to wszystko kupił, ale w środku aż kipiał. No, jasne, Sawyer wiedział, że straciła męża, bo gdy ją postrzelono, pisali o tym w gazetach. Spokojnie, mówił sobie, ciągnij tę grę, byle tylko spokojnie. Czego jak czego, ale tego przesłuchania nie chciał sknocić. — Masz fart, Sawyer, niezła dupcia ci się trafiła — skonstatował ze śmiechem. — Sam bym ją chętnie przeleciał, ale ona się do mnie nie klei. No, dobra, podrywała cię. A potem?

Sawyer rozciągnął usta w uśmiechu. Wszystko szło jak po maśle. Miał gliniarza w ręku.

— Potem zaczęliśmy się całować. Niezła jest w te klocki, naprawdę niezła. Później złapałem ją za cyc. Nie broniła się, ale powiem panu, że niewiele tam tego ma. — Zachwycony własną opowieścią, wybuchnął śmiechem. — No, a kiedy już ją przeleciałem, to sobie poszedłem. Wsiadłem do samochodu, ale nim dojechałem do pierwszej przecznicy, zacząłem o niej myśleć.

— Mów, Jimmy, słucham. — Abrams zerknął na magnetofon, żeby sprawdzić, czy rozmowa się nagrywa, bo był pewien, że Sawyer zaraz się na czymś potknie.

— Zawróciłem i przejechałem przez parking, bo myślałem, że ją tam jeszcze zastanę. Ale już jej nie było, więc postanowiłem wpaść na hamburgera do McDonald'sa po drugiej stronie ulicy. No i wtedy zobaczyłem ją na chodniku. Zatrzymałem się, no i wie pan, co było dalej.

— Gdy cię wtedy przesłuchiwałem, nie mówiłeś, że przejeżdżałeś przez parking — zauważył Abrams bezbarwnym głosem. Tak, pomyślał, wiedząc, że właśnie zdobył pierwszy punkt: gówniarz przyznał, że był na miejscu przestępstwa na chwilę przedtem, nim padły strzały.

Sawyer natychmiast wzmógł czujność.

— No, wie pan, wtedy musiałem skłamać, nie? Postrzelili ją, więc... Nie chciałem zepsuć jej reputacji.

Zbajeruj gnoja, myślał Abrams, zbajeruj go. Schował ręce pod stół, potarł uda i z wyrazem podziwu na twarzy stwierdził:

— Bardzo rozważny i taktowny z ciebie facet, Jimmy. Jesteś nie tylko bohaterem, ale i dżentelmenem.

— Aha! — Sawyer przypomniał sobie drugą część opowieści. — Potem widzieliśmy się jeszcze raz. Po jej wyjściu ze szpitala. — Spojrzał na detektywa. — To znaczy: najpierw do niej zadzwoniłem, do szpitala. Dała mi swój numer i prosiła, żebym do niej zatelefonował.

Do tej pory Abrams pozwalał mu pływać, lecz im bardziej zaciskał pętlę, tym uważniej polował na szczegóły.

— Kiedy? — spytał. — Kiedy widziałeś ją po raz drugi?

— Dokładnej daty nie pamiętam — odrzekł Sawyer — ale to było w porze lunchu, gdzieś koło pierwszej. Zadzwoniłem do niej, żeby spytać, jak się czuje, a ona na to, że chce mi postawić lunch. Zaprosiła mnie do Hiltona. Wolałbym pójść gdzie indziej, bo żarcie tam gówniane, ale nalegała. — Uśmiechnął się lekko, przypomniawszy sobie, że chciała iść do Marie Callender's. Po rozmowie z Anną Carlisle wrócił na górę, gdzie w jednym z pokoiów balowali z kumplami aż miło.

— No i?

Sawyer potoczył wokoło wzrokiem, by w końcu spojrzeć na detektywa.

— Przyszedłem i rozmawialiśmy. Mówiła, że od tamtego czasu, od chwili tego wypadku, jest przerażona, i dziękowała mi za uratowanie życia. Znów mnie podrywała, wstawiała dwuznaczne teksty, mówiła, że chce mi dać prawdziwą nagrodę. Potem powiedziała, że nie jest głodna, i spytała, czy nie wziąłbym pokoju. No, to wynająłem pokój i zapłaciłem.

— Płaciłeś za pokój? — Abrams wolał się upewnić. Z każdą sekundą szło coraz lepiej. Wiedział, że Sawyer kłamie jak z nut, że jak tak będzie dalej gadał, wyjdzie na tym znacznie gorzej, niż gdyby zamknął gębę i zażądał przybycia adwokata. — Kartą kredytową?

— Tak, American Express. Może pan sprawdzić rachunek. — Chłopak odchylił się na krzesło i wyszczerzył zęby. — Matka zawsze mnie uczyła, że trzeba być grzecznym i uprzejmym. Przecież to męczyzna powinien zapłacić, prawda, Noah?

Abrams splótł ręce na stole, żeby nad sobą zapanować i nie trzasnąć szczeniaka w pysk.

— Kazała mi iść na górę, a sama poszła do hotelowego sklepu, żeby kupić flaszkę. Mnie by nie sprzedali, bo za młody jestem. — Urwał, sondując jego twarz. — Strzeliliśmy po kielichu i wtedy znów złapała mnie za krocze.

Abrams omal nie parsknął śmiechem. Czego jak czego, ale tego nie mógł sobie wyobrazić. Nigdy, przenigdy. Anna Carlisle była kobietą skromną i powściągliwą, była prawdziwą damą.

— Złapała cię za krocze, hę? Ot tak, nachyliła się i cię tam złapała? Za fiuta?

— Właśnie.

— Stanął ci?

Sawyer niespokojnie zastrzygł oczyma.

— No... Nie od razu, ale jak zaczęła mnie całować i pieścić, to mi stanął. Rzuciła się na mnie. Wsadziłem jej ręce pod spódnicę i okazało się, że nie ma na sobie majtek. Było wspaniale.

— A potem?

— Potem się grzaliśmy — odrzekł, zwilżywszy usta czubkiem języka. — Dostała szału z podniecenia. Obciągała mnie, rypała, chciała, żebym zrobił jej to od tyłu, no, wie pan. Mówiła, że od śmierci męża nikt jej porządnie nie zerznął.

To Abramsa rozkojarzyło i oczyma duszy ujrzał opisywaną przez Sawyera scenę: jego szyja opasana długimi nogami Anny... Jego szyja, Noaha, nie szyja tego pieprzonego dupka. Z trudem wrócił do rzeczywistości. Chryste, ta idiotyczna historyjka zaczynała go podniecać. Zauważył, że Sawyer badawczo mu się przygląda, i odchrząknął.

— O czym to mówiliśmy?

— O tym, jak ją zwyobracałem. — Puścił do Abramsa oko. — Pan też chciałby ją przelecieć, nie? Tak jest, na pewno. Widzę to po pańskiej twarzy. — Klepnął ręką w stół i wybuchnął śmiechem. — Jak pragnę zdrowia, ma pan na nią chcięć!

Mało brakowało, a rozwścieczony Abrams zerwałby się z krzesła. Oprzytomniał w ostatniej chwili.

— No, dobra, Jimmy — warknął. — To nie ja mam kłopoty, tylko ty. Zobaczmy więc, czy uda się nam to trochę przyspieszyć. Do szczegółów waszych intymnych spotkań zawsze możemy wrócić. — Potarł brodę, jakby przemyślał to, co do tej pory od niego usłyszał. — Mówisz, że byliście kochankami, ty i Anna Carlisle. Nawet jeśli to prawda, co to ma wspólnego z tymi palcami?

Sawyer poszedł na całego i Abrams wyczuł, że tę część zeznania musiał on wielokrotnie ćwiczyć.

— Jak skończyliśmy to nasze bara-bara, powiedziałem jej, że musimy przestać się widywać. — Łypnął ślepiami. — No, wie pan, ona jest starsza, ma dziecko i tak dalej. Poza tym jest moją kuratorką, nie? No i dostała szału. Kurde, chyba ją uraziłem albo co. Jak wychodziłem, groziła, że jej za to zapłacę, że... mnie do tego zmusi.

Abrams spojrział na zegarek. Pora gówniarza przycisnąć. Sawyer czuł się swobodnie i sądząc po jego zachowaniu, uważał, że panuje nad sytuacją. Znakomicie.

— Z tego, co mówisz, Jimmy, Anna Carlisle wpadła w złość, kiedy oświadczyłeś, że z nią zrywasz. Dlatego postanowiła przyjechać do twego domu i żeby wpędzić cię w kłopoty, wymyśliła tę historyjkę z obciętymi palcami. Tak? Popraw mnie, jeśli się mylę. Nie chcę ci nic narzucać.

— Otóż to — potwierdził z zadowoleniem Sawyer. — Ja ją tylko przeleciałem i tyle. Ani z sobą nie chodziliśmy, ani nic. Może jej odbiło, bo zmieniam lokal? Kurde, a ja

się tylko przenoszę do starych, nigdzie nie uciekam, a już na pewno nie z kraju. Jeden z tych, co z nami mieszkał, to kawał fiuta, więc postanowiliśmy pójść każdy swoją drogą, to wszystko.

— Powiedz mi, Jimmy, czy ktoś was razem widział? — drążył Abrams. — Masz jakiś dowód na potwierdzenie waszego związku?

Skonsternowany Sawyer wbił wzrok w przestrzeń nad głową detektywa i milczał.

— No tak, widzieli nas — odrzekł w końcu.

Wtedy Abrams zerwał się z krzesła i wrzasnął mu w twarz:

— Kto? Nazwiska! Kiedy was widziano? Dokładnie! Gdzie to było? Jesteś małym, oślizgłym łgarzem, Sawyer! Nie masz na to żadnego dowodu, nikt ci nie uwierzy! — Krzyczał tak głośno i z taką pasją, że ślina tryskała mu z ust.

Sawyer skurczył się w sobie.

Detektyw przestał nad sobą panować. Krążył wokół stołu jak sęp, a Sawyer śledził go czujnym wzrokiem.

— Ona jest twoją kuratorką. A ty? Ty jesteś nikim. Porozmawiajmy o laboratorium w tym domu. O tym porozmawiajmy, Jimmy. I o tym, dokąd zwiali twoi zasrani kumple. Bo nie pokłóciliście się o to, kto ma zmywać naczynia po obiedzie. Nie, Sawyer. To była wytwórnia narkotyków. Wiemy, co się tam działo.

Przez chwilę wyglądało na to, że Sawyer pęknie, lecz wziął się w garść i wrzasnął:

— Moja matka nas widziała!

— Ach, twoja mamusia...

— Tak, moja matka — odrzekł hardo. — Była wtedy w Hiltonie na drinku z przyjaciółką. Siedziała przy barze i widziała mnie w recepcji, jak wynajmowałem pokój. Może pan ją spytać.

Ten facet nie zawaha się przed niczym, nawet przed najgorszym obrzydlistwem — pomyślał zde gustowany Abrams. Chryste, wciągać w to własną matkę... Detektyw wiedział, że pora na odwrót. Tak, gdy podejrzany przystępuje do silnego kontrataku, pora przystopować. Grunt musi być miękki, podatny na lewiesz.

— Oczywiście, Jimmy — powiedział spokojnie i usiadł za stołem. — Wróćmy do sprawy prochów. Czy zaprzeczasz, że wykorzystywałeś ten dom do produkcji i rozprowadzania narkotyków?

Sawyer wybuchnął śmiechem i obrzucił detektywa chytrym spojrzeniem, jakby dopuszczał go do spisku.

— No, jasne, że zaprzeczam. A co pan myślał, Noah? Że zacznę opowiadać, jaki to ze mnie wielki hurtownik? Nie bądź pan dupkiem. Cholernie śmieszne. Kurewsko śmieszne. — Rozwalił się na krzesło, aż zatrzeszczało.

Chcesz grać ostro, zagramy ostro — pomyślał Abrams.

— I twoja matka potwierdzi to pod przysięgą, tak?! — ryknął. — Potwierdzi w sądzie, że to, co tutaj zeznałeś, jest prawdą? Że widziała cię z twoją kuratorką w hotelu? Popełni krzywoprzysięstwo i narazi się na związane z tym śledztwo? — Znow zerwał się na równe nogi. — Będziesz musiał wymyślić coś lepszego, Jimmy!

Zaszedł go od tyłu, chwycił za oparcie krzesła i głosem pełnym sarkazmu mówił dalej:

— Powinieneś być lepiej to wszystko zaplanować. To, że mamusia wykupi z pierdła twoją parszywą dupę, nic nie załatwi. — Szybko obszedł stół i spojrzał mu w twarz. — Skąd wytrzasnąłeś szmal na tego bajeranckiego porschaka? Może mi o tym opowiesz? I co? Każesz mamusi przysiąc, że ci go kupiła? Zachowała kwity? Ma jeszcze te anulowane czeki? Wpadłeś w gówno, przyjacielu. — Urwał, głęboko odetchnął, gotów zmiażdżyć Sawyera, przeżuć go i wypłuć krwawe ochłapy. — Zwyoברcam cię, Jimmy, zobaczysz. W dupę ci wejdę, wyjdę drugą stroną, ale znajdę spluwę, z której strzelałeś do tej biednej kobiety. — Trzasnął pięścią w stół. Sawyer podskoczył. — A potem znajdę świadków, którzy potwierdzą, że wytwarzałeś i rozprowadzałeś prochy, że wciągnąłeś w ten interes swoich kumpli, że przepuściłeś ich przez wyżymaczkę, że szantażowałeś ich, proponowałeś korzystne układy i tak dalej. — Znow grzmotnął pięścią w blat tak mocno, że rozklekotany stół aż się zachwiał. — I zanim z tobą skończę, skurwielu, będziesz żałował, żeś się w ogóle urodził!

— Żądam widzenia z moim adwokatem — wychrypiał Sawyer z ustami zaciśniętymi jak u rozdrażnionego dziecka. I nagle dostał szału. Zerwał się z krzesła i wałąc pięścią w stół, jak przed chwilą Abrams, wrzasnął: — Nie może mi pan grozić! Nie powiem ani słowa, dopóki nie porozmawiam z adwokatem!

Abrams trzasnął wyłącznikiem magnetofonu i zanim rozwścieczony handlarz zdążył ponownie uderzyć w stół, chwycił go za ramię, przytrzymał i odtrącił jego rękę. Fakt, zagrał ostro, mimo to gówniarz zdobył zwycięski punkt. I zrobił to, wypowiadając jedno parszywe zdanie, zdanie, którego nienawidzi każdy gliniarz prowadzący śledztwo.

W chwili gdy podejrzany żąda adwokata, trzeba wyłączyć stoper i przerwać przesłuchanie.

Noah huknął o stół telefonem, odczekał, aż kipiący wściekłością Sawyer zadzwoni do adwokata, po czym wyszedł z pokoju. Jednak przed rozmową z Hopkinsem musiał wstąpić do toalety. Niech czeka — myślał. Głupi bubek. Pewnie mu powie, że spieprzył przesłuchanie.

Załatwiwszy, co miał do załatwienia, umył ręce i spojrzał w lustro. Fakt, puściły mu nerwy. Ale to przez Annę. Miał dość jadania po restauracjach, dość powrotów do pustego mieszkania, był znużony kobietami, z którymi się spotykał, pustymi rozmowami, jakie z nimi prowadził. Zresztą ostatnio prawie w ogóle nie wychodził z domu.

Kawalerskie życie wypaliło go, coraz bardziej go dobijało. Zwłaszcza teraz, gdy tyle mówiło się o AIDS. Pragnął stabilizacji. I dobrej kobiety, która by mu ją zapewniła. Wiedział, że tą kobietą jest Anna.

Idąc korytarzem, myślał o zgryźliwych uwagach Reeda na temat jego nieudanych małżeństw. Tymczasem prawda była taka, że kobiety, z którymi się wiązał, szybko dochodziły do wniosku, że życie z policjantem nie jest życiem dla nich. Więc cóż miał robić? Pierwsza żona, Rhonda, twierdziła, że nigdy nie ma go w domu. Według Sandry, żony numer dwa, zarabiał za mało, żeby kupować jej to, co chciała, a Bonnie zamartwiała się na śmierć, że zostanie ranny podczas służby i będzie musiała łożyć na jego utrzymanie. Tak, myślał z rozbawieniem, małżeństwo z Bonnie było moim ostatnim błędem. Ale Anna jest inna. Anna miała do czynienia z gliniarzami przez całe życie. Ba! Sama była policjantką. Jako kadeci często rozmawiali o najbardziej zwariowanych rzeczach, i to całymi godzinami. Wciąż pamiętał, jak siedziała w kucki na trawniku przed starym posterunkiem, słuchając jego błazeńskich opowiastek. I była lojalna, a w dzisiejszym świecie to cenny wyjątek. Dotrzymała wierności Hankowi przez cztery lata. Cztery lata, pomyślał, to naprawdę zdumiewające. Gdyby to on zniknął, jego byłe żony wytrzymałyby góra dwa dni, a trzeciego poszłyby na randkę.

Wszystko przez Reeda. Gdyby mu powiedział, że Anna zaczęła się spotykać z Hopkinsem, uprzedziłby tego głupiego kowboja i byłby teraz z nią.

Otworzył drzwi do pokoju obserwacyjnego i wszedł do środka.

— No i co pan o tym myśli?

Hopkins stał przy weneckim lustrze, przyciskał dłonie do szkła i patrzył na Jimmy'ego Sawyera.

— Przepraszam. Co pan mówił?

— Pytałem, co pan myśli o jego zeznaniu? Poszedł na całość, nie?

— Ten gówniarz jest ćpunem, handlarzem i nałogowym kłamcą, to chyba oczywiste — warknął Hopkins. — Niech go pan zamknie.

Całkowicie zaskoczony, Abrams podszedł bliżej i spojrzał w lustro.

— Naprawdę pan myśli, że mamy wystarczające dowody? Nie to, żebym chciał się z panem spierać. To pan będzie oskarżał, nie ja. — Sięgnął do kieszeni, wyjął listek gumy do żucia, zdjął papierek, wepchnął gumę do ust. Potem spojrzał na buty Hopkinsa. — Z krokodyla? — spytał. — Ciekawe, ile takie kosztują.

— Zamknij go, Abrams — syknął Hopkins przez zaciśnięte zęby. — Nie mam cienia wątpliwości, że facet jest winny.

Nie z prokuratorem gadam — pomyślał detektyw. Gadam z mężczyzną.

— Eee... A pod jakim zarzutem?

— Usiłowania zabójstwa.

— Chodzi o panią Carlisle, tak?

— A o kogo innego może chodzić? — odparł Hopkins, świdrując wzrokiem Sawyera. — Dopóki nie znajdziemy tych palców, nie udowodnimy, że doszło do przestępstwa. Jak dotąd, nie ma ofiary. Nie ma nic, oprócz samego Sawyera.

Abrams pokręcił głową. Działając pochopnie i przedwcześnie, mogli wszystko zepsuć.

— A może to prawda? — spytał, chcąc sprawdzić, jak prokurator na to zareaguje. — Może jednak z nim spała?

Omali nie rzucił mu się do gardła, ale szybko nad sobą zapanował.

— Jesteś idiotą, Abrams. Znasz Annę. Naprawdę myślisz, że mogłaby się z kimś takim przespać? Ze swoim podopiecznym?! To przecież absurd!

Detektyw wyrzucił ręce do góry.

— Przepraszam. Próbuję tylko odgrywać rolę adwokata diabła. Niech mi pan wierzy, że ja też chcę faceta usadzić.

— No to zamknij go pan, a ja biorę na siebie resztę — mruknął i szybko wyszedł z pokoju.

Abrams został sam. Odwrócił się i popatrzył na Sawyera. Gnojek jest trefny, myślał. Nie ulega wątpliwości, że jest trefny. Kto wie, może siedzi w gównie po uszy, ale... coś mi tu nie pasuje. Detektyw to czuł, i to wyraźnie. Jasne, chciał dopaść skurwiela, który postrzelił Annę, ale gdyby prokurator wniósł sprawę bez odpowiedniego przygotowania, sąd uniewinniłby Sawyera i po krzyku. Jeśli dowody są nikłe, zawsze warto trochę odczekać, chociaż z drugiej strony doskonale Hopkinsa rozumiał: gdyby to Abrams umawiał się z Anną, Sawyer leżałby już pewnie w szpitalu.

— No, łaskawco — powiedział na głos, śledząc wzrokiem chodzącego nerwowo Sawyera. — Pewnie jeszcze o tym nie wiesz, ale czeka cię kurewsko ostra przeprawa.

Jimmy Sawyer zrobił bowiem poważny błąd. Oskarżył kuratorkę sądową, kogoś, kogo pewnie uważał, jako synalek wziętego lekarza, za małą płótkę. Gdyby wybrał inną kobietę, kogokolwiek, byle tylko nie Annę Carlisle, jego sprytne zagranie mogłoby dać mu szansę. Kobieta zostałaby skompromitowana, a w każdym razie zastraszona na tyle, że szybko by się wycofała i Sawyer miałby kłopoty z głowy. Lecz Anna nie reprezentowała tylko siebie, jak na pewno myślał, nie była niczym popychadłem ani marionetką. Jimmy wystąpił przeciwko całemu departamentowi policji, przeciwko urzędowi prokuratora okręgowego, przeciwko instytucji kuratora sądowego.

— Spierdoliłeś, chłoptasiu, źle wybrałeś — powiedział do lustra.

Prokurator okręgowy mógł pójść na całość i postawić Sawyera w stan oskarżenia, ale to tylko pierwszy krok. Żeby go skazano, Hopkins potrzebował mocnych dowodów, a żeby je zdobyć, musiał polegać na prowadzącym śledztwo. Sługa unizony — pomyślał Abrams.

Zastukał palcem w szybę. Sawyer drgnął i spojrział w stronę drzwi, myśląc, że to adwokat. Gdy drzwi się nie otworzyły, zwrócił przerażone oczy na lustro.

— Tak, tak, cwaniaczku, ktoś cię obserwuje — szepnął detektyw. — I będzie obserwował dopóty, dopóki nie przejrzysz cię na wylot.

Wiedział, że zanim śledztwo dobiegnie końca, Jimmy Sawyer będzie błagał o coś więcej niż tylko o adwokata.

Rozdział 8

Grali w remika, gdy za szybą kuchennych drzwi Dawid zobaczył Reeda.

— Tommy! — Podbiegł do niego, uśmiechnął się triumfalnie, spoglądając na matkę, i pokazał mu swoje karty.

— Nie chciałbym być na twoim miejscu, Anno — osądził detektyw.

Roześmiała się.

— O, tak. Dał mi do wiwatu trzy razy pod rząd. Przegrywam, i to ostro. — Zauważyła jego ponurą minę i odkładając karty, spojrzała na synka. — Pozwól nam chwilę porozmawiać, kochanie. Myślę, że Tommy przyniósł mi wiadomości o jednym z moich podopiecznych.

— Przecież wygrywam, to nie fair — zaprotestował.

Popatrzyła na stertę brudnych naczyń w zlewie.

— Bądź tak miły i pozmywaj, dobrze? Kiedy Tommy wyjdzie, dokończymy grę.

Przeszli do saloniku. Anna nie usiadła — stanęła przy frontowych drzwiach; dom był mały, Dawid mógł ich podsłuchać.

— Dzwoniłeś? — spytała zaciekawiona. — Nic nie słyszałam.

— Nie. Pomyślałem sobie, że jak wejdę od kuchni, zdążymy zamienić kilka słów, zanim dopadnie mnie twój syn.

Wiedziała, że Tommy ma wyrzuty sumienia. Ostatnio mało przebywał z Dawidem, ale przecież ze względu na chłopca nie mógł zamieszkać u nich na stałe.

— Jak on się miewa? — spytał.

— Chyba dobrze — odrzekła, powoli kręcąc głową. — Znow się moczy, prawie co noc. I ma koszmarne sny. Przez jakiś czas było lepiej, ale...

— Może powinnaś zaprowadzić go do psychologa.

— To nic nie pomoże. — Zamyślona mówiła dalej: — Przez ten wypadek wróciło wszystko, co najgorsze. Wiesz, cały strach... Jedynym lekarstwem jest czas.

— Hopkins dzwonił?

— Tak. Powiedział, żebym się nie martwiła, że dał ci zielone światło. — Widząc jego minę, przycisnęła rękę do piersi. — Aresztowałeś go, prawda? Sawyer jest w areszcie, tak? Przecież po tym, co widziałam w jego domu...

Reed uniósł brwi.

— Tylko tyle ci powiedział?

— Bardzo dosadnie się o nim wyrażał, ale... — Usiłowała przypomnieć sobie, o czym rozmawiali. — Co się stało?

Reed streścił jej przebieg przesłuchania. Anna posiniała z wściekłości.

— Mały, zakłamaný skurwiel! Czy on naprawdę myśli, że ktoś mu uwierzy?

Reed odchrząknął.

— Najwyraźniej. Posłuchaj, Anno. Nie cierpię przynosić złych wieści, ale jego rodzice siedzą na wysokim stołku i mają spore wpływy. Ojciec jest chirurgiem, a prawie cała rodzina działa we władzach lokalnych i stanowych. Sawyer nie jest zwykłą szumowiną. Jego zeznania mogą mieć swoją wagę.

Nagle poczuła w głowie dziwną lekkość i musiała usiąść w fotelu. Reed usiadł na sofie naprzeciwko. Objęła się w pól, pochyliła do przodu i spytała:

— Co z tymi palcami?

— Sprawdzamy w kostnicach. Dopóki nie znajdziemy zwłok... — Urwał, bo już o tym rozmawiali.

— Co będzie, jeśli Sawyer powtórzy te obrzydlistwa w sądzie? Prasa zwietrzy żer.

Reed usiłował to zbagatelizować.

— Nie idź na rozprawę.

Podniosła głowę.

— Świetnie. To najlepsze rozwiązanie, Tommy. Wyobrażasz sobie, jak by to wyglądało? Ten człowiek uratował mi życie. Wyjdzie na bohatera, a ja na niewdzięczną dziwkę.

— Miałbym to gdzieś.

— Mamusiu! — zawołał z kuchni Dawid.

— Już idę, kochanie! — odkrzyknęła. Gdy Reed wstał, chwyciła go za rękę, szukając pocieszenia. — Boję się, Tommy. Naprawdę myślisz, że to on do mnie strzelał?

— Możliwe. Ale muszę przyznać, że wciąż nie mam stuprocentowej pewności.

Dawid zawołał ją ponownie, więc wrócili do kuchni. Reed pożegnał się i wyszedł.

Dawid był gotów do kontynuowania gry.

— No, dobra. Już wyrzuciłem kartę. Teraz twoja kolej.

Anna wzięła kartę ze stosu i trzymając ją w ręku, wbiła wzrok w przeciwległą ścianę pokoju. Gdyby Hank żył, gdyby dowiedział się o tych wszystkich świństwach, jakie Sawyer o niej wygadywał, rozerwałby go na strzępy. Reed tylko wzruszył ramionami. Przed sześcioma laty jeden z *bailiffów* wygłosił w sądzie nieprzyjemną uwagę na jej temat. Następnego wieczoru Hank dopadł go na parkingu. Co mu zrobił, tego nie wiedziała, ale facet już nigdy jej nie zaczepiał.

— Mamusiu — odezwał się zniecierpliwiony Dawid — musisz zrzucić kartę.

Zamyślona, upuściła kartę na stół. Za bardzo polegała na Tommym. Niesłusznie. Reed nie zastąpi Hanka, nie będzie staczał o nią bitew, bo nie jest jej mężem. Podobnie Glen. Pochyliła ramiona, oczy wezbrały jej łzami.

— Remik! — wykrzyknął Dawid, trzasnąwszy kartami o stół.

Drgnęła i wróciła do rzeczywistości, pokazując mu swoją talię. Dawid nie posiadał się z radości.

— Nie masz nawet pary! Głowę daję, że zostałeś co najmniej z czterdziestoma punktami! — Ucieszony zatarł ręce i szybko ją podliczył. — Tak jest. Znowu wygrałem.

Szybko otarła łzy, ale zauważył to.

— Co się stało, mamusiu? — spytał zatroskany. — Dlaczego płaczesz?

— Nie płaczę, synku — skłamała ze słabym uśmiechem. — Jestem wściekła, że przegrałam.

Musnął palcami jej dłoni.

— Tęsknisz za tatusiem, prawda? — spytał cichutko. — Ja też. Czy on do nas wróci, mamo?

Popatrzyła mu głęboko w oczy.

— Nie, on nie wróci, kochanie. Musimy radzić sobie sami.

Twarz mu stężała i chwilę później wybuchnął, zmiatając karty na podłogę.

— Wróci! Wiem, że tatuś wróci!

— Podnieś karty — zażądała, mierząc go wzrokiem

— Nie podniosę, dopóki tego nie cofniesz — odparł zaczepnie. — Trzeba wierzyć, mamo.

— Nie potrafię. — Westchnęła. Nie chciała tej rozmowy, jeszcze nie teraz. Wstała, ale zaraz usiadła z powrotem. Psycholog kazał jej być w takich wypadkach osobą twardą i bezwzględną. Dawid nie powinien sobie wmawiać, że jego ojciec żyje. — Nie o to chodzi, czy ja wierzę, synku — powiedziała. — On umarł. Twój ojciec umarł cztery lata temu. Musisz się z tym pogodzić.

Stał, kipiąc z gniewu. Wziął błyskawiczny zamach i kopnął krzesło, które wylądowało z trzaskiem pośrodku kuchni. Cały Hank — pomyślała. Ten sam wybuchowy temperament, nieumiejętność pogodzenia się z oczywistymi faktami, słabość maskowana pozorną siłą. Byli do siebie podobni, z każdym dniem podobniejsi — i fizycznie, i psychicznie. Milczała, wiedząc, że syn — tak samo jak niegdyś Hank — musi wylądować gniew, że inaczej nie dogada się z nim. Nic nie mogła na to poradzić.

— To przez niego — fuknął, celując w nią palcem. — To przez niego nie chcesz, żeby tatuś wrócił. Tak jest. Nienawidzę go. To złamany kutas. Co ty z nim właściwie robisz? Te świństwa? Ja wiem, co to seks, nie jestem już małym dzieckiem. Widzę, jak się na ciebie gapi tymi swoimi wężowatymi ślepiami.

— Przestań, Dawid — powiedziała apatycznie, próbując spokojnie przeczekać burzę.

Niech się wyładuje — powiedział psycholog. Nocą dręczą go koszmary, dlatego że dławi w sobie tyle goryczy i złości. A teraz jeszcze boi się o nią. Ktoś przecież strzelał do jego matki.

Widząc, że powoli wraca do siebie, przykucnęła i zaczęła zbierać karty. Dawid ukląkł obok, żeby jej pomóc. Gdy posprząтали, dopełzła na czworakach do szafek, usiadła i oparła się o nie, zbyt osłabiona, by wstać.

— Przepraszam, nie chciałem — szepnął ze spuszczonej oczyma.

— Wiem, że nie chciałeś — odrzekła, czując, jak ogarnia ją fala dziwnego spokoju. Jak po burzy — pomyślała. Doskonale to uczucie znała. Przeżyła z Hankiem wiele takich burz. Wyciągnęła rękę, przygarnęła do siebie Dawida i pocałowała go w czubek głowy. — Jesteś wszystkim, co mam, synku. Gdyby twój ojciec żył, nie tolerowałby takiego zachowania. I rzucania czym popadnie po całym domu.

— Ale on też się tak zachowywał — odrzekł Dawid, jakby nagle coś mu się przypomniało. — Pamiętam, jak rzucił w ciebie talerzem.

Anna zeszywniała. Dzieci widzą więcej, niż się dorosłym wydaje. Nigdy nie przypuszczała, że Dawid pamięta tamten wieczór.

— To się zdarzyło tylko raz, kochanie — powiedziała. — Po prostu kłóciliśmy się. Mąż i żona czasami się kłócą.

Zerknął na nią i szybko odwrócił wzrok.

— On by nie chciał, żebyś widywała się z tym facetem. Czasami mi się śni, że...

Powstrzymała go gestem ręki.

— Sny to tylko sny, kochanie. Ja też mam sny.

— O tatusiu?

— O tatusiu, o tobie, o przeszłości. Ale musimy żyć dla terażniejszości, synku. Czasu nie da się cofnąć. Czas płynie do przodu.

— To znaczy, że będziesz widywała się z Glenem?

— Nie wiem. Mówię szczerze, skarbie. Związki ludzi dorosłych nie są takie proste. Pewnego dnia zrozumiesz, co mam na myśli. Kiedy ludzie się pobierają, są razem dzień w dzień. A to wymaga bardzo wielu poświęceń. Wiesz, o czym mówię?

— Nie bardzo — odrzekł zamyślony. I nagle twarz znów mu poczerwieniała. — Ale nie wyjdiesz za niego, prawda?

— Nie znam go na tyle, żeby o tym myśleć. Zanim wyszłam za twego ojca, spotykaliśmy się pięć lat. Z Glenem widujemy się dopiero od kilku miesięcy.

Odpęrzył się i uśmiechnął do niej.

— Opowiedz mi jeszcze raz, jak poznałaś tatusia.

Westchnęła.

— Byłam wtedy początkującą policjantką. Ktoś usłyszał strzały, złożył meldunek i wysłano mnie, żebym to sprawdziła. Kiedy dotarłam na miejsce, twój ojciec już tam był. On też usłyszał wezwanie i przyjechał, choć wcale nie musiał.

— Dlaczego nie musiał? — spytał Dawid.

— Ponieważ pracował w drogówce, poza granicami miasta.

— Był przystojny?

Potargała mu włosy.

— Naturalnie. Wyglądał dokładnie tak jak ty. Tylko był wyższy, oczywiście. I taki silny, krępy, zbudowany jak byk. Miał w sobie coś takiego... Sama nie wiem, jak to opisać, ale wydawało się, że poradzi sobie ze wszystkim i ze wszystkimi.

— Twardziel — wymamrotał Dawid.

— I ten jego uśmiech — dodała Anna, widząc Hanka oczyma duszy. — Wspaniały. Kiedy się uśmiechał, wcale nie wyglądał na twardego faceta. Wyglądał jak wielki pluszowy miś. I często się śmiał. Twój ojciec uwielbiał się śmiać. Codziennie opowiadał mi nowy kawał.

— No i co? I wtedy cię pocałował?

— Gdzież tam! Przecież byłam na służbie. Policjanci nie całują się na służbie. — Znała wielu takich, którzy nie tylko się całowali, ale wołała, żeby syn jak najdłużej wierzył w nieskalany obraz stróżów prawa. — Kiedy sprawdziliśmy, że żadnej strzelaniny nie było, poszliśmy razem na kawę. No i wtedy do baru wpadł ten człowiek. Zaczął krzyczeć, że na parkingu coś się dzieje, i chciał, żebyśmy interweniowali.

Dawid uśmiechnął się. Tę część opowieści lubił najbardziej.

— Na parkingu rozrabiło sześciu wielkich małpoludów — mówiła dalej. — Należeli do Hell's Angels, wiesz, do tego motocyklowego gangu. Co za awantura! Chciałam wkroczyć do akcji, ale twój ojciec spojrzał na mnie tak, jakbym zwariowała i nie wiedziała, co robię. Miał bardzo staroświecki stosunek do kobiet służących w policji. Zawsze mnie ochraniał. Nie chciał, żeby stała mi się krzywda. — Urwała, wyobrażając sobie jego furję, gdyby wiedział, że ją postrzelono. W pewnym sensie była wdzięczna, że tej chwili nie dożył. — W każdym razie zgarnął ich wszystkich sam i prawie wcale się przy tym nie zmęczył. Zaimponował mi wtedy.

— Ja nie dałbym rady nawet małemu psiakowi — szepnął Dawid, uciskając palcami pulchne uda.

— No to zacznij ćwiczyć — powiedziała stanowczo.

— Nic z tego. Jak ćwiczę, robię się jeszcze głodniejszy i mam ochotę wsunąć dziesięć hamburgerów. Teraz też umieram z głodu. Zostało choć trochę lodów? Glen coś dzisiaj przyniósł?

— Nie. Zakupy robimy już sami, kochanie. I wracamy do diety.

Dawid zaczął szperać w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, tymczasem Anna przeszła do saloniku i opadła na sofę. Chciała tylko zamknąć oczy, by dać im wypocząć, ale

nie wiedząc kiedy — zasnęła. I miała sen. Była w kuchni Jimmy'ego Sawyera i trzymała w ręku ludzki palec. Oglądając go, zauważyła obrączkę — ślubną obrączkę swego męża. Krzyknęła, rzuciła palec, który upadł na podłogę, zmienił się w szczura i szybko uciekł. Obudziła się gwałtownie, zlana zimnym potem. Spojrzała na zegar stojący na kamiennym kominku i stwierdziła, że jest po północy. W domu panowała cisza. Dawid był już pewnie w łóżku.

Gdy chciała wstać, coś się z niej zsunęło i spadło na podłogę. Fotografia z pokoju Dawida. Widocznie syn położył jej na piersi to oprawione zdjęcie Hanka w mundurze policjanta.

Detektyw Phil Whittaker dobijał do pięćdziesiątki, a tym samym do emerytury. Z wojska wyszedł w wieku dwudziestu jeden lat i odtąd całe niemal życie przepracował w policji. Miał nadwagę — ważył co najmniej o dziesięć kilogramów za dużo — więc spodnie z trudem opinały jego wystający brzuch. Twarz miał jowialną, puciołowatą, śmiał się serdecznie i głośno, dlatego był człowiekiem lubianym. W przeciwieństwie do wielu policjantów równych mu wiekiem nie uważał, żeby praca w policji go rozczarowała. Owszem, bywały takie dni, kiedy pragnął zwinąć manatki i zwać do Oregonu, ale wiedział, że długo by tam nie wytrzymał.

Phil Whittaker był bowiem nałogowcem. Kochał swoją robotę i żył podnietami, jakich mu ona dostarczała. W domu — z żoną, z dziećmi — myślał o pracy. Podczas ostatnich wakacji na Hawajach nie zwracał uwagi na piękne ciała zdobiące plażę, tylko sortował w głowie fakty i twarze, by nie przeoczyć tego jednego jedyne go decydującego szczegółu.

Ponieważ wyznaczono go do służby w rejonie — miał zebrać informacje o Sawyerze i o mieszkających z nim kumplach — już od siódmej rano pukał do drzwi okolicznych domów, żeby porozmawiać z lokatorami, zanim wyjdą do pracy. Zeszłego wieczoru dowiedział się tylko tyle, że dom wynajmowany przez Sawyera wymaga odmalowania, że ogródek doprasza się wody i że któregoś dnia ci zwariowani młodzieńcy na pewno przejadą jakieś dziecko bawiące się na ulicy. Cholera — pomyślał. Jakby opisywali mój własny dom. Bo jego ogródek też już dawno wysechł, ściany obłaziły z farby, a ilekroć dostawał nagłe wezwanie i pędził radiowozem na złamanie karku, sąsiedzi dzwonili do żony z pretensjami.

Gdy mówił mieszkańcom Henderson Avenue, że Sawyer i jego koledzy wyprowadzają się, wszyscy przyjmowali to z ulgą. Owszem, było mu miło, ale potrzebował informacji, bo na posterunku, niczym zgłodniały niedźwiedź, czekał na niego Reed. A jak dotychczas dowody na przestępczą działalność lokatorów domu numer 875 ograniczały się do kilku pospolitych wykroczeń drogowych. Nie tego szukali.

— Cholera jasna! — zaklął, wyciągając z kieszeni paczkę chusteczek. Wydmuchał nos. Te pacany znów przywlokły do domu katar. Spojrzał na dom, przed którym stał,

i westchnął. W końcu dotarł do najbliższych sąsiadów Sawyera. Zeszłego wieczoru ich nie zastał. Miał nadzieję, że jeszcze nie wyszli, bo jeśli w tym domu mu się nie poszczęści, nie poszczęści mu się nigdzie.

Zapukał do drzwi i czekał. Po chwili drzwi się otworzyły i za siatką ujrzał zaniedbanego berbecia. Nie wiedział, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Dzieciak miał krótkie włosy i wielkie brązowe oczy, był ubrany w niebieskie wdzianko i szorty upstrzone kwiecistym wzorkiem.

— Muszę porozmawiać z twoją mamą albo tatą — powiedział Whittaker. — Są w domu?

— Mamusia śpi — odparł brzdąc.

— A możesz ją obudzić?

— Jak ją obudzę, to będzie na mnie wściekła.

— Jestem z policji, skarbie. — Sięgnął do kieszeni, uklęknął na jedno kolano i pokazał szkrabowi służbową odznakę. — Widzisz? To moja odznaka. A teraz bądź grzecznym dzieckiem i poproś tu mamę.

— Mamusiu! — krzyknął berbec i nie zamykając drzwi, pognał w głąb korytarza. — Przyszedł pan policjant! Taki prawdziwy, z prawdziwą odznaką!

Whittaker stał na maleńkim wycementowanym ganeczku i niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, zerkał to na ulicę, to na drzwi. Kilka razy odkaszlnął.

— Czego pan chce? — spytał kobiecy głos z głębi domu.

Whittaker podszedł do drucianej siatki, ale w korytarzu zobaczył tylko niewyraźny cień.

— Czy mogę zadać pani kilka pytań? To nie potrwa dłużej niż pięć, najwyżej dziesięć minut. Przepraszam, jeśli panią obudziłem.

— A o co chodzi? — spytała kobieta, wciąż kryjąc się w mroku.

— Chciałbym panią spytać o najbliższych sąsiadów, o tych trzech chłopaków z domu obok.

— Wyprowadzają się — mruknęła z ciemności. — Nic więcej nie wiem. Załadowali meble do ciężarówki.

— Czy mógłbym wejść i chwilę z panią porozmawiać?

— Nie. Ja nic nie wiem. Oni się wyprowadzają. To wszystko, co wiem.

— Rozumiem... — wycedził detektyw, zastanawiając się, dlaczego baba jest taka uparta. Cóż, niektórzy po prostu nie cierpią glin. — Wie pani co? Zostawię swoją wizytówkę. Jeśli coś się pani przypomni, proszę do mnie zadzwonić. — Wetknął kartonik w oczko drucianej siatki i odwrócił się, żeby odejść. Szlag by to trafił! Nawet nie spytał jej o nazwisko. Będzie musiał stawić Reedowi czoło z pustymi rękami, bo dom po drugiej stronie domu Sawycra był nie zamieszkany, wystawiony na sprzedaż.

Znów spojrzął za siatkę.

— Przepraszam, ale muszę przynajmniej zapisać pani nazwisko! Widzi pani, gdy mój sierżant się dowie, że wróciłem z niczym, obsztorcuje mnie aż miło. Bardzo panią proszę. Chodzi tylko o nazwisko.

Prośba podziałała. Kobieta wyszła z cienia i stanęła za siatką. Bez makijażu, niska — mierzyła niewiele ponad metr pięćdziesiąt — i zdumiewająco szczupła, by nie powiedzieć: wychudzona, miała rzadkie, długie do ramion kasztanowe włosy, małe, mocno podkrążone brązowe oczy i szarawą skórę. Była ubrana w wypłowiałe dzinsy i bluzkę z tego samego materiału co szorty dziecka.

— Sally Farrar — powiedziała. — Dlaczego pan o nich pyta?

— Obawiam się, że w tej fazie śledztwa nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie.

— Dlaczego? Co oni zrobili?

— Jak dotąd, o nic ich jeszcze nie oskarżono, pani Farrar.

— No to dlaczego pan przyszedł?

— Bo chcielibyśmy wiedzieć, czy nie zauważyła pani czegoś podejrzanego.

— Co znaczy „podejrzanego”?

— No, może widziała pani ludzi przychodzących do tego domu i wychodzących o dziwnej porze, może słyszała pani jakieś hałasy albo krzyki. Takie rzeczy. — Wypowiedziawszy ostatnie słowo, kichnął i czym prędzej sięgnął po chusteczkę.

— Ma pan katar.

— Jak sto sukinsynów — mruknął i kichnął jeszcze głośniejsze. — Przepraszam za język. Tak, ma pani rację. Potwornie się czuję.

— Czy ktoś na mnie nagadał? To dlatego pan przyszedł?

Whittaker otaksował ją spojrzeniem. Paranoiczka, pomyślał, ani chybi paranoiczka. Doszedł do wniosku, że Sally Farrar na pewno uchodzi za miejscową psycholkę.

— Nie, proszę pani. Rzecz w tym, że mieszka pani po sąsiedzku i może pani wie, co się tam u nich działo. Znaczy: jeśli w ogóle ktoś o tym wie, to na pewno...

Podeszła bliżej siatki.

— O tak, byli niesamowici. — Głos miała niemal prowokujący. — Spraszali dziewczęta, noc w noc, i robili z nimi różne świństwa. Wie pan, o czym mówię?

Whittaker zaczerwienił się i rozluźnił kołnierzyk koszuli. Wszystko przez to, że tak na niego patrzyła, mówiła takim głosem. Gdyby go teraz zaprosiła do środka, pewnie zwałby gdzie pieprz rośnie. Owszem, kiedyś kobiety podrywały go, zaniedbane żony i takie tam, ale to było dawno temu, gdy jeszcze nosił mundur. Od tamtej pory żadna nie robiła mu awansów.

— Czy mogłaby pani opisać to dokładniej?

— Mam na myśli orgie. Wie pan, co to jest orgia?

— Oczywiście, ale... skąd pani wie, że odbywały się tam orgie? Może organizowali zwykłe przyjęcia?

— Bo to widziałam. — Wzrok miała szklisty, usta rozchylone. Całym ciałem przywarła do siatki.

— Ach, tak. A dokładnie: co pani widziała?

— Było ich trzech. Bardzo przystojny Chińczyk, wysoki blondyn... Miał wspaniałe ciało, najpiękniejsze ciało, jakie kiedykolwiek widziałam. — Urwała, zaczerpnęła tchu i nie spuszczać oczu z Whittakera, przesunęła paznokciem po siatce.

Detektyw zaczął nerwowo oglądać czubki swoich butów. Baba chciała go uwieść, wyraźnie to czuł. Chryste, pomyślał, chłopaki nie uwierzą, jak im o tym opowiem.

— Interesuje nas ten z długimi, ciemnymi włosami. Nazywa się Jimmy Sawyer. Widywała go pani?

— Był brutalny. No, wie pan, z dziewczętami. Chyba jest wybuchowy albo bardziej zazdrosny niż tamci. Bo oni się tymi dziewczętami wymieniali, o to mi chodzi. Przyjęcia — prychnęła. — Jakie tam przyjęcia! Zaczynali o zachodzie słońca i nie przestawali do rana. Dzień w dzień... — Mówiła coraz ciszej i krok po kroku wycofywała się w głąb korytarza.

Whittaker postanowił zmienić temat. Miał przed sobą prawdziwą szajbuskę, ani chybi szajbuskę. No i nie mogli aresztować Sawyera i jego kumpli tylko za to, że się zbyt intensywnie pieprzyli. Nagle pomyślał o znalezionych w sąsiednim domu palcach i omal nie klepnął się w czoło. Kobieta wspomniała, że Sawyer bywał brutalny. Gdyby sprawa trafiła do sądu, Sally Farrar byłaby cennym świadkiem.

— Czy mogłaby pani opisać dziewczęta, które zapraszali?

— Może — szepnęła. — Jak zechcę, to opiszę.

— A narkotyki? Czy widziała pani, żeby brali narkotyki albo coś, co je przypominało?

— Czy tacy ludzie nie biorą narkotyków?

— A może widziała pani dym czy coś takiego? Podejrzewamy, że wytwarzali w tym domu narkotyki, że mieli tam laboratorium. Wie pani, chodzi mi o dym chemiczny, cuchnący...

Parsknęła śmiechem.

— Laboratorium? Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

I zatrasnęła mu drzwi przed nosem.

— Cholerne dzięki — mruknął, gapiąc się na drucianą siatkę. Nie było sensu próbować dalej. Gdy nadejdzie pora, wyślą jej wezwanie i tyle.

Bez względu na to, co Sawyer i jego przyjaciele tam robili, nieźle się bawili, i Whittaker troszeczkę im zazdrościł. Szybkie samochody, szybkie dziewczęta, łatwe pieniądze — to na pewno przyjemniejsze niż łożenie po domach i oglądanie zatrasniętych przed nosem drzwi. Westchnął i sięgając po kolejną chusteczkę, powlókł się ulicą.

Rozprawę wstępną wyznaczono na godzinę pierwszą. Anna spotkała się z Reedem przed salą sądową. Weszli i zajęli miejsca w pierwszym rzędzie. Nawet Tommy miał zastrzeżenia: wolałby odczekać i wnieść oskarżenie trochę później, ale sprawa była poza ich zasięgiem. Anna chciała mieć to za sobą i bez względu na wszystko pragnęła ujrzeć Sawyera za kratkami. Mimo to niepokoiła się, bo nie wiedziała, co Sawyer zezna. Gdyby powtórzył swoją obrzydliwą opowieść, poniżyłby ją publicznie.

Gdy strażnicy wprowadzili Jimmy'ego do sali, nie była w stanie oderwać od niego oczu. Ręce i nogi miał skute, więc mógł stawiać tylko małe kroczki. Twarz mu niezdrowo poszarzała, długie włosy straciły połysk i były całe w strąkach. Z pochylonymi ramionami, w źle dopasowanym więziennym kombinezonie wyglądał zupełnie inaczej niż podczas ostatniej rozprawy. Anna odczuła pewną satysfakcję. Jedna noc w areszcie okręgowym może zdziałać cuda, zwłaszcza w przypadku człowieka z tak rozbuchanym ego.

Czekał na niego Harold Duke, obrońca. Gdy *bailiff* usadził aresztanta za stołem, obrońca i oskarżony nachylili się do siebie i zaczęli się szeptem naradzać.

Anna zerkała przez ramię, spodziewając się ujrzeć w drzwiach towarzystwo, które asystowało Sawyerowi podczas ostatniej rozprawy, ale tym razem w świecącej pustką sali siedziała tylko jego matka. Jeśli widzieli w tym domu to samo, co ja, nic dziwnego, że wolą trzymać się z daleka — pomyślała.

— Gdzie Hopkins? — spytał Tommy.

— Dzwoniłam do niego tuż przed wyjściem, ale wciąż wyklócał się z Fielderem. Lada chwila powinien tu być. — Ze zmarszczonymi brwiami rozważała w duchu, co będzie, jeśli Robert Fielder odstąpi od oskarżenia z braku dowodów.

Znów zerknęła przez ramię, tym razem wypatrując reporterów i dziennikarzy, lecz sala nadal była pusta. I nagle stwierdziła, że obserwuje ją Sawyer, że patrzy na nią błyszczącymi oczyma. Gdy posłał jej uśmiech, szybko odwróciła wzrok i przysunęła się do Reeda. W głowie kołatała jej pewna myśl: może Sawyer za nimi szedł, za nią i za Glenem, może widział, jak wychodzą na schody przeciwpożarowe, i otworzył drzwi w chwili, gdy się kochali. Na tej podstawie mógł stworzyć swoją idiotyczną historyjkę. Taki obrazek to niezła pożywka dla wyobraźni.

Hopkins wpadł do sali jak burza. Rzucił teczkę na stół, wyjął z niej akta i notatki, obejrzał się za siebie i zobaczył Annę.

— Fielder dał mi zielone światło — oznajmił z uśmiechem pełnym otuchy.
— Spokojnie, nad wszystkim panuję.

Wstała i spotkali się w przejściu między rzędami ławek po drugiej stronie sali.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś o tych bredniach, które Sawyer wygadywał na przesłuchaniu?

Był niezadowolony, że jej o tym doniesiono.

— Po co, Anno? Po co miałabyś czegoś takiego wysłuchiwać? Wiedziałem, że to cię zdenerwuje. Nie chcę, żebyś się denerwowała.

Ogarnięta falą wdzięczności, musnęła dłonią jego dłoń.

— Wpadniesz dziś wieczorem? — spytała. — Gdy Dawid pójdzie spać, moglibyśmy...

Oczy mu złagodniały.

— Zajmij się synem, Anno. Przyszły tydzień będzie luźniejszy. I nie martw się o mnie, to ostatnia rzecz, jakiej bym teraz pragnął. Poza tym muszę dzisiaj posiedzieć nad sprawą Delvecchia. Straciliśmy zeznanie Estelli Summer i oskarżenie nie jest już takie mocne.

Wymienili wymowne spojrzenia i Anna wróciła na swoje miejsce. Glen przeciął salę, podszedł do urzędniczki sądowej i wręczył jej dwa egzemplarze formularza, który w sprawach o ciężkie przestępstwo zawiera pisemne oświadczenia i zarzuty stawiane oskarżonemu. Urzędniczka podała formularze *bailiffowi*, który z kolei przekazał dokument obrońcy Sawyera, a drugi egzemplarz dołączył do akt sędziego. Zadzwoił telefon. Urzędniczka odebrała go i krzyknęła do Hopkinsa:

— Sędzia Hillstorm chce się z panem widzieć u siebie w gabinecie! Przed rozprawą!

Glen szybko wyszedł tylnymi drzwiami i ruszył korytarzem w stronę gabinetu. Sekretarka Hillstorma, rudowłosa kobieta w średnim wieku, zaprosiła go do środka gestem ręki.

— Niech pan siada — powiedział sędzia, spoglądając na prokuratora spoza stareńkiego klonowego biurka, które już dawno przeżyło swoje najlepsze dni.

Blat miało podrapany, porysowany i zawalony stertami dokumentów i czasopism. Hillstorm zbierał bibeloty z Dzikiego Zachodu — głównie z brązu, ale nie tylko. Jego gabinet bardziej przypominał zakurzony strych niż miejsce pracy sędziego. Na podstawce po jednej stronie biurka stała wypchana sowa. Na biblioteczce — kilka brązowych rzeźb. Przedstawiały stojące dęba konie z jeźdźcami na grzbietach. Hillstorm i Hopkins kochali te zwierzęta i ta miłość połączyła ich nicią wzajemnej sympatii.

Gdy zastępca prokuratora okręgowego usiadł, sędzia podniósł gazetę, zerknął na nią i spytał:

— Czy tego samego człowieka oskarżamy dzisiaj o usiłowanie zabójstwa? — Rzucił gazetę Hopkinsowi.

Glen spojrział na artykuł i odłożył gazetę na biurko.

— Tak. Sam go pan skazał za posiadanie narkotyków. Nie pamięta pan?

Siwe włosy Hillstorma zaśniły w promieniach słońca, wpadających do gabinetu przez wysokie okno.

— Oczywiście, że pamiętam, panie prokuratorze. — Oczy miał jak szpareczki, głos ostry. — Ci z prasy skontaktowali się nawet ze mną. Dla odmiany miła historyjka.

Człowiek staje przed sądem, a zaraz potem ratuje życie swojej kuratorce. — Zachichotał i założył ręce na brzuchu. — Myślałem, że zrobiłem na tym młodzieńcu wrażenie, że dzięki mnie wrócił na drogę cnoty. Poczułem się kimś wyjątkowym, wie pan?

Świdrował Hopkinsa wzrokiem. Zastępca prokuratora stracił rezon. Czy stary Hillstorm mówił poważnie, czy się tylko zabawiał? Wszyscy sędziowie byli efekciarzami, uwielbiali dobrą prasę, zwłaszcza że dziennikarze zwykle ich nie rozpieszczali. Nie było dnia, żeby taki czy inny dziennik nie zaatakował sędziego za nadmierną pobłażliwość czy za uchybienia proceduralne.

— Czy o tym chciał pan ze mną mówić? — spytał.

— A jak pan myśli? Po cóż innego miałbym pana wzywać?

Tym razem Hopkins nie odpowiedział.

— Bob Fielder przysłał mi taśmę z zeznaniem tego człowieka. Wygląda na to, że jego rodzice są porządnymi ludźmi, a sam Sawyer ma do sprawy szereg zastrzeżeń ogólnych. Myśli pan, że w tym, co mówił o pani Carlisle, jest choć odrobina prawdy?

— To on do niej strzelał! — wykrzyknął Hopkins, pochylając się nad biurkiem. — Jeśli przesłuchał pan taśmę, to na pewno pan wie, że Sawyer był na parking, zanim padły strzały, że stał dokładnie tam, gdzie według naszych przypuszczeń ukrywał się napastnik. Zapewne czekał za jednym z samochodów. Dżip Anny Carlisle został celowo unieruchomiony, co znaczy, że Sawyer chciał ją zmusić do wyjścia na otwartą przestrzeń, żeby dobrze wymierzyć. To był bezwzględny zamach, przeprowadzony z całą premedytacją. Ale to jeszcze nie wszystko. Pani Carlisle widziała w jego lodówce ludzkie palce. Nie wiemy, skąd się one tam wzięły, ale niewykluczone, że Jimmy Sawyer jest wielokrotnym mordercą.

— Jednak tych rzekomych palców, jak dotąd, nie znaleźliście. Czy dobrze mnie poinformowano? — Sędzia Hillstorm obrócił się z fotelem w stronę okna, nie czekając na odpowiedź Hopkinsa. Odpowiedź już znał. — To wszystko — dodał.

Gdy *bailiff* ogłosił rozpoczęcie posiedzenia sądu, Hillstorm spojrział na salę.

— Czy otrzymał pan kopię oskarżenia, panie Duke?

Obrońca wstał.

— Tak, wysoki sędzie. Mam również dokumenty, które chciałbym wysokiemu sądowi przedłożyć. — Podszedł do urzędniczki i wręczył jej plik papierów do rozdania.

Gdy sędzia otrzymał swój egzemplarz, po prostu odłożył go na bok. Przedkładanie dokumentów zawierających wszystkie informacje oraz zestawienia wszystkich dowodów rzeczowych w danej sprawie należy do czynności rutynowych. W toku procesu sądowego dokumentów stale przybywa, podobnie jak wniosków i petycji składanych przez obie strony.

W sali zapadła cisza; przerywał ją tylko szelest papieru, bo urzędniczka nie skończyła jeszcze kompletować akt. Hillstorm przeszył wzrokiem podsądnego i w końcu przemówił:

— Zasmuca mnie widok pańskiej osoby, panie Sawyer. Jest pan młodym człowiekiem, pochodzi pan, jak słyszę, z dobrej rodziny. Oskarżenie wysuwa przeciwko panu poważne zarzuty. — Pokręcił głową, spojrzął na leżący przed nim dokument i powoli założył okulary. — Zarzut numer jeden. Panie Duke, czy pański klient jest winny pogwałcenia paragrafu sześćset sześćdziesiąt cztery łamane przez sto osiemdziesiąt siedem kodeksu karnego stanu Kalifornia, czyli paragrafu mówiącego o uśłowaniu zabójstwa?

— Nie, wysoki sędzie. Mój klient nie przyznaje się do winy — odrzekł Duke.

— Zarzut numer dwa. Czy pański klient jest winny pogwałcenia paragrafu dwanaście zero dwadzieścia dwa punkt „a” kodeksu karnego, mówiącego o użyciu broni palnej podczas dokonywania wyżej wymienionego przestępstwa?

— Nie, wysoki sędzie. Pan Sawyer nie przyznaje się do winy — powtórzył obrońca.

— A jeśli chodzi o zarzut numer trzy, czyli pogwałcenie paragrafu dwieście czterdzieści pięć punkt „b” kodeksu karnego, mówiącego o napaści na zaprzysiężonego urzędnika sądowego z użyciem śmiercionośnej broni? Czy pański klient przyznaje się do winy?

— Nie, wysoki sędzie — powiedział Duke po raz trzeci.

Nachylił się do Sawyera, szepnął mu coś do ucha i zerknął przez ramię na jego matkę. Kobieta ocierała oczy chusteczką.

— No, dobrze — powiedział Hillstorm. — W związku z punktem czwartym oskarżenia, to znaczy pogwałceniem paragrafu tysiąc dwieście trzy kodeksu karnego, mówiącego o naruszeniu warunków dozoru sądowego nałożonego na pozwanego w sprawie numer „A” pięćset trzydzieści cztery dziewięćdziesiąt osiem trzydzieści siedem, zapytuję: czy pański klient przyznaje się do winy?

— Nie, wysoki sędzie.

I nagle Anna uświadomiła sobie, że rozprawa, której się przysłuchuje, nie jest rutynowym posiedzeniem sądu, podobnym do dziesiątków innych posiedzeń, w jakich uczestniczyła. W tym procesie stawką było życie dwojga ludzi. Nie tylko życie Sawyera, ale i jej. Odwiedzając tamten dom i dokonując przerażającego odkrycia, uruchomiła całą maszynę sądową i nawet gdyby chciała, nie mogła jej teraz zatrzymać. Jako matka miała wiele wahań. Sawyer jest taki młody — myślała, patrząc na jego plecy. Może tym straszliwym rzeźnikiem jest któryś z jego kolegów, może to on obciął komuś palce? Sawyer oskarżył ją o uwiedzenie, oskarżył kłamliwie, ale czy to możliwe, żeby zrobił to z zemsty? Nie, nie wolno jej tak myśleć.

Wystarczyło, że zamknęła oczy, i w jej pamięci ożywał tamten wieczór: kula rozrywająca ciało, krew, panika i śmiertelne przerażenie. Teraz już wiedziała, jak czuje się ofiara zbrodni, siedząc zaledwie metr od człowieka, który tę zbrodnię popełnił.

Wiedziała, że zgodnie z prawem sąd może skazać Sawyera tylko za jedno przestępstwo i podwyższyć wyrok w związku z zarzutem numer dwa, to jest za użycie broni

palnej, co jest okolicznością obciążającą. Gdyby skazano go za usiłowanie zabójstwa, nie można by go skazać za napaść z użyciem śmiertelnej broni; oba te czyny różnią się tym, że napaści z użyciem śmiertelnej broni nie towarzyszy konkretny zamiar. Duża liczba zarzutów umożliwia przysięgłym pewien wybór. Gdyby prokurator nie zdołał udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że oskarżony miał zamiar Annę zamordować, ława przysięgłych mogła zdecydować, że Sawyer jest winny napaści z użyciem śmiertelnego narzędzia, co jest przestępstwem nieco mniejszego kalibru. Poza tym stawianie oskarżonemu licznych zarzutów jest taktyką przynoszącą dobre rezultaty w przypadku, gdy dochodzi do przetargu. Gdyby Sawyer zgodził się przyjąć wynegocjowany wyrok tyłu a tyłu lat więzienia, to od pierwszego zarzutu, czyli od usiłowania zabójstwa, najpewniej by odstąpiono.

— Znakomicie — skonstatował sędzia Hillstorm.

Datę rozprawy wstępnej wyznaczył za trzy tygodnie i wyjaśnił podsądnemu, czemu taka rozprawa służy. Otóż rzecz sprowadzała się do tego, że za trzy tygodnie prokurator będzie musiał udowodnić, iż w ogóle doszło do przestępstwa. Co więcej, będzie musiał przekonać sędziego, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przestępstwo to zostało popełnione przez podsądnego. Z kolei w trakcie procesu właściwego prokurator przedstawi dowody szczegółowe i udowodni słuszność przedstawionych zarzutów.

Wstał Harold Duke.

— Wysoki sędzie, czy moglibyśmy wnieść o wyznaczenie kaucji?

— Panie Duke — odparł surowo Hillstorm — to nie jest rozprawa wstępna.

Dopiero co postawiliśmy podsądnego w stan oskarżenia i właśnie miałem zamiar wyznaczyć kuratora, który stwierdzi, czy wyznaczenie kaucji nie budzi w tym przypadku zastrzeżeń. Taka jest procedura, panie mecenasie.

— Wyrażam sprzeciw, wysoki sędzie – zareplikował obrońca. — Zdaję sobie sprawę z wymagań proceduralnych, lecz trudno nie dopatrzeć się tu sprzeczności interesów. Ofiarą przestępstwa jest kuratorka sądowa i nie można oczekiwać, by urzędnicy wydziału kuratorskiego potraktowali mojego klienta bezstronnie. Uważamy, że w tym przypadku wysoki sąd powinien ustanowić kaucję, nie sugerując się żadnymi zaleceniami. Glen Hopkins natychmiast zaprotestował:

— Wysoki sędzie, nie rozumiem, dlaczego pan Sawyer miałby korzystać z jakichkolwiek przywilejów. Natomiast zarzut pana Duke’a, że urzędnicy wydziału kuratorskiego mogą zachować się nieetycznie, uważam za podżegający i do cna obraźliwy.

Sędzia Hillstorm zdjął okulary, przetarł szkła bibułką, po czym je nałożył.

— Podtrzymuję wniosek obrony — zdecydował niespiesznie. — Sprawę kaucji rozstrzygnie sąd. Panie Hopkins, pańskie stanowisko?

— Wnoszę o niewyznaczenie kaucji, wysoki sędzie — zażądał stanowczo Hopkins, wciąż zirytowany, że Hillstorm pobłaża Sawyerowi. — W chwili popełnienia przestęp-

stwa pan Sawyer był pod dozorem sądowym, a pewne okoliczności wskazują, że może stanowić poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego. Co więcej, wspomniane wyżej przestępstwo wywołało u pani Carlisle głęboki uraz i nie należy narażać jej na dalsze przykrości. Niech wysoki sąd raczy pamiętać, że ta biedna kobieta została postrzelona tutaj, przed tym gmachem, tuż po zapadnięciu wyroku na obecnego tu podsądnego. Czy pani Carlisle mogłaby normalnie pracować, korzystać co wieczór z parkingu, wiedząc, że ten człowiek przebywa na wolności?

— Co na to obrona? — spytał Hillstorm.

— Mój klient popełnił dotychczas tylko jedno wykroczenie, wysoki sędzie. Nie ma opinii niebezpiecznego przestępcy i całe życie mieszkał w naszym okręgu. Wyznaczenie kaucji ma na celu zapobieżenie ewentualnej ucieczce podsądnego. Nie istnieją żadne powody, by przypuszczać, że mój klient nie stawi się na rozprawie, zgodnie z poleceniem wysokiego sądu.

— Owszem, są, wysoki sędzie — zaprotestował Hopkins. — Istnieje konkretny dowód na to, że w chwili aresztowania podsądny przygotowywał się do ucieczki, by ujść wymiarowi sprawiedliwości. Wynajął ciężarówkę i usunął wszystkie meble z wynajmowanego domu. Jeśli to nie jest dowód, to nie wiem, co nim może być. Podsądny nie ma pracy, nie posiada żadnej nieruchomości i ciężką na nim zarzuty o dokonanie poważnych przestępstw.

— Czy to prawda, panie Duke? — spytał Hillstorm, szeleszcząc papierami w poszukiwaniu doniesienia o aresztowaniu. — Czy pański klient próbował uciec?

— Nieprawda, wysoki sędzie — odparował Duke. — Przeprowadzał się tylko do domu swoich rodziców. Nie ma najmniejszego dowodu na to, że usiłował wyjechać z naszego stanu czy nawet z miasta. — Zerknął na Rosemary Sawyer i podniesionym z oburzenia głosem mówił dalej: — Pragnę dodać, że te wszystkie zarzuty to jedna fikcja i pozory, wysoki sędzie. Bo czyż prokurator dysponuje dowodami łączącymi osobę mojego klienta z rzeczonym przestępstwem? Nie. Uważam, że trzeba nie mieć sumienia, by żądać uwięzienia niewinnego człowieka, którego skazać się nie da, o czym oskarżenie doskonale wie.

Hopkins zerwał się na równe nogi.

— Zgłaszam sprzeciw! To było wielce niestosowne, wysoki sędzie.

— Wyznaczam kaucję wysokości stu tysięcy dolarów — oznajmił Hillstorm i grzmotnął młotkiem w pulpit. — Zamykam posiedzenie sądu.

Gdy Hillstorm zniknął za drzwiami, Hopkins chwycił akta i spieszenie podszedł do Anny.

— To tylko początek, Anno — tłumaczył szybko. — Rozprawa wstępna już za trzy tygodnie. Jeśli uznają, że jest w to zamieszany, na pewno anulują kaucję. — Widząc, że nie bardzo ją tym pocieszył, dodał lżejszym tonem: — Hillstorm dowalił mu stowę, a to już coś, nie? Kupa szmalu, Sawyer może nie wyrobić.

— Wyrobi, spokojna głowa — mruknęła, patrząc mu w oczy. — Zapomniałeś, że jego ojciec jest chirurgiem?

Podczas gdy nieliczna publiczność wychodziła na korytarz, Glen zamienił kilka słów z Haroldem Duke'em i niemal biegiem wrócił na proces Delvecchia, odbywający się w sąsiedniej sali. Sawyerowie będą musieli wyłożyć tylko dziesięć procent zasadzonoj sumy. Anna wiedziała, że nie pozwolą, by ich syn poszedł do więzienia.

Gdy wychodziła z Reedem z sali, nagle stanął jej przed oczyma widok ludzkich palców w domu przy Henderson Avenue. Natychmiast odpędziła od siebie ten obraz. Myślenie o tym nic nie da, doprowadzi ją jedynie do szaleństwa. Bez względu na to, co Sawyer zrobił, kogo zaszlachtował, ile rozprowadził narkotyków, wkrótce będzie na wolności.

— Posłuchaj, moi ludzie przysiadą mu na ogonie — szepnął Tommy. — Gdy tylko zbliży się do twego domu, rozpirzą facetowi łeb.

— Dobrze by było. — Roześmiała się. — Miałam na myśli obstawę.

— Na całą układankę mamy tylko trzy tygodnie. Ściągnę, kogo się da, i zaprzęgnę do roboty. Musimy działać szybko.

Anna kiwnęła głową i przyrzekła sobie, że już nigdy w życiu nie zasugeruje sędziemu wyznaczenia kaucji. Przenigdy, w żadnej sprawie. Bo teraz już wiedziała, jak czuje się ofiara przestępstwa.

W sumie było jeszcze gorzej niż przed aresztowaniem Sawyera. Chociaż oskarżano go w imieniu stanu Kalifornia, Sawyer zdawał sobie sprawę, że właściwą oskarżycielką jest Anna. Natomiast ona, Anna, doskonale wiedziała, czyja twarz kojarzy jej się z rewolwerem, z którego do niej strzelano. Ironia losu sprawiła, że tam, na chodniku, ta sama twarz wydawała się jej taka piękna. Sawyer musiał być człowiekiem obłąkanym, psychicznie zwichrowanym — a taki jest najgorszym przeciwnikiem. Człowiek, który do kogoś strzela, a potem przychodzi mu z pomocą, to socjopata, osobnik bez sumienia, istota nie uznająca podstawowych wartości.

Jaki będzie jego następny krok? Zastanawiała się nad tym, czując na karku delikatne muśnięcie strachu. Gdyby tylko żył Hank — pomyślała ze smutkiem. Lecz on nie żył i wiedziała, że musi zrobić to, czego uczono ją na długo przedtem, nim Hank wkroczył w jej życie: musi się bronić. Za kilka krótkich godzin Jimmy Sawyer wyjdzie z więzienia i Anna będzie bezpieczna dopiero wówczas, gdy Sawyer tam wróci. Glen powiedział, że to tylko trzy tygodnie. Annie trzy tygodnie wydały się wiecznością.

Rozdział 9

Anna wróciła do domu podczas szalejącej burzy, po kolacji z Claudette i jej mężem. Dochodziła dziewiąta wieczorem. Dawida nie było, bo pozwoliła mu zanoć w domu kolegi. Wyczerpana fizycznie i emocjonalnie, od razu poszła do sypialni. Ściągnęła z siebie ubranie, zgasiła światło i wpełzła pod koc. W dach bębnił ulewny deszcz, wiał silny wiatr, przez co w starym domu skrzypiało i potrzaskiwało. Naciągnęła koc na głowę, żeby tego nie słyszeć, i szybko zasnęła.

Mniej więcej kwadrans później gruchnął grzmot i Anna gwałtownie usiadła na łóżku. W świetle błyskawicy ujrzała w lustrze własne odbicie, ulotne i migotliwe. Poprzedniego dnia przeniosła więdnące kwiaty od Glena na sejf pod oknem, dokładnie naprzeciwko łóżka, mimo to wciąż czuła ich słodki aromat, wymieszany z wilgotnym zapachem deszczu.

Słyszając donośny odgłos kapiącej wody, zwlokła się w końcu z łóżka i sięgnęła po szlafrok. Nie znalazłszy go, postanowiła dać sobie spokój i wyszła na korytarz nago — Dawida nie było, a z zewnątrz nikt jej nie mógł podejrzeć. W kuchni zapaliła światło. Jak przypuszczała, przeciekał dziurawy dach. Woda zbierała się na podłodze, tworząc wielką kałużę. Anna wzięła garnek i podstawiła go, gdzie trzeba, zastanawiając się nad kosztem nowego dachu. Potem wyjęła jeszcze kilka garnków i rozstawiła je po całym domu, w miejscach najbardziej narażonych na przecieki. W minionym roku łątała. W tym roku będzie musiała wymienić cały dach.

Gdy wracając do sypialni, mijała pokój syna, uderzył ją podmuch wilgotnego powietrza. Było ciemno — nie zapaliła światła — ale domyśliła się, że widocznie Dawid zostawił otwarte okno. Deszcz zacinął i pewnie woda zalewała wszystkie papiery leżące na biurku. Gdy wróci, dostanie szału.

— I dobrze ci tak — szepnęła, wchodząc do ciemnego pokoju.

Tyle razy mu powtarzała, żeby przed wyjściem zamykał okno na zamek. Dla bezpieczeństwa Hank zamontował we wszystkich oknach specjalne zatrzaski.

Pochylając się, by sięgnąć ramy, dotknęła blatu biurka. Był mokry, jak przypuszczała, a Dawid zostawił na nim swoje podręczniki. Będzie musiała podsuszyć je w kuchence mikrofalowej, żeby nie wydawać pieniędzy na nowe. Chwyciła za okno i właśnie próbowała je ściągnąć, gdy wtem coś z niego odpadło i pacnęło z brzękiem na biurko. Duży kawałek szkła. Anna zapaliła lampkę i stwierdziła, że wybita jest cała szyba. Szkło leżało i na biurku, i na podłodze, a kilka większych kawałków wpadło między blat a parapet. Wspaniale — pomyślała. Musi wyłożyć pieniądze nie tylko na nowy dach, ale i na nowe okno. Uważając na wystrzępione zadziory tkwiące w ramie, wysunęła głowę na zewnątrz. Nie zobaczyła nic, więc uznała, że szybę stłukła rozkołysana wiatrem gałąź rosnącego przed domem drzewa.

Odsunęła biurko od ściany, zachodząc w głowę, czy ma w garażu kawałek tektury wystarczająco duży, by zasłonić dziurę, zanim przyjdzie szklarz. Nagle zdała sobie sprawę, że może się pokaleczyć odpryskami szkła leżącymi na podłodze, więc wdepnęła w tenisówki Dawida, już na nią za duże. Zebrała mokre książki, stanęła w progu, gdy wtem w domu zapanowała nieprzenikniona ciemność.

Wrzasnęła, uciekła na korytarz, ale tuż za drzwiami przystanęła i kilka razy głęboko odetchnęła. Potem roześmiała się.

— Nie bądź idiotką — powiedziała na głos. — Wysiadł prąd i tyle.

Wytłumaczyła sobie, że rzadko zostaje w domu sama, a ostatnie przeżycia rozkołatały jej nerwy.

— Szlag by to trafił — wymamrotała, idąc po omacku korytarzem. Nie widziała nic, absolutnie nic. Była pewna, że w kuchni są świece, tylko jak dotrzeć do kuchni? Dotknęła ramieniem ściany i postanowiła sunąć wzdłuż niej, choćby centymetr po centymetrze.

— Anno! — Męski głos. Z ciemności. — Anno!

Zamarła. Przestała oddychać. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Błyskawicznie odwróciła się w stronę głosu.

— Kto tu jest? Czego chcesz?

Rzuciła książki i chciała stamtąd uciec, ale grzmotnęła ramieniem o futrynę. Czuła odór mokrego ubrania, zapach ludzkiego ciała, słyszała chrapliwy oddech. Intruz stał kilkadziesiąt centymetrów od niej. Pewnie w łazience. Łazienka była między pokojem Dawida a drzwiami do kuchni.

Na ramieniu poczuła dotknięcie ręki. Przerażliwie krzyknęła i popędziła ciemnym korytarzem do swojej sypialni, ale już po kilku krokach potknęła się, bo biegła w nie zawiązanych tenisówkach. Straciła równowagę i całym pędem wpadła na ścianę. Gwałtowny ból otrzeźwił ją. Musiała, po prostu musiała przypomnieć sobie odruchy sprzed lat, z czasów, gdy służyła w policji. Jeśli zostanie na podłodze, będzie stanowiła trudniejszy cel. Zakładała, musiała założyć, że napastnik ma broń.

Wstrzymując oddech i nakazując sobie spokój, zaczęła się czołgać. Byle do sypialni. Byle do sejfu. W sejfie był pistolet.

Zaszeleściło ubranie, tuż koło niej wykwitł czarny cień i nagle rozpląszczyła się na podłodze. Leżał na niej, przygniatał ją ciężarem ciała, miażdżył jej zebra. Nie mogła oddychać.

— Puszczaj! — wrzasnęła w panicznym strachu. — Czego chcesz?! Nie mam pieniędzy!

Czy to Sawyer? Przyszedł ją zabić, żeby nie mogła przeciwko niemu zeznawać? Usłyszała zduszony szept:

— Nie ruszaj się, wszystko będzie dobrze.

Wytężyła siły, odepchnęła się od podłogi, chcąc go z siebie zrzucić, ale był za wielki, za ciężki. Poczowała, jak coś szorstkiego i kłującego ociera się o jej policzek, poczuła na uchu gorący oddech.

— Spokojnie, Anno — rozkazał stanowczo. — Przestań walczyć. Nie wiesz, kim jestem?

Mówił, a jego ręce obmacywały jej pośladki, badały wnętrze ud. Wiła się pod ich dotykiem, wierzała i odpychała się ze wszystkich sił.

— Złaż! — wrzasnęła. — Objął ją w pół, wsunął głębiej ręce i ścisnął jej sutki. Krzyknęła z bólu. Chciał ją zgwałcić. Była naga, nigdy w życiu nie czuła się tak bezbronna, tak wystawiona na atak. — Przestań! Nie! Pozwól mi wstać, dam ci wszystko, co zechcesz! Proszę! — W głowie błysnęła jej straszliwa myśl: Estella Summer. Boże, leżała w takiej pozycji, że napastnik nie musiał jej nawet odwracać i mógł ją zgwałcić od tyłu.

Znów przyszczypał jej sutki. Anna zacisnęła powieki.

Kto to jest? Ten głos... Próbowwała go rozpoznać, skojarzyć z twarzą. Był przytłumiony, zniekształcony, jakby gwałciciel zasłonił sobie usta chustką do nosa, jakby nosił maskę z pończochy. Znała go? Gdzieś ten głos słyszała? Sawyer? Jakiś przestępca, którego posłała za kratki? A przecież Tommy zawsze jej powtarzał, że pewnego dnia jeden ze zbrodniarzy, z których podstępnie wyciągnęła obciążające zeznania, dopadnie ją i zemści się.

Oderwał dłonie od jej piersi, brutalnie przesunął rękami po brzuchu i wepchnął je między uda. W tym samym momencie postanowiła, że jeśli nie zdoła dotrzeć do sejfu, zamorduje kanalię gołymi rękami. Wbije mu palce w oczy, potem ściśnie mu gardło i wyrwie język.

— Dobrze ci? — szepnął uwodzicielsko. — Lubisz to? Gdzie Dawid? Gdzie jest Dawid, Anno?

Dawid? Zaszumiało jej w uszach. Skąd ten bydlak wie o Dawidzie?

Ogarnięta furią, czując, jak buzuje w niej adrenalina, odkryła w sobie siłę, której istnienia nawet nie podejrzewała. Nie pozwoli skrzywdzić Dawida. Nigdy. Nikomu. Po jej trupie.

— Ty skurwysynu! — wycharczała.

Sprężystym ruchem wyprostowała ramiona, uniosła się na kolana i zrzuciła napastnika z pleców. Upadł na bok, huknął głową o ścianę, chwycił Annę za ramię, lecz kopnęła go ze wszystkich sił. Poczowała, że cios dosięgnął celu, bo trafiła w coś miękkiego. W brzuch? Tego nie wiedziała, ale mężczyzna jęknął, stęknął, jakby przykopała mu w krocze.

Zerwała się z podłogi i popędziła korytarzem. Wpadła do sypialni, natychmiast skrzywiła do okna, grzmotnęła udem w grube stalowe drzwi sejfu i strąciła stojący na nim wazon z kwiatami. Poczowała w nodze przeszywający ból, ale nie zwróciła na to uwagi. Jednym szarpnięciem ściągnęła leżącą na sejfie serwetę i otworzyła drzwiczki.

Z korytarza dobiegł ją głośny stukot: mężczyzna chciał wstać, ale znowu upadł.

Wymacała na dnie sejfu twardą, zimną stal i z ulgą zacisnęła trzęsące się palce na rękojeści beretty.

Ujęła broń obiema rękami, trzasnęła skrzydełkiem bezpiecznika i żeby sprawdzić, czy pistolet jest nabity, ściągnęła spust. Huknęło, zadzwoniło jej w uszach, zadudniło w głowie, poczuła ostry zapach kordytu. Cudowny zapach. Najwspanialszy zapach w świecie. Wdychała go, odzyskując pewność siebie.

— Słyszałeś, skurwysynu?! — wrzasnęła, z trudem łapiąc oddech. Lewą ręką ścisnęła nadgarstek prawej i wycelowała w drzwi. — Chodź tu, kanalio! Chodź do mnie!

Usłyszała tupot nóg.

Błyskawica oświetliła pokój i Anna zdała sobie sprawę, że miast celować w drzwi na korytarz mierzy w odbicie sypialnianego okna, mającące w lustrze toaletki. Zrzuciła tenisówki, żeby się znów nie potknąć, i szybko wstała.

Skradając się korytarzem, dotknęła ściany i odnalazła drzwi do łazienki. Przystanęła, wycelowała w ciemność. Wtem usłyszała hałas dobiegający z kuchni i odwróciła się na pięcie. Próbował uciec? A potem wrócić i skrzywdzić Dawida? Myślał, że mu na to pozwoli? Nigdy. Stała przy drzwiach, przywarła do ściany, odliczyła do trzech i gotowa otworzyć ogień, wpadła do kuchni z pistoletem w wyciągniętych sztywno rękach.

Nagle uderzył ją silny podmuch powietrza i uświadomiła sobie, że drzwi na podwórze są szeroko otwarte, że wpada przez nie deszcz i wiatr. Ostrożnie ruszyła naprzód, dotarła do drzwi, a gdy stwierdziła, że napastnik umknął, puściła się pędem przed siebie.

Na podjeździe dostrzegła niewyraźną sylwetkę biegnącego mężczyzny i wypaliła. W tym momencie gdzieś niedaleko uderzył piorun, donośnie zagrzmiało i zobaczyła, że napastnik pada na ziemię.

Trafiła, zastrzeliła go.

W świetle pobliskiej latarni zobaczyła jego twarz. Zobaczyła ją z bliska, z odległości kilku metrów, bo odwrócił głowę i spojrzał na nią w chwili, gdy poderwał się do biegu jak sprinter, a nie jak człowiek, którego postrzelono. Zacisnęła dłoń na rękojeści pistoletu, ale stała jak zahipnotyzowana i nie mogła nacisnąć spustu. On patrzył na nią, ona na niego — na ułamek sekundy czas stanął w miejscu. Jej ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Znała tego człowieka, na pewno gdzieś go widziała. Zaschło jej w gardle, nie mogła przełknąć śliny. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

Zacisnęła powieki, chcąc odpędzić od siebie ten obraz. Wymacała spust. Musi go zastrzelić, musi. Teraz, natychmiast. Otworzyła oczy, żeby wycelować, ale mężczyzna zniknął. Opuściła rękę.

Facet jest szybki, ma błyskawiczny refleks — pomyślała i zakłęła w duchu. Widocznie na chwilę przedtem, nim wypaliła, przypadł do ziemi i kula przeleciała nad jego głową. Zaraz potem miała drugą okazję, ale zawahała się. Kilka sekund zaledwie,

lecz wystarczająco dużo czasu, żeby napastnik umknął. Ścigać go czy dać sobie spokój i zabarykadować się w domu? Wstrzymała oddech i zamarła, wyęzając słuch. Nie słyszała nic oprócz zawodzenia wiatru i bębnienia deszczu.

Nagle dobiegł ją warkot silnika, wizg kół buksujących na śliskim asfalcie, potem pisk opon i głośny metaliczny trzask.

Przecięła podjazd i wybiegła na ulicę. Zobaczyła samochód. Stał w poprzek jezdni, ale to nie był samochód napastnika; Anna wiedziała, że wóz należy do sąsiada z naprzeciwka. Uświadomiwszy sobie, że jest naga, objęła się wpół i wtedy usłyszała warkot. Spojrzała szybko w prawo i dostrzegła tylne światła samochodu skręcającego z poślizgiem za róg. Napastnik uciekł.

Ruszyła pędem do domu z zamiarem ścigania go dżipem, ale zreflektowała się: zanim dobiegnie do garażu i uruchomi wóz, będzie za późno.

Przestępując nad rozbitym szkłem w progu kuchennych drzwi, zerknęła za siebie: w domu naprzeciwko ujrzała światło. Wtedy przypomniała sobie, że lampa na ulicy też się paliła, bo w jej świetle widziała twarz napastnika. Awaria spowodowana burzą pozabawiłaby prądu całą okolicę, a więc to nie awaria. Włamywacz musiał wykręcić korki w skrzynce na ścianie garażu. Podszedł ją, wszystko przygotował, zaskoczył ją w chwili, gdy się niczego nie spodziewała. Jak wtedy, jak na parkingu przed gmachem sądu. Oszołomiona, stała w deszczu, drżąc z zimna.

Kto to mógł być? Dlaczego wydawał się jej znajomy? Nad kuchenką znalazła zapalki i świeczkę. Zapaliła ją i weszła do saloniku, po drodze sięgnąwszy do szafy po pierwszy z brzegu płaszcz.

Staną przy telefonie, żeby zadzwonić na policję. Gdy chowała pistolet do kieszeni, poczuła, że coś w niej jest. Wyjęła pogniecione pudełko papierosów Marlboro. Miała na sobie płaszcz Hanka, angielski płaszcz, który kupiła mu kiedyś na gwiazdkę. Nagle usłyszała dalekie echo jego głosu. Głos — myślała, próbując przypomnieć sobie brzmienie głosu napastnika. Skąd znała ten głos?

Zadzwoniła na policję i opadła na sofę. Była tak odurzona, że zapomniała o płonącej świeczce. Otrzeźwiała dopiero wtedy, gdy gorący воск sparzył ją w palce. Drgnęła z bólu, nakapała wosku do popielniczki, zatknęła świeczkę i otuliła się płaszczem Hanka. Pociągnęła nosem: wydawało się jej, że nawet po tylu latach czuje zapach jego wody kolońskiej. Nie, to tylko wyobraźnia.

Znów podniosła słuchawkę i wykręciła numer Glena, ale odezwała się automatyczna sekretarka. Postanowiła nie zostawiać żadnej wiadomości i szybko przerwała połączenie. Nie, w ten sposób nie mogła mu o tym opowiedzieć.

Gdzie ta policja? Minęły już chyba całe wieki. Obserwowała migotliwe cienie i bezwiednie przytupywała bosymi stopami. Znów pomyślała o Hanku. Hank już by tu na pewno był, nawet gdyby nie była jego żoną. Głównym obowiązkiem Carlisle'a było in-

terweniowanie w wypadkach drogowych, ale zawsze nadśluchiwał komunikatów i gdy tylko miał okazję, pędził na miejsce przestępstwa tak szybko, jak tylko mógł. Którejś nocy jechała z nim i obsztorcowała go za wariacką jazdę, twierdząc, że kiedyś się zabije.

— Tam na nas czekają — odpowiedział. — Jak byś się czuła, gdybyś była ranna, gdybyś nie mogła wydostać się z rozbitego samochodu, gdybyś czekała na pomoc?

Zawsze go za to podziwiała: za oddanie ludziom w potrzebie.

Sięgnęła po fotografię leżącą na stole, po to samo zdjęcie, które Dawid położył jej na piersi. I nagle zauważyła, że na stole czegoś brakuje. Na zakurzonej blacie widniała czysta, lśniąca plamka. W tym miejscu stało zdjęcie Dawida. Anna zajrzała pod stół, myśląc, że w zamieszaniu spadło, ale na podłodze fotografii nie było. Ogarnęła ją nowa fala paniki. Bandzior zabrał zdjęcie Dawida. Gdy próbował ją zgwałcić, wyraźnie słyszała, jak wypowiada jego imię. To nie była przypadkowa napaść ani zwykłe włamanie. Tak samo jak nieprzypadkowo strzelano do niej na parking.

Wsparła łokcie na kolanach i objęła głowę rękami. Po chwili wyszarpnęła pistolet z kieszeni, ścisnęła go mocno i wycelowała w drzwi.

— Spróbuj tylko wrócić, sukinsynu — syknęła przez zęby. — Następnym razem będę na ciebie czekała.

Rozdział 10

Detektyw Jess Rodriguez parkował przed zadaszonym pasażem handlowym na Main Street. Siedział tam już od szóstej, śledząc Sawyera od chwili, gdy chłopak wyjechał Porschem z domu rodziców przy Seahorse Avenue. Nie miał zielonego pojęcia, co gówniarz tam robi, bo sklepy zamykano o dziewiątej, a dochodziła już dziesiąta. W końcu postanowił to sprawdzić, ale drzwi były zamknięte i lał tęgi deszcz. Rodriguez wrócił do samochodu, otworzył bagażnik i wziął płaszcz. Facet w końcu przyjdzie — pomyślał. Nikt nie porzuca takiego wozu. Usiadł za kierownicą i spojrzął na parking. Był wykończony. Tak, ludzie nie zdają sobie sprawy, że kilka godzin gapienia się na stojący samochód może człowieka wykończyć...

Postanowił popracować nad raportem, który miał oddać jutro o dziewiątej rano — w przeciwnym razie groziło mu wezwanie na dywanik. Włączył lampkę, wziął podkładkę z przypiętymi do niej papierami i już zabierał się do pisania, gdy zobaczył, że Porsche odjeżdża.

— Kurwa mać! — zaklął i natychmiast ożył. — Rzucił podkładkę na tablicę rozdzielczą i przekręcił kluczyk.

Padął gęsty deszcz, szyby były zaparowane, tak że nikogo nie zauważył. Ale wiedział, że jeśli faceta zgubi, Tommy Reed urwie mu łeb.

Co się z tym Sawyerem dzieje? Zapominał o sprzęgle, jechał zrywami, jak ostatni idiota: szybki zryw, gwałtowne hamowanie i znów szybki zryw. Słysząc było jazgotliwe zgrzytanie przekładni.

— Zmień bieg, kretynie — wymamrotał.

Szczeniak nie miał najmniejszego pojęcia o prowadzeniu takiego cacka. Czyżby tatuś dopiero co mu go kupił?

Cud: Porsche zdołał wyjechać z parkingu na siekaną deszczem jezdnię. Sunał wolno, ale przynajmniej już nie skakał jak pijany kangur. Skręcając to w lewo, to w prawo, przeciął osiedle i zaczął wjeżdżać na wzgórze. Rodriguez cały czas siedział mu na ogonie, bo w ciemności i deszczu Sawyer nie mógł zauważyć, że ktoś go śledzi. Porsche znów dostał czkawki.

— Zredukuj biegi, kutasie. Na czwórce nie wjedziesz.

Kilka minut później samochód zatrzymał się i wysiadł z niego niski, krępy mężczyzna. Rodriguez zaparkował kilkanaście metrów dalej i wyteżył wzrok. Gdy kierowca stanął pod lampą nad drzwiami jakiegoś domu, Jess wyteżył wzrok jeszcze bardziej i stwierdził, że... To nie Sawyer.

— Szlag by to... — mruknął, gdy mężczyzna wszedł do środka. Co za kretyn! Za kim on cały czas jeździł?

Szybko sięgnął po kartkę leżącą na fotelu dla pasażera i porównał numery rejestracyjne. Porsche należał do Sawyera, nie miał co do tego żadnych wątpliwości, tylko gdzie był Sawyer? Na Main Street. Musiał natychmiast wrócić na Main Street i sprawdzić, czy to nie tam go zgubił. Zanim skręcił w boczną uliczkę, zerknął we wsteczne lusterko. Kierowca nie zaciągnął ręcznego hamulca i Porsche staczał się powoli w dół, prosto na parkujący nie opodal samochód.

— Dobrze ci tak, bubku zasrany — mruknął, dodając gazu. — Zrobiłeś mnie w konia. Dobrze ci tak. Mam nadzieję, że wgniecenie będzie duże. Oby jak największe, cholera.

Od chwili ucieczki napastnika minęły prawie dwie godziny. Po całym domu kręciła się policja, a ona stała z Noahem Abramsem i szacowała zniszczenia. Greenberg i Miller, detektywi z wydziału do spraw zwalczania handlu narkotykami, przyjechali zaraz za pierwszym radiowozem. Meble były poprzewracane, rzeczy porozrzucane, od drzwi do sypialni biegła błotnista ścieżka, wydeptana przez wchodzących i wychodzących policjantów. Jak na wojnie — pomyślała Anna, kręcąc głową.

Obeszła pokój. Noah nie spuszczał z niej oczu. Wciąż miała na sobie czarny, zapięty pod szyję płaszcz. Na kołnierzu spadały jej mokre od deszczu włosy i widać było, że jest mocno wstrząśnięta.

Pod butami policjantów trzeszczało rozbite szkło, gdy chodząc po domu, szukali śladów. Abrams znalazł na podjeździe maskę, taką jakiej używają chirurdzy. Kiedy pokazał ją Annie, zrozumiała, dlaczego napastnik miał przytłumiony i zniekształcony głos. Ponieważ ojciec Sawyera był lekarzem, ślad wskazywał, że podejrzanym jest nie kto inny, tylko Jimmy Sawyer.

— Przecież to nie może być Sawyer — skonstatowała, nie mogąc opanować dygotu. — Tommy powiedział, że cały czas go śledzą, że nie pozwolą mu podejść do mojego domu.

— Jess Rodriguez go zgubił — odrzekł Abrams z kwaśną miną. — Mówi, że około szóstej Sawyer wszedł do domu handlowego na Main Street. Wrócił do samochodu o dziesiątej, Rodriguez pojechał za nim, ale okazało się, że za kierownicą siedzi ktoś inny.

— Bomba — jęknęła Anna. — Więc nie wiadomo, gdzie on teraz jest, tak? A co z tym samochodem z naprzeciwka? Zbadaliście wgniecenie? Może zostały na nim odpryski lakieru z wozu, który go potrącił?

— Możliwe.

— Co znaczy „możliwe”? — warknęła. — Albo zostały, albo nie. Nie możecie tego stwierdzić?

Abrams wrzucił maskę do plastikowej torebki i podszedł bliżej.

— Przepraszam cię za to wszystko — szepnął. — Byłem w domu, gdy dostałem wezwanie. Gdybym miał służbę, przysłałbym tu radiowóz i pilnowaliby domu przez całą noc.

Skruszona mina Abramsa złagodziła jej gniew. Zniżyła głos:

— Wiem, że to nie twoja wina, Noah. Po prostu nie mogę uwierzyć, że go zgubili.

— Zobaczysz, Jess za to oberwie. I to jak. — Trzasnął pięścią w otwartą dłoń, błysnął gniewnie oczyma i z nagłą troską w głosie spytał: — Na pewno nic ci nie jest?

— Nie, nic. Co z tym lakierem, Noah?

— Zaraz ściągniemy samochód do laboratorium, nasz wóz już tu jedzie — odrzekł szybko. — Pada deszcz, ulice są puste, szybko obrócimy.

— A odciski palców?

— Anno — powiedział cicho i łagodnie — zdaj się na nas. Usiądź sobie albo może lepiej połóż się. Źle wyglądasz. — Zwykle blada, teraz była biała jak ściana, przy której stała. — Może wezwać pogotowie?

— Nie.

Chciała porozmawiać z Tommym, nie z Abramsem. Gdzie jest Reed albo Whittaker? Nie można ich złapać czy jak?

Noah kopnął kawałek szkła leżący na podłodze. Anna dała mu do zrozumienia, że woli tamtych, i to go trochę zabolalo. Przecież to on prowadzi śledztwo, nie Reed ani Whittaker.

— Chyba są poza zasięgiem radia. — Wzruszył ramionami. — Próbowaliśmy komórkowym, ale wyłączyli swoje aparaty.

— Tommy mówił mi, że jedzie z Philem do Los Angeles, żeby sprawdzić jakiś ślad. Ustaliliście już, kim są ci, co mieszkali z Sawyerem? Moglibyśmy ich zgarnąć. Na pewno wiedzą, gdzie jest Sawyer.

— Anno, wierz mi, robimy, co w naszej mocy. — zapewnił ją Abrams. — Mamy ich nazwiska i rysopisy. Już tych łebków szukają, a jak tylko znajdą, natychmiast ich przesłuchamy. Jeden jest Chińczykiem, nazywa się Peter Chen. Dotychczas nie notowany, podobno studiował fizykę na uniwersytecie w Long Beach. Ten drugi to Brett Wilkinson, pochodzi stąd. Poznali się z Sawyerem w szkole średniej.

Anna spojrzała na zegarek. Jeszcze nie było jedenastej, a wydawało się, że od tamtej chwili upłynęły całe godziny. Spotkanie z napastnikiem trwało kilka minut.

— Twierdzisz, że to nie Sawyer? Dobrze go widziałaś?

— Sama nie wiem — odrzekła znużona, bo już ją o to pytali. — Wiem tylko tyle, że był duży, no, wiesz, wysoki, i że nosił gruby płaszcz. Nie wiem, jakiego koloru, bo było ciemno. Na twarzy miał maskę, tę, którą znaleźliście. Odniosłam wrażenie, że ma gęsty zarost. Nie jestem pewna. Gdy stanął blisko, o twarz otarły mi się jego włosy albo broda. Widziałam go w świetle, ale tylko przez ułamek sekundy. Jeśli miał brodę, to nie Sawyer. Sawyer nie nosi brody.

— Ale nie jesteś pewna, tak? — Chryste — pomyślał. Ta kobieta była policjantką, a nawet nie potrafi opisać napastnika. Co będzie w sądzie? Przecież Anna go nie zidentyfikuje, no bo jakim cudem? Tak bardzo chciał sukinsyna dorwać, tymczasem nie wyciągnął z niej prawie nic.

Nagle przypomniała sobie o Dawidzie. Natychmiast wpadła w popłoch i podbiegła do telefonu. Noah popędził za nią.

— Muszę sprawdzić, co z Dawidem — powiedziała ze słuchawką w ręku. — Wymówił jego imię. On go szukał, pytał o niego. Powinna była zadzwonić wcześniej.

Abrams patrzył na Annę czujnie, spodziewając się, że może zaraz zemdleć. Uspokojony, zostawił ją samą i wyszedł do saloniku.

— Freddy? — spytała. — Spaliście już?

— Nie. A kto mówi?

— Anna Carlisle. Możesz mi dać Dawida?

— Dawid! — wrzasnął. — Mama do ciebie!

Usłyszała chichot i ryk telewizora w tle. Brzmiało to jak wideoklip MTV.

— Czego chcesz? — spytał, wyraźnie zażenowany tym, że Anna dzwoni i sprawdza go jak małe dziecko.

— Gdzie są rodzice Freddy'ego?

— W swoim pokoju. A niby gdzie mieliby być?

Poczuła wielką ulgę. Louise i Charles Litsky byli jej bliskimi przyjaciółmi.

— W porządku. A teraz posłuchaj. Gdzie jest ich pokój? Daleko od waszego?

— W głębi korytarza, ale my jesteśmy w salonie. Dlaczego zadajesz te głupie pytania? — Urwał i krzyknął do Freddy'ego: — Ścisz to! Twoi starzy nas nakryją! — I zaczął chichotać.

Anna usłyszała w tle pojękiwanie kobiety.

— Co to jest? Słyszę tam jakąś panią. Co się u was dzieje, Dawid?

— Nic, nic, mamusiu — odrzekł ze śmiechem. — Nic się nie dzieje. Zakrył ręką słuchawkę i znów wrzasnął do kolegi: Freddy, powiedziałem, ścisz to! Ale już! Matka usłyszy! Zobaczysz, że usłyszy!

Jak to czasami z matkami bywa, nagle odkryła w sobie dar widzenia na odległość i niczym promieniami rentgena prześwietliła salon domu przyjaciół. Słyszała głos Dawida, wiedziała, że jest bezpieczny, i odczuwała wielką ulgę, ale to wcale nie znaczyło, że pęta może robić, co mu się żywnie podoba.

— Ach, ty gówniarzu! Oglądacie filmy pornograficzne, prawda? Przecież słyszę. — Wiedziała, że się nie myli. Te udawane jęki, to postękiwanie. Między innymi właśnie dlatego zwykle nie pozwalała Dawidowi nocować u kolegów. — Włączyliście kanał Playboya, tak?

— Nie, mamu, przysięgam, że nie — zawodził Dawid łamiącym się głosem. — Zdawało ci się. Freddy! Ścisz to! — Telewizor ucichł.

— Poproś Louise do telefonu. I to zaraz. Słyszysz mnie? — Czują, że lada chwila dostanie amoku. Tu włamanie, a tam ukochany synalek ogląda pornosy.

— Nie, mamusiu, proszę cię, nie rób tego — błagał. — Już przełączyliśmy, naprawdę. Przrzekam, że nigdy więcej nie będziemy tego oglądać. Proszę cię, mamu, Freddy mnie zabije, jeśli jego starzy się dowiedzą. W ten weekend zaprosili mnie na Czarodziejską Górę.

Anna spojrzała w stronę drzwi i w progu zobaczyła drobniutką rudawą blondynkę, która zbierała odłamki szkła. Natychmiast ją rozpoznała. Melanie Chase była jedną z najwybitniejszych laborantek sądowych w Venturze.

— Muszę kończyć. Odbiorę cię rano.

Dobrze znała Melanie. Wszyscy policjanci z okręgu wiedzieli, że i w laboratorium, i w terenie jest prawdziwą cudotwórczynią. Gdy drogówka oraz inne agencje zrezygnowały z dalszego śledztwa w sprawie zaginięcia Hanka, Anna i Tommy skłonili ją do podjęcia badań na własną rękę. Jednak po ośmiu miesiącach ślęczenia nad dokumentami i dowodami rzeczowymi — robiła to bez żadnego wynagrodzenia, w czasie wolnym od pracy — także Melanie poddała się.

Wszystko wskazywało na to, że podejrzany albo podejrzani zaskoczyli Hanka w drodze do radiowozu, po czym przewieźli nieprzytomnego w inne miejsce, by tam go zamordować. Pod względem liczebności i wagi dowodów laboratoryjnych sprawa była beznadziejna. Dysponowali jedynie śladami opon samochodu sprawców przestępstwa oraz nikłym materiałem poszlakowym zebrany na poboczu szosy — przedmiotami, które mogły, ale wcale nie musiały należeć do porywaczy i zabójców. Melanie Chase twierdziła później, że był to jedyny przypadek w jej karierze, gdy tak ciężko pracowała, by nie osiągnąć żadnych rezultatów.

Męcząc się w przydużym, żółtym służbowym płaszczu, Melanie zauważyła, że Anna skończyła rozmawiać i podniosła wzrok.

— No i jak? — spytała.

— Chyba dobrze. A co u ciebie?

— No, wiesz, pracuję, a potem znowu pracuję. Taki układ, nie?

Melanie przyszła w kaloszach, które sięgały jej do pół uda, ponieważ była kobietą bardzo niską. W tym obuwiu i płaszczu przeciwdeszczowym, co najmniej o cztery numery na nią za dużym, wyglądała jak mała dziewczynka, która nałożyła na siebie ubranie matki.

— Mel, dziękuję, że zechciałaś przyjechać. Zwłaszcza w taką noc.

— Nie ma sprawy. — Wstała i rozprostowała plecy. — W zachodniej części miasta kogoś zaciukali, więc i tak byłam na nogach.

Dobijała czterdziestki, ale ile jej brakowało do okrągłej rocznicy, tego nie wiedział nikt. Choć drobnej postury, pod każdym innym względem rzucała się w oczy: dużo gestykulowała, miała duże usta i szeroki uśmiech, gdy śmiać się chciała. Mężczyźni ją uwielbiali. I co ważniejsze, ich podziw był poparty szczerym szacunkiem.

Ręką w gumowej rękawiczce sięgnęła do kieszeni płaszcza, wyjęła z niej salema i przypaliła go złotą zapalniczką. Papieros zwisał jej z kącika ust i tak już pozostał. Okropny, obrzydliwy nawyk. Anna uważała, że Melanie nie odkłada papierosa, ponieważ chce mieć wolne ręce. Ilekroć się spotykały, próbowała nowej sztuczki, dzięki której Melanie miała rzucić palenie: wciskała jej nikotynową gumę do żucia, obklejała ją nikotynowymi plastrami, kazała nosić specjalny przyrząd wetknięty w ucho. Posłała ją nawet do hipnotyzera, ale widząc, że Melanie kopci jak lokomotywa, musiała uznać swoją porażkę.

— No i jak to wygląda?

— Nieźle. — Melanie zerknęła na Annę i znów wypuściła kłęb dymu. — Na masce jest ślina.

— A odciski palców?

— Chyba ich nie znajdziemy — wymamrotała, zagryzając papierosa. Podniosła plastikową torebkę z drobnymi białym osadem na dnie, wyjęła papierosa z ust i strąciła popiół na dłoń. — Zebrałam to w kilku miejscach — wyjaśniła. — Tam gdzie się o coś otarł.

— Co to jest? — spytała Anna, przypatrując się torebce. — Wygląda jak kurz albo pył. Nie najlepsza ze mnie gospodyni, więc nie rób sobie wielkich nadziei.

— Nie, to jest zasyпка higieniczna albo talk. Sama zobacz. — Otworzyła torebkę, żeby Anna mogła powąchać zawartość. — No i co?

— Nie wiem. Rzeczywiście, pachnie jak zasyпка albo talk. Tylko co to ma do rzeczy? Nie mam w domu zasyпки.

— To bydlę nosiło gumowe rękawiczki. Nie mam pojęcia, jakiego rodzaju, ale na pewno konserwował je tym białym proszkiem. Swoje przesypuję talkiem. Dzięki temu łatwiej wchodzi na rękę, a guma jest miękka, elastyczna i nie pęka.

Anna była rozzarowana.

— A więc nosił rękawiczki. — Przypomniała sobie dotyk jego rąk, zimny i nieludzki. Tak, to była guma.

— Otóż to — potwierdziła Melanie z załęczkiem swego słynnego uśmiechu na twarzy. — Ale nic się nie martw. Mamy tu od groma materiału. — Nagle zauważyła coś na ścianie. — Alex — wrzasnęła do młodego policjanta, który jej pomagał — przynieś drabinę!

Anna poszła za jej wzrokiem i stwierdziła, że Melanie patrzy na coś, co przypomina muchę siedzącą pod sufitem.

— Co to jest?

— W domu wystrzeliłaś tylko raz, tak?

— Tak. I raz na podjeździe.

— Kula musiała zrykoszetować od ramy lustra. I utkwiała tam. — Zerknęła za siebie i znów krzyknęła: — Alex! Przynieś tę cholerną drabinę! I to już!

Zza drzwi wychynęła głowa policjanta. Miał jasne włosy i był wyraźnie rozdrażniony.

— Melanie, drabina jest na samym dnie, pod całą toną sprzętu. Będę musiał to wyładować, a leje jak diabli. Wszystko przemoknie.

— No to przemoknie. — Otoczona kłębam dymu, poszła do łazienki, by wrzucić niedopałek do muszli. — A jak zniszczysz to, co dzisiaj zebraliśmy, skręcę ci ten chudy kark. Wyładuj to z furgonetki i zakryj brezentem albo co.

Kiedy policjant, ociągając się, wyszedł z saloniku, Anna podeszła bliżej. Melanie wyjęła papierosy, ale widocznie zmieniła zamiar, bo wepchnęła je z powrotem do kieszeni.

— Sama widziałas. Masz może gumę do żucia? — spytała.

Anna pokręciła głową. Próbowwała odtworzyć w myśli dokładną sekwencję wydarzeń. Wszystko działo się tak szybko...

— No to może miętówkę? Masz miętówki?

— Nie, chyba nie. Ale mam owoce, winogrona.

— Winogrona? — Popatrzyła na nią rozbawiona. — Winogrona zamiast papierosa? Nie, dajmy sobie spokój. Chodź. Pokażę ci, co znalazłam w korytarzu.

Ruszyła przodem, szurając kaloszami, które wydawały piszczące dźwięki. Pośrodku korytarza, przy drzwiach prowadzących do pokoju Dawida, Anna zobaczyła kilka pacholek drogowych ustawionych w kształcie półksiężyca.

— Przepraszam — szepnęła Melanie, otarłszy się o Annę. — Zwykle zaznaczam te miejsca kredą, ale ci od szkolenia przydzielili mi do pomocy ostatniego matofa. Facet jest ślepy jak nietoperz albo kompletny idiota. Jak tylko coś znajdę, natychmiast włazi w to buciorami. Prawdziwe wariactwo. W życiu czegoś takiego nie widziałam. — Urwała i spojrzała na Annę. — Nie uważasz, że ci z okręgu powinni im badać wzrok? No bo sama powiedz: jak można pracować, skoro się nic nie widzi?

Anna parsknęła śmiechem. Melanie słynęła ze swoich dziwacznych opowiadań o ludziach, z którymi pracowała.

— Za to przystojny jest — zauważyła.

— Niech go diabli wezmą! — Melanie spojrzała na fragment podłogi ograniczony pacholekami i jej bladoniebieskie oczy natychmiast ożyły. — Zrzuciłaś go z siebie w tym miejscu, tak?

— Tak — odrzekła niepewnie Anna. — Nie, nie tutaj. Przygniótł mnie przed drzwiami do mojej sypialni. — Odwróciła się i spojrzała w tamtą stronę. Na pewno tam? Kiedy napastnik ją zaatakował, cały korytarz tonął w ciemności. Po prostu nie była tego pewna.

— W takim razie musiał tu stać, gdy wystrzełaś pierwszy raz — skonstatowała Melanie.

— Możliwe. — Nagle poczuła okropny smród. — Co tak cuchnie?

Melanie roześmiała się.

— Tak go nastraszyłaś, że się zesrał. Naprawdę. Jak wystrzełaś, zesrał się w gacie. — Ostrożnie przekroczyła pacholki i ukucnęła ze słoiczkiem i małą plastikową szpatułką w rękę. Zgarnęła z podłogi rzadkie odchody i umieściła je w słoiczku. — Znakomity sposób zarabiania na życie, nie? Ale wiesz co? Wolę zbierać gówna niż rozbryźnięty mózg. A to jest bardzo dobre gówno — dodała ze śmiechem. — Koszmarnie to brzmi, wiem, ale z ekskrementów można się dużo dowiedzieć. — Podniosła szpatułkę do oczu i uważnie ją obejrzała. — Ot, choćby tego, co facet jadł na lunch. I wielu innych śmiesznych rzeczy. Kukurydza. Widzisz? Mamy tu ziarno kukurydzy.

Anna przycisnęła rękę do brzucha. Melanie zarabiała więcej niż ona, ale nie zamieniłyby się z nią za nic w świecie.

— Chyba to poruszyłaś. Boże, zamknij słoiczek.

Melanie jakby jej nie słyszała.

— Oprócz śliny i ekskrementów mamy jeszcze krew. Wybił okno w sypialni twego syna i skaleczył się przy tym. Ponieważ przyjechaliśmy szybko, krew jest chyba w miarę czysta. Co znaczy, że jest nadzieja na zebranie odcisków...

— Czekaj — przerwała jej Anna. — Przecież mówiłaś, że nosił gumowe rękawiczki.

— Miałam na myśli odciski innego rodzaju. — Wstała i zakręciła pokrywkę na słoiczku. — Odciski, że tak powiem, genetyczne. Jeśli będzie trzeba, zrobimy badanie struktury DNA. Podejrzanego to nam oczywiście nie wskaże. Musielibyśmy zdobyć drugą próbkę krwi i obie porównać. Niestety, nic takiego nie mamy.

Anna pokręciła głową. Musieli teraz zidentyfikować, wysledzić i schwytać napastnika, natomiast Melanie znalazła coś, dzięki czemu będą go mogli skazać.

Melanie zdjęła rękawiczki i wetknęła je do kieszeni. Po chwili wyjęła z niej papierosa, przypaliła go i mówiąc wypuszczała z ust smużki dymu.

— Widzisz, odciski palców to niezła rzecz, ale nie tak znowu wspinała. Nigdy nie zdejmujemy kompletu, to raz. Rzadko kiedy dysponujemy czymś więcej niż zamazanym odciskiem jednego, góra dwóch palców. Owszem, dzięki temu można stwierdzić, że podejrzany był na miejscu przestępstwa, ale nie da się ustalić, czy był tam w chwili popełnienia zbrodni. Natomiast badanie struktury DNA załatwia wszystko. Wystarczy tylko postawić sukinsyna przed sądem i już.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha swoim słynnym uśmiechem, którym podbijała ludziom serce. W takich chwilach nie sprawiała wrażenia kobiety twardej, zahartowanej latami poznawania społeczeństwa od najgorszej strony, latami zbierania rozbryzniętych mózgow, powywlekanych wnętrzności i ludzkich ekskrementów. Tak, w takich chwilach wyglądała jak cherubinek — jak mały, rudowłosy i piegowaty cherubinek z pięknymi zębami. Gdyby nie ten papieros — pomyślała Anna.

Do korytarza wkroczył młody policjant, taszcząc na plecach drabinę. Od razu przewrócił dwa pacholki i wlokąc drabinę przez sam środek odgrodzonego miejsca, poszedł dalej. Melanie przysunęła się do Anny i szepnęła jej do ucha:

— A nie mówiłam? Facet jest ślepy. Dobrze, że już zebrałam materiał. W przeciwnym razie musiałabym zeskrobywać to z jego butów.

Obserwowały go dalej. Próbował wnieść drabinę do sypialni, ale nadział się na futrynę.

— Gdzie to postawić? — spytał, rozcierając czerwonego guza na czole.

— Na Alasce — warknęła Melanie. Zabrała mu drabinę i przystawiła ją do ściany, w której tkwiła kula. — A jak myślisz, Alex? Może by tak tutaj, co?

Anna zostawiła ich samych w chwili, gdy Melanie — z papierosem w ustach i z głową w kłębach dymu — zaczęła się wspinać. I nagle usłyszała jej krzyk, a zaraz potem głośny łomot. Natychmiast wbiegła do sypialni. Melanie leżała na plecach, a Alex pochylał się nad nią. Widocznie ten niezguła potrafił drabinę.

— Nic ci nie jest? — spytał.

— Idź precz — mruknęła. Wstała i otrzepała płaszcz. — Nie dotykaj mnie, bo cię zabiję. — Podniosła z podłogi dymiącego papierosa, wetknęła go sobie w usta i przystawiła do ściany drabinę. — Wracaj do furgonetki, Alex. I zamknij drzwi. Nie. Lepiej zamknij je na klucz. I nie wychodź stamtąd, dopóki nie wrócimy na posterunek.

— Ale myślałem, że...

Znów zaczęła się wspinać, spojrzała na Annę i powiedziała:

— Mówiłam, że źle z nim. Nie chciałaś mi wierzyć. Nikt mi nie wierzy. Technicy mi nie wierzą, szef mi nie wierzy.

Anna parsknęła śmiechem — wspaniałe uczucie po niedawnych przeżyciach. Alex nie chciał odejść i wciąż stał pod drabiną.

— Przecież mówiłaś, że pozwolisz mi...

— Anno — przerwała mu Melanie, dłubiąc w tynku jakimś metalowym narzędziem — zrobisz mi przysługę? Zakuj tego faceta w kajdanki i zamknij go w szafie, dobra?

Noah Abrams siedział zamyślony na sofie w saloniku. Niech to diabli wezmą — myślał. To musiał być Sawyer, na pewno. Ten skurwiel na ich oczach podmienił samochody, bo miał zamiar tu przyjść i zaatakować Annę. Wróc, poprawka. Nie przyszedł tu tylko po to, żeby ją skrzywdzić. Ten, kto polował na Annę, chciał ją najzwyczajniej w świecie zabić. Tak to Abrams widział. Już drugi raz dokonano otwartego zamachu na jej życie, a on prowadził w tej sprawie śledztwo. Dlatego musiał tego szaleńca schwytać, i to bez względu na okoliczności.

Tylko był trochę skonfundowany. Mógł zrozumieć powody, dla których Sawyer chciał uciszyć Annę — żeby nie zeznawała przeciwko niemu w sądzie — ale dlaczego wciągnął w to Dawida?

Do saloniku weszła Anna. Gdy usiadła koło niego, spojrzał na nią i zacisnął usta.

— Nie podoba mi się to — szepnął. — Wcale.

— Ani mnie — odrzekła ponuro. Splotła ręce i położyła je na kolanach.

— Nie możesz mi powiedzieć czegoś konkretniejszego o tym człowieku? Przecież go widziałaś. Mówiłaś, że go widziałaś, prawda?

Anna patrzyła w przestrzeń, usiłując odtworzyć w pamięci twarz mężczyzny przed domem.

— Był... był... — jąkała. Wspomnienia wróciły i była coraz bardziej przerażona.

— Jaki? — nie wytrzymał sfrustrowany Abrams. — Podaj choć jeden szczegół, Anno.

Chwilę milczała. Dlaczego się wtedy zawahała? Dlaczego nie nacisnęła spustu, choć widziała go w świetle latarni? Gdyby strzeliła, byłby martwy i koszmar już by się skończył.

— Jakbym go znała — odrzekła w końcu, spoglądając na Noaha. — To chyba nie Sawyer.

Abrams zerwał się na równe nogi.

— Znasz go? Cholera jasna, znasz faceta i każesz nam wyczyniać te wszystkie hocki-klocki?!

— Znam go — powiedziała cicho, spuszczać wzrok — ale tak, jakbym go nie znała. — Uświadomiwszy sobie, jak mętnie to zabrzmiało, dodała: — To trwało tylko sekundę, Noah. Widziałam go tylko przez sekundę, ale te jego oczy...

— Cudownie — prychnął poirytowany Abrams, wychodząc z saloniku. Nagle przystanął, odwrócił się i spojrzał na Annę. — Co z tymi oczami?

Po jej policzkach wolno spływały łzy.

— Nie wiem, Noah — odrzekła najszczerzej, jak umiała. — Może coś mi się przypomni. No, wiesz, gdzie go widziałam, i tak dalej. Przez te lata rozpracowywałam tyle spraw, miałam do czynienia z tyloma przestępcami... Może to któryś z nich.

Zasłoniła usta ręką, próbując powstrzymać łkanie. Nie chciała, żeby ją taką widział. Pragnęła, by uważał ją za kobietę silną i odporną, nie za przerażoną i słabą. Przez całe lata stała w cieniu ojca i walczyła, by zdobyć szacunek ludzi takich jak Noah. A teraz wychodziła z niej przestraszona baba, histeryczka, która nie potrafi odpowiedzieć na proste pytanie.

Widząc, że jest zrozpaczona, Abrams ukląkł przed nią i przytulił jej głowę do swego ramienia.

— Dorwiemy go, Anno — szepnął czule. — Obiecuję ci, że go dorwiemy.

Rozdział 11

Reed i Whittaker wyszli z Czarnej Cebuli prawie o drugiej, tuż przed zamknięciem klubu. Ale zasięgnęli języka i nawiązali kontakt. Potwierdziły się słuchy, że Peter Chen i Brett Wilkinson są stałymi bywalcami tancbudy, chociaż ostatnio ich tam nie widywano. Natomiast Jimmy'ego Sawyera nie znał nikt. Najwyraźniej Czarna Cebula nie należała do jego ulubionych przybytków. Przychodzili tam zwolennicy new-age funk, a z tego, co słyszeli, Sawyer wolał heavy-metal.

Informatorem Phila Whittakera był osobnik, którego po czterech latach odsiadki w więzieniu federalnym warunkowo zwolniono. Siedział za narkotyki, a ponieważ Phil wiedział, że facet znowu daje sobie w żyłę, mógł go bez trudu ponownie zapudłować. Więc złożył ćpunowi propozycję nie do odrzucenia, co w policji jest praktyką nader popularną: cynk za milczenie.

— To przedsięwzięcie na dużą skalę — mówił, gdy wracali do samochodu; chwi-
lowo nie padało, ale rynsztokami rwały strumienie wody, a na parkingu stały wielkie
kałuże. — Na wielką skalę, staruszk. Wdepnęliśmy w gniazdo grzechotników.

Reed skinął głową, zadrgały mu mięśnie twarzy.

— Jakim cudem taki gówniarz jak Sawyer i ci jego kumple spiknęli się z tymi face-
tami? Możesz mi na to odpowiedzieć, Phil? Przecież to dwa różne gatunki łachmytów.
— Zszedł z krawężnika prosto w głęboką do kostek kałużę. — Kurwa mać! Spójrz tylko.
— Mankiety spodni miał przemoczone, stopy mlaskały w butach. — Ledwo zdążyły po-
deschnąć, a tu masz...

Whittaker zakaszał, czując się zbyt podle, by zawracać sobie głowę kłopotami
Reeda. Szli dalej. Nie chcieli zajeżdżać przed klub samochodem policyjnym, nawet nie
oznakowanym, więc zaparkowali kilka przecznic dalej.

— Skąd mogę wiedzieć? Może znaleźli się w odpowiednim miejscu w odpowiednim
czasie. Kolumbijczycy, cholera — wymamrotał kręcąc głową. — Handlarze z Kolum-
bii, no. Kurde, przecież wystarczy na nich kichnąć, a zrobią z człowieka sito. — Ledwo
skończył mówić, w rzeczy samej kichnął. Sięgnął do kieszeni po chustkę i dodał przez
zatkany nos: — Dobrze, że się na nich nie nadziałem, bo gadałbyś z trupem.

Reed wyjął kluczyki i otworzył drzwi samochodu. Znajdowali się w centrum Los
Angeles, ściany okolicznych budynków były upstrzone graffiti. Tommy popatrzył wo-
koło i doszedł do wniosku, że nie chciałby tu pracować. W porównaniu z Los Angeles
Ventura to czystuśkie miasteczko.

Uruchomił silnik i samochód wjechał na jezdnię. Reed kontynuował przerwany
wątek.

— No, dobrze. Załóżmy, że Sawyer i jego gang są finansowani przez Kolumbijczyków
z Miami. To nam daje lepszy obraz całości, a całość wygląda mniej więcej tak: Sawyer
i jego kumple wytwarzają prochy. Tamci pozwalają im rozprowadzać towar w okre-
ślonych środowiskach, głównie w koledżach, wśród dzieci, których rodzice pocho-
dzą z klasy średniej i mają trochę szmalu. To zadanie w sam raz dla tych cwaniaków.
Wilkinson i Chen udają członków ekskluzywnego klubu studenckiego, a Sawyer opy-
cha prochy miejscowym: małolatom, których poznał w koledżu, i tym, co się do kole-
dżu nie dostali. To by tłumaczyło te jego długie włosy i hipisowski wygląd. — Znow
częło padać, więc Reed włączył wycieraczki. — Ci z Miami wiedzą, co robią, to pewne.
W mieście tak małym jak Ventura banda południowoamerykańskich handlarzy rzuca-
łyby się w oczy jak Murzyn na śniegu. Wszyscy glińiarze od narkotyków siedzieliby im
na karku.

Whittaker kiwnął głową.

— Jak dotąd, pasuje. Kombinuj dalej.

— No, więc tak. Sawyer i jego kumple rozprowadzają swoją działkę, a resztę towaru
przekazują tym z kartelu, którzy opychają go na ulicach Miami. Myślisz, że szmuglują
narkotyki za granicę?

— Gdzie tam! — Whittaker odchylił głowę i popsikał sobie do nosa lekarstwem z buteleczki. — W Kolumbii wszyscy handlują tym świństwem. Jak sądzisz: dlaczego tu przyjechali? Przecież to nie koka ani hera. Towar wytwarzany przez Sawyera i jego ludzi jest prosty i szybki do zrobienia. Wystarczy tylko znajomość podstaw chemii, i producent z ciebie całą gębą.

— Otóż to — zgodził się z nim Reed. — Według mnie pichcą trochę kwasu i całe tony wysokogatunkowej amfy.

Whittaker znów popsikał sobie do nosa.

— Wpadniesz w nałóg — przestrzegł go Reed. — Dopiero co się odzwyczaiłeś. Rok to trwało.

— Naprawdę? — burknął Phil i demonstracyjnie zaaplikował sobie podwójną dawkę lekarstwa. — Może powinienem skontaktować się z Sawyerem i sprawdzić, co ma na składzie? Gwarantuję, że jego towar postawiłby mnie na nogi.

Zatrzymali się na czerwonym świetle i popatrzyli na siebie.

— Pierdoleni Kolumbijczycy — mruknął Tommy, drżąc z zimna jak mokry pies.

— Obcięte palce i Kolumbijczycy — dodał Whittaker. Oczy Whittakera były równie niespokojne jak oczy Reeda. — Wspaniała kombinacja, nie? Pasuje jak ulał.

Pozostałą część drogi przejechali w milczeniu.

Gdy dotarli na posterunek, Phil był taki zmęczony i chory, że nawet nie wszedł do środka: wysiadł na parkingu i pojechał prosto do domu. Natomiast Tommy zajrzał do biura oficera dyżurnego, żeby sprawdzić, czy zdarzyło się coś nowego.

— Gdzieś ty był? — burknął policjant. — Twoi ludzie zgubili tego typa w porschaku, Anna Carlisle została napadnięta we własnym domu...

Reed rzucił się na kontuar dyżurki.

— Jest ranna? Kiedy to było?

— Ładnych parę godzin temu. Radiowozy wróciły już do bazy. Abrams dowodził.

— Gdzie on jest?

Policjant wzruszył ramionami.

— Pewnie już smacznie chrapie.

Reed popędził do wyjścia, trzasnął drzwiami samochodu i wdepnął pedał gazu.

Chociaż dochodziła trzecia, w domu Anny paliły się wszystkie światła. Przez całą drogę Tommy rozważał sytuację. Jeśli informator Whittakera nie wciskał kitu, wychodziło na to, że Sawyer, Chen i Wilkinson są płótkami, ale płótkami pływającymi w towarzystwie śmiertelnie niebezpiecznych rekinów. Każdy dzień przerwy w pracy nielegalnego laboratorium to dla tych typów strata fortuny. I jeszcze coś. Sawyer i jego przyjaciele byli nowicjuszami w tym interesie. Pragnęli tylko szybkiego szmalu, pięknych dziewczyn i wystrzałowców samochodów. Traktowali to wszystko jak podniecającą grę. Ale gdyby ich aresztowano, ludzie stojący za całym przedsięwzięciem — groźni, zahartowani w bojach kryminaliści — nie mieliby żadnej pewności, czy szczeniaki będą trzy-

mać gębę na kłódkę, czy nie dostaną cykora i nie przypucują swoich szefów. Wiedział, że jeśli jego podejrzenia są słuszne, cała trójka — Sawyer, Chen i Wilkinson — zostanie przeznaczona na odstrzał. Gdy tylko nie będą w stanie dostarczać kartelowi narkotyków, tracą swoją wartość i zostaną potraktowani jak śmieci.

Reed myślał również o palcach, które Anna widziała w domu Sawyera. Pasowały do całej łamigłówki czy nie? Jeśli pasowały, to w którym miejscu? Czyżby Sawyer i jego kumple załatwili kogoś, by udowodnić południowoamerykańskim zbirom, że się do tego interesu nadają? Tommy wiedział, że młodociani przestępcy często zaczynają od drobnych wykroczeń, by skończyć jako zbrodniarze. Chłopcy mogli zamordować jakąś osobę, na przykład bezdomną, której zaginięcia nikt nie zgłosił, następnie obcięli jej palce na dowód tego, co zrobili. Podekscytowany otworzył drzwi samochodu. Tak jest, myślał, wszystko trzyma się kupy. Gdyby Sawyer i jego przyjaciele — trójka głupich, dzianych pacanów — zdołali przekonać tych z Kolumbii, że są twardzi na tyle, by popełnić morderstwo, tamci chętniej wciągnęliby ich do interesu.

— Taaa... — mruknął, idąc przez podjazd do domu Anny. Czuł, że jest na dobrym tropie. No bo tak: Sawyer wpada i sąd oddaje go pod nadzór. Jego południowoamerykańscy mocodawcy nie są z tego zadowoleni, więc żeby ratować sytuację, Sawyer strzela do Anny na parking. Sawyer albo — co bardziej prawdopodobne — jeden z Kolumbijczyków. Anna zostaje ranna, nie może pracować, mają więc czas na likwidację laboratorium, bo wiedzą, że nieprędko złoży im wizytę.

To dobry scenariusz — informator Phila nie kręcił. Zawsze ostrożny i podejrzliwy, Reed zdawał sobie sprawę, że tacy ludzie są w stanie wymyślić najbardziej nieprawdopodobną bajeczkę, żeby tylko nie wrócić do pudła. Ale ta historyjka dawała odpowiedź na kilka pytań, a to już coś.

Zapukał do drzwi. Anna nie otwierała. Stąpając po mokrym trawniku, obszedł dom i stanął przed przeszklonymi drzwiami do saloniku. Wtedy ją zobaczył. Przyciskała ramię do szyby i celowała mu w głowę z beretty.

— Cholera jasna — wykrztusił przerażony i zamlaskał butem w błocie. — Wpuść mnie! — wrzasnął. — Co ty wyczyniasz? Chcesz mi łeb rozwalić czy co?

Otworzyła drzwi i wystawiła głowę.

— Na twoim miejscu nie kręciłabym się tu, Tommy. Ostatnio strzelam do wszystkiego, co się rusza.

Objął ją i przytulił.

— Już dobrze, Anno, już jestem z tobą. Opowiedz dokładnie, co się stało.

Odstąpiła o krok i ręce jej opadły.

— Tommy, to było... to było...

— Spokojnie, Anno, spokojnie — mówił zatroskany. Wyglądała strasznie, jak po zniknięciu Hanka. — Zaparzysz kawę?

Wymamrotała coś, czego nie zrozumiała, i spuściła oczy. Miała na sobie starą koszulę męża, białe bawełniane majteczki i skarpety. Odwróciła się i poszła w stronę kuchni, ale w połowie drogi przystanęła i wbiła wzrok w przestrzeń, jakby zapomniała, dokąd idzie.

— Lepiej usiądź — powiedział, obrzucając spojrzeniem pokój: świeca w popielniczce, błotnista ścieżka wydeptana na dywanie, kalosze ciśnięte koło szafy, fotel z beżowej skóry. Fotel. Stał mu przed oczyma Lenny Braddock, który w nim siadywał z nieodłącznym papierosem w ustach. Zerknął do góry i zobaczył na suficie brzydki brązowa plamę od dymu. Hank odmalował ściany, ale sufit sobie odpuścił. — Sam zaparzę.

Anna wcisnęła się w róg sofy, podkurczyła nogi, przytuliła do piersi poduszkę i objęła ją ręką uzbrojoną w pistolet. Ścisnęła rękojeść tak mocno, że rozboleły ją zeszytowane palce. Ale nie mogła odłożyć broni. Beretta była przedłużeniem jej ramienia.

Reed wrócił z kuchni, postawił na stole filiżankę z parującą kawą i wskazał pistolet.

— Daj mi to, zanim mnie zastrzelisz.

Jej palce ani drgnęły.

— Nie, Tommy. Muszę go cały czas trzymać. Dzięki temu czuję się bezpieczna.

Reed zacisnął usta i siłą rozwarł jej dłoń.

— Oddaj mi to świństwo. Ani myślę siedzieć pod lufą nabitej spluwy. — W końcu odebrał jej pistolet i położył go na stole. Pozbierał myśli i spojrzał na Annę. — Opowiadaj. Tylko po kolei. I powoli, nic nie opuść. Chcę to sobie wszystko poukładać.

Gdy zaczęła mówić, nie mogła przestać. Wyrzucała z siebie słowa ułożone w długie, zagmatwane zdania. Opowiedziała mu o mężczyźnie w korytarzu, o tym, co mówił, i o tym, że przez sekundę widziała go w świetle latarni.

Nagle upuściła poduszkę i oczy jej się rozszerzyły.

— Tommy, to mógł być Hank.

Reed myślał, że się przesłyszał. O czym ona, do diabła, gada? Trzasnął filiżanką w stół. Kawa chlusnęła na stary egzemplarz „Time’a”. Tommy zmarszczył czoło i przetarł piścią oczy. Po zniknięciu Hanka zmuszała ich do gonitwy za duchem. Kręcili się w kółko, kazała im badać jeden ślad po drugim, a wszystkie prowadziły donikąd. Nigdy nie zapomni epizodu z wróżbitą: namówiła ich na przekopanie pustej działki w Oxnard, przekonana, że właśnie tam pochowano zwłoki Hanka.

— To niemożliwe, Anno. O czym ty mówisz?

Gdy została sama, dostała obsesji na punkcie zaginionej fotografii syna. Hank niktogo tak nie kochał jak Dawida. Chłopiec był mu najdroższy, najcenniejszy. Jeśli Hank upozorował swoje zniknięcie, jak początkowo spekulowali prowadzący śledztwo z ramienia drogówki, jedyną osobą, której nigdy by nie porzucił, byłby jego syn.

Widząc, że detektyw patrzy na nią, jakby postradała zmysły, straciła pewność siebie.

— Nie widziałam go dokładnie — tłumaczyła szybko — ale ten człowiek był do niego podobny. Ten sam wzrost, taka sama budowa ciała. Miał w sobie coś takiego, że... Jakbym go znała. Tak, na pewno. Tommy, ja tego człowieka znam.

— Fakt. Sawyera znasz.

Chwyciła go za rękę.

— To nie tak. Chodzi o coś innego. Nie potrafię tego wyjaśnić. Może to przez jego głos... Nie wiem. Przez ten głos i przez to, że spytał o Dawida.

— Jeśli to był Hank, wytłumacz mi, dlaczego. Spytaj sama siebie. No? Dlaczego, hę? — Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Czuła się jak skarcone dziecko.

— Wszystko mi utrudniasz, Tommy. Myślałam, że jesteś moim przyjacielem. — Podniosła poduszkę i znów przytuliła ją mocno do piersi.

Reed przystanął i zamachał rękami.

— Chwila. Jeśli w te bzdury wierzysz, to mnie przekonaj, dobra? Chętnie posłucham. Tylko że to nie ma najmniejszego sensu. Skoro po czterech latach Hank zdołał od tego kogoś uciec, a myślę, że po tak długim czasie to zupełnie nieprawdopodobne, to po co miałby cię nachodzić? Po co miałby włamywać się do własnego domu? I dlaczego chciał ci zrobić krzywdę?

— Może nie chciał?

— Ach, tak? Włamał się do chałupy, napadł cię po ciemku, próbował zgwałcić, ale nie chciał zrobić krzywdy? Bomba. — Patrzyła na niego z otwartymi ustami, a on mówił dalej: — To był Jimmy Sawyer, Anno. Chce cię zastraszyć, chce, żebyś wyjechała z miasta, chce cię osaczyć, żebyś nie mogła zeznawać przeciwko niemu w sądzie. Przeciwno niemu i jego kumplom. A jeśli to nawet nie Sawyer, napadł cię typ znacznie gorszy, ktoś, przy kim nasz kochany Jimmy to grzeczny chórzysta.

Anna słuchała jednym uchem.

— To nie Sawyer, Tommy. To mógł być Sawyer, gdyby nie jego wzrost i budowa ciała, gdyby nie ten głos...

— Powiedziałaś, że nosił maskę, że głos miał stłumiony i zniekształcony. To Sawyer, Anno. Weź choćby tę maskę. Nie widzisz, że wszystko pasuje? Zwinął ją pewnie w klinice ojca.

— Nie sądzę — odrzekła powoli. — Każdy może taką maskę zdobyć. Dzisiaj noszą je nawet manikiurzystki.

Wróciła myślami do Hanka. Tak. Przez całe lata żyła w nieświadomości. Hank nie nawidził swojej pracy. Gdy ominął go awans na porucznika, stał się rozgoryczony i zamknięty w sobie. A może nie chodziło o pracę. Mógł na przykład wpłatać się w coś nielegalnego. Zawsze chciał więcej, niż miał, a policjanta skorumpować łatwo — okazji jest bez liku.

Stanowczym ruchem kiwnęła głową.

— To był Hank. Przyszedł po Dawida. Zabrał zdjęcie ze stołu. — Zaczęła się dławić, przełknęła ślinę. — Nie rozumiesz tego? Chciał zobaczyć syna. — Reed nadal świdrował ją wzrokiem, ale w jego oczach dostrzegła leciutki błysk zainteresowania. — Sawyer? Przecież to by do niego nie pasowało. To rozrzutny pętaś z bogatego domu, który siedzi po uszy w narkotykach i tyle.

— No, dobra. Załóżmy, że to był Hank. W takim razie dlaczego ci nie powiedział, kim jest? Dlaczego tak cię wystraszył?

Anna usiadła prosto, odrzuciła na bok poduszkę i spuściła nogi. Jakie długie i szczuple — pomyślał Tommy. I te skarpetki. Wygląda jak podlotek...

— A jeśli z jakiegoś powodu Hank upozorował swoje zniknięcie? Pamiętasz? Nawet ci z drogowki brali to pod uwagę. — Zamilkła, nie chcąc powiedzieć tego, co sobie pomyślała: że jej mąż być może uwikłał się w jakiś podejrzany interes. — On tej pracy nienawidził, Tommy, dobrze o tym wiesz. A jeśli postanowił ją rzucić, rzucić wszystko, nawet mnie i Dawida, i zacząć nowe życie, ale czuł się winny, wiedząc, że będziemy musieli radzić sobie sami? Gdyby ślad po nim zaginął, dostałabym rentę i pieniądze z polisy, prawda?

— Mów dalej — odrzekł głęboko skupiony Reed.

— No więc tak: Hank pozoruje swoje zniknięcie. Wszystko idzie jak po maśle. Wie, że dostanę pieniądze. Plan wypalił. Ale Hanka dręczy myśl o Dawidzie, o tym, że go zostawił. Próbuje żyć nowym życiem, jakiegokolwiek by ono było, lecz cierpi katusze z powodu lęku o syna. W końcu postanawia go porwać i zabrać do siebie... — Urwała, a w jej oczach wezbrały łzy. Nie bez przyczyny: przed chwilą stwierdziła, że Hank jej nie chciał, że nie obchodziło go, co z nią będzie. Mógł zmienić nazwisko, mógł się ponownie ożenić, założyć nową rodzinę. I chciał tylko jednego: Dawida.

— Nie płacz, Anno — szepnął Reed, widząc, jak bardzo jest poruszona. — Już późno. Oboje padamy ze zmęczenia. Może odłożymy to do jutra.

— Nie, pozwól mi dokończyć, Tommy. — Skupiła myśli. Ten mężczyzna zaskoczył mnie w korytarzu. Gdy wróciłam do domu, już na mnie czekał. Tak przy okazji, to nie była awaria prądu. Ten ktoś wykręcił korki w skrzynce na ścianie garażu. Nie chciał, żebym go zobaczyła. Nałożył maskę, żebym nie rozpoznała jego głosu. Czy ty tego nie rozumiesz? Gdybym go nie znała, po co miałby się przebierać? Zresztą w domu było ciemno.

Reed milczał. Przemówił dopiero po chwili.

— Anno, skoro czekał na ciebie w domu, w jaki sposób wykręcił korki? Kiedy wróciłaś, światło było, prawda?

— Tak, ale po wyjściu Melanie zauważyłam, że okno w mojej sypialni jest otwarte, a jestem niemal stuprocentowo pewna, że kiedy szłam spać, było zamknięte. Zawsze je zamykam, szczególnie po tym, co się zdarzyło na parkingu.

— Mów dalej.

— Kiedy wróciłam, on już był w domu. Zaczekał, aż pójde spać, a gdy zasnęłam, wyszedł, żeby poszukać skrzynki z bezpiecznikami. Wyszedł oknem w sypialni Dawida i wtedy się skaleczył. Tak, skaleczył się właśnie wtedy, szkłem z szyby, którą stłukł, żeby dostać się do domu, gdy mnie nie było.

Tommy pokręcił głową.

— Sam nie wiem. Chcesz powiedzieć, że wykręcił korki, a potem wrócił do domu? Którędy?

— Przez to samo okno. Posłuchaj. Hank zainstalował w oknach zamki, więc żeby się tu dostać, trzeba zbić szybę. Ten człowiek wpadł na to, gdy był już w środku. Zanim wróciłam, zdążył sprawdzić, co trzeba. — W jej oczach znowu zagościł strach. — On był w mojej sypialni, Tommy. Boże, jak teraz o tym myślę, to jestem pewna, że słyszałam jakieś odgłosy. Sądziłam, że to wiatr, ale... — Reed kiwnął głową, więc mówiła dalej: — Otwiera zamki w oknach. Niewykluczone, że okno w mojej sypialni uchyla, zakładając, że wyjdzie nim, albo przygotowując sobie drogę ucieczki na wypadek, gdybym go zaskoczyła. Kiedy się budzę, jest w sypialni Dawida. Wyskakuje przez wybite okno i kaleczy się odłamkami szkła w ramie. Wykręca korki i wraca przez okno w mojej sypialni. Zaatakował mnie w końcu korytarza, przy drzwiach.

— No, dobrze, ale co to ma wspólnego z Hankiem?

— Przygniótł mnie i zaczął obmacywać. Mówił, żebym się uspokoila. Leżał na mnie i chyba był podniecony, bo chciał mnie dotykać, chciał mnie...

— Zgwałcić? — podsunął Reed.

Przypomniała sobie, w jaki sposób dotykał jej piersi, i mocniej przytuliła poduszkę.

— Może nie zgwałcić, ale coś w tym rodzaju. Mógł zmienić zamiar i postanowił wyznać mi prawdę. Nie wiem. A może przez wzgląd na stare czasy chciał się ze mną zwyczajnie kochać? On... Ten mężczyzna uszczypnął mnie w sutki. Hank często to robił. — Odwróciła głowę. — Uwielbiał to robić, gdy się kochaliśmy — wymamrotała.

— Nigdy mi o tym nie mówiłaś — powiedział Reed z dziwnym wyrazem twarzy. — Chcesz powiedzieć, że w łóżku też cię maltretował?

Wiedziała, do czego pije. Przeszyła go ostrym spojrzeniem i natychmiast zamknęła się w sobie. Tommy zrozumiał, że temat jest wyczerpany.

Zrezygnował z tego wątku i rzekł:

— Wszystko jedno, Anno, ja tego nie kupuję. Jeden z informatorów Whittakera powiedział mu dzisiaj, że Sawyer macza palce w produkcji i handlu narkotykami na wielką skalę. Nie docenialiśmy go. Chociaż to tylko płotka, zwąchał się z przemytnikami z Kolumbii, a ci ludzie... — Ugryzł się w język. Im mniej wiedziała, tym lepiej. Już i tak ledwo żyła ze strachu. — Nieważne. To powinno cię martwić, a nie wracający po latach Hank.

— Gdyby zaatakowali mnie Kolumbijczycy — odparowała — byłiby uzbrojeni po zęby. Ten człowiek nie miał broni. Gdyby ją miał, na mój strzał odpowiedziałby strzałem.

Reed potarł ręką całodniową szczecinę na policzku. Racja, trafiła w sedno.

— Po zamachu na parkingu Sawyer mógł się pozbyć rewolweru — spekulował. — Nowego nie kupił, bo wizyta w sklepie z bronią byłaby zbyt ryzykowna. Bałby się, że na niego trafimy. Proste.

— Żałuję, że ci o tym opowiedziałam — burknęła zirytowana.

Wstała i ruszyła do sypialni, zostawiając Reeda pośrodku saloniku.

Długa noc dała o sobie znać. Anna padła na łóżko. Leżąc na brzuchu, myślała: czyżby Tommy miał jednak rację? Czyżby pograła głupio i nic nie osiągnąwszy, naraziła na szwank reputację męża? Wszyscy traktowali ją tak jak wtedy, gdy zniknął i rzeczywiście jej odbiło. Sięgnęła po chusteczkę i wydmuchała nos. Gdyby to ich mąż, gdyby to ich ukochany zaginął bez wieści, też by się dziwnie zachowywali.

Poczuła znajomy zapach płynu po goleniu i przewróciła się na plecy. Stał nad nią Tommy.

— Prześpię się na sofie. Wyjdę rano.

— Dzięki — wymamrotała. Nagle znów poczuła na sobie brutalny dotyk rąk napastnika, znów usłyszała, jak wypowiada imię jej syna, i gwałtownie usiadła. — Tommy, czy Dawid jest bezpieczny? Może powinniśmy go stamtąd zabrać? Boję się.

— Jestem pewien, że nic mu nie grozi, Anno. Przecież rodzice tego kolegi są w domu, prawda?

Drżała jej dolna warga.

— Tak. Co ja mam robić, Tommy? Co będzie, jak on wróci po Dawida?

Wielkie dłonie Tommy'ego pchnęły ją delikatnie i ułożyły w pościeli.

— Teraz zaśniesz. O niczym nie myśl. Żyj dniem dzisiejszym, Anno, bo inaczej nie dasz sobie rady, a tym bardziej nie pomożesz Dawidowi. — Pochylił się i złożył na jej czole ojcowski pocałunek. Zgasił światło, wrócił do saloniku i szybko zasnął na sofie.

Przemęczona i podniecona, Anna nie mogła zasnąć. Jej umysł przesiewał fakty, układał je w logiczny ciąg, próbował odnaleźć prawdę. Hank lubił kukurydzę — człowiek, który ją napadł, najwyraźniej też. W przeciwieństwie do Jimmy'ego Sawyera Hank był krępy, zбитy w sobie i ciężki — jak mężczyzna, który włamał się do jej domu. I zwinny, bo gdy go ścigała na podjeździe, odruchowo — jak dobrze wyszkolony policjant — przypadł do ziemi, bojąc się, że może oberwać. A przecież Hank był policjantem. I wiedział o czymś, o czym nie wiedział nikt inny: że nie strzelała od lat. Przewidziałby, że się zawała przed pociągnięciem za spust? Oczywiście. Przypomniała sobie, że kiedyś o tym rozmawiali. Powiedziała mu, że nie wie, czy byłaby zdolna do odebrania komuś życia.

Najbardziej jednak przekonującym czynnikiem były oczy napastnika. Patrzyła w ciemność i wciąż je przed sobą widziała. Tak. Tommy i reszta mogą mówić, co chcą.

Mogą wymyślać jej od histeryczek, nawet od wariatek, ale ona wiedziała, że gdzieś, kiedyś w te oczy patrzyła. I nawet jeśli były to oczy Hanka, nie chciałyby znowu w nie spojrzeć.

Rozdział 12

Gdy tylko odebrała Dawida z domu przyjaciół i podrzuciła go do szkoły, popędziła do biura, natychmiast zadzwoniła do Glena i opowiedziała mu, co się stało. Był przerażony.

— Czy mogę do ciebie wpaść? Muszę ci coś powiedzieć.

Długo milczał.

— Nie możesz powiedzieć przez telefon? Jestem zawałony robotą. Za pół godziny muszę być w sądzie.

Aż się zachnęła. Jak to? Nie poświęci jej nawet chwili czasu?

— Nie — odrzekła. — Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon. Dobrze wiesz, jak u mnie jest: ciągle ktoś się kręci. Zajmę ci najwyżej kilka minut. Zaraz u ciebie będę.

Nim zdążył zaprotestować, odłożyła słuchawkę i pomaszerowała do sąsiedniego budynku.

Biuro prokuratora okręgu Ventura miało taki sam rozkład jak biuro wydziału kuratorskiego: olbrzymia sala podzielona na stanowiska robocze. Tylko zastępcom prokuratora zapewniono osobne gabinety — wszystkie z oknami — tworzące wokół sali wielki pierścień. Zanim Anna dotarła na miejsce, była już za kwadrans dziewiąta, a o tej porze panowało tam prawdziwe piekło. Prokuratorzy wpadali do gabinetów, żeby przed rozprawą po raz ostatni przejrzeć notatki z motywacją oskarżenia, drukarki wypluwały stosy papieru, nieustannie dzwoniły telefony.

Anna weszła do gabinetu Glena i zamknęła za sobą drzwi. Usłyszał ciche kliknięcie i podniósł głowę.

— Siadaj, Anno. Przepraszam, że byłem taki oschły. Dzisiaj piątek. Mam za sobą ciężki tydzień.

Ciężki tydzień? Ciekawe, co byś powiedział, gdybyś był na moim miejscu — pomyślała. Ale gdy na niego spojrzała, złość jej trochę przeszła. W szarym garniturze, jasnoniowej koszuli i kowbojskich butach był jak zawsze męski i przystojny.

— Zresztą — mówił dalej — miałem nadzieję, że się jutro spotkamy. Spędzilibyśmy miły wieczór, zapomnieli o tym koszmarze.

— Brzmi zachęcająco — odrzekła, choć nie była pewna, czy zdoła zapomnieć o ostatnich przeżyciach. Lecz natychmiast doszła do wniosku, że wieczór w ramionach Glena jest właśnie tym, czego potrzebowała. — W ten weekend Dawid wyjeżdża z kolegą na Czarodziejską Górę, więc może wtedy? Brak mi ciebie, Glen. Tak dawno się nie widzieliśmy.

Spojrzał jej w oczy.

— Wiem. Mnie też ciebie brak, Anno. Myślę o tobie cały czas. Przybiły mnie twoje przeżycia, twoje... cierpienia. To po prostu straszne.

Zamrugła, powstrzymując łzy. Trzymała się nieźle, dopóki nie zaczął jej współczuć. Wystarczyło, że powiedział parę ciepłych słów, że zobaczyła w jego oczach ubolewanie, i od razu się rozkleiła. Już doszła do siebie, już miała rozpocząć nowe życie i nagle wszystko się zawaliło. Nie kochała się z Glenem od wypadku na parkingu i bardzo go pragnęła. Chciała poczuć jego dotyk, jego zapach, chciała doznać tego, czego zawsze z nim doznawała.

Przypomniała sobie, po co tu przyszła.

— Muszę ci coś powiedzieć, Glen. Posłuchaj, wiem, że weźmiesz mnie za wariatkę, ale ten mężczyzna, który mnie napadł... — Chciała mu opowiedzieć o swoich podejrzeniach, gdy wtem zadzwonił telefon, a w oczach Glena dostrzegła dziwny błysk.

Początkowo nie zwracał na telefon uwagi.

— Mów, Anno, słucham. Co z tym mężczyzną?

— Nie odbierzesz? — Telefon umilkł, ale natychmiast rozdzwonił się znowu. — Przepraszam, Glen. Nachodzę cię, zawracam ci głowę, a ty jesteś zajęty. Zaczekam. Odbierz. Może to coś ważnego.

— Nie, Anno, to telefon zaczeka — odrzekł zatroskany.

Poczuła, jak bardzo mu na niej zależy, i zalała ją ciepła fala wdzięczności. Telefon przestał wreszcie dzwonić. Już otworzyła usta, żeby zacząć mówić, gdy rozdzwonił się ponownie. Czar prysnął.

— Cholera! — zaklęła. — Odbierz, bo będzie dzwonił bez końca. Boli mnie głowa. — Potarła czoło. Telefon ciągle dzwonił. — Nie mogę rozmawiać w takim jazgocie.

Glen wyciągnął rękę, chcąc wcisnąć guzik włączający głośnik, ale nie trafił. Rozwścieczony, chwycił gwałtownie słuchawkę, omal nie strącając aparatu na podłogę. Usłyszawszy, kto mówi, odwrócił się z fotelem plecami do Anny.

— Nie — warknął. — Sam już tę sprawę załatwiłem. Wszystko jest w aktach.

Siedziała i milcząco czekała. Po chwili wstała, postanowiwszy przyjść później.

On też wstał, podszedł do niej, wziął ją w ramiona i oparł się o drzwi na wypadek, gdyby ktoś próbował wejść do gabinetu.

— Nie martw się, Anno. Zbierzemy dowody, wygramy sprawę i Sawyer pójdzie siedzieć. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będę harował dzień i noc.

Nie wiadomo dlaczego bliskość Glena przytłaczała ją. Oddech miała przyspieszony i urywany, ręce opuszczone i sztywne, mięśnie karku twarde jak beton. Przed oczyma stanął jej tamten mężczyzna. Czuła jego zapach, ohydny dotyk jego dłoni i mimo że to Glen ją obejmował, nie mogła się powstrzymać, by go nie odepchnąć.

— Zaufaj mi, Anno — szepnął, próbując ją przytulić, ale wyslizgnęła się z jego objęć i sięgnęła do klamki. — Aha. Anno, dzisiaj kończymy sprawę Delvecchia. Wpadnij, jeśli możesz, dobrze?

— Wpadnę.

Szybko wyszła i ze spuszczoną głową ruszyła korytarzem do windy. Chryste, była tak otumaniona, że nawet nie powiedziała mu o Hanku. Patrzyła pod nogi i wpadła na Iana McIntosha, jednego z zastępców prokuratora okręgowego. Dobrze go знаła. McIntosh był maratończykiem. Zawsze uważała, że wygląda na człowieka, który od miesięcy nie zjadł porządnego obiadu.

— Przepraszam, Anno — powiedział zażenowany. — Zagapiłem się.

— Nie, nie — odrzekła, spuszczać oczy — to moja wina.

Zamierzała odejść, gdy nagle powiedział:

— Cieszę się, że na ciebie wpadłem. Gdy usłyszałem o tym wypadku, chciałem do ciebie zadzwonić. Boże, to straszne. Jak się czujesz?

— Dobrze — odrzekła cicho. — Rana nie była groźna. Gorszy jest strach.

— Słyszałem, że już tego człowieka złapali. Będziesz spokojniej spała.

— Niezupełnie. Wyszedł za kaucją — odparła z sardonycznym uśmiechem.

— Wczoraj włamał się do mego domu i znowu mnie napadł.

— Niemożliwe — wysapał zaszokowany. — Chyba żartujesz. To był ten sam człowiek?

— Nie wiem, Ian, nie jestem pewna — odpowiedziała, zagryzając wargę.

McIntosh jakby się nad czymś zastanawiał.

— Skoro już tu jesteś, chyba powinienem cię o czymś zawiadomić. Złe nowiny, Anno. Chodzi o Carla Simmonsa.

— Jak to złe nowiny? Przecież Simmons siedzi.

— Przegraliśmy rozprawę apelacyjną.

— To znaczy, że wyszedł? — Stała jak rażona piorunem, nie wierzyła własnym uszom. Carl Simmons zaszlachtował dwie małe dziewczynki, prowadziła jego sprawę.

— Jakim cudem? Zawaliłam coś?

— Nie. Sąd apelacyjny zajął się głównie opinią eksperta. Doktor Adams to prawdziwe kurwiszcze. Zmienił poprzednie zeznania.

— A to kutas — syknęła, czując, że zaraz wybuchnie.

— Wiedziałam, że niepotrzebnie tego sukinsyna angażowałam.

Benjamin Adams był wybitnym psychiatrą, który sporą część swoich dochodów uzyskiwał jako ekspert sądowy. Problem polegał na tym, że sprzedawał się tym, którzy dawali więcej. Wyglądało na to, że zakwestionował swoją własną opinię, gdyż to właśnie jego opinia doprowadziła do skazania Simmonsa. Stąd apelacja.

— Wnieście o ponowne rozpatrzenie sprawy?

— Oczywiście, ale tym razem chcemy mieć pewność, że wygramy. Już zbieramy nowe dowody. — Umilkł i z miną jeszcze bardziej zatroskaną przeczesał włosy ręką.

— Wiesz, kiedy cię postrzelili, natychmiast pomyślałem o Simmonsie. Uważa, że go wyrolowałaś. Pamiętasz? W sądzie groził ci, gdy wyprowadzali go z sali. Nic dotąd nie mówiłem, bo myślałem, że Simmons siedzi. O apelacji powiadomiono nas dopiero wczoraj.

— Bo rzeczywiście go wyrolowałam — szepnęła i ugryzła się w język. — Ja tego nie powiedziałam — dodała szybko. — Nic nie słyszałeś.

Parsknął śmiechem.

— Jasne, nic a nic.

Uznała, że nie ma w tym niczego zabawnego, i przed odejściem posłała McIntoshowi surowe spojrzenie. Gdy przynosiła im dobre wieści, nadskakowali jej jak królowej, a kiedy chodziło o jej życie, kwitowali sprawę śmiechem. Wlokąc się korytarzem, poruszona wiadomością o Simmonsie, próbowała przypomnieć sobie jego twarz.

Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, jak człowiek, który ją napadł. I nienawidził jej. Nie miała co do tego wątpliwości. Kazano jej Simmonsa przesłuchać i ustalić, czy zasługuje na kaucję — rutynowe pociągnięcie. W jego przypadku — oskarżano go o ciężką zbrodnię, o gwałt i zamordowanie dwóch dziewczynek — kwestia wyznaczenia kaucji była co najmniej dyskusyjna, mimo to postąpiono zgodnie z procedurą, bo tego rodzaju przesłuchania dostarczają nowych informacji o oskarżonym i nie zakłócają przebiegu postępowania sądowego. Kurator musi przejrzeć listę zarzutów wysuwanych przez prokuratora, zbadać biografię kryminalną podsądnego oraz zebrać fakty mające związek ze sprawą.

Simmons chętnie z Anną współpracował, ona zaś urobiła go jak ciasto. Twierdził, że jest niewinny i że w żaden sposób nie mógł popełnić zarzucanej mu zbrodni. Obie ofiary zostały zgwałcone, a Simmons przysięgał, że jest impotentem, i przedstawił na to zaświadczenia lekarskie. Myślał, iż prowadzący śledztwo dali się nabrać i nie odkryli prawdy, że gwałtu dokonano za pomocą ostrego przedmiotu i że w ciałach ofiar nie znaleziono spermy. Tak więc Simmons przyznał, że będąc mężczyzną w kwiecie wieku, nie jest zdolny do uprawiania seksu, co idealnie pasowało do portretu psychologicznego tego rodzaju zbrojeńców. Opinia doktora Adamsa oraz inne dowody rzeczowe przekonały przysięgłych, że Simmons jest winny, i doprowadziły do skazania go za obydwa czyny.

Jak to możliwe? Dziewczynki nie żyły, a mordercę puszczono wolno. Poczuli mdłości, ogarnęła ją wściekłość, że cały ten obrzydliwy system dopuszcza do takich strasznych rzeczy. Pomyślała o rodzicach tych dzieci. Czy mogli sypiać? Co by zrobiła, gdyby to Dawida zgwałcono i zamordowano?

Przestępca ma tyle praw, a system karny jest jak labirynt skomplikowanych procedur i nieszczelnych przepisów. Więźniom obniża się kary za dobre zachowanie, z takich czy innych powodów warunkowo się ich zwalnia, a wymogi dowodowe nieustannie zaostrza. niesprawiedliwość jest oczywista: system bardziej chroni przestępców niż ich ofiary.

Gdy wróciła do biura, zatelefonował do niej Tommy Reed i spytał, czy nie zechciałyby przesłuchać z nim ojca Jimmy'ego Sawyera. Ze względu na to, co zaszło w jej domu, chcieli młodego Sawyera zgarnąć, postawić przed sądem i anulować kaucję. Tommy miał nadzieję, że doktor Sawyer pójdzie na współpracę i wskaże im miejsce pobytu syna.

Gdy przyjechali pod szpital, Anna wyjęła legitymację i mignęła nią przed oczyma recepcjonistki.

— Chcemy porozmawiać z doktorem Sawyerm.

— Czy jesteście państwo umówieni?

— Nie, ale jesteśmy z policji. Czy może mu pani powiedzieć, że czekamy?

Młoda kobieta spojrzała na Annę jak na upiora, zniknęła za drzwiami i natychmiast znowu je otworzyła, oznajmiając, że doktor ich przyjmie.

Doktor Sawyer był starszym, przystojnym mężczyzną. Zbudowany jak sportowiec, miał gładką, sprężystą skórę, ciemne włosy i przenikliwe oczy, jak jego syn. Wyglądało na to, że więcej czasu spędza na korcie tenisowym niż w sali operacyjnej. Reed przedstawił się sam, Anna uściśnęła doktorowi dłoń i powiedziała:

— Anna Carlisle. Jestem kuratorką sądową pańskiego syna.

Objęła spojrzeniem gabinet. Zasłony były zaciągnięte; świeciła się tylko mała lampka na biurku, przez co w pomieszczeniu panował półmrok. Gdy usiedli, ojciec Jimmy'ego Sawyera popatrzył na nich spokojnie i bez trwogi w błękitnych oczach. Na blacie mahoniowego biurka leżała tafla nieskazitelnie czystego szkła. Pominąwszy kilka dekoracyjnych przedmiotów, na przykład kryształowy nóż do rozcinania papieru, kryształowy zegar w kształcie piramidy oraz oprawione w ramki fotografie syna i żony, nie było na nim dosłownie nic: ani stosu dokumentów, ani papierowych kubków z niedopitą kawą. Doktor Sawyer należał do ludzi lubiących porządek i zorganizowanych. Spojrzał na nich czystymi, inteligentnymi oczyma, zza okularów w drucianej oprawce, i oznajmił:

— Nie mam zbyt wiele czasu. Czym mogę państwu służyć?

Coś nam powie, na pewno nam jakoś pomoże — myślała Anna, obrzucając wzrokiem rzędy dyplomów i zaświadczeń na ścianach. Jest chirurgiem, szanowanym człon-

kiem miejscowej społeczności — nad jego głową dostrzegła duże, oprawione w ramki zdjęcie, przedstawiające oboje małżonków obok uśmiechniętego Ronalda Reagana — i znając tylko synowską wersję zdarzeń, być może nam nie uwierzy, ale na pewno zechce współpracować.

Pochyliła się w fotelu i wzięła inicjatywę w swoje ręce.

— Czy wie pan, co widziałam w lodówce u pańskiego syna? Widziałam w niej ludzkie palce, doktorze. Pięć ludzkich palców. Widziałam kciuk, mały palec i trzy pozostałe. Przypuszczam, że pochodziły z jednej ręki.

Sawyer obrócił się z fotelem, tak że widzieli teraz tylko jego profil.

— Tak — odrzekł beznamiętnie — wiem, że je pani ponoć widziała. Wiem też, że policja przeprowadziła w jego domu rewizję i nie znalazła absolutnie nic. — Zdjął okulary, przetarł szklą wyjętą z biurka chusteczką, nałożył je i spojrzał na Annę i Tommy'ego. — Pani Carlisle, nasz adwokat zapoznał się ze sprawą i zasugerował wynajęcie prywatnego detektywa. Posłuchaliśmy jego rady. Detektyw przedstawił nam zdumiewające wnioski, które, jak sędzę, wesprą zeznania mojego syna. — Odchylił się do tyłu i wbił wzrok w Annę. Gdy na niego popatrzyła, zaczął mówić głosem monotonnym i bezbarwnym, jakby prowadził wykład dla studentów medycyny. — Proszę pani, czy to prawda, że pani mąż zniknął w podejrzanych i dotąd nie wyjaśnionych okolicznościach cztery lata temu, co jest przyczyną rozstroju nerwowego, jaki pani obecnie przeżywa?

Anna znieruchomiała, niepewna, dlaczego Sawyer wywleka tę sprawę.

— Owszem, mój mąż rzeczywiście zaginął, ale nie wiem, co to ma wspólnego z pańskim synem.

— Czy pozwoli mi pani dokończyć?

— Ależ oczywiście. — Założyła nogę na nogę, by po chwili usiąść tak jak przedtem.

— Zniknięcie męża musiało być dla pani bardzo traumatycznym przeżyciem, to zrozumiałe... Czy mogę mówić do pani po imieniu?

— Proszę.

— Znakomicie — odrzekł z ciepłym uśmiechem, jakby przyjaźnili się od lat. — Doskonale znam tego rodzaju urazy, Anno. Mam znajomych oraz pacjentów, których mężowie i synowie zaginęli podczas działań wojennych. To, oczywiście, żołnierze. Otóż ich rodziny utrzymują, że najbardziej męczy ich stan zawieszenia, brak wiadomości o ich losie. Czy w pani przypadku jest podobnie?

— Tak, ale...

Nie pozwolił jej dokończyć.

— To nam zajmie tylko kilka minut, a później będzie mnie pani mogła spytać, o co pani zechce. Tak więc moi przyjaciele powiadają, że najgorsze są pytania bez odpowiedzi. Nie mogą spać ani odpoczywać, nie mogą zaznać spokoju, ponieważ tych odpowie-

dzi nie znają. Jak umarł? Czy w ogóle umarł? Czy cierpiał? Dobija ich samotność, całkowita, skrajna samotność. To przypadek zupełnie inny niż samotność po śmierci bliskiego. Bo gdy wiadomo, że ten ktoś na pewno umarł, gdy znane są okoliczności towarzyszące jego śmierci, sytuacja jest jasna. Wdowa w końcu dochodzi do siebie i może rozpocząć nowe życie.

Zaimponował jej swoją przenikliwością — fakt, tak właśnie się czuła — tylko po co o tym wszystkim mówił?

— Panie doktorze...

Podniósł rękę władczym gestem.

— Te kobiety, kobiety, które znalazły się w pani sytuacji, twierdzą, że nie potrafią się odblokować, że nie są zdolne do utrzymywania normalnych związków. Pragną spotykać się z mężczyznami, pragną podjąć normalne życie seksualne, ale po prostu nie mogą. Ponieważ nie wiedzą, Anno, nie wiedzą, czy ich biedni mężowie żyją. Bo może gdzieś cierpią, może czekają, może modlą się, by dożyć dnia, kiedy...

— Panie doktorze — przerwała mu Anna. — Przychodzimy tu w bardzo pilnej sprawie.

— Tego rodzaju urazy nader mnie interesują. Podczas wojny wietnamskiej odbywałem staż w szpitalu piechoty morskiej. Bywały przypadki, że żołnierzy załamywało czekanie na atak nieprzyjaciela, samo czekanie na uderzenie wroga.

Anna nie wiedziała, co o tym myśleć. Zamierzał tak gadać cały dzień? Spojrzała na Reeda wzrokiem, który zdawał się pytać: co tego faceta napadło?

— Panie doktorze — warknął Tommy — nie przyszliśmy tu, żeby omawiać przypadek pani Carlisle. Sprawa dotyczy pańskiego syna.

— Tylko dokończę wątek, jeśli pan łaskaw — odparował Sawyer i natychmiast przeniósł wzrok na Annę. — Anno, ludzie, o których mówię, kobiety, których mężowie zaginęli podczas wojny, twierdzą, że szukają kontaktów seksualnych nie wymagających z ich strony zaangażowania emocjonalnego i zobowiązań natury moralnej. Czy pani też doświadczyła czegoś podobnego?

— Nie odpowiadaj — powstrzymał ją Reed. — Doktorze, nie wiem, czy pani kura-
tor rozumie, do czego pan zmierza, ale ja rozumiem na pewno.

— Naprawdę? — Sawyer uniósł brwi. — Bardzo przenikliwy z pana człowiek, sierżancie Reed.

Tommy poczerwieniał i zacisnął dłonie na podłokietnikach fotela. Ten skurwysyn był niewiele lepszy od swego parszywego synalka. Próbował udowodnić, że Anna ma zaburzenia psychiczne, chciał zdyskredytować jej zeznania.

— Co pan robił w Wietnamie? — prychnął. — Służył pan w oddziałach specjalnych? Jako kto? — szydził. — Jako ekspert od kontrolowania ludzkich umysłów? — Krew go zalała, z trudem powstrzymywał się od wybuchu. Spojrzał na Annę i spytał:

— Nie rozumiesz, o czym ten palant gada? Nie widzisz, do czego zmierza? Jesteś naiwna, nieprawdopodobnie wprost naiwna. On chce powiedzieć, że spałaś z jego synem, bo nie potrafisz wejść w normalny związek z mężczyzną. Prawda, doktorze?

— Prawda — odrzekł sztywno, starannie modulowanym głosem. — Czy moja ocena jest trafna, Anno? Widzisz, kobiety, o których przed chwilą wspominałem, wyznały mi, że nie potrafią znieść sytuacji, kiedy mężczyzna je odrzuca, że odrzucenie jest dla nich tym samym, co zawód, jaki przeżyły, gdy ich mężowie nie wrócili z wojny.

Reed kiwnął głową w stronę drzwi.

— Idziemy, Anno. Nie musisz wysłuchiwać tych bzdur. On nic nie powie.

Twarz doktora Sawyera zhardziała.

— Czy to dlatego wrobiła pani mojego syna? — spytał. — Czy to dlatego zmyśliła pani tę absurdalną bajeczkę o ludzkich palcach w słoiku po ogórkach konserwowych? Dlatego, że panią odrzucił? Mój syn uratował pani życie. Powinna pani być wdzięczna, powinna pani to docenić, a nie próbować go zniszczyć. — Zaczął krzyczeć: — Dlaczego pani nie przyzna, że z nim spała?! Dlaczego pani kłamie?!

— Nic nie zmyśliłam! — odwrzasnęła, dopiero teraz widząc go takim, jakim naprawdę był: złym, podstępny człowiekiem, który zrobiłby wszystko, żeby uchronić krew z krwi swojej, nie wspominając już o ratowaniu własnej reputacji. — A już na pewno nie spałam z pańskim synem! — Zaczerpnęła tchu i wrzeszczała dalej: — Jeśli pański syn nie stawi się za trzy tygodnie na rozprawie wstępnej, sąd wyda nakaz aresztowania. Jest podejrzany nie tylko o to, że mnie postrzelił, doktorze. Istnieją poszlaki wskazujące na to, że wytwarzał i rozprowadzał narkotyki. — Przygwoździła go wiele mówiącym spojrzeniem. — To są poważne zarzuty. Jeśli ława przysięgłych uzna pańskiego syna za winnego, zostanie on skazany na więzienie. A więzienie i areszt okręgowy, doktorze Sawyer, to dwie zupełnie różne rzeczy.

— Chodź, idziemy stąd — powtórzył Reed.

— Nie, Tommy. Przyszliśmy, żeby zadać mu kilka pytań, więc je zadam. Doktorze Sawyer, czy wie pan coś na temat ludzkich palców, które widziałam w lodówce u pańskiego syna?

Odwrócił wzrok. Milczał.

Anna wstała, podeszła do biurka i celowo oparła ręce na czyściutkim szkle.

— W taki razie niech pan posłucha. Jeśli pański syn będzie stawiał opór podczas aresztowania, może zginąć albo zostać ciężko ranny.

Oczy zaszyły mu mgłą, twarz skurczyła się w udręce.

— Chce pani powiedzieć, że mogą go zastrzelić?

Jednak ma w sobie coś z człowieka — pomyślała.

— Właśnie. Pomoże nam pan?

— Że mogą go zastrzelić policjanci tacy jak ten człowiek?

Anna spojrzała na Tommy'ego.

— Tak, doktorze, właśnie tacy. I powiem panu coś jeszcze. Jeśli złapiemy Jimmy'ego na gorącym uczynku, jeśli aresztujemy go w chwili, gdy będzie sprzedawał narkotyki, zostanie oskarżony o popełnienie każdego z tych czynów, a następnie za każdy z tych czynów osądzony. W sali sądowej nazywamy je zarzutami. Czy pan to rozumie?

W kąciku jego prawego oka zebrała się kropelka wilgoci. Kropelka wezbrała i jako samotna łza wolno spłynęła po policzku. Lecz szczęki miał wciąż zaciśnięte i nie wykonał najmniejszego ruchu, żeby ją otrzeć. Jakie to smutne — pomyślała Anna. Jest po prostu ojcem, zatroskanym rodzicem.

— Jestem świadomy... obowiązującego prawa — wykrztusił głosem spiętym z emocji.

I momentalnie stracił panowanie nad sobą.

Anna nigdy nie widziała człowieka, który by tak łatwo popadał w ekstremalne stany psychiczne. Przed chwilą płakał, a teraz oczy wychodziły mu z orbit, a twarz płonęła gniewem. Właśnie zamierzała zdjąć ręce z blatu biurka, gdy wtem Sawyer zerwał się na równe nogi, chcąc ją spoliczkować, ale szybko odskoczyła i chybił.

— Mój syn jest porządnym człowiekiem. — Przeszył ją pełnym pogardy wzrokiem. — A pani... pani jest podstępna dziwką, tanią zdzirą. Rzygać mi się chce, jak na panią patrzę. Głowę daję, że mąż panią rzucił, bo nie chciał mieć za żonę kurwy. Ilu młodych chłopców pani uwiodła, co?

Anna zaniemówiła. Chwyciła Reeda za rękę i szepnęła:

— Chodźmy, Tommy. Miałeś rację. Chodźmy stąd.

Wszystko trwało ułamek sekundy. Reed zerwał się z fotela, jednym susem dopadł biurka, przechylił się przez nie, chwycił Sawyera za przód koszuli, szarpnął i dzielił go pięścią w twarz. Chirurg nie próbował nawet stawiać oporu czy odpowiedzieć ciosem na cios. Anna wskoczyła Reedowi na plecy i usiłowała go powstrzymać, odciągając od Sawyera.

— Tommy, proszę cię, zostaw...

Ale Tommy już wdrapywał się na biurko. Zrzucił na podłogę nóż i przycisk do papieru, zmiażdżył butem jedną z oprawionych fotografii, a gdy stanął pierś w pierś z Sawyerem, zaczął wrzeszczeć:

— Ty chuju pierdolony! Po tym, co ta kobieta przeszła, masz czelność nazywać ją kurwą?! — Wziął zamach, gotów przyłożyć mu jeszcze raz. — Chcesz kogoś uderzyć, to uderz mnie — warknął. — No, uderz, kutasie, to zamknę cię za czynną napaść na policjanta na służbie!

— Tommy, nie! — krzyknęła Anna, próbując chwycić go za rękę. — On nic mi nie zrobił! Proszę cię, nie warto!

Sawyer siedział na podłodze za biurkiem, a z nosa płynął mu cienki strumyczek krwi, której krople skapywały na białą koszulę. Gdy sapiący jak lokomotywa Tommy

odstąpił od niego, chirurg zdjął rozbite okulary, spokojnie schował je do kieszeni na piersi, przytrzymał się krawędzi blatu i wstał. Wyciągnął rękę po ciężki kryształowy zegar.

— Uważaj, Tommy! — krzyknęła Anna, przekonana, że Sawyer zamierza roztrzaskać nim głowę Reedowi.

Ruchem tak szybkim, że prawie niezauważalnym, Tommy złożył dłonie w wielką pięść i nim palce chirurga zdążyły dotknąć zegara, grzmotnął w nie jak potężnym młotem. Rozległ się suchy trzask. W tym momencie młoda pielęgniarka otworzyła drzwi.

— Coś się stało, panie doktorze? Słyszałam...

Sawyer przycisnął rękę do piersi. Dwa palce były zakrwawione i wygięte pod dziwnym kątem.

— Nie, Sheilo — odrzekł powściągliwie. — Ci państwo właśnie wychodzą. Odprowadź ich. — Odwrócił głowę i z zaczerwienioną, spoconą twarzą usiadł za biurkiem. Nie krzyknął z bólu, nawet się nie skrzywił.

— Ale, panie doktorze, pańska ręka... Boże, pańska ręka jest... Z nosa cieknie panu krew!

— W porządku, Sheilo. — Wyjął białą, nakrochmaloną chusteczkę, przytknął ją do nosa i spojrzał na Reeda. — Mój adwokat skontaktuje się z panem.

— Pierdolę twojego adwokata — odszczeknął Tommy, gotów go zmasakrować. — Ciebie i twego syna też.

Anna pociągnęła go za rękę i stłoczyli się w drzwiach, bo chcieli wyjść całą trójką naraz. W końcu, gdy pielęgniarka ostrożnie ich przepuściła, Anna wypchnęła Reeda na korytarz, chcąc zapobiec walce na pięści.

— Jeszcze tylko jedno pytanie, jeśli łaska — zatrzymał ich Sawyer. — Jak pan myśli: na jaką kwotę sąd wyceni rękę chirurga?

Kłapa, całkowita kłapa — myślała Anna, spiesząc do wydziału siedemnastego, gdzie trwał proces Delvecchia.

Cataloni potarł czoło i spojrzał na ławę przysięgłych.

— Co pan rozumie przez określenie „chwali się”? Czy to znaczy, że oskarżony twierdził, że zgwałcił i okradł te bezbronne kobiety?

— Mniej więcej — odrzekł Hernandez.

Dokładnie już tego nie pamiętał, bo telefon odebrał śledczy z urzędu prokuratora okręgowego. Zeznania Hernandezza miały potwierdzić fakt, że przedmioty znalezione podczas przeszukania domu oskarżonego należały do ofiar zbrodni. Cataloni dobrze o tym wiedział, ale chciał wyeksponować najsłabsze ogniwo sprawy.

— I właśnie ta rozmowa telefoniczna była podstawą do uzyskania nakazu rewizji i do jej przeprowadzenia, czy tak? — Ponieważ Hernandez milczał, Cataloni przeszył go

wzrokiem, przyczłapał do miejsca dla świadków i spytał: — Zareagowaliście, kierując się wyłącznie nie sprawdzoną pogłoską? Informacją uzyskaną od człowieka, który nie podał swego nazwiska, którego personalia nie są znane po dziś dzień?

Hernandez wyprostował się, usiadł sztywno i przeszedł do defensywy.

— W ten sposób uzyskujemy dużo informacji, panie mecenasie. Ich sprawdzanie należy do naszych obowiązków.

— Nie mam dalszych pytań — rzucił przez ramię Cataloni, wracając do stołu.

Goldstein spojrział pytająco na Hopkinsa.

— Oskarżenie nie ma pytań, wysoki sędzie — odrzekł Glen.

Goldstein odchylił się w fotelu.

— Może pan wygłosić mowę końcową, panie Hopkins.

Glen szybko wstał, dziarskim krokiem podszedł do ławy przysięgłych i oparł ręce na drewnianej barierce.

— Nie muszę podkreślać ciężaru ohydnej zbrodni, której ofiarami padły te trzy kobiety. — Mówił głośno i wyraźnie, spoglądał po twarzach przysięgłych i każdą świodrował wzrokiem. — Wysłuchali państwo Madeline Alderson i Lucindy Walls, które w swych zeznaniach opisały koszmar, jaki przeżyły, i katusze, jakie wycierpiały z rąk oskarżonego. Estella Summer nie mogła stawić się w sądzie i spojrzeć w twarz napastnikowi, ponieważ już nie żyje. Ale jest pośród nas — dodał, unosząc brwi i zawieszając głos, by znaczenie jego słów dotarło do przysięgłych. — Jest pośród nas nie ciałem, lecz duchem. Muszą państwo uwzględnić jej zaprzysiężone zeznania, których tu wysłuchali. To prawda, nie słyszeli państwo jej głosu, nie widzieli cierpienia i bólu na jej obliczu, lecz proszę nie zapominać, że Estella Summer rozpoznała twarz oskarżonego podczas konfrontacji i że pana Delvecchia zatrzymano w płaszczu jej męża, w płaszczu, który zaginął podczas bestialskiego napadu.

Mecenas Cataloni powie wam, że pani Summer była staruszką, że jej śmierć nie ma bezpośredniego związku z czynami oskarżonego, ale i ja, i państwo dobrze wiemy, że to nieprawda. — Chwilę milczał, a jego twarz wykrzywił bolesny grymas. — Bo Estella Summer umarła przez tego oto człowieka! — Obrócił się na pięcie i oskarżycielskim gestem wycelował palec w Delvecchia. — Przez niego, przez Randy'ego Delvecchia! Umarła z upodlającego strachu i upokorzenia. Z obawy, że karząca ręka sprawiedliwości nigdy oskarżonego nie dosięgnie. Lecz jestem przekonany — dodał z poważną twarzą, przechadzając się niespiesznie przed ławą przysięgłych — że pomścicie śmierć tej porządnej kobiety.

Stanął bokiem do ław dla publiczności.

— Dowody mówią same za siebie. Oskarżony posiadał przedmioty zrabowane w domu Estelli Summer i w domu Madeline Alderson, przedmioty, których legalnie posiadać nie mógł. To nie spekulacja myślowa, panie i panowie, to są fakty. Mecenas Cataloni powie państwu, że dowody są nieprzekonywające, że nawet jeśli jego klient te

przedmioty miał, to istnieje uzasadniona wątpliwość, czy rzeczywiście popełnił zarzucaną mu zbrodnię. Tak, jestem przekonany, że chcąc zasiać w waszych umysłach ziarno wątpliwości, pan Cataloni opowie państwu jakąś nieprawdopodobną bajeczkę, która rzekomo wyjaśni, jak wspomniane przedmioty trafiły do rąk oskarżonego.

Spuścił oczy, a gdy w sali zapadła absolutna cisza, podniósł głowę i zagrział:

— Lecz ja w was wierzę! Wierzę, że umiecie wymierzać sprawiedliwość, że dostrzeżecie prawdę!

Anna uśmiechnęła się do siebie. Umiejętnie sterował przysięgłymi, wychwalał ich, podkreślał wagę tego, co robili. No i zjednywał ich współczucie dla ofiar, wmawiając w przysięgłych, że uznanie Delvecchia za niewinnego będzie niewybaczalną pomyłką, która obarczy ich sumienie.

Chodząc tam i z powrotem, kreślił palcem kółka w powietrzu i mówił:

— O następujących faktach muszą państwo pamiętać. Oskarżony nie ma alibi. Wszystkie trzy ofiary rozpoznały oskarżonego podczas konfrontacji. Oskarżony był w posiadaniu przedmiotów zabranych z domów ofiar. — Przystanął i objął ich spojrzeniem. — Te fakty ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość. A owe fakty, panie i panowie, stanowią jednoznaczny dowód, że oskarżony jest winny — zakończył i usiadł.

Anna odczekała, aż Goldstein zarządzi przerwę, wstała i ruchem głowy dała Glenowi znak, że chce się z nim widzieć w korytarzu. Delvecchio siedział tyłem do niej, ale mógł się w każdej chwili odwrócić i zobaczyć porozumiewawcze gesty między Anną a prokuratorem. Gdyby to zauważył, nie wyciągnęłaby z niego niczego na temat zabójstw.

Kilka minut później uśmiechnięty Glen pchnął skrzydła wahadłowych drzwi i wypadł na korytarz.

— No i co ty na to? — spytał.

Anna rozejrzała się wokoło. Widząc, że nikogo w pobliżu nie ma, szybko zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go pocałowała.

— Jesteś genialny.

— Przesada — odrzekł skromnie. — Mogło mi pójść lepiej, ale nie chciałem wdawać się w szczegóły. Zasypać ich szczegółami, a natychmiast się pogubią.

Chciała mu opowiedzieć o incydencie w gabinecie doktora Sawyera, ale zawahała się. Przerwa miała trwać tylko dziesięć minut, więc nie mieli zbyt dużo czasu.

— Kiedy wystąpi Cataloni? — spytała.

— Myślę, że będzie gotów już w przyszłym tygodniu — odrzekł wyraźnie zadowolony, że sprawa zmierza ku końcowi. — Nie ma żadnych świadków, więc powołał kilku krewnych, żeby wystawili Randy'emu dobrą opinię. Wątpię, czy zavezwie samego Delvecchia. To głupek. Zawaliłby mu całą robotę.

Anna zastanawiała się, czy Cataloni znowu pije. Gdyby pił, gdyby miało się okazać, że oskarżonego reprezentował niekompetentny obrońca z urzędu, sprawa mogłaby zostać skierowana do ponownego rozpatrzenia przez sąd apelacyjny. Tylko nie to, pomyślała, wystarczy Simmons. Nie, sprawy Delvecchia przegrać nie mogli.

— Myślisz, że Cataloni zagłada do kieliszka?

— Oczywiście, że nie — warknął, łapiąc ją za ramię. — Ani słowa o tym. Proszę, nie mów.

Wyrwała mu się jak z objęć grzechotnika i natychmiast tego pożałowała.

— Przepraszam — szepnęła zażenowana. — Jeszcze nie doszłam do siebie po wczorajszym. Nie napadaj na mnie, Glen. Jak zaczniesz na mnie...

— Kto na ciebie napada? — zaprotestował. — Położyłem ci tylko rękę na ramieniu. — Widząc, że jest przestraszona, podszedł bliżej. — Wybacz, jeśli sprawiam wrażenie nieczułego — szepnął cicho i łagodnie. — Wierz mi, bardzo się o ciebie martwię. Tak mnie ta sprawa pochłania, że nie umiem trzeźwo myśleć.

— W porządku, nic się nie stało. — Odwróciła się, żeby odejść.

— A może zjemy razem lunch? — spytał. — Kończę o pierwszej. Moglibyśmy wpaść do Marie Callender's. To naprzeciwno.

— Nie mogę. — Nie miała apetytu, poza tym wiedziała, że zaprosił ją tylko z uprzejmości. Gonił go czas i pewnie chciał jak najszybciej wrócić do pracy. Podczas procesu prokuratorów zawsze ogarnia gorączka. — Zamówię coś do biura i spróbuję nadgonić robotę.

— A jutro wieczorem? Sprawa aktualna?

— Chyba tak — odrzekła, spoglądając w okno w głębi korytarza. Tylko skąd pewność, że jutro wieczorem będzie jeszcze żyła? Chociaż dochodziło południe, czuła się tak, jakby wokół panowała głęboka noc.

— Chcę go usadzić. — Powiedział to z taką stanowczością w głosie, że wyrwał ją z zamyślenia. — Delvecchio jest taką samą bestią jak Sawyer. Na szczęście ty nie masz siedemdziesięciu lat, Anno. Te kobiety były bezbronnymi staruszkami, nie miały żadnych szans.

Popatrzyła mu w oczy i wiedziała, że Glen ma rację. W porównaniu z ofiarami Delvecchia była kobietą młodą. Umiała posługiwać się pistoletem, zaliczyła nawet kurs samoobrony.

— Do zobaczenia jutro — powiedziała ze słabym uśmiechem.

— Wszystko będzie dobrze, Anno. On wie, że masz broń. Już nie wróci.

Z rękami skrzyżowanymi na piersiach, pochylona, jakby zmagająca się z wichurą, ruszyła korytarzem. Tak, miała broń, o czym napastnik dobrze wiedział, i w większości przypadków podziałałoby to jako czynnik odstrasżający. Ale napastnik wiedział również o czymś, o czym Glen nie miał pojęcia: wiedział, że Anna nie jest w stanie pociągnąć za spust.

Tommy Reed pochylał się nad listą osób zaginionych, próbując zapomnieć o porannym incydencie. Wszystko spieprzył. Tak, wizyta u Sawyera była oczywistym błędem. Jak tylko dowiedzą się o tym ci z góry, wezwą go na dywanik, a niewykluczone, że zostanie zawieszony w czynnościach służbowych.

— Szlag by to wszystko trafił! — Grzmotnął pięścią w biurko, czując, że złość mu wcale nie przeszła. Dlaczego dał się podpuścić? Przecież Sawyer to dupek, egoistyczny palant. Jasne, obraził Annę, chciał ją uderzyć, ale zawsze mogli po prostu wyjść. Ale nie, zachował się jak dureń, jak żółtodziób, jak prosty rekrut i musiał mu przygrzać.

Nagle znalazł odpowiednie słowa: czuł się winny. Tak, czuł się winny, bo nie zdołał zapewnić Annie bezpieczeństwa i dlatego ją postrzelili. Bo zaatakowano ją ponownie, mimo że on, Reed, gwarantował, że Sawyer nie podejdzie do jej domu.

Do gabinetu wszedł Noah Abrams. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami i jedwabny krawat, ozdobiony malunkiem jasnoniebieskiego chevrolleta rocznik pięćdziesiąt siedem.

— Jak leci?

Reed podniósł wzrok i zmrużył oczy.

— To samochód?

— Samochód. Wspaniały, co? — Abrams zerknął mu przez ramię. — Lista zaginionych? Znalazł pan coś?

Reed wolno pokręcił głową.

— Jak na razie, mam tylko kupę nazwisk i dat. W naszym okręgu nikt ostatnio nie zaginął.

— To znaczy? — Noah zajrzał do koszyka, żeby sprawdzić, czy nie nadeszła świeża korespondencja, klapnął na krzesło obok Reeda i wyciągnął swoje długie nogi.

— Jeśli Anna rzeczywiście widziała te palce, to znaczy, że morderstwa dokonano stosunkowo niedawno, a nie pół roku albo rok temu, nie sądzisz?

— Czy ja wiem — mruknął Noah, zauważając sińce pod oczyma Tommy'ego i niezdrową bladość jego twarzy. Ta sprawa go dobija — pomyślał. — Ci z laboratorium twierdzą, że w słoikach jest tylko sok i zwyczajne ogórki. Nie znaleźli ani formaliny, ani innych środków konserwujących. Może i ma pan rację.

— Ale nie badali przecież słoika z palcami — podkreślił Reed. — Słoik z palcami Anna upuściła i roztrzaskała się na kawałki. Skąd wiadomo, że nie zawierał konserwantów?

Abrams pokręcił głową, bo jego myśli biegły zupełnie innym torem. Uważał, że to nie palce powinny stanowić punkt zaczepienia w toczącym się śledztwie. Jego zdaniem powinni skoncentrować wysiłki na odszukaniu i aresztowaniu Jimmy'ego Sawyera, nim ponownie zaatakuje Annę.

— Uważam, że trzeba dać sobie spokój z tymi paluchami i skupić się na handlu narkotykami, na czymś, co pomoże nam faceta zgarnąć. Po co marnować czas, skoro nawet nie jesteśmy pewni, czy te palce naprawdę istnieją? Będziemy się tym martwić, jak znajdziemy okaleczonego trupa. Mam rację? Przynajmniej tak to widzę.

— Jasne, odpuśćmy to sobie i zaczekajmy, aż w słoiku znajdą się palce Anny — prychnął szyderczo Reed. Wstał i zdjął marynarkę z fotela. — Jadę do laboratorium. Zobaczę, co nabadali.

Abrams poczuł się dotknięty, ale wiedział, że odgryzanie się nie ma sensu, że Reed będzie mu załaził za skórę, dopóki nie skończą śledztwa.

— No to jak? Jedziesz czy zostajesz?

— Jadę — mruknął Abrams. Niechętnie wstał i podążył za sierżantem.

Na parkingu Reed nagle przystanął. Abrams szedł dalej, ale po kilku krokach spojrzął przez ramię, nie wiedząc, co się stało.

— Idzie pan?

Tommy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknął i wepchnął ręce do kieszeni w poszukiwaniu tabletek na nadkwasotę żołądka. Zamiast tabletek wyciągnął wykałaczkę i wetknął ją między zęby.

— Dziś rano dałem dupy — oznajmił, przesuwając wykałaczkę do kącika ust.

— To znaczy?

— Skułem mordę starszemu Sawyerowi.

— Żartuje pan. — Oczy Abramsa ożyły. — Ojcu Jimmy'ego? No i co powiedział? Powiedział, gdzie jest Jimmy?

Reed spoglądał w przestrzeń nad głową Noaha.

— Chyba złamałem mu rękę.

Świetnie — pomyślał Abrams. Znakomicie. To na pewno przyspieszy sprawę. Nie mogli znaleźć Jimmy'ego Sawyera, więc Reed spuścił manto jego ojcu.

— No i? Co wyśpiewał?

— Nic — wymamrotał Tommy.

— Nic? — powtórzył Abrams. Popatrzył na czubki swoich butów i wbił wzrok w twarz sierżanta. — Reed, złamał mu pan rękę za nic? I co to nam dało? Może facet poszedłby po rozum do głowy i przypuściłby syna.

Tommy wypluł wykałaczkę i zmrużył oczy.

— Obraził Annę. Chciał ją uderzyć. Ty byś pewnie pozwolił mu gadać, co ślina na język przyniesie, co? Stałbyś i słuchał, jak nazywa ją dziwką, hę?

Kipiąca w Abramsie wściekłość musiała znaleźć ujście i detektyw wybuchnął:

— Wypraszam sobie, Reed! Odpieprz się, dobra? Mówi pan tak, jakby nie obchodziło mnie, czy Anna jest bezpieczna, czy nie. — Urwał, wymachując rękami. — Jedź pan sobie w cholerę. Ja poszukam tego przeklętego gnojka. — Ruszył przez parking, odwrócił się i krzyknął: — Myślę, że to panu się porąbało, że to pan kieruje śledztwo na zły tor! — Wsiadł do samochodu, trzasnął drzwiami i na pełnym gazie wyjechał z parkingu.

— Przykro mi, ale w tej chwili nie może panów przyjąć — oświadczył Alex.

Zgarnawszy na parkingu Phila Whittakera, Reed wziął go z sobą do laboratorium. Stali teraz przed drzwiami, za którymi pracowała Melanie Chase, a ściślej mówiąc: przed Alexem, który blokował do nich dostęp.

— Mel! — wrzasnął Reed, podchodząc bliżej drzwi. — Mel, muszę z tobą pogadać! Alex ani drgnął. Tommy i Phil wymienili spojrzenia.

— Dłużej tego nie zdzierzę — mruknął Reed, stając z lewej strony policjanta. Gdy Whittaker stanął z prawej, Tommy rzucił: — Na trzy — i zaczął odliczać. Chwycili szczupłego Alexa pod pachy i bez najmniejszego wysiłku przestawili go metr dalej.

— To było niezbyt miłe — mruknął gniewnie.

Weszli do laboratorium. Za przeszkloną ścianą mruczały rzędy komputerów. Reszta sali była podzielona na stanowiska robocze wyposażone w skomplikowany sprzęt i mikroskopy, ustawione na ladach pokrytych białym, termoodpornym polimerem. Ubrana w białe fartuch, Melanie siedziała na wysokim stołku i przeglądała preparaty.

— Z czym przychodzisz, Reed? — spytała, nie podnosząc głowy. — Oby z czymś ważnym.

Reed wyciągnął do niej ramiona.

— Jak to z czym? A ja się nie liczę?

— Ty? — Otaksowała go spojrzeniem i z uśmiechem puściła do niego oko. — Lepiej uważaj, stary byku, bo któregoś dnia przypomnę ci twoje słowa.

Reed wyszczerzył zęby i musnął palcem jeden z jej loczków.

— Milutkie — skonstatował. — Jak u Shirley Tempie. I natychmiast spowaźniał. — Co znalazłaś, Mel? Jesteśmy do bici i zdesperowani. Daj nam przynajmniej coś na temat domu Sawyera.

Zaszeleściła papierami na biurku.

— Właśnie miałam przedyktować raport. Gdzie to jest... Mam. — Reed chciał jej wyrwać kartkę z ręki, ale mu nie pozwoliła. — Nie widzisz, że to odręczne notatki, mądralo? — Powiodła wzrokiem po notatkach. — No, tak. Coś śmierdzi. Nie jestem pewna, co, ale działa się tam coś podejrzanego.

Reed i Whittaker przystawili stołki i usiedli naprzeciwko Melanie. Była ich ostatnią deską ratunku. Melanie mówiła dalej:

— Wszędzie są śladowe ilości dwumetylobenzylchlorku amonu, substancji używanej do produkcji środków czyszczących. Nie wiem, czy pamiętacie, jak wygląda wnętrze tego domu. Tu są zdjęcia. — Podała im plik fotografii dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. — Spójrzcie na te pudła. A tu jest zdjęcie zawartości jednego z nich. Co widzicie?

Tommy przyjrzał się fotografii.

— Jakies naczynia, sztuce...

— Dokładniej mówiąc, brudne naczynia. Talerze z zaschłymi resztkami jedzenia. Nawet ich nie zmyli, tylko od razu spakowali. — Nie dała im czasu na wyciąganie wniosków. — Jasne, spieszyło im się, ale brudasy z nich, jakich mało. Skoro tak, skoro nie mieli nic do ukrycia, to dlaczego wypucowali cały dom, wszystkie ściany i podłogi? I to bardzo silnym detergentem. No?

— Żeby właściciel zwrócił im kaucję — strześlił Whittaker.

Pokręciła głową.

— Kaucji to oni na oczy nie zobaczą. Mało tego. Nie zdziwiłabym się, gdyby właściciel podał ich do sądu i zażądał odszkodowania za wyrządzone szkody. Wyrwane z zawiasów drzwi, dziury w ścianach, wszędzie ślady po gwoździach. W kuchni spalili pół podłogi, bo pewnie pichcili tam narkotyki. Wobec takiego obrazu zniszczenia wyszorowanie całego domu wygląda podejrzanie.

— Myślisz, że ukrywali tam zwłoki? — spytał Reed.

Przetarła ręką oczy.

— Nie wiem, czy zwłoki, ale owszem, na pewno chcieli coś ukryć.

— Laboratorium?

— Niewykluczone. Tylko po cholere czyściliby ściany w sypialniach? Nie, to nie to. Ale gdyby na ścianach były plamy krwi albo ślady po jakichś wydzielinach, musieliby je usunąć, i to bardzo dokładnie.

Tommy pomyślał o palcach znalezionych w lodówce.

— A co z włamaniem do domu Anny? — zapytał.

— To zupełnie co innego. — Najeżyła się. Ilekroć poszkodowanym był policjant, zwłaszcza ktoś, kogo uważała za przyjaciela, jak na przykład Annę Carlisle, wpadała w amok. — Po pierwsze, pistolet Anny musi przejść test balistyczny. W suficie znalazłam kulę, która prawdopodobnie nie pochodzi z jej broni, ale bez testu tego nie potwierdzę. A wtedy nie pozwoliła mi zabrać beretty.

— Chcesz powiedzieć, że napastnik do niej strzelał? — spytał zdumiony Whittaker. — Myślałem, że nie był uzbrojony.

Pokręciła głową.

— Z tego, co mówi Anna, wywnioskowałam, że napastnik w ogóle nie był w jej sypialni. — Na kartce narysowała uproszczony plan sytuacyjny i pokazała go detekty-

wom. — Anna stała w północnej części sypialni, przy sejfie pod otwartym oknem. Tu wystrzeliła, żeby sprawdzić, czy pistolet jest nabyty. Pocisk utkwił w drzwiach szafy, bo zmyliło ją odbicie w lustrze. — Podniosła wzrok. — To był strzał numer jeden. Drugi raz wystrzeliła na podjeździe. Tutaj. To strzał numer dwa. Anna wypaliła tylko dwa razy, panowie, i drugiej kuli oczywiście nie znaleźliśmy. — Odwróciła się i z kartonowego pudełka wyjęła szczypcami dwa małe przedmioty. — Tymczasem mamy tu dwa pociski. Wygląda na to, że trajektoria lotu jednego z nich biegła od okna do lustra na toalecie. Odbił się od ramy i utkwił w ścianie.

Reed zeskoczył ze stołka, czując w gardle kwaśną gulę. O ile dobrze zrozumiał cały wywód, w sprawie pojawiły się nowe elementy.

— Chcesz powiedzieć, że napastnik nie był sam? Że kiedy Anna oddała próbną strzał, ktoś wypalił do niej przez okno?

— Otóż to — potwierdziła z uśmiechem Melanie. — Mam jeszcze próbkę krwi ze zbitej szyby. To dobra próbka, grupa krwi „zero”. Na razie nic nam to nie mówi, bo żeby dokonać jednoznacznego badania porównawczego struktury DNA, muszę mieć próbkę krwi podejrzanego. Zdobądźcie ją, i po sprawie. — Zajrzała do notatek. — Gdzie jest Sawyer? Możecie sprawdzić, czy się ostatnio nie zaciął albo czy nie ma na ciele ran darych?

— Życzę szczęścia, Melanie — mruknął ponuro Reed. — Sawyer wyszedł za kaucją i przepadł jak kamień w wodę.

Znowu pokręciła głową, ale nie należała do osób, które się łatwo zrażają.

— Pogadaj z kimś z prokuratury, załatw pozwolenie na badanie krwi. I to jak najszybciej. Pobierzemy próbkę, jak tylko go złapiecie. Badanie struktury DNA trochę trwa, bo przeprowadzamy je gdzie indziej. Jeśli chcecie mieć wyniki przed procesem...

Reed i Whittaker szli już do drzwi.

— Dziękuję, Melanie — rzucił przez ramię Tommy.

— Nie zapomnij przynieść pistolet Anny — mruknęła, pochylając się nad obiektywem mikroskopu, żeby obejrzeć następny preparat.

Anna siedziała za biurkiem, studiując akta sprawy o maltretowanie dziecka. Zrobiwszy kilka notatek, wyjęła z koperty zdjęcia i zaniemówiła. Pierwsze zdjęcie przedstawiało pięcioletniego chłopczyka stojącego plecami do aparatu fotograficznego. Między jego łopatkami widniał wyraźny odcisk żelazka. Drugie było zdjęciem jego dziewiętnastoletniej matki, kobiety oskarżonej o znęcanie się nad synkiem. Pochodziła z Wietnamu i sama wyglądała jak dziecko. Drobna i czarnowłosa, miała najbardziej nieczułe oczy, jakie Anna kiedykolwiek widziała.

Westchnęła i właśnie odkładała zdjęcia na bok, gdy zadzwonił telefon.

— Halo? Wydział kuratoryjny.

— Anno, czy musi tak być?

Zesztywniała. To był głos Hanka, głos jej męża.

— Słyszałaś? — spytał głośniejsze i agresywniej.

Ten ton — poznałaby go wszędzie. Otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

— Hank... czy to ty? — wykrztusiła po chwili.

— Anno...

Przeszedł ją dreszcz, zaczęła się trząść, czując, że minione cztery lata minęły jak jeden dzień. Hank wrócił. Żył. Jej twarz spłynęła łzami.

— Gdzie jesteś? Boże, Hank... Powiedz, gdzie jesteś, a natychmiast po ciebie przyjadę.

Wstrzymała oddech, nadsłuchiwała. Ale odpowiedzi nie było. Połączenie zostało przerwane. Zauważyła, że przy biurku stoi Claudette.

— Kto dzwonił? — spytała zaniepokojona. — Słyszałam, jak mówiłaś o Hanku. Są nowe wiadomości?

Anna spojrzała na nią z drżącym uśmiechem.

— To... to był Hank.

Boże, tylko nie to — pomyślała głęboko zatroskana Claudette.

Gdy Hank zniknął, Anna widziała go dosłownie wszędzie, w twarzy każdego napotkanego mężczyzny, w każdym przejeżdżającym samochodzie, a ilekroć dzwonił telefon, była przekonana, że to mąż.

— To nie mógł być Hank. Kochanie, jesteś zdenerwowana i przemęczona. Spójrz tylko na siebie. — Przechyliła głowę, badając wzrokiem jej twarz. — Będzie lepiej, jak pójdziesz do domu, Anno. Kiepsko wyglądasz. Od tamtego wypadku pewnie w ogóle nie sypiasz.

Anna przeszła ją twardym spojrzeniem.

— Nie, to był Hank. Znam głos własnego męża. Wiedziałam, że on żyje, wciąż to wszystkim powtarzałam, ale nikt nie chciał mi wierzyć.

Claudette założyła ręce na piersi.

— I co ci powiedział? Gdzie on jest? Gdzie był przez te cztery lata?

— Odłożył... odłożył słuchawkę. Powiedział tylko: „Anno, czy musi tak być?”

— No, jasne — mruknęła Claudette, zła, że przyjaciółka myśli tak nielogicznie. — Facet przepada na cztery lata, a potem dzwoni i mówi głupoty.

— To był Hank — prychnęła Anna. Gwałtownie wstała i przysunęła krzesło.

Claudette położyła jej rękę na ramieniu, odsunęła krzesło i łagodnie posadziła przyjaciółkę za biurkiem.

— To głupi kawał, Anno. Nie rozumiesz? Ktoś przeczytał w gazecie o zniknięciu Hanka i zadzwonił. Kiedy cię postrzelili, dziennikarze wywlekli tę sprawę i na nowo rozpisali się o Hanku, jak przed czterema laty. Może to któryś z twoich podopiecznych? Może chce się na tobie zemścić?

— To był głos Hanka — powtórzyła, choć z mniejszą pewnością siebie. A jeśli Claudette ma rację? Ale nawet jeśli to kawał, myślała, czy ktoś potrafiłby tak doskonale naśladować głos Hanka?

— Spójrz na mnie, dziewczyno — powiedziała Claudette, odwracając ją z krzesłem i klękając przed nią na jedno kolano. — Puszczają ci nerwy i tyle.

Anna znów chciała wstać.

— Nie zamierzam wysłuchiwać...

— Wiem, co mówię — przerwała jej Claudette. — Obserwuję cię i widzę, że z dnia na dzień jest z tobą gorzej. A kiedy ten sukinsyn włamał się do...

Anna była oszołomiona. Czyżby umysł płatał jej figle?

— Może i jestem zestresowana, ale jeszcze nie zwariowałam. On był na mnie wściekły, rozumiesz? Nie wiem dlaczego, ale słyszałam to w jego głosie. — Zmarszczyła brwi. — A tego nikt nie potrafi naśladować.

Claudette wstała i poprawiła żakiet.

— Musisz pomyśleć logicznie, Anno. Skoro to był Hank, dlaczego odłożył słuchawkę? Dlaczego nie powiedział, skąd dzwoni?

— Nie wiem — wyszeptała zmieszana, bo naprawdę nie wiedziała, co o tym sądzić. — Może wcale nie odłożył słuchawki. Może ktoś zrobił to za niego. Może linia jest uszkodzona. — Sięgnęła do telefonu. — Dzwonię do drogówki.

Claudette obrzuciła ją mrocznym spojrzeniem.

— Nie dzwoń. Zrobisz z siebie idiotkę, poruszysz gniazdo os. — Widziała, że Anna rozważa jej słowa. — Daj temu spokój, kochanie. Jeśli to był naprawdę Hank, zadzwoni jeszcze raz. Wyobrażasz sobie, jak to będzie wyglądało? Sawyer cię obsmarował, więc jeśli zaczniesz opowiadać, że dzwonił do ciebie twój martwy mąż, ludzie pomyślą, że naprawdę jesteś psychiczna, że... że kretyńska bajeczka Sawyera nie jest wcale bajeczką.

— Nie wierzę — odrzekła z naciskiem.

— To lepiej uwierz — odparowała szorstko Claudette. — Chodź, pogadamy na osobności. — Zaprowadziła ją do sali przesłuchań, a gdy weszły, zamknęła drzwi. — Ludzie gadają, Anno. Cały sąd aż się trzęsie od plotek na twój temat.

Annie zabrakło tchu.

— Co gadają? — szepnęła.

Claudette jęknęła.

— Kobieto, powinnaś to sama wiedzieć. Jeśli plotka jest pikantna, ludzie chcą w nią wierzyć, bo to kupa zabawy, bo mogą o tym porozmawiać przy kawie.

Przez chwilę była zaskoczona. Plotkowali na jej temat? Gadali za jej plecami?

— Myślisz, że to pierwsza sprawa tego rodzaju? — tchnęła jej w twarz Claudette. — Że żaden kurator nie spał ze skazanym na dozór sądowy? Przypomnij sobie. Przypomnij sobie ten wielki skandal sprzed kilku lat. Pamiętasz Pete'a Hendricksa i tę młodą dziewczynę?

— Tak, ale to było co innego — zaprotestowała słabo.

Claudette pokręciła głową.

— Nie, Anno. Fakt, że jesteś kobietą, nic nie zmienia. Ludzie uwierzą w najgorsze rzeczy, mówię ci. Niektórzy uważają, że Sawyer to przystojniacha. Jedna z naszych maszynistek widziała, jak wychodził z aresztu, i myślała, że trzymaliśmy w pudle gwiazdę rocka. Łaziła po całym biurze i gadała, że zrobiłaby wszystko, żeby się z facetem spotkać.

Anna obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

— Wierzysz w te plotki?

Claudette stęknęła i zakryła dłonią usta.

— Oczywiście, że nie wierzę. A teraz idź do domu i trochę odpocznij. Jeśli chcesz, dam ci urlop na cały tydzień, żebyś mogła wyjechać z miasta. Zapomnij o Sawyerze i o Hanku.

— Nie mam czasu, Claudette — wykrztusiła. — Zaraz muszę iść do aresztu, żeby przesłuchać Delvecchia. Dzwonili do mnie. Delvecchio chce rozmawiać, ale tylko ze mną. Może przyzna się do tych zabójstw.

Claudette pokręciła głową i pomyślała, że sprawa jest beznadziejna. Anna po prostu nie mogła odreagować.

— Co z tym pogryzieniem przez psa? Sprawdzili to?

— Nie wiem. — Chciała stamtąd jak najszybciej wyjść. Wyjść z ciasnego, przytłaczającego pomieszczenia i uciec od tej kobiety. — Puść mnie, Claudette. Muszę iść.

Gdy Claudette nie zareagowała, Anna odepchnęła ją od drzwi i wypadła na korytarz.

Najpierw do mnie strzelają — myślała. Potem ktoś włamuje się do mego domu i próbuje mnie zgwałcić. Teraz dzwoni do mnie mąż, człowiek, który zaginął cztery lata temu. Jeśli Hank żyje, dlaczego rozmawiał ze mną w taki sposób? Co się, do diabła, dzieje?

Jednakże fakt, że zadzwonił, utwierdził ją w przekonaniu, iż to właśnie jego widziała na podjeździe. Nic dziwnego, że nie mogła pociągnąć za spust.

Stała przed drzwiami windy i dźgnęła palcem guzik. Chybiła, więc dźgnęła jeszcze raz, i jeszcze raz, aż złamała paznokieć.

— Chyba naprawdę się pani spieszy — powiedział wchodzący za nią mężczyzna. Zauważył jej zakrwawiony palec. — Chryste, nic się pani nie stało?

— Nie, to tylko paznokieć — wycodziła słodko. — Typowa ze mnie kobieta, prawda? Złamię paznokieć, a wszyscy myślą, że złamała sobie nogę. Nasze życie musi być koszmarnie nudne.

Gdy mężczyzna się roześmiał, przeszła go spojrzeniem, w którym było tyle jadu, że powaliłby słonia.

Wróciwszy do biura, Reed próbował namówić kapitana, żeby postawił przed domem Anny całodobową obstawę. Myśl, że napastnik nie działał sam, była alarmująca, zwłaszcza że jego wspólnik oddał do Anny strzał. Kolumbijczycy — tę możliwość uznał za najbardziej prawdopodobną. Sawyer i jego kumple wpakowali się w tarapaty, więc do akcji wkroczyli ich południowoamerykańscy przyjaciele, chcąc kwestię ostatecznie rozwiązać. Jeśli rozumował prawidłowo, Annie groziło poważne niebezpieczeństwo. Musiał znaleźć sposób, żeby ją ochronić.

Problem polegał na tym, że brakowało im ludzi. W zachodniej części miasta jakiś wariat wziął zakładników. Rozpracowywali dwa nowe zabójstwa, prawdopodobnie rezultat międzygangowych porachunków. Killkunastu policjantów dostało kataru, wywołanego najpewniej przez tego samego wirusa, który dręczył Whittakera. Nie chciał zabierać ludzi obserwujących dom rodziców Sawyera, bo dawał głowę, że Jimmy ich odwiedzi, a wtedy mogliby go zwinąć. Anna była w pracy. Do wieczora na pewno kogoś znajda. Tak, wieczorem ktoś będzie miał ją na oku. Niestety, kapitan wyraźnie dał do zrozumienia, że nie są prywatnymi ochroniarzami. Tak więc Reeda czekała wolna amerykanka.

Wszedł archiwista. Wrzucił coś do koszyka i chciał wyjść.

— Co to? — spytał Reed.

— Prosił pan o wszystkie meldunki na temat domu Jimmy'ego Sawyera. Znalazłem tylko to.

Reed wyjął dokument z koszyka. Był to policyjny raport sprzed kilku miesięcy. Sąsiedzi Sawyera skarżyli się, że mieszkańcy domu przy Henderson Avenue urządzają na ulicy wyścigi samochodowe. Z trzech pojazdów wymienionych w meldunku Tommy znał tylko jeden: Porsche Sawyera. Dużo wcześniej, jak tylko poznali nazwiska kumpli Jimmy'ego, Reed sprawdził w komputerze ich drogowe dossier i kazał wydrukować listę pojazdów kiedykolwiek zarejestrowanych na nazwiska Bretta Wilkinsona i Petera Chena. Ponieważ na liście figurował jedynie Volkswagen Jetta oraz stary Ford Bronco, Reed poinformował drogówkę, że poszukiwani jeżdżą tymi właśnie pojazdami.

Tymczasem w meldunku, który miał przed sobą, czytał, że Wilkinson prowadził nowiuteńkie BMW z przyciemnianymi szybami, chromowanymi listwami, ze złocnymi emblematami fabrycznymi i innymi bajerami. Natomiast Chen szalał za kierownicą nowego Lexusa. Ani BMW, ani Lexus nie miały stałych tablic rejestracyjnych, tylko tekturowe tablice zastępcze, wydane przez salon samochodowy, i jako pojazdy formalnie nie zarejestrowane, nie figurowały w policyjnym systemie komputerowym. Nic dziwnego, że nie mogli gnojków dorwać: szukali nie tych samochodów.

Nagle zaświtała mu inna myśl: skąd Chen i Wilkinson wytrzasnęli forszę na takie drogie zabawki? Ze sprzedaży narkotyków, to oczywiste, ale w sądzie przydałby się konkretny dowód. W przeciwnym razie Sawyer i spółka staną przed trybunałem, oświadczając, że zażywają narkotyki sporadycznie, wyłącznie w celach rekreacyjnych, oberwą po łapach i na tym się skończy. Reed wiedział, że Abrams ma sporo racji, utrzymując, iż powinni skupić wysiłki na czymś, co mogliby udowodnić. Udowodnić Sawyerowi zamach i napad na Annę będzie bowiem niezwykle trudno, podobnie jak trudno będzie dowieść, że palce, które Anna widziała w wynajmowanym przez niego domu, naprawdę istnieją albo istniały. Ale gdyby udało się zdobyć dowody na to, że Sawyer handluje prochami... Rzecz wyglądała obiecująco.

Reed zadzwonił do salonu samochodowego i dowiedział się, że wszystkie trzy samochody kupiono za gotówkę. Znakomicie — forsa na taki zakup cuchnęła narkotykami na kilometr. Wziął kawałek papieru i podsumował ceny wozów. Wyszło mu, że BMW, Lexus i Porsche kosztowały razem ponad sto tysięcy dolarów. Chciałby zobaczyć, jak Sawyer wyjaśni to sędziemu. Nie, kolejnej historyki na temat pani kurator na pewno już nie wymyśli. Wątpliwe było również to, że z pomocą pospieszy mu ojciec. Gdyby doktor Sawyer przyznał, że dał synowi gotówkę na zakup nowego Porsche, następnego dnia miałby na karku inspektorów z izby skarbowej. Żaden biznesmen prowadzący legalne interesy nie trzyma w domu takiego szmalu.

Zadzwonił do centrali i przekazał oficerowi dyżurnemu nowe dane o samochodach Wilkinsona i Chena. Miał nadzieję, że teraz szybko ich zatrzymają.

Odłożywszy słuchawkę, pogrążył się w rozmyślaniach o doktorze Sawyerze i jego otwartej wrogości w stosunku do Anny. A jeśli mały Jimmy poleciał do ojca, jak tylko wpadł w tarapaty? A jeśli poprosił go o wsparcie? Czy to możliwe, żeby ten dystyngowany chirurg ubezpieczał syna podczas jego nocnej wizyty w domu Anny? Może czekał na zewnątrz i gdy usłyszał wystrzał — ten próbny, w sypialni — spanikował i wypalił, żeby chronić swoją latorośl? Reed potarł brodę. Czemu nie, to możliwe. Facet mówił, że był w Wietnamie, więc na pewno zna się na broni palnej. Ze wszystkich scenariuszy, jakie dotąd wymyślił, ten przypadł mu do gustu najbardziej. Nie to, żeby musiał być prawdziwy, ale myśl o zakuciu starego Sawyera w kajdanki i wpakowaniu go do pierdła sprawiła mu wielką frajdę.

— Tak, cwaniaczku — mruknął. — Pójdiesz siedzieć.

Zadzwonił telefon i Reed podniósł słuchawkę. Claudette Landers nie pozwoliła mu się nawet przedstawić.

— To ty, Reed?

— To ja. Co jest, Claudette? Dostałaś awans i już nas nie znasz? Dlaczego się nie odzywasz?

— Właśnie się odzywam. Reed, Annie znowu odbiło. Wmówiła sobie, że wydzwaniania do niej Hank.

— Niech to...

Przerwała mu, cytując słowa anonimowego rozmówcy i opisując reakcję Anny.

— Pełna szajba, jak wtedy. Nic, tylko gada o Hanku. Co robimy?

— Może w tym, co mówi, jest trochę prawdy — zastanawiał się głośno detektyw.

— Że co?! Tobie też padło na mózg? Hank Carlisle żyłby tylko w takim wypadku, gdyby upozorował swoje zniknięcie, a jeśli je upozorował, to wytłumacz mi, po co.

Tommy odchrząknął, układając myśli.

— Coś się wtedy wydarzyło. Tylko nie wszyscy o tym wiedzieli.

Jakby batem ją chlasnął.

— Powiesz mi czy nie? — prychnęła spięta.

— Tuż przed jego zniknięciem z magazynu depozytowego drogowki wyparował karton narkotyków. Doszli do przekonania, że to robota kogoś z zewnątrz, co nie znaczy, że Hank nie mógł być w to zamieszany.

— O, żesz ty... — mruknęła i na chwilę oboje zamilkli, rozważając płynące z tego wnioski. — Wiesz co? Kawał z ciebie fiuta. Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

— Uznano, że został zamordowany — odparował Reed; jeszcze nie doszedł do siebie po tej historii z telefonem do Anny i Claudette działała mu na nerwy.

— Rozumiem — wycodziła. — A gdyby...

— Posłuchaj — przerwał jej Tommy — nie chcę tu siedzieć i cały dzień gdybać. Chcę zadzwonić do Anny i wypytać ją o kilka spraw.

— Anna jest teraz w areszcie i ani mi się waży odłożyć słuchawkę — ostrzegła go Claudette. — A jeśli to Hank zwędził te narkotyki i zwąchał się z Sawyerem, żeby je opylić? Wtedy wszystko by pasowało, nie?

— Daj spokój, Claudette — jęknął Reed.

Wolał nie komentować wymyślonego przez nią scenariusza. Policjanci łamiący prawo, gliniarze handlujący prochami — tego rodzaju sprawy zawsze go mierzyły. A myśl, że Hank mógłby wrócić, by zastrzelić Annę i porwać syna, była tak niegodziwa, że aż niewyobrażalna.

— No to daj mi spokój — fuknęła i trzasnęła słuchawką.

Tommy objął spojrzeniem pokój: stalowoszare, zawalone papierami biurka, plastikowe kubki z nie dopitą kawą, plakat Marilyn Monroe, który Noah zawiesił na ścianie. Machinalnie sięgnął do dolnej szuflady i wyciągnął z niej pękata teczkę. Po zniknięciu męża Anny nabrał co do niego pewnych podejrzeń, ale ponieważ Hank przepadł jak kamień w wodę, Reed z czasem o nich zapomniał.

Tommy wiedział o rzeczach, o których śledczy z drogowki nie mieli najmniejszego pojęcia, wiedział też o sprawach, które Anna starannie ukrywała. Hank Carlisle nabawił się w dzieciństwie licznych urazów psychicznych, urazów tak silnych, że zaważyły na całym jego życiu. Idealne małżeństwo, o jakim wszyscy mówili, po prostu nie istniało. Owszem, czasami układało się całkiem nieźle, oboje uwielbiali Dawida, lecz Reed często zadawał sobie pytanie, dlaczego Anna tego typu nie rzuca.

Trąc oczy, wspominał pierwsze dni po zniknięciu Carlisle'a. Przez pierwszy miesiąc Anna nie mogła spać i chodząc jak żywy trup, egzystowała z dnia na dzień. Wkrótce zaczęła myśleć tak nielogicznie, że przerażony Reed musiał ją dosłownie zanieść na pogotowie. Była na skraju załamania nerwowego, ale lekarze orzekli, że to tylko rezultat braku snu, i przepisali jej tabletki nasenne. To, co nastąpiło później, było jeszcze gorsze: Anna brała prochy, odwiedzała spirytystów, jasnowidzów i wszelkiego autoramentu dziwaków. Doszło nawet do tego, że jedna ze świrusek, która twierdziła, że ma informacje o Hanku, zamieszkała u niej — ponoć musiała przebywać w pobliżu jego rzeczy osobistych, by odbierać silniejsze wibracje. Reed stawał na głowie, żeby Anna ją w końcu wyrzuciła.

Niech to diabli wezmą — pomyślał, otwierając teczkę. Chociaż nie należał do wielbicieli Glena Hopkinsa, odczuł wielką ulgę, gdy Anna zaczęła się z nim spotykać. Teraz nie wiedział, co o tym sądzić. Czyżby znowu staczała się w otchłań, zestresowana i wykończona brakiem snu? A może Hank Carlisle to prawdziwy potwór?

Szperał w zapiskach i raportach, aż znalazł listę rzeczy, które mąż Anny miał przy sobie w chwili zniknięcia. Jego wzrok przykuła jedna z wyszczególnionych na niej pozycji: rewolwer. Jako przeciwnicy, Hank Carlisle i ten gówniarz Sawyer nie mieli ze sobą nic wspólnego — dzieliła ich cała przepaść. Reed modlił się, żeby podejrzenia Anny nie sprawdziły się. Hank bowiem był wyszkolonym policjantem, świetnym strzelcem i przebiegłym człowiekiem. Żeby dopiąć swego, nie cofnąłby się przed niczym, przed niczym by się nie ugiął, nic by go nie powstrzymało. Wstrząsnął nim silny dreszcz awersji; przez wzgląd na Annę udawał, że łączy go z Hankiem przyjaźń.

A może śmierć jej męża jest wynikiem zawodowo przeprowadzonego zamachu, a sam zamach — rezultatem jakiejś nielegalnej działalności? Wszystko na to wskazywało: radiowóz z otwartymi drzwiami, stojący niewinnie na poboczu drogi, i całkowity brak śladów. Żeby choć pudełko po zapalkach, ale nie znaleźli nic. Absolutnie nic. Robota była za czysta. Za porządna. Fachowa. Tę opinię podzielała nawet Melanie Chase, ale uznali, że nie trzeba o tym wspominać Annie. Anna bolała nad stratą męża, a taka wiadomość dobiłaby ją.

Z zamyślenia wytrącił go raban na korytarzu.

— Właż do środka, ty wszarzu pieprzony! Ale już! — wrzeszczał nosowym głosem zakatarzony Phil Whittaker. — Z łoża śmierci musiałem się zwlec, żeby łązić za takim łajdakiem jak ty!

Pchnął aresztanta między wahadłowe drzwi prowadzące do pokoju detektywów. Ręce zatrzymanego, mężczyzny w wieku dwudziestu kilku lat, były skute na plecach.

— Kogo tam masz? — spytał Reed.

— Tylko mi nie mów, że się ciągle objam — odparł z dumą Whittaker. — Panie Reed, oto pan Brett Wilkinson. Zdjęcie było niewyraźne, ale znalazłem skurwiela na

uniwerku w Santa Barbara. Studentem to on oczywiście nie jest. Twierdzi, że odwiedzał przyjaciół. Rozejrzeć się chciał, bo od stycznia zamierza tam studiować, ale jeszcze nie wie, czy warto. — Phil kichnął i natychmiast sięgnął po chustkę do nosa. — Niech szlag trafi ten katar. Ciebie też, Reed. Chciałeś mieć tego faceta, to go masz.

Tommy zerwał się z fotela i zaciągnął Whittakera do kąta. Wilkinson stał pośrodku pokoju, rozglądając się wokoło, jakby nie wiedział, co z sobą zrobić.

— Dlaczego założyłeś mu obrączki? — spytał Reed. — Mówiłem, że chcę go tylko przesłuchać, a nie aresztować.

Korpulentny detektyw znowu kichnął, spojrzał na chustkę, którą wyciągnął z kieszeni, i cisnął ją do kosza na śmieci.

— Chwila — mruknął, obmacując marynarkę w poszukiwaniu buteleczki ze sprayem. — Zaczekaj. Cholera, przecież nie mogę oddychać.

Psiknął sobie w nos lekarstwem i wyjął z kieszeni plastikową torebkę, pełną różnokolorowych kapsułek.

— I co my tu mamy? Trochę amfy, trochę „laleczek”... „Laleczki”, widzisz? Możesz się po nich rypać przez cztery dni z rzędu, pełna gwarancja. Co jeszcze... Sekonał, kilka tabletek LSD... Do kata, toż to cała apteka! Mam rację, Brett? Jesteś farmaceutą?

Wilkinson wykrzywił usta w szyderym uśmiechu.

— Chuj ci w dupę, grubasie.

— Chciałbyś, co? — Whittaker odwrócił się i potrząsnął swoim obfitym zadkiem. — Zaczekaj, aż trafisz do pierdła. Tam znajdziesz mnóstwo chętnych. Twoja mała, piękna dupcia na pewno im się spodoba. — Zerknął przez ramię, ściągnął usta i kilka razy cmoknął jak przy pocałunku.

Uśmiechnięty Reed pokręcił głową. Stary Phil nie stracił ikry.

— Jak go namierzyłeś? — spytał.

— Ano, przejrzałem trochę papierów, tu i tam zadzwoniłem, poprosiłem przyjaciół o przysługę. Nic ci nie mówiłem, bo pomyślałem sobie, że jak już faceta zgarnę, na pewno cię zaskoczę. Wygląda na to, że mieli tam względnie czysty kampus. Żadnych kłopotów. Ot, najwyżej trochę trawki. Aż tu nagle zjawia się nasz kochany Wilkinson i cały uniwersytet zaczyna nałogowo ćpać.

— Skąd wiedziałeś, że to Wilkinson? — Reed pytał szeptem, bo nie chciał, żeby aresztant go usłyszał.

— Miałem wtykę. — Wstrząsnął nim atak gwałtownego kaszlu. — Zapłaciłem mu z własnej kieszeni. Zechciej to sobie zakonotować.

Ale Reed wracał już do Wilkinsona. Chłopak mierzył ponad metr osiemdziesiąt, był dobrze zbudowany i w porównaniu z Sawyerem całkiem porządnie ostrzyżony. Handlarz — skonstatował w duchu Tommy. Ani chybi handlarz. Dlatego musi robić za studenciaka. Włosy miał w kolorze miodu, a oczy kasztanowe. Niebieska koszula, odprasowane spodnie — wyglądał tak elegancko, że w każdej chwili mógł iść prosto do sądu.

— Byłeś z nim na badaniach?

— Byłem. Nasikał dwa pełne kubki, ale jest czysty.

Reed otworzył szufladę biurka i wyjął z niej magnetofon. Chciał zabrać Wilkinsona do sali przesłuchań i wydusić z niego, co się da, na temat Jimmy'ego Sawyera. Uwielbiał tego rodzaju okazje. Brett miał poważne kłopoty, bo groziło mu oskarżenie o handel narkotykami. A w sądzie nie pójdzie mu tak dobrze jak Sawyerowi. Reed dobrze o tym wiedział, bo Wilkinson wpadł po raz drugi. Ponieważ kiedyś aresztowano go za to samo przestępstwo, zakutego w kajdanki elegancika czekała kara więzienia. Tommy uśmiechnął się i strzelił palcami. Sytuacja była idealna.

— No, dobra, Brett — zaczął. — Musimy się poznać i odbyć długą, miłą pogawędkę. — Chwycił go za skute ręce i pchnął w stronę drzwi.

— Dziękuję ci, Phil — ironizował Whittaker, siedząc z nogami na biurku i z paczką chusteczek w ręku. — Doceniam twoją ciężką pracę, Phil. Zwłaszcza teraz, kiedy jesteś chory, Phil.

Reed posłał mu uśmiech.

— Dobra robota, stary. Dzięki.

— No, nareszcie — mruknął Whittaker. — A teraz mogę sobie zdechnąć, co? Dasz mi pozwolenie?

Rozradowany Tommy promieniał. Wyszczrzył zęby, zadrgało mu prawe ramię.

— Jest jeszcze Sawyer. No i Chen. Wiem już, jakim wozem jeździ, przekazałem centrali nowe namiary. Zgarniesz, go, Phil. Dla takiego bystrzaka jak ty to betka. Musimy mieć wszystkich. Wiesz, o co mi biega?

Whittaker zwlóknął się z fotela i wziął marynarkę.

— Nienawidzę cię, Reed — burknął, idąc do drzwi. — Naprawdę. I jeśli myślisz, że uważam cię za bezdusznego fiuta, to się grubo mylisz. Ja cię szczerze nienawidzę. Kapujesz? Nienawidzę cię. Nienawidzę.

— Ja też cię nienawidzę, palancie — syknął Wilkinson, gdy Phil wyczłapał na korytarz, mamrocząc pod nosem jak obłąkaniec.

— Naprawdę? — szydził Reed.

Krew go zalała. Chwycił Brett'a za kajdanki i wykręcił mu ręce.

— To boli! — zaskowytał Wilkinson.

— Jeden fałszywy ruch — warknął detektyw — i dowiesz się, co znaczy prawdziwy ból. Zdarzyło się wiele zła, skarbenku, i ktoś musi za to zapłacić.

Anna była tak roztrzęsiona telefonem od Hanka, że idąc przez dziedziniec sądowy, nie mogła logicznie myśleć.

Nie, to po prostu niemożliwe. Claudette ma rację. Gdyby Hank żył, na pewno zadzwoniłby znowu, jakoś by się z nią skontaktował. Wprawdzie głos w słuchawce brzmiał zupełnie jak głos męża, ale było w nim coś dziwnego. Tylko że nie wiedziała, co. Poruszona i wstrząśnięta, doszła do wniosku, że prędzej czy później na to wpadnie.

Wyjęła służbową odznakę, jak robot wrzuciła ją do otworu i znieruchomiła, czekając, aż strażnik naciśnie guzik i otworzy drzwi aresztu.

— Idzie pani do sali, tak? — spytał, gdy szli labiryntem korytarzy.

Słyszała stukot własnych kroków, słyszała rozmowy więźniów w celach, lecz wszystkie odgłosy docierały do niej jak z oddali. Zagłuszał je głos Hanka. Czyżby zdążyła już zapomnieć, jak brzmiał przez telefon? Czy głos, który odtworzyła w pamięci, był jego prawdziwym głosem?

— Rozumiem, że tak — mruknął strażnik, otwierając drzwi do małego pomieszczenia.

Gdy tylko przekroczyła próg, poczłapał po Randy'ego Delvecchia. Kiedy Delvecchio wszedł do sali przesłuchań, Anna siedziała przy stole, dotykając czołem blatu.

— Żle się pani czuje? — spytał cicho.

— Nie, nie — odrzekła prostując się. — Po co chciałeś się ze mną widzieć?

Nagle przypomniała sobie o procesie. Według Glena przysięgli powinni już ustalić werdykt. Randy Delvecchio zaszurał butami i usiadł.

— Prosiłem o widzenie, bo myślałem, że może mi pani pomóc.

Bomba. Sama sobie nie mogła pomóc, a cóż dopiero takiemu niebezpiecznemu kryminaliście jak Delvecchio. Chciała tylko jednego: przygwoździć drania do ściany i patrzeć, jak się wykrwawia.

— Jak? Randy, jestem tylko kuratorką.

Delvecchio wsadził rękę do kieszeni, wyjął kopertę i położył ją na stole.

— To jest dowód, że ja tych kobiet nie skrzywdziłem.

Niezdecydowanie dotknęła koperty, chcąc cisnąć ją Randy'emu w twarz. Oczekiwała przyznania się do winy, a nie kolejnego zapewnienia o niewinności.

— Co to jest?

Delvecchio nerwowo wytarł ręce o więzienną bluzę i położył je na stole.

— Przysłali to mojej matce. Jak mnie gliny aresztowały, to powiedziałem, że w dniu, kiedy jedna z tych kobiet została zgwałcona, byłem w robocie. Ale nie chcieli mi wierzyć. To jest dowód, że mówiłem prawdę.

Dowód — pomyślała. O czym on, do diabła, gada? Jakiż dowód mógłby wesprzeć tę piękną teoryjkę o niewinności? Rzuciła okiem na zawartość koperty. Pierwszym dokumentem, jaki z niej wyciągnęła, było zaświadczenie o zarobkach, wyszczególniające wszystkie podatki państwowe i stanowe, jakie Randy zapłacił; zatrudniająca go firma nazywała się Video Vendors. Anna spojrzała na drugi dokument. Był to list matki Delvecchia, nabazgrany wielkimi, koślawymi literami. Zwracała się w nim do Video Vendors z prośbą o poświadczenie godzin pracy syna. List miał datę sprzed czterech miesięcy, a na kopercie zamiast adresu zwrotnego widniał numer skrzynki pocztowej. Trzeci dokument był dokładnym wykazem godzin, jakie Randy Delvecchio przepracował w firmie w minionym roku.

— Nie miałeś pełnego etatu — zauważyła. — W ciągu całego roku przepracowałeś tylko osiemdziesiąt trzy godziny.

— Widzi pani, ci z pośredniaka wysyłali mnie w różne miejsca — odrzekł poważnie Delvecchio. — Gdybym nie poszedł, tobym nie dostał zasiłku. Tę firmę znalazłem sam i dali mi parę godzin tygodniowo.

Anna złożyła papiery i oddała mu kopertę.

— Wszystko świetnie, Randy, ale to jeszcze nie dowodzi twojej niewinności. Popełniono trzy przestępstwa. Twierdzisz, że masz alibi na wszystkie trzy? Że w tym czasie pracowałeś?

Pokręcił głową i jego czarne oczy rozbłysły.

— Nie. Twierdzę, że pracowałem, kiedy zgwałcono tę... jak jej tam... Estellę. Nie wiem, co robiłem w pozostałe dni, ale tego dnia byłem w robocie i mam na to dowód.

— Sprawdź to. — Wstała i zadzwoniła po strażnika, żałując, że tylko straciła czas.

— Nie weźmie pani tych zaświadczeń? — Podniósł kopertę ze stołu i z żalonym wyrazem twarzy wyciągnął do niej rękę. — Proszę, niech mi pani pomoże. Nie chcę iść do więzienia. Pod całą mówią, że grozi mi oskarżenie o morderstwo, bo ta staruszka umarła. A ja tego nie zrobiłem. Czy nikt nie może mi pomóc?

Anna oparła się o drzwi i otaksowała go uważnym spojrzeniem. Prawdopodobieństwo, że Delvecchio jest niewinny, było równie nikłe jak prawdopodobieństwo trafienia szóstki w totolotka. Ludzie uważają, że sądy niejednokrotnie skazują niewinnych, ale to po prostu nieprawda. Trzeba się zdrowo naharować, żeby skazać winnego, a do pomyłek dochodzi niezmiernie rzadko.

Oczy miał takie wielkie i proszące, patrzył na nią tak błagalnie, że nagle pomyślała o nim jak matka i ogarnęło ją współczucie. Wyciągnęła rękę i zanim w pełni zdała sobie sprawę z tego, co robi, wzięła kopertę.

— Zobaczę. Może coś zdziałam.

— Mój adwokat już tu jedzie — przypomniał Wilkinson, wskazując głową magnetofon, który Reed włączył, gdy usiedli za stołem w sali przesłuchań.

— Co ty powiesz? — odrzekł spokojnie Reed. Powinien się domyślić, że Wilkinson jest dobrze ustawiony, że ktoś go będzie reprezentował. Co znaczyło, że na wyciągnięcie z aresztanta czegoś na kształt choćby mglistego przyznania się do winy zostało mu za ledwie kilka minut. — Cóż, możemy sobie pogadać albo zaczekać na adwokata. Twoja wola, Brett.

Wilkinson miał w oczach strach i niezdecydowanie. Rozglądał się po sali i milczał. Reed wyczuł, w jakim chłopak jest stanie, i dostosował taktykę.

Gdy miał do czynienia z przeciwnikiem silnym i pewnym siebie, próbował się z nim zaprzyjaźnić i przyłapać go w chwili, gdy opuścił gardę. Ale kiedy przeciwnik okazywał strach, Reed obierał inną metodę i umiejętnie ów strach podsycił.

— Grozi ci więzienie — rzucił szorstko. — Pamiętaj, to nie twój adwokat pójdzie siedzieć, tylko ty.

Twarz Wilkinsona poszarzała.

— Ale jak zacznę sypać, to mnie pan bankowo przymknie.

Reed parsknął śmiechem.

— Kochasiu, ja cię mogę przymknąć w areszcie. W areszcie, kapujesz? Areszt cię martwi? Poczekaj, aż pójdziesz garować. — Otaksował go spojrzeniem. — Wiesz, chyba sobie poradzisz pod celą. Git z ciebie towar, rurka jak się patrzy. Przygarnie cię jakiś włochaty i przeżyjesz.

— Zamknij się pan! — wrzasnął Wilkinson. Na czoło wystąpiły mu krople potu. — Po moim trupie! Nie pójdę do wyra z facetem! Nie jestem pedziem!

Pęknie — pomyślał z uśmiechem Reed. Chłopaczki z bogatych domów zawsze pękają.

— Pójdziesz, Brett. Wyglądasz na takiego, co pójdzie. Myślisz, że ty pierwszy? Mnóstwo takich widziałem. Może to nawet polubisz, kto wie. Stary, nie odstawia się talerza przed spróbowaniem potrawy. — Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

Wilkinson szarpał się na krześle, próbując uwolnić ręce.

— Niech mi pan to zdejmie! Mam klaustrofobię!

— Co? — Detektyw ryknął śmiechem. — Nie lubisz zamkniętych pomieszczeń? No to jak chcesz przeżyć w pudle?

Twarz Wilkinsona ociekała potem, na piersi i pod pachami widniały mokre plamy. Jakimś cudem przełożył ręce przez oparcie krzesła, mięśnie ramion miał napięte jak postronki.

— Niech mi pan pomoże — jęknął. — Proszę...

Reed wstał i zaszedł go od tyłu. Chłopak wykręcił szyję, chcąc zobaczyć, co detektyw knuje, a wtedy Reed jednym płynnym ruchem kopnął krzesło, które przewróciło się razem z Wilkinsonem, przygniatając mu ręce.

— Przepraszam cię, Brett. To było niechcący. Zaraz ci pomogę. — Pochylił się, chwycił go za przód koszuli i podniósł razem z krzesłem.

— Będę mówił — załkał Wilkinson. — Tylko niech mi pan zdejmie te kajdanki.

Reed natychmiast ożył. Zdjął mu kajdanki i schował je do kieszeni. Brett rozcierał sobie przeguby rąk. Na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga.

— Dobra. W takim razie pogadajmy o Sawyerze — zaproponował Tommy, szybko wracając na swoje miejsce.

Wilkinson otarł czoło połą koszuli.

— To znaczy: o kim? — spytał.

Reed nie był w nastroju do żartów.

— Kiepski z niego aktor, oj, kiepski. Jeszcze nie wiemy, w co się tak naprawdę wpa-
kował. Ty chyba też nie, co? Nie, na pewno nie wiesz, a przynajmniej nie o wszystkim...
— Chwilę milczał. Musiał zwolnić tempo, bo gdyby Wilkinson coś zwęszył, natychmiast
zamknąłby się jak ostryga. — Brett, nie chcę, żebyś płacił za jego wyczyny, a właśnie na
to się zanosz. Sawyer puści farbę, żeby ratować własną skórę, wrobi cię aż miło i pó-
dziesz siedzieć.

— O czym pan mówi?

Reed zacisnął zęby i począł wyłamywać sobie palce.

— Kto pierwszy, ten lepszy, Brett. A lepszy ma szansę na układ. Tak to już u nas
jest.

Chłopak wyczuł szansę.

— Proponuje mi pan układ?

— Nie. Nic ci nie proponuję. Tylko prokurator okręgowy może negocjować wa-
runki oskarżenia. Ale, jak myślisz, kto wywiera na niego nacisk?

Wilkinson zawisł spojrzeniem na jego twarzy.

— Pan.

Reed uśmiechnął się ciepło. Czas pozyskać jego sympatię.

— Jesteś byстрыm chłopakiem, Brett, mimo że nie umiesz dobierać sobie przyjaciół.
Posłuchaj. Wiemy, że dom Sawyera służył wam za laboratorium i za bazę handlu nar-
kotykami. Sądząc po cenach waszych samochodów, prowadziliście interes na dość sze-
roko skalę.

Brett wzruszył ramionami, nabierając pewności siebie.

— Jakich samochodów? Dzisiaj nawet nie siedziałem za kierownicą. Niech pan
spyta tego dupka, który mnie zgarnął.

Zirytowany detektyw odchylił się do tyłu. Gdyby Wilkinsona aresztowano w BMW
naszpikowanym prochami, samochód można by prawnie zająć jako dowód, że został
kupiony za pieniądze z handlu narkotykami. Tak, ci chłopcy znali cały system, dosko-
nale wiedzieli, jak działa. Na podryw jechali gablotami jak marzenie, a do pracy odra-
panymi wrakami.

Reed spojrział mu prosto w oczy.

— Namierzyłem wasze wozy. Kupiliście je tego samego dnia, wszystkie trzy. Za
gotówkę, Brett. Niewielu ludzi chodzi po sklepach ze stoma tysiącami zielonych. Nie
kłóćmy się, bo sprawa jest jasna. I wiesz co? Nie będę cię pytał o to laboratorium.
Interesuje mnie tylko jedno: nazwisko waszego chemika. Czy to Peter Chen?

Wilkinson zawahał się, wiedząc, że stoi na rozstaju dróg. Jeśli zacznie śpiewać, nie
będzie odwrotu. Z drugiej strony to nie jego kumple tu siedzieli, to nie ich maglował ten
zawzięty gliiniarz. Na jego miejscu nie zastanawialiby się ani sekundy.

— Tak — wyszeptał. — To Peter.

Reed przysunął bliżej magnetofon.

— Powtórz, Brett.

— To Peter — burknął głośniej.

— Jak na początek, całkiem niezłe. Mów dalej.

— Kiedy wszystko tak się pokręciło, że nie wiem, od czego zacząć. — Pancierz twardego diabła wzięli. Wyglądało na to, że Brett zaraz wybuchnie płaczem. — To straszni ludzie... Spieprzyliśmy, wszystko spieprzyliśmy. Starzy tego nie przeżyją. Ojciec jest chory na serce...

— No, dobra. — Reed nie wiedział, czy to szczerść, czy tylko gra. — Dokąd przenieśliście laboratorium?

Brett pokręcił głową. Usta miał zaciśnięte.

— Nie chcesz powiedzieć?

Wilkinson odwrócił wzrok.

— Nic już nie ma — wyszeptał. — Nic...

— Rozumiem. Postanowiliście czasowo zawiesić działalność — skonstatował detektyw, z trudem ukrywając podniecenie. Odpowiedź Brett'a umożliwiła rozpoczęcie śledztwa w sprawie o wytwarzanie i handel narkotykami. — Dobrze, stary, bardzo dobrze ci idzie. Naprawdę dobrze. Jestem z Ciebie dumny. Tylko tak dalej. Teraz pogadajmy o zawartości waszej lodówki.

Gdy przyjechał adwokat, przesłuchanie dobiegło końca. Wilkinsona zamknięto w areszcie pod zarzutem sprzedaży substancji chemicznych, których produkcja jest kontrolowana przez państwo. Cała satysfakcja, jaką odczuwał Reed, prysła w chwili, gdy odebrał telefon od szefa.

— Bierz dupę w garść i za minutę widzę cię w moim gabinecie!

Rosemary Sawyer zatelefonowała do burmistrza, twierdząc, że Anna Carlisle uwiodła jej syna, a niejaki Reed zmasakrował jej męża i że policja nęka bez powodu całą jej rodzinę. Sawyer wyłożył zapewne kupę szmalu na kampanię wyborczą, bo burmistrz natychmiast zadzwonił do szefa, a szef dał Reedowi opieprz.

Gdyby Sawyerowie podali go do sądu, policja zapewniłaby mu prawnika, ale jak uważał kapitan, doszłoby do ostrej zawieruchy, a stróżę porządku publicznego zebraliby kiejską prasę. Na szczęście, gdy Reed wytłumaczył mu, że doktor Sawyer chciał uderzyć Annę, szef nie wspomniał o sankcjach dyscyplinarnych. Tommy wiedział, że konto ma czyste, co w tym wypadku zdecydowanie było plusem. Policjant, który wyszedł z siebie tylko raz, to nie to samo, co gliniarz, któremu przydarza się to systematycznie. Gdyby jednak Sawyerowie naciskali, kapitan nie miałby wyboru i musiałby zarządzić wszczęcie szczegółowego śledztwa, co na dłuższą metę mogłoby zakończyć się o wiele gorzej niż sprawa z powodztwa cywilnego: oskarżyliby go o czynną napaść i naruszenie nieetykalności cielesnej.

Wróciwszy do biura, Reed oszacował stan sprawy. Brett Wilkinson przypuściwał kumpli. Przyznał, że Jimmy Sawyer i Peter Chen wytwarzali narkotyki w domu przy Henderson Avenue; wyjawiał, że Chen był chemikiem i mózgiem całej grupy; potwierdził, że Sawyer rozprowadzał prochy wśród znajomych i mieszkańców miasteczka. Jednak wyglądało na to, że nie ma zielonego pojęcia o handlarzach i przemytnikach z Ameryki Południowej, co zdaniem Reeda było nader dziwne. Albo Wilkinson bał się zemsty, albo informator Phila Whittakera nabił ich w butelkę. Natomiast przyznał, że, owszem, mieli bankiera, cichego wspólnika, ale przysięgał, że zna go tylko jeden jedyny człowiek: Jimmy Sawyer.

A więc graczy było więcej — pomyślał Tommy. Trójka już jest. Kim są pozostali?

Ilekczo pojawiało się nazwisko Sawyera, Wilkinson zaczynał kluczyć. Zaprzeczył, że wie cokolwiek o zamachu na życie Anny, zaprzeczył, że Sawyer ma broń. Gdy Reed spytał go o palce, które Anna widziała w lodówce, Brett po prostu się roześmiał.

— O czym pan, do diabła, gada? Palce? Ludzkie palce? Myśli pan, że dam się wrobić? Prochy? Proszę bardzo. Palce? Gówno.

No i po herbacie — pomyślał Tommy. Zdawał sobie sprawę, że Wilkinson nie jest taki głupi, żeby przyznać się do czegoś poważnego. Wiedział, że za handel prochami może dostać parę kalendarzy, lecz oskarżenie o posiadanie i rozprowadzanie narkotyków było niczym w porównaniu z usiłowaniem zabójstwa albo — gdyby znaleziono owe tajemnicze palce — z okaleczeniem i morderstwem. Za prochy dostałby najwyżej cztery lata i biorąc pod uwagę dobre zachowanie tudzież nienaganną pracę, wyszedłby już po niecałych dwóch — odsiadka trwałaby więc tyle, ile nauka w koledżu niższego stopnia.

Wszystkie nici prowadziły do Jimmy'ego Sawyera. W każdym razie, gdy go aresztujemy, myślał Reed, na pewno pożegna się z wolnością i szybkimi samochodami. Jak nie oskarżenie o zamach na Annę, to o narkotyki i pogwałcenie warunków dozoru sądowego. Wszystko jedno: Sawyer pójdzie siedzieć. Bankowo.

Czy to możliwe, przemknęło mu nagle przez myśl, że owym bankierem jest ojciec Jimmy'ego? Chirurdzy nie zarabiali już takich kokosów jak kiedyś, a za ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej płacili majątek. Gdyby doktor Sawyer był cichym wspólnikiem Jimmy'ego i maczał palce w handlu narkotykami, przypuszczenie, że ubezpieczał go podczas włamania do domu Anny, trzymałoby się kupy. Zgoda, fakt, że doktor podjął takie ryzyko tylko po to, żeby wyciągnąć syna z tarapatów, nijak do tego nie pasował, lecz prawdopodobnie zrobiłby wszystko, by ratować zainwestowany szmal.

Reed spojrział na zegarek i stwierdził, że dzień pracy dobiega końca. Wkrótce nadejdzie noc i Anna zostanie sama — będzie łatwym łupem. Czy ojciec Jimmy'ego ma broń? Tommy doszedł do wniosku, że czas to sprawdzić.

Rozdział 15

Tego samego wieczoru, wypiwszy kilka piw i wzięwszy zimny prysznic, Reed zadzwonił do Anny, żeby sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Jedyne, co zdołał uzyskać, to obietnicę wzmoczonych patroli w pobliżu jej domu. Mógłby ochraniać ją sam, ale był zbyt wyczerpany, żeby zachować pełną czujność. Jego nieobecność wyjdzie Annie na dobre. Gdyby myślała, że Tommy jej pilnuje, nabrałaby fałszywego przekonania, że jest bezpieczna. Wróć dzisiaj czy nie? Wiedział, że to możliwe. Prawdopodobieństwo ponownego napadu było bardzo małe, ale ponieważ zwinęli Wilkinsona, Sawyer musiał być zdenerwowany jak wszyscy diabli.

Słuchawkę podniósł Dawid.

— Sie masz! Co słychać, wodzu?

— Nic — szepnął. — Mama chyba śpi.

Anna podniosła słuchawkę w sypialni.

— Nie śpię, tylko odpoczywam, Tommy.

— Wydzwaniałem do ciebie całe popołudnie — zaczął Reed, chcąc usłyszeć jej wersję opowieści o telefonie od Hanka. — Claudette powiedziała mi, co zaszło w biurze.

— Co zaszło w biurze, mamusiu? — spytał zatroskany Dawid. — Coś złego?

Anna była wściekła, że Reed wyciąga ten temat, gdy Dawid jest na podsłuchu.

— Nie, kochanie, nic złego — zapewniła go szybko.

— Kończę, Tommy. Zadzwoń do ciebie później.

Gdy odłożyła słuchawkę, Dawid spytał:

— Dlaczego nie możecie znaleźć człowieka, który postrzelił mamę? — Zapał jak kogut i głos mu się załamał. — Ona jest przerażona, Tommy. I chyba nie chce być sama.

— Wiem, synku — odrzekł łagodnie Reed. — Ale ma przecież ciebie.

Dawid znów zniżył głos do szeptu.

— Rany, szkoda, że tego nie widziałeś. Nie wiem, co się tu działo, ale jak wróciłem, nie mogłem poznać domu. Wygląda na to, że było tu jakieś wielkie przyjęcie albo coś w tym stylu.

Przyjęciem raczej bym tego nie nazwał — pomyślał Reed.

— Mama bardzo cię teraz potrzebuje. Jesteś głową rodziny. Zawsze ci to powtarzam, prawda? Mój tata umarł, kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku, i tak jak ty wziąłem na siebie kupę obowiązków. Musisz być twardy, rozumiesz? Dojrzały.

— Tak, rozumiem.

— Wiem, że ci ciężko — mówił Tommy, pragnąc go pocieszyć — ale wszystko będzie dobrze. Dopóki stary Tommy jeszcze żyje, nikt nie skrzywdzi ani ciebie, ani twojej mamy. Jasne?

Dawid, jak to Dawid, gdy rozmowa otarła się o temat strachu, natychmiast zrobił unik.

— Jasne. Słuchaj, muszę już kończyć. Oglądam fajny film na wideo. O facecie, który wraca, chociaż wszyscy myślą, że od dawna nie żyje. A on się po prostu ukrywał, żeby zainkasować forsę z polisy ubezpieczeniowej.

— Dawid, mam nadzieję, że porzuciłeś myśl o powrocie ojca. To źle na ciebie działa. Nazywają to nierealistycznymi oczekiwaniami.

— Tak, tak, i fałszywymi nadziejami. Ten głupi psychol o niczym innym nie gadał. Rzecz w tym, że ja nie mam ani nierealistycznych oczekiwań, ani fałszywych nadziei. Nie wiem, kiedy, ale jestem pewny, że on wróci. A jak wróci, mama i ja znowu będziemy szczęśliwi.

Zanim Reed zdążył odpowiedzieć, Dawid odłożył słuchawkę.

Anna była w sypialni i patrzyła w sufit. Musiała powiedzieć synowi prawdę o włamaniu i napadzie, ale nie mogła się na to zdobyć. Biedne dziecko. Najpierw postrzelili mu matkę, teraz włamali się do jego domu.

Narzuciła na siebie szlafrok i zajrzała do saloniku. Leżał wyciągnięty na sofie, z głową wspartą o poduszki.

— Oglądasz film?

— Ciiiicho — szepnął. — Zaraz się kończy.

— Ale tu bałagan — mruknęła, przeczesując ręką włosy. Na podłodze walały się podręczniki, ortalionowa kurtka z kapturem, pięć czy sześć komiksów oraz pusta torbka po prażonej kukurydzy. — Tyle razy ci mówiłam, żebyś nie zostawiał swoich rzeczy w saloniku.

— Mamo — krzyknął — zasłaniasz mi ekran! Nic nie widzę!

Anna nachyliła się i zaczęła zbierać książki.

— Chcę tu tylko posprzątać...

— Świetnie — burknął sarkastycznie. — Nie widziałem końcówki filmu. Bardzo ci dziękuję. — Wypadł z pokoju jak burza, a po chwili trzasnął drzwiami do łazienki.

— To przecież kasetka, Dawid! — zawołała. — Zawsze możesz ją przewinąć.

Gdy kilka minut później wychynął z łazienki, matka snuła się po korytarzu.

— Co robisz? — spytał.

— Nic — odrzekła nieśmiało i weszła za nim do saloniku. — Może byśmy zjedli po herbatniku?

— Nie mamy herbatników.

— Mogę upiec ciasto na maśle orzechowym. Poczekaj tutaj. Zobaczą, co mamy w domu. Powinno zostać trochę mąki i trochę... — Głos Anny zginął w głębi korytarza.

Kręcąc głową na jej dziwaczne zachowanie, Dawid zebrał swoje rzeczy i przeniósł je do sypialni. Wracając zajrzał do kuchni, żeby sprawdzić, co robi matka. zaproponowała, że upiecze ciasto, a przecież martwiła się o jego tuszę — bardzo dziwne. Ale nie tak osobliwe jak widok matki, która nabierała masła ze słoika i wrzucała je do formy na ciasto. Łyżka za łyżką, łyżka za łyżką.

— Mamusiu, najpierw robi się chyba ciasto, prawda?

— Tak, tak, ale nie mam mąki — odrzekła, nie odwracając głowy.

Jak przedtem — pomyślał, idąc na palcach w stronę sypialni. Mamie znowu odbiło, tak samo jak po zniknięciu ojca. Powinien jak najszybciej wyjść z domu, bo zmusi go do zjedzenia tego czegoś. Na samą myśl o jedzeniu zaburczało mu w brzuchu. Gdyby się pospieszył, zdążyłby do wypożyczalni na rogu po nowy film. A jak by już tam był, mógłby przy okazji kupić choć jeden batonik. Uśmiechnął się. Skoro miał zjeść coś tuczącego, lepszy będzie baton niż przypalone masło orzechowe.

— Co za idiotyzm — mruknęła kilka minut później Anna. Wyskrobała masło z formy, formę wrzuciła do zlewu i postanowiła zabrać Dawida na lody.

Gdy nie znalazła go w salonie, natychmiast wpadła w panikę. Po chwili spostrzegła, że w magnetowidzie nie ma kasety. Poszedł pewnie do wypożyczalni, żeby ją zwrócić. Wypożyczalnia była niedaleko, na rogu ulicy. Zawsze pozwalała mu tam chodzić same-mu. Zawsze, ale nie dzisiaj. Popędziła do garażu, wyprowadziła dżipa i pojechała szukać Dawida.

I od razu go znalazła. Z torebką w ręku wracał spacerkiem do domu. Wcisnęła pedał hamulca.

— Wsiadaj! — wrzasnęła przez okno, otwierając drzwi od strony pasażera. — Nie pozwoliłam ci nigdzie wychodzić!

Stanął przy drzwiach, spojrzał na nią i zmarszczył czoło.

— Jesteś nie ubrana, mamusiu — powiedział wsiadając; spod rozpiętego szlafroka widać było jej bieliznę.

Anna otuliła się szczelniej i krzyknęła:

— Nigdy więcej nie wychodź z domu, słyszysz?!

Dawid skulił się w fotelu.

— Przepraszam, mamusiu. Zawsze mi pozwalasz tam chodzić. Chciałem tylko wypożyczyć nowy film.

Wjechała do garażu i nie wysiadając kilka razy głęboko odetchnęła, żeby zdławić w sobie oszalały strach. Spojrzała na syna.

— Dawid, zeszłej nocy ktoś włamał się do naszego domu. Nie chciałam ci nic mówić, ale musisz o tym wiedzieć.

Zszokowany, rozdziawił usta.

— Kto się włamał?

— Nie wiem. Tommy uważa, że ktoś próbuje mnie nastraszyć, żebym przeciwko niemu nie zeznawała. Nazywamy to próbą zastraszenia świadka.

Spięty, wysiadł sztywno z samochodu i zatrzasnął drzwi. Weszła za nim do domu. W kuchni oboje przystanęli i spojrzeli sobie w oczy. Otworzyła ramiona.

— Chodź do mnie, kochanie.

Pokręcił głową. Twarz miał zaczerwienioną, ręce mu drżały.

— Nie. Nie jestem dzieckiem. I wcale się nie boję. Jak on znowu tu przyjdzie, to go zbiję. Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził, mamusiu. Nikt cię już nie skrzywdzi.

Podeszła bliżej, objęła go i mocno przytuliła.

— Strach to normalna rzecz, synku — powiedziała głosem cichym i kojącym.

— Ale zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Nikt nie zrobi nam krzywdy. — Odsunęła go od siebie i wykrzywiła usta w uśmiechu. — Wczoraj w nocy omal go nie zabiłam. Wzięłam pistolet i strzeliłam. Był tak przerażony, że narobił w spodnie. Naprawdę, narobił w spodnie w korytarzu. — Jakimś cudem zdołała zachichotać. — Twoja mama jest dzielną kobietą, wiesz? Nie pozwolę, żeby nas ktoś terroryzował.

— Nie musisz mi tego mówić. Ja się nie boję — skłamał. Oderwał się od niej i ruszył do sypialni. — To dlatego szyba w moim pokoju jest zbita, tak? I dlatego deszcz zalał mi książki. Mówiłaś, że to drzewo, kłamałaś. Dlaczego nigdy nie mówisz mi prawdy?

Poszła za nim, ale zamknął jej drzwi przed nosem. Stała i patrzyła na nie. Pochyliła się i dotknęła czołem drewna.

— Nie będę wchodziła, dobrze? — powiedziała łagodnie. — Wiem, że musisz to sobie przemyśleć. Ale wierz mi, synku, niedługo wszystko się ułoży. Jeśli nie, przeprowadzimy się do innego miasta.

Uchylił drzwi i wystawił głowę na korytarz.

— Naprawdę?

— Obiecuję.

— Kiedy?

— Nie wiem. Musiałabym poszukać nowej pracy, znaleźć mieszkanie...

— Ty się nie przeprowadzisz, tylko tak mówisz. Tak samo jak mówiłaś o tym drzewie i oknie.

Gdy wpadał w złość, na szyi występowała mu sinawa żyła. Takie same objawy wściekłości zdradzał Hank. Z każdym dniem Dawid robił się coraz bardziej do niego podobny. Gdy znów zatrzasnął drzwi, zrezygnowała z dalszych perswazji. Nie mogła dogadać się z Hankiem, więc na jakiej podstawie sądziła, że dogada się z jego synem? Idąc do sypialni ciemnym korytarzem — tym samym korytarzem, gdzie ją napadnięto — poczuła, że ogarniają znajome przygnębienie. Kurtyna poszła w górę i jak za pociągnięciem sznurka przewinęło się przed jej oczyma całe życie. Upadła na łóżko. Leżała na brzuchu i wkrótce, wbrew jej woli, naszły ją mroczne wspomnienia. Życie z Hankiem nie było takie wspaniałe. Te jego wybuchy nieokiełznanej wściekłości, te sceny...

Szczególnie jedna utkwiała jej w pamięci. Dawid miał wtedy cztery miesiące, a ona pracowała w policji jako zwykła funkcjonariuszka. Pewnego późnego wieczoru wychodziła z kolegą z posterunku. Opowiedział kawał, więc się śmiała, gdy wtem kątem oka dostrzegła jakiś podejrzany ruch.

— Szybko, Bobby — szepnęła, popychając młodego policjanta za radiowóz. — Tam. Widzisz? — Przykucnęli za samochodem. Wyjęła broń. — Ktoś jest za krzakami.

Policjant rozpiął kaburę, wyszarpnął rewolwer i przyklęknął na jedno kolano.

— Cholera jasna — mruknął. — To jakiś facet. Widzę jego nogi. Pewnie na nas czatuje.

Anna przysunęła się bliżej.

— Wyłaź! — wrzasnęła najgłośniejszym głosem, jak umiała. — Wyłaź, bo będziemy strzelać! Jeśli masz broń, rzuć ją na ziemię! Ręce trzymaj wysoko, żebyśmy je widzieli!

Gdy mężczyzna wyszedł z krzaków z rękami nad głową, Anna doznała szoku: celowała do własnego męża.

Czym prędzej odprawiła zdumionego kolegę i napadła na Hankę.

— Co ty, do diabła, wyprawiasz? Na miłość boską, przecież mogłam cię zabić! Bobby pomyśli, że zwariowałeś! Ukrywasz się w krzakach jak idiota...

Hank chwycił ją za ramiona, szarpnął i prawie podniósł.

— Pieprzysz się z nim — warknął jak wściekły pies. — Nie pozwolę, żeby moja żona pieprzyła się z byle gliniarzem.

Wyrwała mu się, zaszokowana i przerażona podłym oskarżeniem.

— Z nikim się nie pieprzę! — krzyknęła. — Co ci jest? Bobby ma dziewczynę. To mój partner, Hank!

— Chcę, żebyś rzuciła tę robotę — wydyszał. — Moja żona nie będzie pracowała nocami, w towarzystwie obcych facetów.

Nagle coś ją tknęło.

— Gdzie Dawid? — spytała zatrwożona. — Zostawiłeś go w domu samego?

— Zamówiłem opiekunkę do dziecka — odrzekł, świdrując ją wzrokiem. Nie, Dawida nigdy by nie zaniedbał.

Anna rozejrzała się z ulgą po parkingu i westchnęła. Z Dawidem wszystko w porządku — pomyślała. To najważniejsze. I nikt ich tu chyba nie widział. Większość policjantów z popołudniowej zmiany poszła już do domu, a ci z nocnej, zwanej cmentarną, byli w terenie. Anna i jej partner zostali trochę dłużej, bo chcieli dokończyć raport, i pewnie dlatego Hank dostał szału. Wymagał, żeby zaraz po służbie wracała do domu — miała na to dziesięć minut, dokładnie tyle, ile zajmował dojazd. Pracowali, czas płynął szybko i zapomniała zatelefonować.

— Jadę do domu — oświadczyła, idąc do samochodu.

Ruszył za nią.

— Mówię poważnie, Anno. Nie chcę, żebyś pracowała. Chcę, żebyś była w domu, tam gdzie twoje miejsce. Dawid cię potrzebuje.

— Muszę pracować — odrzekła apatycznie, wciąż poirytowana jego wyczynem. — Nie utrzymasz nas, nie zarabiasz tyle.

Czuła, że Hank zaraz wybuchnie, ale nic nie mogła na to poradzić. Nie chciała mówić tego, co powiedziała. Była zła i po prostu chlapnęła. Twarz mu poczerwieniała, zacisnął usta. I nagle wziął zamach. Wywrócił oczami, tak że widziała same białka, ale nie spuszczała z niego wzroku, nie uchyliła się ani nie odwróciła głowy. Już zaraz, pomyślała, jeszcze chwila. Ramię zatoczyło łuk i śmignęło w powietrzu. Zebrała się w sobie, gotowa na przyjęcie ciosu.

Uderzył ją w twarz, aż trzasnęło. Głośno i ohydnie.

— Jak śmiesz mówić, że nie zarabiam na utrzymanie rodziny! — Nagle dotarło do niego, co przed chwilą zrobił, i trochę się zmieszał. A później zaczął gadać. Chodził przed nią tam i z powrotem, zasypując ją gradem słów, wymachując rękami. — Haruję dzień i noc, dzień i noc w tej pieprzonej robocie. Ludzie na mnie plują, rzygają, nie wspominając już o tym, że niektórzy chcą mi rozwalić łeb. — Umilkł, by zaczerpnąć tchu, i gardłował dalej. — Pewnego dnia będę miał tego dość i wszystko rzucę.

Im dłużej szalał, tym bardziej był rozdrażniony, tym trudniej mu było nad sobą zapanować.

— Za to ty możesz mnie utrzymać, co? Już mnie utrzymujesz. Bo gdzie my mieszkamy? W domu twego ojca. Proszę bardzo, utrzymuj mnie dalej. Będiesz mnie utrzymywała? No, będziesz?

Anna milczała, zasłaniając usta ręką. Ilekroć go takim widziała, zawsze była przybita. Ale nie płakała. Nie, nie chciała płakać. Już to przerabiali, odwiedzili nawet psychologa od spraw rodziny. W pracy cały dzień miała do czynienia z gwałtem i przemocą, a w domu sama była ofiarą.

Ludzie tego nie rozumieli, a już na pewno nie mogła zwierzyć się przyjaciołom, bo większość z nich pracowała w policji. Wszyscy myśleli, że Anna i Hank są idealną parą. Nie mieli pojęcia, w jakim stresie musiał pracować, jak bardzo swej pracy nienawidził, pracy i służby, a nawet — jak twierdził — połowy kolegów, z którymi jeździł na patrol. Hank powinien wybrać sobie inny zawód. Potrzebował pracy bezstresowej, nie wymagającej kontaktu z ludzkim cierpieniem.

Opuścił głowę i skoczył do niej z takim samym wyrazem twarzy jak poprzednio, ale teraz ruchy miał znacznie szybsze, otwarcie ją atakował, chciał ją staranować niczym rozwścieczony byk.

— Przestań, Hank! — krzyknęła, pochylając się i robiąc unik. — Nie bij, nie pozwolę na to! Zostawię cię, wystąpię... o rozwód!

Zatrzymał się. Zastygł w absolutnym bezruchu.

— Słyszałeś? Jeśli jeszcze raz mnie uderzysz, wystąpię o rozwód.

— No to wystąp! — wrzasnął. — Zostaw mnie! Zostaw mnie jak wszyscy! Ciągłe ktoś mnie porzuca!

Usiadła na łóżku. Serce jej kołatało, była złana potem. Dlaczego dopuściła do siebie złe wspomnienia? Chciała pamiętać tylko o rzeczach dobrych. Złe chwile wymazała z pamięci, jakby nigdy ich nie było.

Kiedy uderzył ją pierwszy raz, poszli do psychologa. Terapeuta powiedział jej, że Hanka gnębią nie rozwiązane konflikty wewnętrzne. Wtedy poznała tę straszliwą prawdę.

Gdy Hank był małym, pucołowatym czterolatkiem, mieszkał wraz z rodzicami — włóczykijami i alkoholikami — w Południowej Dakocie. Z nie wyjaśnionych nigdy powodów wywieźli go w środku zimy na autostradę międzystanową, kazali mu wysiąść z samochodu i czekać, trzymając się metalowego ogrodzenia, dopóki po niego nie wróca. Był mróz. Zanim go ktoś znalazł, ręce przymarzły mu do metalu. Groziła mu amputacja palców, ale obeszło się bez tego. Potem umieszczono go w sierocińcu. Nigdzie nie zapuścił korzeni, bo ciągle przrzucano go z miejsca na miejsce. W końcu, już jako nastolatka, adoptowało go starsze małżeństwo. Nie byli zamożni, ale próbowali obdarzyć go miłością i stworzyć mu porządną dom. Nie zdołali. Jego prawdziwych rodziców nigdy nie odnaleziono, a Hank wyrósł na młodzieńca zgorzkniałego i zagubionego. Według psychologa mąż Anny nagromadził w sobie tyle wściekłości, że był jak chodząca bomba zegarowa.

Podczas terapii Hank był ponury i zamknięty w sobie. Nie chciał wracać do tragicznej przeszłości. W końcu przestał chodzić na wizyty i Annie nie pozostało nic innego jak zrozumieć go i kochać. Wmówiła sobie, że jeśli obdarzy Hanką głębokim uczuciem, to pewnego dnia on złagodnieje.

Jednak trzeba oddać mu sprawiedliwość, że do jednego nigdy się nie posunął, jednego nigdy nie zrobił, doskonale wiedząc, że Anna po prostu by na to nie pozwoliła: nigdy nie wyładowywał gniewu na dziecku. Między innymi właśnie dlatego tyle tolerowała. O Hanku Carlisle'u jako mężu mogła powiedzieć wiele złego, ale ojcem był bez zarzutu.

Ile razy ją uderzył? Więcej, niż mogła spamiętać. Incydent w domu, w tym samym domu, który chciał jej kupić, był szczególnie brutalny. Kiedy powiedziała mu, że nie stać ich na tak duży wydatek, uderzeniem pięści powalił ją na ziemię. Ataki powtarzały się przez kilka lat, aż do owej nocy, kiedy cisnął w nią talerzem i rozciął jej czoło tak, że lekarz musiał założyć siedem szwów. Ten atak był ostatni. Później Anna zaczęła oddawać ciosy. Kiedy to nie pomagało, atakowała sama. Pewnej nocy, gdy wyglądało na to, że Hank zamierza ją zbić, grzmotnęła go w nogi kijem baseballowym. To położyło kres napadom furii.

Lecz strach pozostał. Żyła z nim dzień za dniem, nigdy nie wiedząc, kiedy Hank znowu wybuchnie. W tym czasie na horyzoncie pojawił się Tommy Reed. Po jednej z awantur zauważył, że Anna ma podbite oko i jest zupełnie rozklejona. Kryła męża — opowiedziała detektywowi bajeczkę, jak to wpadła po ciemku na drzwi do łazienki. Ale Tommy to bystrzak. Wiedział, że Anna kłamie. Wiedział też, że Hank ma wstrętny i gwałtowny charakter, bo wielokrotnie obserwował go w akcji. Kilka razy próbował namówić Annę, żeby wystąpiła o rozwód. Ona sama zagroziła mężowi rozwodem tylko ten jeden jedyny raz, a później już nigdy poważnie o tym nie myślała. Nie potrafiła opuścić człowieka, który jako mały chłopczyk doznał niesprawiedliwości największej: odtrącenia przez rodziców. Pod maską twardego gliniarza, bo taką maskę demonstrował światu, wciąż kryło się małe dziecko — dziecko z autostrady, dziecko z rączkami przy-marzniętymi do metalowego ogrodzenia, dziecko zrozpaczone.

Przez trzy, może cztery lata, gdy Hank przygotowywał się do egzaminu na porucznika, układało się między nimi trochę lepiej. Wciąż powtarzał, że gdy dostanie awans, będzie zarabiał tyle, że przeprowadzą się do większego domu, kupią meble, pojedą na zasłużone wakacje. Uczył się i uczył, przesiadując przy stole w jadalni długo w noc, by w końcu zdobyć na egzaminie tyle punktów, ile przed nim nie zdobył nikt. Był stuprocentowo pewny, że go awansują.

Ale nie awansowali. Powiedzieli, że w jego aktach personalnych jest zbyt wiele przykładów użycia zbędnej przemocy, zbyt wiele skarg od obywateli. Na wiele miesięcy przed zniknięciem przestał się z nią kochać. Zerwał kontakty towarzyskie z kolegami z pracy. Jedyną osobą, której okazywał zainteresowanie, był Dawid.

Z zamyślenia wytrącił ją dzwonek telefonu.

— Anno!

— Tak? — odrzekła, nie zdążywszy przytknąć słuchawki do ucha.

— Anno, zabierz Dawida i chodźmy.

Straciła oddech, ścisnęła słuchawkę obiema rękami.

— Kto mówi? — To był głos Hanka, znów słyszała jego głos. Serce waliło jej jak młotem. — Hank, czy to ty? Boże, Hank, tylko nie odkładaj...

Cichy trzask i jękliwy sygnał.

— Nie! — krzyknęła i cisnęła słuchawką o ścianę. — Nie rób mi tego! Nie możesz mi tego zrobić! — Była tak roztrzęsiona, że nie mogła myśleć. Ucisnęła palcami skronie i próbowała przypomnieć sobie brzmienie tego głosu. Naprawdę go słyszała? A może znowu miała halucynacje, może to przez brak snu? Co on takiego powiedział? Dokładnie jakich użył słów? Lecz słowa uleciały jak dym, a w głowie pobrzmiwało ich dalekie echo.

Lecz jedno zapamiętała na pewno: głos wymówił imię jej syna.

Sally Farrar stała na ganku od podwórza, obserwując bawiące się dzieci, gdy wtem zobaczyła, jak przed sąsiedni dom zajeżdża czerwony samochód. Pomyślała, że to nowi lokatorzy, i odwróciła wzrok, nie chcąc się przedstawiać ani rozmawiać o niczym. Odkąd poprzedni mieszkańcy opuścili dom, Sally popadła w głęboką depresję. Całymi godzinami siedziała i gapiła się przed siebie, wypowiadając w ciągu dnia trzy, najwyżej cztery słowa. W zlewie urósł stos brudnych naczyń, a ona nie miała ochoty ich zmywać.

A podglądanie zaczęło się tak niewinnie... Gdy wprowadziła się tu z mężem i dziećmi, w kuchennych oknach zobaczyła plisowane firanki; musieli je zostawić poprzedni lokatorzy. Wkrótce usłyszała, że o trzech chłopakach z sąsiedniego domu plotkuje cała okolica, że zarzucają im szybką jazdę samochodami, podczas gdy na ulicy jest tyle dzieci. Swoich dzieci Sally na ulicę nie wypuszczała, więc mało ją to obchodziło. Poza tym nawiązywanie sąsiedzkich znajomości nigdy jej nie bawiło. Całe życie ludzie szydzili z niej: z jej dziwacznych strojów, z tego, że jest taka chuda. Chodziła do szkoły specjalnej, więc inne dzieci nazywały ją debilką. Tak, ludzie są okrutni i złośliwi. Sally nauczyła się trzymać język za zębami i pilnować własnych spraw. Wetkniesz nos w sprawę sąsiada, sąsiad wetknie nos w twoje.

Pewnego dnia zdjęła firanki i tego samego wieczoru — akurat zmywała naczynia — odkryła, że z kuchni widzi wewnątrz sypialni sąsiadów. To, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersi. Bo zobaczyła młode, nagie ciała, ciała mężczyzn i kobiet, najpiękniejsze ciała, jakie kiedykolwiek widziała. A to, co robili... Sally znała te rzeczy z teorii, ale widząc je na własne oczy, doznała prawdziwego szoku. Dwóch chłopców kochało się z jedną dziewczyną. Jednocześnie. Dziewczęta uprawiały seks z dziewczętami, a chłopcy na to patrzyli. Orgiom towarzyszył grzmiący rock and roll. Początkowo Sally była zdegustowana. Sąsiedzi mają rację — myślała. To są źli, zepsuci chłopcy, to zbrojeńcy i narkomani. Nie była głupia. Wiedziała, że zażywają narkotyki. Widziała, jak wciągają nosem biały proszek, jak wdychają gryzący dym z papierosów, które ze zwykłymi papierosami nie miały nic wspólnego, jak jeden z chłopców pali fajkę zbyt małą, by mogła być zwykłą fajką.

Lecz zdegustowanie ustąpiło miejsca fascynacji. Zaczynała tęsknić do wieczornego zmywania naczyń. Stawała w oknie i czekała, oddychając szybko. Często wyobrażała sobie, że uczestniczy w tych egzotycznych seansach rozgrywających się kilka metrów od jej domu. Sprawy łóżkowe z mężem, które do niedawna były dla niej bardziej obowiązkiem niż przyjemnością, stały się wyczekiwaną okrasą całego dnia, tak samo jak szpiegowanie sąsiadów.

I nagle wszystko się urwało.

W domu obok działy się inne rzeczy. Rzeczy dziwne. Rzeczy, których nie rozumiała.

Ponieważ sypialnia świeciła pustkami, Sally straciła widowisko. Wobec tego, gdy mąż zasypiał, podkradała się pod okna sąsiadów. Wprawdzie okna były zasłonięte kocami, ale lokatorzy niektóre z nich uchylali, żeby przewietrzyć dom, i czasami słyszała, o czym rozmawiają. Klócili się. Rozpoznawała głos chłopaka z długimi czarnymi włosami, tego samego, który tak brutalnie traktował dziewczęta; policzkował je w sypialni, ale wyglądało na to, że one nie mają nic przeciwko temu.

Sally popadła w obsesję. Życie młodych sąsiadów było bardziej intrygujące niż jej własne, więc ugrzęzła w nim jak w bagnisku bez dna. Nocami czaiła się pod ścianami, za dnia podglądała ich przez okno. W koszu obok pralki urósł gigantyczny stos bielizny, koszul i spodni. Dzieci musiały nosić to samo ubranie przez kilka dni z rzędu. W domu było brudno jak w chlewie, bo Sally od tygodni nie sprzątała. Wieczorem, tuż przed powrotem Earla z pracy, wsiadała do samochodu i przywoziła coś do jedzenia z baru szybkiej obsługi, tłumacząc mężowi, że boli ją głowa, że dostała okres, że ma grypę — wymyślała byle co.

A potem obserwowała i nadśluchiwała.

Kiedy któryś z chłopców wychodził, Sally o tym wiedziała. Gdy wracał, Sally szpiegowała go zza drzew, przez okno, przez dziurę, którą zrobiła w płocie. Pewnego wieczoru nie zamknęli garażu i zdołała się tam wślizgnąć. Przesunęła palcami po maskach luksusowych samochodów, ostrożnie otworzyła drzwi BMW blondyna, jej ulubieńca, i wetknęła głowę do środka, wdychając cudowny zapach luksusowej skóry. Później położyła rękę na fotelu, na tym samym fotelu, w którym siadywał on, i dotknęła miejsca, którego dotykała ta ekscytująca część jego ciała. Czuła się tak, jakby go pieściła. Przeszedł ją rozkoszny dreszcz.

Potem zajrzała przez okno do samochodu Chińczyka, bo zobaczyła coś na tylnym siedzeniu. Wolała blondyna, ale z całej trójki był najlepszym kochankiem młodziutki Chińczyk. Widziała go wiele razy, niemal czuła, co tym dziewczętom robi. Spróbowała otworzyć drzwi, lecz były zamknięte.

Sally uśmiechnęła się. Zamykać samochód stojący w garażu — to do niego pasowało. Zawsze dbał o swoje rzeczy, był taki dokładny i porządny. Pewnego ranka, po jednej z nocnych kłótni, ujrzała go w sypialni. Musiała wstać, żeby zrobić dzieciom śniadanie, i nie spodziewała się, że zobaczy go tak wcześnie. Była zdziwiona, że Chińczyk jest już na nogach, że już sprząta, bo wiedziała, że chłopcy zawsze śpią do południa, jeśli nie dłużej. Stała i patrzyła, jak zmienia prześcieradła, jak starannie je podwija, jak czyścić ściany, meble, niemal wszystko w pokoju.

— Mamusiu, jestem głodny — oznajmił najstarszy syn. — Co będzie na kolację?

— Nie wiem — odrzekła, spoglądając na sąsiedni dom i na czerwony samochód. Stała na palcach, żeby zerknąć za płot, ale zaraz zeszła na schodki. Nowi sąsiedzi ją nie interesowali.

— Mamusiu, zrób coś na kolację, dobrze? — nalegał chłopiec, ciągnąc ją za rękaw. — Gdzie tatuś?

— Przestań — fuknęła, wyszarpując rękę i piorunując syna wzrokiem. — Ojciec pracuje, wróci późno. Zjedz kilka krakersów i daj mi święty spokój.

— Krakersy jadłem na lunch.

Pogrążona w myślach, Sally nie odpowiedziała. Gdy odwiedził ją ten policjant, była przerażona, bo sądziła, że jej szpiegowanie wyszło na jaw, że chłopcy złożyli na nią skargę, że policjant ją aresztuje, jak zwykłą kryminalistkę albo jako wariatkę. Pomyślała nawet, że blondyn, brunet i Chińczyk wyprowadzili się z jej powodu.

Ale teraz była bezpieczna.

Policjant już nie wrócił, a chłopcy przepadli. Wszystko się skończyło. Henderson Avenue już nigdy nie będzie taka jak kiedyś. Sally również. Nie chciała Earla. Nie chciała gromady rozwrzeszczanych bachorów.

Sally Farrar pragnęła zaznać tego, co widziała przez kuchenne okno.

Obudziła się i natychmiast zatelefonowała do Louise Litsky, matki Freddy'ego, z pytaniem, czy nadal planują wycieczkę na Czarodziejską Górę. Była sobota — mieli tam jechać w niedzielę.

— Oczywiście — odrzekła Louise. — Chyba że będzie lato.

Anna opowiedziała jej o włamaniu i o swoich obawach, że Dawidowi może grozić niebezpieczeństwo. Louise bardzo jej współczuła i spytała, czy mogłaby coś dla niej zrobić.

— Szczerze mówiąc, tak — odpowiedziała Anna. — Czy miałabyś coś przeciwko temu, żeby Dawid dziś u was nocował? On tu nie może zostać.

— Muszę to przemyśleć, Anno — odrzekła Louise. Nie chciała się w to mieszać. — Wiesz, że zawsze chętnie ci pomagam, ale po prostu nie mogę narażać własnej rodziny.

— Jasne, nie ma sprawy — powiedziała szybko Anna. — Przez te wszystkie lata zrobiłaś dla mnie aż za dużo. Rozumiem, Louise.

— Czekaj, mam pomysł. Zabierzemy chłopców i przenocujemy w hotelu przy lunaparku. Żeby nikt nie wiedział, gdzie jest Dawid, podrzuc go Charlesowi do biura. Powiem mu, żeby czekał na was na dole. Jak spotkacie się w garażu, nikt Dawida nie wysłedzi. Nie będą wiedzieli, jakiego szukać samochodu.

Anna uważała, że Louise przesadza z ostrożnością, ale bardzo jej ulżyło.

— Nie wiesz, jaka jestem ci wdzięczna.

— Anno, a może pojedziesz z nami? Chcesz zostać sama? Po tym wszystkim?

Miała rację, lecz Anna nie zamierzała być sama. Zamierzała wyjść z Glenem, by choć na kilka godzin zapomnieć o tym obłędzie.

— Nie, Louise, ale bardzo ci dziękuję. Naprawdę, dziękuję za wszystko. O piątej podrzucę Dawida Charlesowi.

Przed lunchem Reed zaszedł do archiwum. Jak dotąd, sprawa szła gładko. Niedawno rozmawiał z Hopkinsem i Hopkins zapewnił go, że za kilka godzin uzyska nakaz aresztowania Petera Chena. Chociaż była sobota, zastępca prokuratora okręgowego nalegał, żeby zająć się tym natychmiast, bo aresztowanie Chena mogło ich doprowadzić do Sawyera. Co więcej, gdyby go zgarnęli i gdyby Chen dowiedział się, że Wilkinson sypanął, mógłby przypuścić ich wszystkich, łącznie z Sawyerem.

Stanął przy kontuarze i objął wzrokiem pochylone głowy.

— Angie, pozwól na chwilę. Mam coś dla ciebie.

Angie Reynolds, śliczna brunetka, w życiu prywatnym osoba cicha i spokojna, w pracy była zadziorna i agresywna, jak każdy policjant. Miała na sobie czerwony sweter, krótką czarną spódnicę, na nogach tenisówki, a ciemne włosy upięte w koński ogon. Wyglądała jak nastolatka, lecz Tommy wiedział, że w domu czeka na nią czwórka małych dzieci.

— Posłuchaj — zaczął. — Mamy na tapecie zabójstwo, ale, jak dotąd, nie znaleźliśmy ciała i nie znamy nawet personaliów ofiary. Mimo to uważamy, że popełniono morderstwo. Chcę, żebyś sporządziła listę wszystkich osób zaginionych w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Wiem, wczoraj dałaś mi od cholery materiału, ale musimy to zawęzić. Zacznijmy od kobiet w wieku od osiemnastu do dwudziestu kilku lat. Przefaksuj nam listę i wszystkie zdjęcia. Co z kostnicami? Znalazłaś coś?

— Nie — odrzekła z czułym uśmiechem; Tommy Reed należał do jej ulubieńców. — W Los Angeles leży kilka nie zidentyfikowanych trupów, ale wszystkie mają palce. Roześlę faksy po całym stanie. Jeśli to nie wypali, sprawdzę w stanach sąsiednich.

Dał jej karteluszek z numerem rejestracyjnym czerwonej hondy, na którą Jimmy Sawyer wymienił swego Porsche, gdy Rodriguez zgubił go przed pasażem handlowym. Właścicielką hondy była nastolatka nazwiskiem Jennifer Daniels. Znała Sawyera od jakiegoś czasu, ale nie miała pojęcia, gdzie może teraz być. Jimmy odwiedził ją w sklepie z odzieżą, gdzie pracowała, i spytał, czy nie zechciałaby zamienić się z nim na samochodu. „Honda na porschaka? — opowiadała z błyskiem w oku. — Takiej okazji nie mogłam przepuścić”.

— Tylko nie zapomnij zaznaczyć, że Chen i Sawyer to niebezpieczne typy i że mogą być uzbrojeni. I pamiętaj, że nakaz dotyczy również wszystkich kierowców tej hondy. Aha, jeszcze Peter Chen. Wprowadź jego nazwisko do systemu, i to jak najszybciej.

Ruszył korytarzem do wyjścia.

— Wracaj, tępaku! — krzyknęła za nim. — Przecież nie dałeś mi ich rysopisów.

Reed zawrócił.

— Chciałabyś wszystko naraz, co?

— A jak? — Poprawiała mu krawat i mówiła: — W kartotece powinny być ich zdjęcia, ale nie wiem, kiedy się urodzili, a bez tego nie znajdę tych zdjęć. No i potrzebny mi jest numer rejestracyjny samochodu Chena. Poza tym dobrze wiesz, że nakazy aresztowania są wprowadzane do systemu w sądzie, nie tutaj. — Przekrzywiła głowę, sprawdzając, czy krawat dobrze leży.

— Angie, w sądzie trwa to miesiąc albo dłużej. Ja chcę je mieć natychmiast. Dostarczę ci wszystkie dane, łącznie z numerami nakazów, dobra? Papiery mam u siebie.

— To podejrzani w sprawie Anny Carlisle, prawda? — Widziała, jak bardzo jest zmęczony i spięty. — Co z nią? Jak to znosi?

Wykreślił w powietrzu sinusoidę.

— Różnie.

Gdy wyszedł, pomyślała o straszliwych przeżyciach, jakich Anna musiała doświadczyć. Niedługo po zniknięciu jej męża zauważyła ją na ulicy. Była późna noc. Myślała, że zepsuł się jej samochód, i chciała ją podrzucić, lecz Anna odmówiła. Powiedziała, że nie może usiedzieć w domu, że czekanie ją dobija, więc zaczęła wychodzić na nocne spacer. Poszły na kawę i Angie zrobiła wszystko, żeby ją pocieszyć. Dała jej nawet numer telefonu pewnego jasnowidza, kobiety, z której usług policja raz skorzystała. Miała nadzieję, że babsztyl jej pomoże, tymczasem... Cóż to był za koszmar — pomyślała. Nigdy nie przypuszczała, że Anna da się tak wymanewrować, że pozwoli kobiecie zamieszkać u siebie. Tak, Tommy był wściekły jak wszyscy diabli...

Reed stał za biurkiem i szukał teczek z aktami Sawyera, ale nigdzie nie mógł jej znaleźć. Wiedział, żeteczka nie wyparowała, chyba że zabrał ją Abrams. Abrams był ich wydziałowym negocjatorem we wszystkich sprawach związanych z zakładnikami, kapitan wysłał go właśnie do miejskiego szpitala. Jakiś psychol przetrzymywał tam lekarza i trzy pielęgniarki, twierdząc, że wydali żonie nie tego noworodka.

Szukając teczek, Reed natrafił wzrokiem na listę z akt Hanka Carlisle'a i przeczytał ją jeszcze raz. Brakujące ogniwo — cóż mogło nim być? Przedmiotem, który wcześniej czy później musiał gdzieś wypłynąć, był rewolwer. Tak, bo istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, że zabójca czy zabójcy Carlisle'a pogrzebią broń wraz z ciałem. Rzecz charakterystyczna: trefną broń zawsze gdzieś odnajdywano. Pistolet użyty w jednym zabójstwie wypływał przy okazji innego morderstwa, niekiedy wiele lat później. Policjanci ukuli nawet pewną regułę: ten, kto broni używa, bardzo rzadko ją niszczy, nawet wówczas gdy jest ona jedyną nicią łączącą go z przestępstwem.

Zadumany Reed odłożył listę i w końcu znalazł teczkę Sawyera — leżała na biurku Abramsa. Już wychodził, gdy raptem go olśniło. Szybko zawrócił i pod wpływem nagłego impulsu chwycił kartkę z numerem seryjnym służbowego rewolweru Hanka Carlisle'a.

— Proszę — powiedział, wręczając Angie dokumenty Sawyera i Chena. — Masz tu wszystko, co trzeba. Słuchaj, mogłabyś sprawdzić ten numer? To Smith & Wesson. Zaczekam.

Angie usiadła do komputera i wystukała numer broni.

— Czysty — oznajmiła po krótkiej chwili.

— Jak to czysty?! — wykrzyknął Reed. — Nie może być czysty. Ten rewolwer należał do Hanka Carlisle'a. Musisz go u siebie mieć.

— Może źle wystukałam numer. Zaczekaj, spróbuję jeszcze raz.

Detektyw wszedł pospiesznie za kontuar, przystawił sobie krzesło i usiadł koło niej. Prztyknęła palcem w ekran.

— Widzisz? Nic nie ma. Może ktoś omyłkowo skasował plik. Minęły cztery lata, tak?

— Ano, cztery — mruknął zawiedziony Reed.

Właśnie dlatego postanowił to sprawdzić. Czasami nawet policjanci zapominali, że dane wprowadzone do komputera mogą zostać wymazane albo przypadkowo skasowane, i nikt nie zwracał sobie tym głowy.

— Dzwon do drogówki i natychmiast zamelduj im o tym. Niech wprowadzą te numery do systemu. To nasza jedyna szansa na schwytanie zabójców Carlisle'a.

— Czekaj, coś tu mam — odrzekła, wpatrując się w ekran. — Rewolwer. Nie figuruje jako broń skradziona, ale ktoś mógł ją zastawić w lombardzie. Chwileczkę, zaraz dobiore się do tego pliku. — Wcisnęła kilka klawiszy, ekran monitora zamigotał i wyświetlił inną tabelę.

— Zastawiono go? Gdzie? — spytał podekscytowany Reed. — To może być to.

— Widzisz literki w tym kwadraciku? AZ. To kod Arizony. Przepraszam cię, Tommy, ale to nowy system ogólnokrajowy. Niedawno nas podłączyli i tak naprawdę to jeszcze nikt nie wie, jak to cholerstwo obsługiwać. Gdybym wiedziała, wpadłabym na to znacznie wcześniej. — Sięgnęła po podręcznik i zaczęła go wertować. — Owszem, dotychczas katalogowaliśmy zastawione przedmioty, ale robiliśmy to bardzo rzadko i ograniczaliśmy się tylko do lombardów stanowych. Każdy zapis komputerowy musiał być dublowany, potwierdzony na papierze, no wiesz, kopią oryginalnego pokwitowania. Dlatego właściciele lombardów zwlekali najdłużej, jak mogli. — Przeniosła na niego wzrok. — Teraz przesyłają nam dokumentację za pomocą modemu, a jeśli nie mają komputera, muszą ją przefaksować. Ten program jest na pewno świetny, ale najpierw trzeba go rozgryźć. Pomyśl tylko, ile skradzionych rzeczy będzie można odzyskać. Cholera jasna! Nie mogę znaleźć tego rozdziału.

Rzuciła książkę na biurko i znów zaczęła postukiwać klawiszami.

— Dali nam fundusze — mamrotała, tańcząc palcami po klawiaturze — bo trzeba było działać bardzo szybko. Zastawione przedmioty leżą w lombardach przez określony czas. Jak nie zdążymy sprawdzić, czy nie pochodzą z kradzieży, i uprzedzić właścicieli lombardów, to je sprzedadzą.

— Co ty właściwie robisz? — spytał niecierpliwie Reed. — Nie możesz tego uruchomić?

Angie skończyła wystukiwanie długiego ciągu cyfr i liter i raptem ekran monitora wyświetlił olbrzymią liczbę danych.

— Jasny gwint — szepnęła. — Czyż to nie piękne? Widzisz? Tu jest nazwisko osoby, która zastawiła rewolwer, tutaj data zastawienia, adres, nazwa lombardu i numer rejestracyjny samochodu właściciela broni. Czekaj, jest jeszcze druga strona. — Wcisnęła kilka klawiszy. — Powinna tam być jego fotografia.

Gdy Reed ją zobaczył, ogarnęło go zdumienie. Zdjęcie było kolorowe i zupełnie niezłe, choć nie tak ostre jak zwykła fotografia. Twarz, którą oglądał, mogła być twarzą zabójcy. Przyjrzał się jej dokładniej i osłupiał. Mężczyzna ze zdjęcia do złudzenia przypominał Hanka Carlisle'a. Żeby lepiej widzieć, omal nie odepchnął Angie. Czyżby wyobraźnia płatała mu figle? A może zwariował, tak jak Anna? Nie — pomyślał, wbijając wzrok w ekran. Mężczyzna miał ciemną karnację, ale mógł być po prostu mocno opalony. Dolną część twarzy zakrywał gęsty zarost, długa broda i krzaczaste wąsy, ale nos... Tak, nos mógł być nosem Hanka, podobnie jak kształt czaszki i układ kości szerokiej twarzy. Mężczyzna nosił ciemne okulary. Szkoda, bo nie mogli przez to wykorzystać najważniejszego: nie widzieli jego oczu.

Bez względu na to, kim był ten człowiek, Reeda ogarnęło podniecenie. Gdyby odzyskali rewolwer, ustaliliby, jaki los spotkał Hanka Carlisle'a. Po raz pierwszy od czterech lat natrafili na konkretny trop.

Widząc, że Angie czeka na polecenia, spytał:

— Możesz to wydrukować?

Natychmiast ożyła.

— Jasne, wydrukuję. Rewolwer zastawiono półtora miesiąca temu. Jeśli nie chcesz, żeby go sprzedano, lepiej od razu zadzwoń.

— Jak tylko wrócę do siebie — odrzekł, układając kartki papieru wychodzące z brzucha drukarki.

— Dobra. Tymczasem ja zatelefonuję do drogowki i powiem im, na co wpadliśmy. — Chwyła słuchawkę i nie zaglądając do notatnika, zaczęła wykręcać numer.

Reed doskoczył do biurka i wcisnął widełki.

— Nie dzwoń, Angie.

Zirytowana, podniosła głowę.

— Dlaczego? Przecież mamy wyraźny ślad. Ten rewolwer zaginął, gdy porwano Carlisle'a, tak? Facet, który go zastawił, może być w to zamieszany. Co ci jest?

— Nic nie rób, Angie — wycedził detektyw. Zerknął przez ramię, upewnił się, czy nikt ich nie słyszy, i dodał: — Wszystko załatwię sam, dobra?

— W takim razie czekaj, dam ci numer ich telefonu.

Naskrobała go na karteluszkę, ale gdy się odwróciła, Reed był już w połowie korytarza.

Glen zadzwonił do Anny o czwartej po południu.

— Nasze spotkanie wciąż aktualne? — zagadnął wesoło.

Anna milczała.

— Anno, słyszysz mnie?

Doszła do wniosku, że powinna mu o tym opowiedzieć.

— Dzieją się dziwne rzeczy, Glen. Miałam ci o tym powiedzieć wczoraj, ale nie było czasu.

— Boże, co się stało? Dobrze się czujesz?

— Tak — odrzekła powoli — znakomicie. — Była w kuchni i z przenośnym telefonem w ręku chodziła tam i z powrotem, myśląc tylko o jednym: o rozmowie z Hankiem. — Ktoś do mnie telefonuje, Glen. Nie jestem pewna kto, ale ten głos brzmi jak głos mojego męża.

Zamurowało go.

— Twojego... Co ty pleciesz?

— Wiem, że to czyste szaleństwo — odrzekła, rozpaczliwie pragnąc, by jej uwierzył — ale mówię ci, ten głos brzmi jak głos Hanka. Mało tego. Myślę, że to ten sam człowiek, który włamał się do mego domu i napadł na mnie.

— Dlaczego tak uważasz?

— Bo rozpoznałam go w świetle latarni.

— Rozpoznałaś swego męża? Twierdzisz, że rozpoznałaś w tym człowieku swego męża? Anno, przecież on nie żyje. Jak to możliwe?

Zaczynała się niecierpliwić.

— Nie, niezupełnie — odparła, nie wiedząc, jak mu to wytłumaczyć. — Jego oczy... Rozpoznałam jego oczy. Wydawało mi się, że skądś je znam, że je kiedyś widziałam.

— Wszystko pasuje — odpowiedział spokojnie. — To był Jimmy Sawyer. Pamiętasz, gdy cię postrzelono, miałaś wrażenie, że jest przy tobie twój mąż. Sama mówiłaś.

— No tak, ale...

— No i sprawa jasna. Skoro obecność Sawyera sprawiła, że zaczęłaś myśleć o mężu, Hank i on muszą być w jakiś sposób do siebie podobni. — Zniżył głos i spytał pobłaźliwie: — Może to wrażenie sprawiają właśnie... oczy?

— Nie sądzę. Tamtego wieczoru miałam halucynacje. To nie to samo.

— Ale przemyśl to sobie, dobrze?

— Przemyślę — odrzekła, żałując, że w ogóle mu o tym opowiedziała.

Tylko tego brakowało, żeby Glen dołączył do grona tych, którzy wmawiali jej, że wygaduje głupoty.

— No więc, co z naszą randką? — spytał. — Spotkamy się w Bristolu?

— Chętnie.

Odłożywszy słuchawkę, poszła do łazienki, żeby doprowadzić się do ładu. Stała przed lustrem i osłupiała. Wyglądała jak wiekowa staruszka. Włosy zmatowiały i strąkowane, wargi spękane, a zazwyczaj gładką skórę pokrywała wysypka, chropowata niczym papier ścierny. Dotknęła twarzy i tuż pod naskórkiem wyczuła dziesiątki małych gruzelków.

— Nie poddam się, wytrzymam — mruknęła.

Jeśli to Hank do niej dzwonił, z tego, co dotąd powiedział, wynikało, że nie zamierza wyznawać jej miłości. Dzwonił, żeby ją przerazić, żeby zabrać jej syna. Wciąż nie dawał jej spokoju, wciąż ją dręczył, nawet po tylu latach.

Posłała swemu odbiciu zgorzkniałe spojrzenie, zrzuciła ubranie i weszła pod prysznic. Szorując się i myjąc, przysięgła sobie, że bez względu na to, czy to Hank do niej dzwonił, czy ktoś inny, nie pozwoli, by te straszliwe telefony zniszczyły jej związek z Glenem. Gdyby straciła Glena, nigdy by sobie tego nie wybaczyła. W końcu znalazła człowieka, którego szanowała, człowieka, który zaraził ją swoją żądzą życia, mężczyzną, który wiedział, jak ją uszczęśliwić.

Już czuła się lepiej. Odwiezie Dawida, wróci do domu, dla odmiany włoży na siebie coś ładnego i kto wie, może spędzą z Glenem normalny wieczór.

Restauracja serwująca dania kuchni belgijskiej mieściła się w ślicznym i bardzo oryginalnym domu wiktoriańskim. Gdy Anna weszła, Glen już na nią czekał przy stoliku. Miała na sobie krótką czarną sukienkę z lekkiej dzianiny, a na długiej, smukłej szyi pojedynczy sznur pereł. Z krótko podciętymi włosami, odsłaniającymi jej twarz, wyglądała skromnie i pięknie zarazem. Gdy szła do stolika, ludzie się za nią oglądali. Do pracy zawsze chodziła w butach wygodnych i miękkich, ale dzisiaj nałożyła szpilki, dzięki czemu jej długie nogi były jeszcze kształtniejsze, chód jeszcze bardziej uwodzicielski, a biodra jeszcze bardziej rozkołysane pod opinającą je tkaniną.

Glen wstał z niepewnym uśmiechem na twarzy.

— Wyglądasz cudownie, Anno. Naprawdę fantastycznie.

Pocałowała go lekko i usiadła, pławiąc się w jego pochwałach.

— Postanowiłam żyć dalej. Bez względu na wszystko.

Glen również usiadł i pochylił się ku niej nad stolikiem.

— Anno, po naszej rozmowie przetrawiłem to, co mi powiedziałaś o swoim mężu — rzekł głosem niskim i spiętym. — Nie mam prawa ci mówić, co powinnaś robić i myśleć. Skoro wierzysz, że to był Hank, to musiał być Hank. — Odwrócił wzrok, jakby emocje nie pozwalały mu spojrzeć jej w twarz. — Tylko co wtedy? Co będzie z nami?

Anna zmięła serwetkę na kolanach.

— Nie mówmy o tym. Nie dzisiaj, Glen.

— Nie — odrzekł stanowczo i otwartą dłonią uderzył w stół. Zabrzęczały sztućce. — Muszę wiedzieć, Anno. Czy możemy to ciągnąć, skoro zerwiesz ze mną, jak tylko on wróci?

Zawisła oczyma na jego twarzy i po chwili zdecydowanie oświadczyła:

— Nie zamierzam z tobą zrywać, Glen.

Całe napięcie go opuściło.

— Wspaniale — rzekł z uśmiechem i dał znak kelnerowi. — Zjedzmy coś.

Przejrzała menu i zdecydowała się na sałatkę z kurczaka w sosie grzybowym. Ostatnio żywiła się dość dziwnie. Wiedziała, że bardzo schudła. Czuła, że tego wieczoru mogłaby zjeść konia z kopytami.

Glen zamówił do kolacji butelkę wina, westchnął i usiadł wygodniej.

— A więc mamy cały wieczór dla siebie.

— Wspaniale, prawda? — Jak tylko kelner przyniósł sałatkę, rzuciła się na nią niczym zgłodniały wilk. — Moja jest pyszna. A twoja?

Musnął palcami jej rękę.

— Tęskniłem za tobą, Anno.

— Ja za tobą też.

— Chciałbym cię zjeść — szepnął, pocierając nogą o jej nogę — chciałbym cię pożreć. Na to mam ochotę, nie na sałatki.

Upuściła widelec, lekko się zarumieniła. Już to czuła: znajomy skurcz między udami.

— Jesteś maniakiem seksualnym — odrzekła figlarnie. — Powinieneś się wstydzić.

— Nigdy się nie wstydzę — szepnął uwodzicielsko, tańcząc oczyma po jej twarzy. — Wstydziłbym się jedynie wtedy, gdybym nie mógł cię zadowolić.

Zdjęła pantofelek, przysunęła się z krzesłem bliżej stołu i stopą w pończosze odnalazła jego krocze.

— Naprawdę? Jak dotąd, nie narzekam.

Nadszedł kelner. Zażenowana, usiadła prosto i postawiła nogę na podłodze. Gdy kelner skończył rozlewać wino, zaproponowała:

— Jeśli chcesz, moglibyśmy wyjść...

— Właśnie tego pragnę. — Odczekał, aż kelner odejdzie na bezpieczną odległość i spojrzał na Annę półprzymkniętymi, pałającymi pożądaniem oczyma. — Chyba że chcesz wejść ze mną pod stół — dodał ze śmiechem. — Moglibyśmy dać tym miłym ludziom małe przedstawienie, trochę ich rozbawić.

— Chyba nie — odrzekła szybko, niepewna, czy Glen tylko żartuje. — Chodźmy. Zresztą i tak nie jestem głodna.

Przywołał kelnera i ku jego zdziwieniu poprosił o rachunek.

— Pojedziemy do mnie, Anno. Nic nam nie przeszkodzi.

— Zgoda — odparła z promiennym uśmiechem.

Dom Glena wyglądał z zewnątrz nader skromnie. Miał mniej więcej dziesięć lat. Od frontu przesłaniały go gęste krzewy i wysokie drzewa. Gdy Anna odwiedziła Glena pierwszy raz, była mile zaskoczona. W pokojach stały bogato zdobione meble, których w domu kawalera nie spodziewała się zobaczyć. Glen zbierał antyki, w większości duże i masywne. W salonie pyszniła się wielka sofa pokryta gobelinem. Na każdym stole i stoliku stała rzeźba lub cenny bibelot. Wszystko miało swoje miejsce. Nie zauważyła żadnej szklanki bez spodeczka, w zlewie nie piętrzył się stos brudnych naczyń, łóżka były zasłane, a na podłodze nie walały się ręczniki.

Glen rozpałił kominek i poszedł po wino. Anna była lekko odurzona brakiem snu i głodową dietą.

Wrócił. Gdy podał jej kryształowy kieliszek na długiej nóżce, powiedziała:

— Chyba się upiję.

— Może właśnie tego potrzebujesz — szepnął z uśmiechem i wziął ją w ramiona.

Pocałowała go i wysunęła się z jego objęć, by odstawić kieliszek na kominek.

— Ciebie potrzebuję.

— Naprawdę? — Położył ręce na jej pośladkach i zaczął je pieszczotliwie ugniatć. — Masz takie wspaniałe ciało, Anno, takie cudowne ciało. Za długo się nie widzieliśmy...

Łagodnie zsunął z niej sukienkę, aż odsłonił ramiona. Pocałował je i przesunął palcami po mostku.

— Jesteś taka delikatna — wyszeptał. — Wszystko masz delikatne. Skórę, kości, nos, nawet usta.

— Delikatna? Jestem wysoka jak żyrafa.

Sukienka opadła na podłogę. Anna nie nosiła stanika, więc stanęła przed nim półnaga, czując, jak ogień grzeje ją w plecy. Zaczęła rozpinać mu koszulę, ale robiła to tak nerwowo, była tak podniecona, że nie zdołała rozpiąć ani jednego guzika i w końcu opuściła ręce. Glen zdjął koszulę sam. Pierś miał szeroką i masywną, pokrytą ciemnymi, gęstymi włosami. Spojrzała na kochanka w migotliwym blasku ognia, podeszła bliżej i przytuliła się do niego.

— Mam za małe piersi — szepnęła wstydliwie.

Odsunął ją od siebie, by na nie spojrzeć.

— Nie, są idealne. Gdyby były większe, wisiałyby jak u staruszki. Nienawidzę obwisłych piersi. Moja matka ma takie.

Wziął ją za rękę, łagodnie pociągnął na pluszowy dywan i delikatnie uwolnił jej nogi spętane sukienką. Oprócz pasa do pończoch Anna nie miała na sobie nic. Glen często jej powtarzał, że to go bardzo podnieca, a pas, który nosiła tego wieczoru, był prezentem od niego, lecz dotąd nie miała okazji go nałożyć.

Wędrował rękami po jej ciele, a ona leżała na plecach, z zamkniętymi oczyma, wsłuchując się w potrzaskiwanie ognia płonącego tuż-tuż, i czuła, że wino, którego łyk upiła, odprężyło ją, oddaliło od życiowych trosk i pozbawiło wszelkich hamulców. Pieścił ją przystojny, podniecający mężczyzna i nic innego nie miało znaczenia.

Jednak gdy rozsunął jej uda i wsunął między nie głowę, usiadła, chcąc zaprotestować. Z Hankiem nigdy tego nie robiła, była więc trochę zażenowana. Glen pchnął ją łagodnie i przytrzymał. Po chwili kojących pieszczot uległa, odprężyła się i pozwoliwszy ciału żyć własnym życiem, zaczęła nieprzytomnie rzucać głową i cicho jęczeć. Niepewna, jak długo to wytrzyma, chciała wciągnąć Glena na siebie, lecz Glen nie ustąpił.

— Leż spokojnie — szepnął. — Chcę, żeby było ci jak nigdy przedtem. Chcę ci pokazać, co znaczy prawdziwa przyjemność.

Jej policzki spływały łzami, nie mogła ich powstrzymać. Słyszała, co Glen mówi, lecz były to tylko słowa, oderwane i płynące w przestworzach, słowa przesłonięte welonem coraz większej rozkoszy narastającej w głębi ciała. To, co odczuwała, było takie cudowne i takie obce zarazem.

— Proszę cię — błagała. — Chcę cię poczuć tam, w środku...

Myślała, że przykryje ją swoim ciałem, ale nie — Glen położył się obok niej, wciągnął ją na siebie i z oczyma przepelnionymi pożądaniem szepnął:

— Chodź, weź mnie.

Przywarła ustami do jego ust, poczuła, jak w nią wchodzi, a gdy był już w środku, chwycił ją za pośladki i nadał rytm ich miłości. Jej wewnętrzne mięśnie kurczyły się i rozkurczały, to ściskając go, to uwalniając. Unosił ją tak wysoko, że się prawie rozłączała, lecz w tym samym momencie spychał ją w dół. Siedziała na nim wygięta w łuk, czując, jak muska dłońmi jej piersi, delikatną skórę podbrzusza, a później miejsce, gdzie ich ciała stapiały się w jedno.

— Boże... — Złana potem opadła na jego mokrą pierś, ujeżdżając go coraz szybciej, coraz gwałtowniej. — Kocham cię — tchnęła mu w usta.

Gdy zaspokojona legła na nim bez ruchu, nie wychodząc z niej, przewrócił ją na plecy, tak że teraz patrzyła mu w oczy.

Zarzucił jej nogi na swoje ramiona i z wykrzywioną twarzą, z zaciśniętymi powiekami pchnął ją raz, drugi, trzeci, pchnął silnie i gwałtownie, bo w tej chwili biła z niego nieokiełznana siła i moc.

— Tak! — wykrzyknął szaleńczo. — Tak! — I eksplodował w niej, wstrząsany konwulsyjnymi drgawkami.

Znieruchomiał, przygniótł ją ciężarem swego ciała. Po kilku minutach zabrakło jej tchu i pomyślała, że zasnął. Spróbowała się spod niego wyslizgnąć.

— Dokąd? — spytał, wyciągając do niej rękę. — Wracaj.

Wybuchnęła śmiechem. Zwróceni do siebie twarzami, leżeli przytuleni do siebie.

— Wstyd mi — wyznała. — Nigdy mnie tak... no, wiesz... tak nie poniosło.

Uśmiechnął się i ścisnął palcami jej sutkę tak mocno, że aż krzyknęła.

— Co się stało? — spytał. — Nie lubisz tego?

— Lubię, gdy sprawia mi to przyjemność — odrzekła, rewanzując mu się tym samym. — Widzisz? Boli, prawda? Ale jeśli zrobić to delikatnie, wrażenie jest bardzo miłe.

Chciała mu powiedzieć, że nie lubi tego zwłaszcza teraz, bo mężczyzna, który na nią napadł, właśnie w ten sposób jej dotykał. Nie. Gdyby o tym wspomniała, znów zaczęliby rozmawiać o Hanku.

— Widzę, że jesteś ekspertem od rozkoszy — szepnął, świdrując ją wzrokiem.

— Nie wiesz, że ból i rozkosz są z sobą związane? Że nie istniałyby bez bólu?

Zachichotała. Tak, zraniła jego męską dumę.

— Możliwe, ale ja wolę samą rozkosz.

Rzucił się na nią gwałtownie i przygwoździł jej ręce do podłogi.

— Teraz jesteś bezbronna. Teraz jesteś w mojej mocy.

Wciąż chichotała, ale wcale się jej to nie podobało. Spróbowała wyszarpnąć ramię.

— Puść mnie, Glen. Nie lubię...

— Co? — spytał lekceważąco. — Czyżbyś należała do kobiet uległych, Anno?

— Nie chodzi o uległość... Chodzi... Puść mnie. Chcę wstać. — Przecież wiedział, że niedawno ją napadnięto. Zrobił dokładnie to samo, co tamten mężczyzna, i na pewno zdawał sobie sprawę z tego, co ona teraz czuje. A może odczuwał potrzebę dominacji? Dlatego że ją zaatakowano?

W jego oczach dostrzegła ciemny błysk, lecz po chwili zwolnił uścisk.

— Proszę — powiedział. Wstał i wziął z kominka swój kieliszek. — Nie chciałem sprawić ci przykrości.

Anna też wstała, objęła go wpół i pocałowała w kark. Potem przesunęła ręce wyżej i dotknęła jego napiętych mięśni. Pewnie drażni go nie wyjaśniona sprawa z Hankiem — myślała. Pewnie boi się, że może mnie stracić.

— Glen, niektórych rzeczy po prostu nie lubię. Ale chcę się z tobą kochać. Dzięki tobie czułam się dzisiaj fantastycznie.

Gdy nie zareagował, odsunęła się od niego, wiedząc, że go nie przekona. Ich związek trwał za krótko i jeszcze sobie nie ufali. Kto wie, myślała, może jest zazdrosny o moje współżycie z Hankiem? Niewiele brakowało, a wybuchnęłyby śmiechem. Akurat o to nie musiał się martwić. Zbliżenia z Hankiem były krótkie, brutalne i rzadko dawały jej zadowolenie.

Obeszła salon, przystanąła przy lśniącym fortepianie i zaczęła oglądać stojące na nim rzeźby i fotografie. Jako zastępca prokuratora okręgowego, zarabiał znacznie więcej niż ona, to oczywiste, ale wiedziała też, że Glen pochodzi z bogatej rodziny. Te jego eleganckie samochody, te europejskie ubrania, te antyki... Podniosła zdjęcie oprawione w srebrną ramkę.

— To twoja matka? — spytała. — Jak na sędzinę, wygląda bardzo młodo. Myślałam, że jest dużo starsza.

Wyjął jej fotografię z ręki i odstawił ją na fortepian.

— Nie chcę rozmawiać o mojej matce. Tak samo jak ty nie chcesz rozmawiać o swoim mężu. Chodź.

Poprowadził ją do sypialni. Gdy weszli do korytarza, przeszył ją dreszcz strachu. Korytarz był ciemny i natychmiast wróciło wspomnienie tamtej nocy. Ogarnięta panią, stanęła jak wryta i oparła się plecami o ścianę.

— Co się stało? — spytał, puszczając jej rękę.

Usłyszała głos tamtego mężczyzny: „Dobrze ci? Lubisz to?” Szczegóły tego, co zaszło, uleciały jej z pamięci, ale teraz przypomniwała sobie wszystko: zapach gwałciela, sposób, w jaki przygniatał ją do podłogi.

— Niedobrze... niedobrze mi — wyjąkała, zawracając do salonu, by jak najszybciej zaczerpnąć świeżego powietrza. — To przez to jedzenie... i wino... Muszę iść.

— Zaczekaj — mówił, idąc za nią. — Lepiej się połóż, zaraz ci przejdzie. Jeśli chcesz, odwiozę cię do domu, a po samochód wpadniesz jutro.

— Nie, nie. — Podniosła sukienkę i szybko ją nałożyła. — Proszę cię, Glen, chcę wrócić do domu. Źle się czuję. Było cudownie, ale...

Sfrustrowany, wyrzucił ręce do góry.

— Jak chcesz.

Nałożyła szpilki i pobiegła do drzwi.

Gdy wsiadła do dżipa, zrozpaczona oparła głowę na kierownicy. Wiedziała, że musi wziąć się w garść i powstrzymać to szaleństwo raz na zawsze albo straci Glena i szczęście, jakie jej dawał. Podniosła wzrok i spojrzała tęsknie na dom. Nie, nie była w stanie tam wrócić.

Za to powróciła myślą do ostatniej rozmowy telefonicznej z Glenem. Był jedyną osobą, która jako tako wyczuwała sytuację. I miał rację: w obecności Sawyera natychmiast myślała o Hanku. Może rzeczywiście oczy Jimmy'ego przypominają oczy Hanka? Czy to okrucieństwo w nich dostrzegła? Czy Sawyer był człowiekiem równie wybuchowym jak Hank? Czy miał w sobie coś, co po latach upokorzeń od razu rozpoznawała? Tak, wiedziała, że to całkiem możliwe.

Ile razy widziała Sawyera? W sądzie, potem na parkingu i w restauracji, gdzie umówili się na lunch. I za każdym razem coś nie grało: na parkingu została postrzelona,

w restauracji gnębiły ją inne troski, a w sądzie bała się, że Sawyer zniszczy jej reputację swoimi zeznaniami. Zawsze dbała o pozory. Między innymi dlatego nigdy nikomu nie mówiła, że Hank bił ją i upokarzał.

Nie — pomyślała. Sawyer trzymał w lodówce ludzkie palce, Sawyer nie jest zwykłym handlarzyną. Glen ma rację. Uruchomiła silnik i dżip ruszył.

Rozdział 17

Niedzielny poranek przyniósł nowe zdecydowanie i niezłomność ducha. Anna zebrała wszystkie akta na temat sprawy Sawyera oraz wszystkie dokumenty związane z wydarzeniem na parkingu i poukładała je w równe sterty na kuchennym stole. Gdy tylko się obudziła, doszła do wniosku, że jedynym sposobem na powrót do normalnego życia jest znalezienie osoby lub osób, które ją terroryzowały. Nie mogła dopuścić, żeby jakiś przebiegły kundel z talentem do naśladowania ludzkich głosów zniszczył jej związek z Glenem.

Z sypialni Dawida wytargała tablicę, przeniosła ją do kuchni, ustawiła przy stole i pracowała od rana do popołudnia, robiąc na niej notatki. Po jakimś czasie spostrzegła, że w dokumentacji są wielkie braki: na temat Petera Chena nie wiedziano praktycznie nic, bo jeśli nie liczyć kilku mandatów za wykroczenia drogowe, nie obciążało go żadne inne przewinienie. Skoro tak, jakim cudem mogli go znaleźć? Nie mieszkał już na Henderson Avenue, lecz Anna wątpiła, żeby dokądś wyjechał. Był po prostu za młody, by opuścić rodzinę — a jako Chińczyk, na pewno był do niej bardzo przywiązany — i zerwać kontakty z miejscowymi rówieśnikami.

Pocierając podbródek, jeszcze raz przeanalizowała swoje spostrzeżenia. Ktoś zdobył informację, że Chen studiował chemię na uniwersytecie w Long Beach. Lecz wzmianka w notatkach mówiła, że wiadomości uzyskane na wydziale chemii prowadziły donikąd. Nic dziwnego — pomyślała, czytając faks z biura do spraw studenckich. Owszem, dotyczył jakiegoś studenta nazwiskiem Peter Chen, ale nie tego. W chwili gdy to sprawdzano, policja dysponowała tylko jego nazwiskiem, bo daty urodzenia jeszcze nie znano. Chen z uniwersytetu urodził się kiedyś indziej niż Chen poszukiwany, a gdy wreszcie ustalono, kiedy się „ich” Chen naprawdę urodził, Noah Abrams nie nawiązał ponownego kontaktu z uczelnią.

Spojrzawszy na zegarek, przypomniała sobie, że jest niedziela. W weekendy w biurze do spraw studenckich nikt nie pracował. Nagle wpadła na pewien pomysł i szybko wykręciła numer informacji.

— Poproszę o numer dziekanatu na uniwersytecie w Long Beach.

Po siedmiu nieudanych próbach dodzwoniła się w końcu do pracowni komputerowej. Odebrał jakiś student. Spytała go, czy dziekan mieszka na terenie kampusu albo gdzieś w pobliżu. Okazało się, że na terenie. Wtedy powiedziała, że jest kuratorką sądową i że musi jak najszybciej porozmawiać z dziekanem w bardzo pilnej sprawie dotyczącej jednego ze studentów. Chłopak zgodził się do niego pójść i poprosić go, żeby natychmiast oddzwonił pod numer Anny.

Czekała, bębniąc palcami w stół.

Telefon zadzwonił kwadrans później. Anna niecierpliwie chwyciła słuchawkę.

— Anno, zabierz Dawida i chodźmy.

Głos był głosem jej męża, lecz Anna nie dała się zwieść.

— Jeśli to ty, Sawyer, robisz poważny błąd — warknęła. — Następnym razem rozpi-rzę ci łeb, jak podejdziesz do mnie bliżej niż na dwa metry.

Wstrzymała oddech. Nadsłuchiwała. I coś usłyszała: brzmiało to jak równomierne terkotanie. Ale nie wiedziała, co to może być.

— Nie chcesz gadać, co? Będziesz tylko tak dzwonił i dzwonił. Dzwon sobie. Mnie to nie zwilża.

Nie chciała, żeby i tym razem przerwał połączenie, sama więc trzasnęła słuchawką. Nie. Jeśli to nie Hank, jeśli to robota jakiegoś dowcipnego skurwiela, który chce ją wykończyć psychicznie, nie da mu satysfakcji. Gdy uświadomi on sobie, że Anna go olewa, gra będzie skończona.

Dziekan zadzwonił kilka minut później i Anna poprosiła go, żeby zechciał pójść do biura i wyciągnąć z komputera dane na temat Petera Chena.

— Nie muszę nigdzie chodzić — odrzekł. — Mój komputer osobisty jest podłączony do sieci uniwersyteckiej. Proszę chwilę poczekać. Zobaczę, co się da zrobić. — Nie odłożył słuchawki, więc słyszała stukot klawiszy. Odezwał się po niecałej minucie. — U nas to bardzo popularne nazwisko. Mamy tu sporo Chenów. Gdy dzwonili do nas z policji, chętnie z nimi współpracowaliśmy... Chwileczkę, chyba coś mam. — Wyrecytował ry-sopis Chena i datę jego urodzenia. Anna porównała to z danymi z prawa jazdy. — Czy chciałaby pani mieć jego teczkę, łącznie z arkuszami ocen i tak dalej? Mógłbym to wszystko przefaksować.

— Byłoby super.

— Ale rozumie pani, że musiałbym nadać faks do którejś z oficjalnych agencji rządowych...

— Nie ma problemu. — Podała mu numer wydziału kuratorskiego i wylewnie po-dziękowała. Odłożyła słuchawkę, chwyciła dzinsową kurtkę, do torebki wrzuciła berette i już jej nie było.

Jechała autostradą numer 405 w kierunku Huntington Beach. Ruch był mały, jak to w niedzielę wieczorem, więc szybko dotarła na miejsce. Zerknąwszy na listę adresów, które zapisała w notatniku, zjechała na Beach Boulevard, na skrzyżowaniu skręciła w prawo i zaczęła wypatrywać numerów posesji. Zgodnie z informacjami uzyskanymi od dziekana mieszkał tu wuj Petera Chena.

Domek był mały, ładnie utrzymany, a trawnik idealnie przystrzyżony. Anna zapukała do drzwi, odczekała chwilę, spojrzała za siebie i w końcu odeszła. Na podjeździe leżały gazety z kilku dni. Mieszkańcy domu wyjechali chyba z miasta.

Następnym przystankiem był dom jednego ze znajomych Chena, człowieka, który wystawił mu opinię na formularzu podania o przyjęcie na studia. Tutaj ktoś przynajmniej otworzył jej drzwi, ale lokator — bynajmniej nie Azjata — utrzymywał, że o żadnym Chenie nie słyszał. Domyśliła się, że to nowy najemca.

Po kolejnym przystanku w Redondo Beach, niecałe siedem kilometrów dalej, zawróciła do Huntington Beach i znów spojrzała na mapę. Ze wszystkich miejsc, jakie na niej zaznaczyła, najmniej liczyła na Orangewood numer 1845. Dom należał do rodziców Petera Chena. Anna uważała, że to zupełnie nieprawdopodobne, by chłopak ukrywał się właśnie tam. Gdy mijała domy warte kilkaset tysięcy dolarów każdy, naszała ją smutna refleksja: jaka szkoda, że wszyscy trzej — Sawyer, Chen i Wilkinson — zadarli z prawem. W przeciwieństwie do swoich rówieśników z miejskich slumsów mogli korzystać wyłącznie z uroków życia: pochodzili z dobrych rodzin, mieli porządne domy, pieniądze na koledż. Z arkuszy ocen wydziału chemii na uniwersytecie w Long Beach wynikało, że Peter Chen był znakomitym studentem. Dlaczego tak bystry chłopak odrzucił to wszystko?

Zapukała do drzwi. Uchyliły się na parę centymetrów. W szparze zobaczyła twarz młodego Chińczyka. Był tak niski, że początkowo wzięła go za dziesięcioletnie dziecko, lecz gdy przyjrzała mu się dokładniej, stwierdziła, że ma co najmniej czternaście-piętnaście lat.

— Cześć — powiedziała. — Przyjechałam do Petera. Jesteś jego bratem?

— On już tu nie mieszka.

— Rozumiem. Czy rodzice są w domu?

— Nie.

— A może przypadkiem wiesz, gdzie on teraz jest?

— Peter mieszka w Venturze. — Chłopiec zerknął za siebie i przymknął drzwi jeszcze bardziej, tak że Anna widziała tylko wąski wycinek jego twarzy.

— Na Henderson Avenue?

— Tak — odrzekł grzecznie chłopiec. — A o co chodzi?

Rozczarowana westchnęła.

— O nic. — Zeszła po schodkach i wsiadła do samochodu, gotowa ruszyć w dalszą drogę. Zapaliła lampkę, by spojrzeć na mapę i odszukać kolejny adres, gdy wtem kątem

oka dostrzegła jakiś ruch: w oknie wychodzącym na ogródek drgnęły zasłony. Więc to tak — pomyślała, przekręcając kluczyk w stacyjce. Niespiesznie minęła kilka domów, zaparkowała na końcu ulicy, wróciła piechotą i znów zapukała do drzwi domu rodziców Chena. Coś się tam działo i musiała to sprawdzić. Otworzył ten sam chłopiec.

— To znowu ja — oznajmiła. — Przepraszam za kłopot, ale, widzisz, jestem z Uniwersytetu StanFord. Twemu bratu przyznano pełne stypendium, ale nigdzie nie możemy go znaleźć. — Szpara w drzwiach trochę się powiększyła. Anna spojrzała chłopcu w oczy i wsunęła nogę między drzwi tak zwinnie, że tego nie zauważył. — Naprawdę szkoda. Wiesz, mamy swoje przepisy. Po pewnym czasie stypendium zostanie cofnięte i przyznają je komuś innemu.

Obserwowała jego twarz. Jeszcze trochę, myślała, jeszcze trochę i kupi tę bajeczkę. Wsunęła dłoń do torebki i namacała uchwyt pistoletu. — Sam rozumiesz, StanFord to bardzo prestiżowa uczelnia, więc...

— Peter! — krzyknął chłopiec, znikając w głębi korytarza. — Dostałeś stypendium!

Tuś mi, bratku.

Kopnęła drzwi i wyszarpnęła berettę z torebki.

— Padnij! — wrzasnęła do chłopca, dostrzegając w półmroku ciemną sylwetkę dorosłego mężczyzny. — Szybko! — Wbiegła do środka i pchnęła dziecko na podłogę. — Peterze Chen, jesteś aresztowany. Jeśli drgnie ci choć jeden mięsień, zastrzelę cię. Nie żartuję. Zabiję cię bez chwili namysłu.

Z cienia wyszedł młody, przystojny i dobrze zbudowany Chińczyk. Ręce trzymał wysoko w górze.

— Kim pani jest, do diabła? — spytał, taksując Annę spojrzeniem.

W lewisach i niebieskiej kurtce wyglądała jak modelka reklamująca dzinsy, a nie jak policjantka.

Chen zachowywał kamienny spokój. Na jego czole nie dostrzegła ani jednej kropelki potu. Stał przed nią odprężony i zrelaksowany, jakby przed chwilą wyszedł spod prysznicza. Patrzył w lufę nabitej broni, a w oczach, z których biło poczucie wyższości, dostrzegła pełne lekceważenia wyzwanie. Nawet z rękami w górze wyglądał nader elegancko.

— Można powiedzieć, że jestem twoją najkoszarniejszą zmorą, Chen. — Chwyciła go za nadgarstki i pchnęła w stronę drzwi.

Wtedy ją poznał.

— To pani. Pani jest kuratorką sądową, prawda? Tą, którą postrzelono? — Wybuchnął śmiechem. — A gdzie gliniarze?

— W niedzielę wieczorem mają wychodne — odrzekła, dźgając go w plecy lufą beretty.

Chen był chłodny niczym arktyczny wiatr, za to ona spływała potem: miała mokrą koszulę, spodnie, włosy — każdy centymetr kwadratowy skóry ociekał wilgocią. Truchlała ze strachu, że pistolet wyslizgnie się jej z ręki. Stanęła przed Chenem i rozpięła mu pas.

— Nie, Peter — tchnęła mu w twarz — nie zamierzam cię obciążać. — Wyszarpnęła pas ze szlufek, obróciła aresztanta tyłem, skrzyżowała mu ręce na plecach i mocno je związała.

Zanim stamtąd wyszli, spojrzała na jego młodszego brata.

— Jak ci na imię? — spytała łagodnie.

— Sean — odrzekł nieśmiało. — Zabiera go pani do więzienia, tak? Oszukała mnie pani.

— Sean, musisz zadzwonić do rodziców i opowiedzieć im, co zaszło. Powiedz, że twój brat został aresztowany za wytwarzanie i rozprowadzanie narkotyków, że jest w areszcie okręgowym. Niech tam zatelefonują. Za kilka godzin Peter też będzie mógł do nich zadzwonić. Dobrze? Wszystko zapamiętasz?

— Wcale nie przyznano mu stypendium, prawda? — spytał chłopiec, unikając twardego wzroku brata.

— Jasne, że nie, idioto — warknął Peter.

Anna dźgnęła go kolanem w krzyż i znów popatrzyła na Seana.

— Posłuchaj mnie, Sean. To ty zdobędziesz stypendium. Zobaczysz, pewnego dnia na pewno tak będzie. To, co się dzisiaj stało, potraktuj jako nauczkę na przyszłość. Zarabiasz pieniądze uczciwie, tak jak twoi rodzice. Słyszysz?

— Taaa — mruknął apatycznie chłopiec, spuszczać głowę, ale natychmiast się ożywił. — Peter, jak pójdziesz do więzienia — spytał podekscytowany — to zostawisz mi Lexusa? Jest taki bajerancki.

Peter Chen nie odpowiedział.

— Te dzieciaki... — Anna wypchnęła aresztanta za próg. I po co tyle mówiła? Seana interesował wyłącznie samochód brata.

W czasie jazdy powrotnej próbowała coś z niego wyciągnąć, ale Chen był na to za bystry. Z twarzą jak wykutą z granitu, siedział pogrążony w całkowitym milczeniu. Żeby dopełnić wszystkich warunków aresztowania, Anna wyjęła z portfela niewielką karteczkę i odczytała przysługujące mu prawa. Jedną z zalet jej pracy było to, że kurator sądowy mógł aresztować podejrzanego, a jednocześnie nie obowiązywała go regulaminowa służba ani mundur.

Gdy przystanęli na czerwonym świetle, zmierzyła go wzrokiem. Miał czarne, gęste, idealnie przystrzyżone włosy — każdy kosmyk leżał dokładnie tam, gdzie powinien — długie rzęsy oraz inteligentne, lecz dzikie i zawzięte oczy. Jeśli nie liczyć zawilego,

ręcznie haftowanego wzoru na guzikach i na rogach kołnierzyka, był ubrany na czarno, w drogą jedwabną koszulę i luźne spodnie. W prawym uchu miał brylantowy kolczyk, wart co najmniej dwa tysiące dolarów. Tak więc siedział koło niej niezwykle przystojny i pewny siebie młodzieniec, jakże niepodobny do klientów, którzy goszczą w policyjnych murach.

— Jak długo chodziłeś na uniwersytet? — Już wiedziała, że na temat sprawy nic z niego nie wyciągnie, ale miała nadzieję, że sprowokuje go do luźnej rozmowy.

Głowa mu ani drgnęła, lecz oczy popatrzyły na Annę. Dostrzegła czubek jego języka, gładkiego i różowego, gdy przesunął nim po zębach. Mimowolnie zadrżała. Peter Chen mógł sobie być mężczyzną przystojnym i inteligentnym, lecz biło od niego zło i okrucieństwo. Czuła to, wrażenie było tak silne, że niemal namacalne. Nie, to nie on zapaskudził dywan w korytarzu jej domu tamtej nocy. Była pewna, że gdyby wetknęła mu w ucho lufę pistoletu, Chen nawet by nie mrugnął.

Tak, z siedzącego obok pasażera emanowało samo zło. To on, to właśnie on mógł obciąć palce jakiejś nieszczęsnej dziewczynie. Cóż mu takiego zrobiła? Dotknęła czegoś, czego dotykać jej zabronił? Zrobiła coś, czym uraziła jego męskość? A może obciął jej palce po prostu tak sobie?

Reszta drogi upłynęła w milczeniu.

Nie zadzwoniła i nie uprzedziła tych z posterunku w Venturze. Chciała wejść z aresztantem, jakby nigdy nic. Ojciec byłby z niej dumny.

Nie było to wielkie *entrée*, a przynajmniej nie takiego się spodziewała. Reed i Whitaker pojechali do miasta, Noah Abrams poszedł już do domu — za kontuarem siedział samotny policjant, którego nie znała: motocyklista z protezą nogi. Oddała mu pod opiekę Chena, wyjaśniła, pod jakim zarzutem go aresztowała, i wyszła z posterunku. Nikt nie poklepał jej po ramieniu, nie usłyszała ani jednego słowa pochwały.

Dobre w tym wszystkim było jedynie to, że nie musiała wysłuchiwać wykładu Tommy'ego Reeda na temat jej impulsywności i braku wyobraźni. Dostarczyć towar, nic ponadto. Tak się w to grało.

— Sama? Pojechałaś tam sama?! — wykrzyknął Glen Hopkins; zadzwonił do niej, jak tylko wróciła do domu. — Ten człowiek mógł cię zabić!

— Glen, co się stało, to się nie odstanie. Po tym, co ostatnio zaszło, musiałam coś zrobić. Pomyślałam sobie, że skoro tyle przeżyłam, przeżyję i spotkanie z Peterem Chenem.

— Powiedział coś?

— Akurat. Może tobie uda się coś z niego wydusić, zwłaszcza gdy zaproponujesz mu przetarg. Facet jest zimny jak gład. Gdybym miała wybierać najgwałtowniejszego i najbardziej okrutnego spośród tych trzech, wybrałabym jego. Jestem pewna, że jeśli to oni załatwili tę kobietę, Chen obciął jej palce.

Glen długo milczał.

— Chcę się z tobą zobaczyć, Anno — powiedział w końcu. — Bardzo się o ciebie martwiłem. Wczoraj wybiegłaś z domu tak szybko, że...

— Nie mogę, Glen. Lada chwila wróci Dawid. Był z kolegą na Czarodziejskiej Górze.

— Jesteś na mnie zła? Czymś cię uraziłem?

— Nie, nie — zaprzeczyła szybko. — Po prostu źle się poczułam. Bardzo mi pomogłeś, Glen, naprawdę. Miałaś rację: Sawyer jest podobny do Hanka.

— Rozmawiałaś z kimś na ten temat? — spytał cicho. — Przemyślałem to sobie i uważam, że powinnaś poinformować o tym prowadzących śledztwo, szczególnie tych z drogówki.

Anna usiadła na sofie.

— Nic takiego się nie stało, Glen. Sprawa Sawyera idzie coraz gładziej, więc... — Nagle pomyślała o Randym Delvecchiu, o kopercie, którą jej dał. Zupełnie o niej zapomniała. — A co z procesem Delvecchia?

— Nieźle — odrzekł chętnie. — Obrońca już skończył. W poniedziałek zbierają się przysięgli. Dlaczego pytasz?

— Delvecchio chciał się ze mną widzieć.

— Tak? Niby po co? — spytał pogardliwie.

— Chyba odniósł wrażenie, że dobra ze mnie kumpelka. — Parsknęła śmiechem. — Śmieszne, co?

— Nie idź tam, Anno — mruknął rozeźlony. — Mówię ci. Delvecchio to przebiegły typ, to zwierzę, bestia. Na miłość boską, przecież to morderca!

— Spokojnie, Glen, spokojnie. — Chciała mu powiedzieć o kopercie, ale doszła do wniosku, że wpadłby w jeszcze większą złość. — Zapomniałaś, że Delvecchio jest za kratkami?

— Nie, ale trzymaj się od niego z daleka — warknął.

— Pogadamy jutro. Słyszę dzwonek. To pewnie Dawid.

W poniedziałek rano, gdy brała akta, żeby pójść do sądu na ogłoszenie wyroku, zauważyła kopertę Delvecchia. Obiecała mu, że sprawdzi, czy wykaz godzin pracy dostarczony przez firmę Video Vendors pokrywa się z datami przestępstw, ale zupełnie o tym zapomniała. Z czystej ciekawości otworzyła kopertę, porównała odpowiednie rubryki i...

— O mój Boże...

Miała to przed sobą czarno na białym: w dniu, kiedy zgwałcono Estellę Summer, Delvecchio pracował. Nie, to na pewno jakaś pomyłka — skonstatowała. Spojrzała na zegarek. Miała tylko kwadrans, ale musiała spróbować. Zatelefonowała pod numer

Video Vendors, lecz nie uzyskała połączenia. Sprawdziła adres na kopercie i okazało się, że list został nadany przez firmę prowadzącą księgowość, więc zatelefonowała do informacji i poprosiła o ich numer. Zadzwoiła, przedstawiła się, wyjaśniła, jakich potrzebuje informacji, i wytłumaczyła, dlaczego są tak istotne.

— My prowadzimy tylko księgowość, proszę pani — odpowiedział głos starszej kobiety. — Jakiś czas temu Video Vendors ogłosiła upadłość.

Anna domyśliła się, że właśnie dlatego Delvecchio nie mógł się z nimi skontaktować.

— Ale wiem, że dysponują państwo danymi na temat pracowników — odrzekła. — Proszę posłuchać. Muszę sprawdzić, czy ten człowiek pracował w firmie określonego dnia. To niezmiernie ważne.

Kobieta kazała jej poczekać. Podniosła słuchawkę kilka minut później.

— Tak, zgodnie z wykazem godzin, tego dnia był w pracy — oznajmiła.

— To na pewno jakaś pomyłka. Może przyszedł do pracy, a potem wyszedł i nikt tego nie odnotował?

Kobieta parsknęła śmiechem.

— Wątpię. Właściciele firmy mieli węża w kieszeni. Szli na dno, ale zanim wpadli w tarapaty, pieniądze szanowali. Powiem pani tylko tyle, że jak ktoś nie pracował, nie dostawał ani centa. Nie płacili nawet za przerwy na lunch, nie pozwalali na przerwy na kawę, mimo że to się ludziom prawnie należało.

— No to świetnie — mruknęła, zirytowana niespodziewanym obrotem sprawy. A Glen ze skóry wyłaził, żeby faceta usadzić. Po cholere wsadzała kij w mrowisko?

— Wydział pracy rozpoczął śledztwo w ich sprawie, bo wielu pracowników złożyło oficjalne skargi — dodała kobieta. — Tak czy inaczej, mieli tam u siebie zegary. Tego dnia pan Delvecchio podbił kartę dwa razy: o ósmej rano i o piątej po południu. Zatrudniano go dorywczo, zależnie od tego, czy była robota, czy nie.

Anna wciąż nie mogła w to uwierzyć. Raptem przypomniała sobie, że Estella Summer została zgwałcona o trzeciej po południu.

— A w porze lunchu? — spytała. — Czy mógł wziąć godzinę wolnego na lunch?

— Nie, bo nie podbił karty. Większość pracowników zatrudnionych na część etatu nie wychodziła na lunch. Kupowali kanapki na miejscu. Mówiłam pani, firma nie płaciła za przerwy na posiłek.

Przecież musi być jakieś logiczne wytłumaczenie — myślała.

— A może pan Delvecchio pracował sam w jakimś magazynie? Może mógł się stamtąd niepostrzeżenie wyslizgnąć?

Kobieta rozwiała jej nadzieje.

— Zgodnie z wykazem pan Delvecchio pracował w magazynie razem z innymi. Firma skupowała i odsprzedawała stare filmy wideo. Pracownicy z dziennej zmiany rozpakowywali je, czyścili i układali na półkach. Zatrudniono go do tego zajęcia.

Anna podziękowała kobiecie za informacje, wybiegła ze swojej klitki i zajrzała do Claudette.

— Mam ci do powiedzenia coś niesamowitego, ale muszę pędzić do sądu. Zostajesz na lunch?

— Powiedz mi teraz — odrzekła Claudette, jak zawsze niecierpliwa.

— Nie mogę. — Anna wypadła na korytarz i pognęła do sądu.

Ponieważ się spóźniła, sprawę, w której występowała, przesunięto na koniec wokandy i zaczęto rozpoznawać inną. Gdy weszła do sali, sędzia Hillstorm spiorunował ją spojrzeniem, podobnie jak obrońca. Nie miała pojęcia, kiedy skończą, więc musiała czekać. Gdyby wyszła i gdyby pod jej nieobecność ponownie wywołano sprawę, rozpętałyby się prawdziwe piekło.

Usiadła obok obrońcy z urzędu i powróciła myślą do Randy'ego Delvecchia. Czyżby mieli skazać niewinnego człowieka? Oprócz nieszczęsnego wykazu godzin pracy nic innego nie skłaniało do takich przypuszczeń, ale z drugiej strony nie zapoznała się ze wszystkimi dokumentami. Więcej czasu poświęciła na studiowanie kryminalnej przeszłości podsądnego, na badanie jego sylwetki psychologicznej oraz na szukanie okoliczności obciążających, które wykazałyby, że Delvecchio jest sprawcą zabójstw.

Chociaż Glen wychodził z siebie, by przekonać sędziów przysięgłych, że ofiary rozpoznały przestępcę, doskonale wiedziała, że dowodów ostatecznych nie ma. Gwałciciel zasłonił twarz maską z pończochy i, owszem, został rozpoznany, ale wyłącznie na podstawie wzrostu, budowy oraz wagi ciała. Poza tym użył prezerwatywy, więc nie znaleziono spermy.

W miarę rozwoju coraz bardziej skomplikowanych technik śledczych przestępcy stawali się coraz przebieglejsi i liczba gwałcicieli używających prezerwatyw stale rosła. Ludzie ci zdawali sobie sprawę, że nasienie może ich zdradzić i doprowadzić do skazania, należy bowiem do tych wydzielin ludzkiego ciała, na podstawie których można zbadać i porównać strukturę DNA.

O ile dobrze rozumiała, głównym atutem oskarżenia był fakt, że w domu Delvecchia odkryto przedmioty należące do ofiar. Zaintrygowana i nieświadoma tego, co dzieje się na sali, pokręciła głową. Czyżby Delvecchio był zwykłym włamywaczem i po prostu te przedmioty ukradł? A może pozbył się ich prawdziwy gwałciciel, a Delvecchio tylko je znalazł?

— Pani Carlisle — usłyszała głos sędziego — czy zechciałaby pani przedstawić stanowisko kuratorium?

Podniosła na chwilę wzrok, po czym zaczęła rozpaczliwie kartkować notatnik. Była tak pogrążona w myślach, że nie zwróciła uwagi, jak *bailiff* wywołuje jej sprawę.

W poniedziałek rano, w drodze do pracy, Angie Reynolds wpadła do Simi Valley i podrzuciła dzieci matce.

— O tej porze? — spytała zdziwona matka, gdy wnuki pomknęły do domu.
— Myślałam, że w tym miesiącu pracujesz od trzeciej do dwunastej w nocy.

— Muszę coś sprawdzić, więc wyjechałam wcześniej. Masz coś przeciwko temu?

— Ależ skąd! Tylko martwię się o ciebie, kochanie. Za ciężko pracujesz.

Angie cmoknęła matkę w policzek i odjechała. Całą noc myślała o Annie Carlisle i zniknięciu Hanka. Wiedziała, co to znaczy stracić męża, choć miejsce pobytu swego małżonka doskonale знаła — pieprzył się z brzydką, grubą blondyną w Thousand Oaks. Pewnego dnia, przed trzema laty, po prostu wyszedł z domu i już nie wrócił, zostawiając ją z dziećmi i plikiem nie zapłaconych rachunków.

Jak tylko weszła do archiwum, włączyła komputer, wystukała na klawiaturze serię kodów wejściowych i uruchomiła program do generowania graficznych elementów twarzy i sylwetki człowieka. Przeszukała listę i odnalazła plik, w którym zarejestrowano obraz twarzy Hanka Carlisle'a; drogówka rozesłała go pocztą komputerową do wszystkich posterunków w kraju. Następnie ściągnęła menu i wprowadziła na ekran dane z poprzedniego dnia, czyli zdjęcie człowieka, który w jednym z arizońskich lombardów zastawił rewolwer typu Smith & Wesson. Chociaż nigdy Carlisle'a nie spotkała, pilnie czytała prasę i przestudiowała wszystkie biuletyny wewnętrzne dotyczące jego zniknięcia. Gdy po raz pierwszy zobaczyła fotografię podejrzanego z Arizony, natychmiast stwierdziła, że podobieństwo obu mężczyzn jest uderzające. Ale trzymała język za zębami — to Reed był detektywem i nie chciała wchodzić mu w drogę. Lecz czuła, że ma z Anną wiele wspólnego. Skoro jej własny mąż mógł bez ostrzeżenia porzucić rodzinę, niewykluczone, że Hank Carlisle postąpił tak samo.

Otworzywszy podręcznik, zaczęła kombinować, w jaki sposób porównuje się obrazy. Jeden z nich musiała nałożyć na drugi, ale nie wiedziała jak, bo nie przeszkolono jej do obsługi tego programu. Korzystała z niego tylko jedna osoba: policyjny grafik zajmujący się układaniem portretów komputerowych. Wreszcie znalazła odpowiednią stronę i przebiegła ją oczyma, wodząc palcem pod każdą linijką. Zrobiła, co kazali, i raptem pyk! — obrazy nałożyły się na siebie. Cicho klasnęła w dłoń. Uzyskany wizerunek pokryła siatką dzielącą twarz na kilkadziesiąt fragmentów, po czym jeden z fragmentów przeniosła na czysty ekran. Teraz musiała tylko nałożyć na niego odpowiedni fragment zdjęcia mężczyzny z Arizony i powtórzyć całą operację tyle razy, ile było fragmentów.

Wreszcie, gdy górne części obrazów nałożyły się na siebie, elektronicznym ryłcem nakreśliła zarys obu twarzy, a myszą skasowała włosy. Wyglądało na to, że twarz człowieka, który zastawił rewolwer, jest bardziej pociągła niż twarz Hanka Carlisle'a, lecz Angie wiedziała, że odpowiednio dobrana fryzura może wyszczuplić każde oblicze. Jak dotąd, szło jej nieźle.

Następnie przeniosła fragmenty z dolnej części siatki. Problemem był zarost, lecz i z tym się uporała. Wykasowała brodę i krzaczaste wąsy, po czym z zestawu gotowych elementów graficznych wybrała kilkanaście twarzy i porównała je pod względem wielkości z twarzą na ekranie. Dolna warga mężczyzny z Arizony była widoczna, lecz górną częściowo zasłaniały wąsy, dlatego w tym miejscu musiała trochę pospekulować. Wiedziała, że ostateczny obraz będzie tylko sztucznym tworem, a nie wiernym portretem podejrzanego, lecz zrobiła, co mogła. Wkrótce skończyła.

— Tak wcześnie? — spytał jeden z kolegów, zaglądając jej przez ramię. — Co robisz?

— Bawię się — odrzekła.

— Jezu, nie masz tego dość? — rzucił odchodząc. — Mnie ten lokal nie bawi. Nie bądź głupia, Angie.

Ze wzrokiem wbitym w ekran monitora puściła uwagę mimo uszu. Podobni czy nie? Podobni na tyle, że można zawiadomić śledczych z policji drogowej? Nie, chyba nie. Naniosła kilka poprawek, zrobiła jeszcze kilka porównań i wróciła do informacji uzyskanych z lombardu. Musiała myśleć jak detektyw.

Mężczyzna, który zastawił rewolwer, legitymował się prawem jazdy wystawionym w Arizonie. Angie zapisała na dysku stworzoną przez siebie podobiznę, weszła do arizońskiej sieci komputerowej, odszukała kartotekę tamtejszych środków transportu, a w kartotece — numer prawa jazdy podejrzanego.

Gdy na ekranie ukazały się jego dokumenty, zaczęła je powoli przeglądać, zapisując interesujące ją dane: nazwisko mężczyzny, datę i miejsce urodzenia. Prawo jazdy wystawiono pół roku przed zniknięciem Carlisle'a, na nazwisko Bill Collins. Nagle coś przykuło jej uwagę. W rubryce, gdzie kierowca wpisuje numer poprzedniego prawa jazdy, Collins postawił kreskę, co znaczyło, że z żadnego nie korzystał. Zgodnie z datą urodzenia miałby pięćdziesiąt dwa lata. Angie poczuła, że serce zabiło jej zwawiej. Miał pięćdziesiąt dwa lata i pierwszy raz ubiegał się o prawo jazdy?

— Ucho od śledzia, łaskawco — powiedziała z uśmiechem. — Mnie w konia nie zrobisz. Jak ty masz pięćdziesiąt dwa lata, to ja dobijam osiemdziesiątki.

Fałszywe dane personalne pojawiały się nagminnie. Podawali je ludzie wielokrotnie skazywani za pijaństwo, ci, którzy chcieli ukryć swoją przeszłość kryminalną. Musieli tylko pójść do wydziału komunikacji, zdać test, przedstawić lewą metrykę i sprawa załatwiona: mogli zaczynać nowe życie. Policja często zatrzymywała osoby z pięcio-

ma, nawet dziesięcioma prawami jazdy wystawionymi na różne nazwiska. „Pisarze” — osobnicy wypisujący czeki bez pokrycia — robili to notorycznie. W życiu kierowali się prostą zasadą: skombinować nowy dokument tożsamości, otworzyć w banku konto osobiste — wystarczyło wpłacić nędzną stówę — i wynieść ze sklepu towar wartości tysięcy dolarów, zanim zostanie się przyłapanym.

Na wszelki wypadek Angie wprowadziła do systemu ogólnokrajowego nazwisko i datę urodzenia Billa Collinsa. Wiedziała, że sprawdzenie danych trochę potrwa. Niektóre stany były zapóźnione i nie miały dostępu do sieci, a jeśli nawet miały, tamtejsi operatorzy rzadko z tego korzystali, bo nie wiedzieli, jak. Bywało też, że komputery zwyczajnie się zawieszały, przytłoczone olbrzymią liczbą napływających zapytań.

Angie czekała. Maszyna odpowiedziała po pięciu minutach poszukiwań. W systemie ogólnokrajowym figurowało dwa tysiące czterystu pięćdziesięciu trzech Billów Collinsów z ważnym prawem jazdy. Czterdziestu ośmiu z nich miało tę samą datę urodzenia. Musiała teraz wprowadzić do komputera rysopis podejrzanego, żeby tę liczbę nieco ograniczyć. I koniec — zadanie było niemożliwe do wykonania. Nazwisko i wiek Collinsa należały do wyznaczników zbyt powszechnych, by maszyna mogła dokonać dokładnej selekcji. Facet wiedział, co robi, musiał doskonale znać zasadę działania systemu, bo największa liczba kierowców podpadała pod tę kategorię wiekową.

Sfrustrowana, postanowiła porównać dane Carlisle’a z danymi Billa Collinsa. Znała ludzką naturę. Człowiek jest istotą przebiegłą, ale i leniwą. Wielu przestępców przybierało nowe nazwisko, lecz wciąż posługiwało się prawdziwą datą urodzenia, drugim imieniem czy tym samym numerem domu, tyle że przypisanym do ulicy o innej nazwie. Niekiedy w dacie urodzenia przedstawiali miesiąc albo rok, a dzień pozostawiali ten sam. Czasami robili to bardziej z ostrożności niż z lenistwa. Gdy chociaż część ich danych personalnych była prawdziwa, mogli odstawić wiarygodniejsze przedstawienie przed policjantem, który zadawał im serię szybkich i szczegółowych pytań.

Ogarnęło ją zmęczenie. Zbliżała się pora lunchu, a o trzeciej zaczynała służbę. Wprowadziła do komputera wszystkie dane, jakimi dysponowała: adres Anny i Hanka Carlisle’ów, datę urodzenia Anny, datę urodzenia Dawida, numery książeczek ubezpieczeniowych, numer odznaki służbowej Hanka, słowem: wszystkie informacje, jakie zaginiony Carlisle mógł zapamiętać.

Pracowała najszybciej, jak umiała, mimo to skończyła dopiero o wpół do trzeciej. Odchyliła się w fotelu, przetrzała oczy, wyciągnęła ręce za głowę, powoli je opuściła i palcem, wygiętym niczym łabędzia szyja, dziobnęła w klawisz oznaczony napisem „Enter”. Komputer zamruczał i połknął dane.

— Teraz twoja kolej, złotko — szepnęła jak do człowieka, pieszczotliwie poklepując beżowe pudło maszyny.

Wybiegła z sali sądowej i wpadła prosto na Tommy'ego Reeda.

— Musimy pogadać — mruknął z poważną miną.

— Co się stało? — spytała, truchtając za nim. — Dokąd idziemy?

— Na dwór.

Przystanęła, próbując wykoncypować, dlaczego jest taki wkurzony. Bo nie zadzwoniła do niego w piątek?

— Jesteś zły, tak? Dlatego że nie oddzwoniłam po twojej rozmowie z Dawidem? To cię gryzie?

Odwrócił się z naburmuszoną miną.

— Między innymi.

Zmarszczyła brwi.

— Jak to między innymi?

— Spytaj mnie o Petera Chena — odpowiedział.

— Ach, o to ci chodzi. — Uśmiechnęła się leciutko, dobrze wiedząc, że nadepnęła mu na odcisk. — Nie cieszysz się, że go zgarnęłam?

— O, tak, cieszę się — odrzekł. Ruszył do wyjścia. — Dziś rano kapitan opieprzył Abramsa. Chryste, omal faceta nie zabił. Pół miasta szukało tego Chińczyka, a ty wchodzisz i proszę: jest Chińczyk. — Spojrzał na nią. — Zdradzisz mi, jakim cudem go znalazłaś?

Pokręciła głową i puściła do niego oko.

— Tajemnica zawodowa. Napisane jest: szukajcie, a znajdziecie. Przesłuchaliście go?

— Chyba żartujesz. Od chwili gdy go zgarnęłaś, nie powiedział ani słowa. Siedzi pod celą i gapi się w ścianę, jakby miał śpiączkę.

Wyszli na słońce i usiedli na betonowym murku wokół fontanny.

— Przepraszam, że wtedy nie zadzwoniłam — powiedziała. — Nie chciałam, żeby Dawid słyszał, jak rozmawiamy o tych telefonach i o Hanku.

— Po to w pokojach są drzwi — burknął, ogarnięty nową falą złości.

— W piątek wieczorem znówu dzwonił, tym razem do domu — mówiła nie zrażona zgryźliwą uwagą. — Wczoraj też. Odłożyłam słuchawkę.

— Jesteś pewna, że to Hank?

Spojrzała na podwórze. W stronę aresztu zmierzało kilku wielce nieciekawych gości.

— Nie, Tommy, nie jestem.

Był zdziwiony.

— Claudette mówiła co innego.

— Co za baba — mruknęła, wściekła, że Claudette ją obgaduje. — Posłuchaj. Nie mam pojęcia, kto to jest, ale jego głos brzmi jak głos Hanka. — I wtedy wyrzuciła z sie-

bie to, co dręczyło ją od ostatniego telefonu: — Tommy, co będzie, jak Dawid podniesie słuchawkę? To by go zupełnie dobiło. Nie byłabym w stanie przekonać go, że to nie Hank. Przecież usłyszysz głos swego ojca.

Reed też się zaniepokoił. Tak, Dawid jest pewien, że ojciec kiedyś wróci...

— Moglibyśmy założyć podsłuch.

— Koniecznie — odrzekła podekscytowana, domyślając się reszty. — Jeśli to Sawyer, można by sprawdzić, skąd dzwoni, i go zdjąć. — Klepnęła się w czoło. — Co za idiotka ze mnie! Dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej?

— W przeciwieństwie do mnie — odparł, wyraźnie z siebie zadowolony. Wstał. — Nawet byłem u ciebie w sobotę wieczorem, ale wyszłaś gdzieś. Tak czy siak, daj mi klucze od domu, to ściągnę tam ekipę.

Wyłowiła klucze z torebki i podała je Tommy'emu. Przypadkowo spojrzawszy na okna aresztu, przypomniała sobie o Randym Delvecchiu i opowiedziała Reedowi o swoich odkryciach. Gdy skończyła, detektyw tylko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że sprawa o gwałt jest poza jego zasięgiem.

— Zaczekaj — powstrzymała go, gdy chciał odejść. — Sprawdziłeś tę bliznę po ugryzieniu przez psa?

— Nie ugryzł go żaden pies — odparł, obrzucając ją krótkim spojrzeniem. — Wbrew temu, co o nas sądzisz, jesteśmy fachowcami. Obejrzeliśmy tę bliznę, gdy przymknęliśmy go pierwszy raz.

Miotana sprzecznymi uczuciami, patrzyła za nim, jak idzie przez parking. Delvecchio utrzymywał, że ugryzł go pudel. Po co miałby kłamać?

— Chcę rozmawiać z Rayem Hernandezem — oświadczyła pięknej blondynce w recepcji. — Proszę mu powiedzieć, że przyszła Anna Carlisle.

Biuro wydziału dochodzeniowego, przylegające do biura prokuratora okręgowego, zaprojektowano tak samo jak wewnątrz kuratorium sądowego. Pracujący tu detektywi nie mieli własnych pomieszczeń, tylko klitki oddzielone przepierzeniami. Gdy recepcjonistka wywołała jej nazwisko, Anna kiwnęła głową i podeszła do biurka, przy którym siedział Hernandez.

Opadła na krzesło, spojrzawszy na Hernandeza i powiedziała:

— Ray, przygotowuję raport na temat Randy'ego Delvecchia i mam do ciebie kilka pytań. — Chwilę milczała, układając w głowie fakty. Wiedziała, że do Delvecchia zaprowadził ich telefon od anonimowego informatora, lecz wiedziała również, że informatorem tym mogła być policyjna wtyczka. — Ten wasz informator... Czy to wtyka?

— Nie — odrzekł Hernandez. — Dlaczego tak myślisz?

I znowu ślepa uliczka, i znowu rozczarowanie. Nawet gdyby informator odmówił składania zeznań, miała nadzieję uzyskać od niego garść bardziej szczegółowych informacji.

— Możesz mi opowiedzieć, jak doszło do aresztowania Delvecchia?

Hernandez wstał, założył ręce do tyłu i wyrecytował:

— Zadzwoił do nas anonimowy rozmówca z informacją, że Delvecchio chwali się, iż zgwałcił kilka staruszek. Następnie rozmówca podał nam rysopis Delvecchia oraz jego adres. Wtedy wystąpiliśmy o nakaz aresztowania. — Przystanął, wygłosivszy mowę, którą przygotował sobie na rozprawę sądową. — Tyle. Hopkins nie chciał go zatrzymywać na przesłuchanie — dodał z wyraźnym podziwem. — Poszedł na całość i kazał go od razu przymknąć.

Pomyślała, że uzyskanie nakazu aresztowania wyłącznie na podstawie anonimowego doniesienia dowodzi niezwykłego talentu Glena, lecz właśnie to, że Delvecchia w ogóle aresztowano, nie dawało jej spokoju.

— Ray, naprawdę wierzysz, że człowiek przy zdrowych zmysłach chwaliłby się zgwałceniem staruszki?

— No, pewnie. Takie sukinsyny jak on uwielbiają chlapać ozorem — odrzekł zaczepnie. — Albo to pierwszy raz takich zgarniamy?

Zrobiła niewinną minkę.

— W takim razie powiedz mi: w ilu sprawach miałeś do czynienia z gwałcicielami polującymi na staruszki, którzy się tym chwalili?

— W ilu? Cholera, przecież od groma tego... — Urwał, drapiąc się w głowę.

— No i? — spytała ironicznie. — Aż w tyłu?

— W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć, ale...

— Ray, dobrze wiesz, że gwałciciele nie należą do ludzi lubianych. Nawet w San Quentin. A zgwałcenie starej kobiety jest czynem niemal równie ohydny jak zgwałcenie dziecka. Każdy z nas ma matkę. Rozumiesz, o czym mówię?

— Rozumiem — odrzekł powoli.

Zamierzała wyjaśnić wszystko do końca.

— Dobrze. Uzyskaliście nakaz i od razu pojechaliście do jego domu, tak? Kto go aresztował?

— Ja. To znaczy, nie, nie byłem sam. Pojechał ze mną Hopkins i... Czekaj, niech sobie przypomnę... Tak, Hopkins i Martin Gathers. — Gathers był śledczym z urzędu prokuratora okręgowego. — To on znalazł obrączkę.

— Gathers?

— Nie, Hopkins. Znalazł ją w sypialni, w szufladzie. Delvecchio miał jeszcze inne rzeczy zrabowane podczas napadów, ale pewnie je sprzedał. — Przysunął się z krzesłem do biurka i zaczął przeglądać karteczki z numerami telefonów, próbując dać jej do zrozumienia, że jest zawalony robotą.

— A płaszcz?

— Ten dupek miał go na sobie. — Podniósł głowę i uśmiechnął się. Uważał, że płaszcz jest niezbitym dowodem, dowodem najbardziej przekonującym. — Otworzył nam drzwi ubrany w ten płaszcz, wyobrażasz sobie? Chyba był z niego taki dumny, że nosił go nawet w domu.

— I już? To wszystko? Przeprowadzono konfrontację, ale ofiary nie były pewne, czy to on, prawda? Na rozprawie Glen sugerował co innego, ale trochę przeholował, tak?

Hernandez zmarszczył czoło, rozdrażniony jej sugestiami.

— Ustawiliśmy Delvecchia w rzędzie podobnych facetów i wszystkim nałożyliśmy na łeb pończochy. Te dwie... jak im tam, Summer i Alderson, rozpoznały go po wzroście, budowie ciała i po głosie. Rozpoznały go, to niezaprzeczalny fakt — odparował, stając w obronie Hopkinsa, który w sądzie nieco przeszarżował. I raptem wybuchnął śmiechem. — Chyba nieźle pograliśmy, bo pół godziny temu uznano go za winnego.

Aż ją zatchnęło.

— Jesteś pewny?

— A jakże — odparł dumnie. — Odwalamy tu dobrą robotę. Sam Hopkins do mnie dzwonił. Mówi, że teraz, po śmierci tej staruszki, możemy oskarżyć Delvecchia o zabójstwo. Jeśli Hopkins udowodni, że jej śmierć była bezpośrednim następstwem gwałtu, pošłą faceta do komory gazowej.

Tyk-tyk-tyk — w głowie słyszała tykanie zegara. Jako Murzyn i jako podsądny reprezentowany przez niekompetentnego adwokata, Delvecchio wpadł w poważne tarapaty. Co znaczyło, że sprawy mogą potoczyć się bardzo szybko. Musiała natychmiast interweniować.

— A co z odciskami palców?

— Brak. Ci z laboratorium twierdzą, że gwałcieł nosił rękawiczki. Miejsce przestępstwa było dokładnie wyczyszczone. Tak, ten facet jest cholernie sprytny. Nie wiadomo, w ilu zbrodniach maczał palce.

Anna podziękowała Hernandezowi za rozmowę i wyszła z biura. Sprytny? Hernandez uważa, że Delvecchio jest sprytny? Bzdura. Podejrzewała nawet, że Randy jest człowiekiem niedorozwiniętym umysłowo, opóźnionym w rozwoju. Wyznał jej, że rzucił szkołę, bo nie miał butów. Nic dziwnego, że tak bardzo przywiązał się do tego płaszcza. Nie był sprytny — był po prostu dziecinny. A rękawiczki? On by o nich nie pomyślał, to zupełnie do niego nie pasowało. Uznano go za winnego na podstawie dowodów poszlakowych, głównie dlatego, że znaleziono przy nim przedmioty należące do ofiar.

I nagle zaświtała jej w głowie myśl tak niepokojąca, że aż przystanęła, po czym usiadła na jednej z ławek przed salą rozpraw. Dlaczego nie skojarzyła tego wcześniej? Mężczyzna, który włamał się do jej domu, nosił rękawiczki. I maskę. Co prawda nie maskę z pończochy, niemniej maskę. Tak, teraz była absolutnie pewna, że chciał ją zgwałcić. Ponadto ktoś do niej wydzwaniał, a Delvecchio został aresztowany po telefonie od anonimowego informatora. Czyżby miała do czynienia z jedną i tą samą osobą?

Zerwała się na równe nogi, chcąc jak najszybciej opowiedzieć o tym Glenowi. I stanęła jak wryta. Czyż mogła mu powiedzieć, że obwinił człowieka niewinnego? I to w dniu ogłoszenia werdyktu? Pewnie skakał teraz ze szczęścia, celebrował zwycięstwo. Dobiłaby go, byłby załamany. Nie. Zanim ściągnie go z obłoków na ziemię, musi zyskać absolutną pewność, że ma rację.

W sali przesłuchań usiadła naprzeciwko Randy'ego Delvecchia.

— Randy — zaczęła — postanowiłam ci pomóc. Ale musisz coś dla mnie zrobić, bo inaczej dam sobie spokój, wyjdę stąd, a ty zgnijesz w pudle.

— Co mam zrobić? — wyszeptał z rozszerzonymi oczyma. — Zrobię wszystko. Proszę...

— Musisz być ze mną zupełnie szczerzy. Obojętne, o co bym cię spytała, musisz mi powiedzieć prawdę. Rozumiesz? Czy to jasne?

Kiwnął głową i zwilżył językiem spękane wargi.

— Przysięgam na życie mojej matki.

Dziwne — pomyślała. Jak na osobę oskarżoną o gwałt na kobietach w wieku jego matki, bardzo dziwne. Jeśli jest winny, to nie wie, jak dobierać słowa.

— Randy, czy zgwałciłeś którąkolwiek z tych kobiet?

W jego oczach dostrzegła błysk strachu.

— Nie. Przysięgam, że nie.

— Czy włamałeś się do ich domów i zrabowałeś należące do nich przedmioty? Nie kłam, Randy. Włamanie to przestępstwo, ale znacznie łagodniejsze niż to, za które cię wkrótce skażą.

— Nigdy nie włamałem się do niczyjego domu.

Anna otworzyła akta, wyjęła z nich formularz z udokumentowanymi zarzutami i podsunęła mu go pod nos.

— Co tu jest napisane, Randy?

— Jakieś liczby.

— Czteryście pięćdziesiąt dziewięć. To numer paragrafu kodeksu karnego stanu Kalifornia oznaczający włamanie. Na tej sprawie oddano cię pod dozór sądowy. Kłamiesz, Randy. Mówiłam ci, że...

— Chwileczkę! — wykrzyknął. — To nie było włamanie do domu. Włamałem się do sklepu spożywczego. Matka straciła pracę, byliśmy głodni, musiałem zdobyć coś do jedzenia.

Przeszyła go wzrokiem. Bez oryginalnego raportu policyjnego nie mogła tego zwerfikować.

— Na razie to zostawmy. Sprawdź, czy mówisz prawdę. A teraz powiedz mi, jak zdobyłeś płaszcz Estelli Summer i obrączkę ślubną Madeline Alderson, skoro nigdy nie byłeś w ich domach?

— Nie miałem żadnej obrączki, przysięgam. Powiedzieli, że była w moim domu, ale nie mam pojęcia, jak się tam znalazła. Na oczy jej nie widziałem. Proszę, niech mi pani uwierzy...

— A płaszcz? — Usiadła wygodniej, ciekawa, w jaki sposób z tego wybrnie.

Delvecchio spuścił głowę.

— Tak, miałem płaszcz, ale go nie ukradłem — wymamrotał. — Ktoś mi go dał.

Chwyliła za blat i potrząsnęła stołem tak gwałtownie, że Randy aż podskoczył.

— Kiedy? Gdzie? Kto? Muszę wiedzieć wszystko.

Skulił się i odsunął z krzesłem nieco dalej.

— Kiedy nie pamiętam. To było chyba kilka dni wcześniej, jeszcze zanim mnie zgar-
nęli.

Gniewnie zmarszczyła czoło.

— Wymyśl coś lepszego.

— Jakiś facet mi go dał — odrzekł, wyęzając pamięć. — Stałem na Alvarado. Jak chcemy się załapać na jakąś jednodniową fuchę, to czasami tam stoimy. Ludzie podjeżdżają samochodami i nas biorą. Facet się zatrzymał, to go spytałem, czy ma dla mnie robotę. A on mówi, że nie. Mówi, że chce mi dać płaszcz, bo jest coraz zimniej.

Gdyby to był Chen, Delvecchio na pewno by go zapamiętał — przemknęło jej przez myśl.

— Jak ten człowiek wyglądał?

Randy podrapał się w ramię.

— Nie wiem — odrzekł apatycznie. — Jak każdy. Mam kiepską pamięć. Czasami nic nie pamiętam.

Sprytne, pomyślała, cholernie sprytna zagrywka. Czeka, ty...

— Randy, to bardzo, ale to bardzo ważne. Spróbuj mi tego człowieka opisać. Może jednak coś pamiętasz. Cokolwiek.

— Miał wielki samochód. Nie wiem, jaki, ale był wielki i czarny. Nigdy takiego nie widziałem. Wyglądał jak ogromne pudło. Jak jeden z tych starych wozów.

— A jego twarz? Pamiętasz jego twarz?

— Nie. Nosił okulary przeciwsłoneczne. Zresztą on tylko przystanął, podał mi przez okno płaszcz i zaraz odjechał. Zaraz... Tak, miał ciemne włosy.

— Czy powiedziałeś swemu obrońcy, że kiedy Estella Summer została zgwałcona, pracowałeś w Video Vendors?

— A jak — burknął rozeźlony. — Ale mi nie uwierzył. Powiedział, że nie mam na to żadnego dowodu. Nie pozwolił mi nawet zeznawać. Powiedział, że to by tylko pogorszyło sprawę.

— Dlaczego nie kazałeś mu tego sprawdzić? — odparowała.

Znów podrapał się nerwowo w ramię.

— Mówiłem pani, że próbowałem się do nich dodzwonić, do tej firmy, ale odłączyli im telefon, a jak matka do nich napisała, to odpowiedź dopiero co przyszła.

Anna zamknęła teczkę z aktami i rozważyła w myśli to, co przed chwilą usłyszała. Nie, na tak dziwaczne odpowiedzi Delvecchio by nie wpadł. Pamięć miał tak słabą, że nie zapamiętał nawet marki czarnego samochodu.

— Wierzę ci, Randy — powiedziała w końcu.

Twarz mu się rozpromieniła. W oczach zaświtała nadzieja.

Świat to parszywe miejsce. Areszt był pełen ludzi takich jak on, ludzi nierozgarniętych, którzy kończyli jako kryminaliści, bo nie mieli wykształcenia, bo wychowywali się w nędzy i ubóstwie. Niektórym z nich szczerze współczuła. Kim byłaby dzisiaj, gdyby nie miała butów i nie chodziła do szkoły? Kto wie, może członkinią jakiegoś gangu albo złodziejką.

Jednak w tym przypadku — o ile jej podejrzenia okażą się słuszne — nie miała do czynienia z przestępcą. Naprzeciwko niej siedział niewinny człowiek. Człowiek, któremu groziła komora gazowa.

— Wróć, jak tylko się czegoś dowiem, Randy. Do tego czasu ani słowa. Trzymaj język za zębami.

Jeszcze jedno — pomyślała, wróciwszy do biura. I zadzwoniła do Melanie Chase.

— Anno, byłem zawalona robotą — trajkotała Melanie. — Jeśli dzwonicz w sprawie włamania do twego domu, to po prostu nie miałam czasu do tego usiąść. Jutro to rozpracuję.

— Nie. To znaczy tak, chciałabym się czegoś dowiedzieć, ale nie po to dzwonię. Chodzi mi o Delvecchia. Zajmowałaś się tymi gwałtami, prawda?

— Owszem. Ale co z tego? Przecież uznali go za winnego. Jeszcze o tym nie słyszałaś?

— Znalazłaś odciski palców?

Melanie westchnęła, chcąc jak najszybciej wrócić do pilniejszych zajęć.

— Tylko odciski palców ofiar oraz ich przyjaciół. Sprawdziliśmy dokładnie.

— Ale coś chyba znaleźliście.

— Jasne, różne takie pierdołki. Przeczesałiśmy calutki dom, zajrzeliśmy do każdego zakamarka. Większość materiału dowodowego pochodziła z ciał samych ofiar. Zebraliśmy go w trakcie obdukcji. Mam sprawdzić w papierach? — spytała znużona, wyczuwając jej determinację.

— Gdybyś zechciała. To naprawdę ważne, Mel. Inaczej nie zawracałabym ci głowy. Odezwała się już po chwili.

— No, więc tak. Znaleźliśmy kilka włosów i jesteśmy pewni, że zostawił je tam gwałcieciel. Poza tym kilka włókien jakiegoś materiału i coś tam jeszcze. Z tym że te włosy to nie włosy Delvecchia. Widzisz, to w ogóle nie są ludzkie włosy. Są syntetyczne, pochodzą z peruki.

— Myślałam, że ten człowiek miał na głowie maskę z pończochy.

— Tak powiadają.

— No to po co miałby nosić perukę?

— Jezu, nie wiem. Może peruka należała do tej staruszki. Kiedy okazało się, że to nie włosy Delvecchia, i kiedy znaleźli u niego ten płaszcz, po prostu przestaliśmy się tym zajmować. Nie było powodów iść dalej tym tropem. Sam Hopkins kazał mi przystopować. Powiedział, że żadna peruka mu niepotrzebna, że przysięgli się w tym wszystkim pogubią.

— Rozumiem — wycedziła, odpędzając od siebie mroczne myśli o Glenie.

— A gdybyś miała tę perukę, czy mogłabyś stwierdzić, że to właśnie z niej pochodzi znaleziony przez was włos?

— Chyba nie, Anno. Moglibyśmy ustalić, że to włos syntetyczny, taki sam jak ten, który znaleźliśmy na ciele ofiary, może ustalilibyśmy, w jakiej wytwórni peruk go wyprodukowano, ale wątpię, czy dałoby się zrobić coś więcej. Taki włos jest całkowicie jednolity. To nie to samo, co włos ludzki.

Anna milczała i myślała. Nikogo nie pragnęła przywoździć tak bardzo jak człowieka, który się za tym krył. Gotowa była zrobić wszystko, żeby tylko poznać prawdę.

— Nic więcej nie znaleźliście?

Melanie pstryknęła zapalniczką.

— Czekaj, niech no spojrzę... — Mówiąc wypuszczała dym. — Ano, owszem, znaleźliśmy, ale to też nie wypaliło. Na ciele Florence Green znaleźliśmy włosy łonowe.

— Delvecchia?

— A skąd!

— Co?!

— Mówię, że nie Delvecchia. Nie wiadomo, czyje. Słuchaj: czego ty ode mnie chcesz?

Anna była tak wstrząśnięta, że wstała i zaczęła chodzić po swojej klitce.

— Jeśli to nie włosy łonowe Delvecchia, to jakim cudem Randy Delvecchio został uznany za winnego? Chryste Panie, wychodzi na to, że on tej staruszki wcale nie zgwałcił! Przecież włosy łonowe znalezione na jej ciele muszą należeć do gwałciciela!

— Anno — warknęła Melanie — pomyliłaś adresy. Pogadaj z tym pieprzonym prokuratorem. Ja nie rozpoznaję spraw, ja tylko opracowuję materiał dowodowy, to wszystko. Skąd mam wiedzieć, co ta kobieta wyrabiała? Może miała kochanka. Cholera, przecież to możliwe. Miała dopiero sześćdziesiąt parę lat, nie?

— Sześćdziesiąt osiem.

Melanie parsknęła śmiechem.

— No to co? Dzielna staruszka. Może lubiła, jak ją od czasu do czasu ktoś porządnie zwyobrać?

— Nie sądzę — odrzekła zgryźliwie Anna. — Ale dzięki za informację.

Rozdział 19

Jak tylko odłożyła słuchawkę, zadzwonił Tommy Reed.

— Natychmiast przyjeżdżaj — wypalił bez wstępów. — Jestem u ciebie, z Dawidem.

— Z Dawidem? — Ogarnęło ją przerażenie. — Przecież Dawid jest w szkole. Boże, co...

— Nie, nie, nic mu nie jest, Anno — zapewnił szybko, nie chcąc jej denerwować. — Gdy przyjechałem z ekipą od telefonów, był już w domu. Mówi, że wcześniej ich zwolnili z lekcji. Przyjeżdżaj. Powiem ci, co jest grane.

Gdy dziesięć minut później parkowała na podjeździe, kilka domów dalej zobaczyła furgonetkę ekipy nasłuchowej. Jak tylko weszła, na spotkanie wybiegł Dawid z zaczerwienioną z podniecenia twarzą.

— Rozmawiałem z tatusiem, mammo! — Chwycił ją za rękę i ścisnął, wbijając paznokcie w jej ciało. — On żyje. Zadzwonił do mnie. Przysięgam, on żyje. Naprawdę, mamusiu.

— Nie... — szepnęła Anna, potrząsając głową. Z kuchni wychynął Reed. — Byłeś tu?

— Nie, ale przesłuchałem nagranie.

— To prawda, mammo! — wykrzyknął Dawid. — To najprawdziwsza prawda! Zawsze ci mówiłem, że on wróci. On żyje. Tatuś żyje!

Anna czuła, jak z twarzy odpływa jej cała krew.

— Synku, kochanie, nie ekscytuj się tak. To tylko głos, głos podobny do głosu tatusia. Nie wiadomo, czy to on. — Spojrzała na Tommy'ego, szukając u niego pomocy. — Ustaliliście, skąd dzwonił? — wykrztusiła.

— Rozmowa trwała za krótko. Najpierw muszą zdobyć jego NCA.

— Co to jest? — spytał z ożywieniem Dawid.

— Namiar cyfrowo-analogowy. Następnym razem będziesz musiała przetrzymać go dłużej.

— On tu jutro przyjdzie — wtrącił Dawid. — Nie trzeba go namierzać. On tu jutro będzie. Powiedział, że przyjedzie.

Reed usiadł na sofie i poklepał miejsce obok.

— Chodź, usiądź koło mnie, wodzu.

— Nie. Powiesz mi, że to nieprawda, a przecież rozmawiałem z nim. On do mnie telefonował, mamusiu. On żyje.

Anna popatrzyła na Tommy'ego, Tommy na Annę. Przynajmniej nie była już sama, bo Dawid też uznał, że głos jest podobny do głosu Hanka. To jej przyniosło niejaką ulgę.

— Dawid, co ten człowiek powiedział? — spytała. — Pamiętasz dokładnie?

— No, jasne — odrzekł i naśladując głęboki głos ojca, zacytował: „Do zobaczenia jutro, stary”. Powiedział to dokładnie takim głosem, mamusiu. Pamiętasz, zawsze tak mówił, kiedy wychodził na nocną służbę.

— I to wszystko?

— Nie, bo na samym początku powiedział: „Co u ciebie, Dawid?”

Coś nie dawało jej spokoju, jakaś natrętna myśl. Krążyła, uciekała i powracała, lecz Anna nie mogła jej uchwycić. Potarła czoło, próbowała się skoncentrować, lecz myśl pierzchała.

— Rozmawiałeś z nim? Spytałeś go, gdzie był, co się z nim działo?

Dawid zmarszczył brwi.

— Tak, mówiłem różne rzeczy, ale on odłożył słuchawkę. Chyba nie mógł rozmawiać albo nam przerwali. A może najpierw chce porozmawiać z tobą? Tak jest! Pewnie dziwnie wygląda, no wiesz, sama skóra i kości, bo cały czas trzymali go pod kluczem... — Umilkł, zafrasowany i zaskoczony własnymi pomysłami, lecz po chwili twarz mu się rozpromieniła. — Ale powiedział: „Do zobaczenia jutro, stary”, naprawdę tak powiedział, wiesz? — zwrócił się do Tommy'ego.

— Dlaczego nie mógł przyjść teraz? — spytała Anna, stając przed synem.

Jego buzię wykrzywił gniew.

— Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Mówiłem, że on do nas wróci, ale ty nie chciałaś mi wierzyć. Wszystko przez tego Glena! — krzyknął i na szyi wystąpiła mu sinawa żyła. — Ty już tatusia nie chcesz! Chcesz być z tym strasznym człowiekiem! Nienawidzę cię!

Wstrząśnięta słowami syna, Anna cofnęła się o krok i zakryła twarz rękami.

— Anno — powiedział spokojnie Reed — przejdź do drugiego pokoju, dobrze? A my tu sobie pogadamy.

Gdy wyszła, Tommy pociągnął Dawida na sofę. Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu. Pierś rozemocjonowanego chłopca unosiła się gwałtownie i opadała.

— To nieprawda — wyszeptał, dławiąc łzy. — Nie chciałem tego powiedzieć. Zraniłem mamę.

— Ona to rozumie, synu — odrzekł detektyw obejmując go. — Mamy zawsze wszystko rozumieją.

Dawid spojrzał na niego błagalnie.

— Tak długo czekałem na powrót tatusia. Dlaczego i ona nie jest szczęśliwa?

— Widzisz, mama chce oszczędzić ci rozczarowania. Rzecz w tym, że nie mamy pewności, czy to twój ojciec. I właśnie to chcieliśmy ci powiedzieć.

— To mój tatuś, Tommy. Znam jego głos, to na pewno on.

— Wiesz, co zrobimy? Weźmiemy taśmę z nagraniem waszej rozmowy i zawieziemy ją do laboratorium. W laboratorium porównają ten głos z głosem twojego ojca. Nazywamy to analizą foniczną. Wtedy będziemy wiedzieć, czy to on dzwonił, czy nie.

— Dobra, świetny pomysł. Jak długo to potrwa?

— Chwilę. Muszę sprawdzić, czy mama ma gdzieś taśmę z nagraniem głosu taty, bo bez takiej taśmy nie moglibyśmy nic porównać.

Dawid zerwał się na równe nogi.

— Ja mam. Zachowałem starą kasetę z automatycznej sekretarki, tę, której używaliśmy, gdy tatusia porwano. I mam jeszcze nasze stare kasety wideo. Przynieść je?

— No, jasne. — Gdy Dawid wybiegł z saloniku, Reed zajrzał do kuchni.

Twarz Anny była blada i ściągnięta, a jej krótko przystrzyżone włosy sterczały na wszystkie strony.

— Tommy, to Dawida zabije. Na miłość boską, kto do mnie wydzwania? Musimy to ustalić.

Do kuchni wpadł Dawid z kasetą z automatycznej sekretarki.

— Masz. Znalazłem tylko to. Nie wiem, gdzie są nasze nagrania wideo. — Spojrzał pytająco na matkę, lecz Anna nie zareagowała.

— Powinna wystarczyć — odrzekł Tommy, wkładając taśmę do kieszeni. — Jadę prosto do laboratorium. Melanie jeszcze pracuje i zaraz do niej siądzie. — Wychodząc, objął Dawida i wyściskał go „na niedźwiedzia”. — Będiesz dobry dla mamy, jak zostanieie sami?

— Tak — odrzekł cichutko chłopiec.

— Świetnie — powiedział Reed i wyszedł kuchennymi drzwiami.

Anna poszła spać o pierwszej w nocy. Przedtem zadzwoniła do laboratorium, żeby spytać, czy Melanie sprawdziła już kasetę z nagraniem głosu Hanka. Melanie miała oddzwonić, ale nie oddzwoniła. Anna czekała cały wieczór. O północy zatelefonowała jeszcze raz, wtedy powiedziano jej, że Melanie została wezwana na miejsce włamania z bronią w rękę i równie dobrze może wrócić o czwartej nad ranem.

Dawid zasnął na sofie. Postanowiła go nie budzić. Przyniosła z sypialni kapę, przykryła go i ucałowała w czoło. Biedak. Podniecenie wywołane powrotem ojca pozbawiło go wszystkich sił. Pękało jej serce.

Rozebrała się, położyła i zgasła światło. Wiedziała, że nie zaśnie. Gdy zadzwonił telefon, chwyciła słuchawkę z nadzieją, że to Melanie.

— Tak?

— Gdzie Dawid?

— Hank? Czy to ty? Boże, Hank, musisz przestać...

Zacząła szlochać tak głośno, że ledwo go słyszała. Jego głos dochodził z daleka i z bliska zarazem, jakby Hank dzwonił z sąsiedniego pokoju.

— Anno, zabierz Dawida i chodźmy.

— Hank, proszę, powiedz, gdzie jesteś. Powiedz, co się stało.

Upłynęła dobra chwila, zanim zdała sobie sprawę, że telefon jest głuchy. Zacząła szperać w torebce w poszukiwaniu numeru tych od nasłuchu, z nadzieją, że nie zasnęli, ale nie musiała dzwonić, bo oni natychmiast zadzwonili do niej.

— Czy to był pani mąż? Rozmawialiście za krótko, nie zdążyliśmy go namierzyć.

— Tak — odrzekła. — To znaczy: to był jego głos.

Gdy policjant powtórzył, że następnym razem Anna musi rozmowę przedłużyć, zachciało jej się wyc.

— Ale jak? Co mam robić?

— Niech pani podniesie słuchawkę i nic nie mówi. Proszę spróbować maksymalnie zyskać na czasie.

Przyjęła to do wiadomości, chociaż nie była pewna, z kim rozmawia.

— Kto mówi? — spytała.

— Phil Whittaker. Pewnie nie poznała pani mojego głosu. Mam katar po pachy.

— Dzięki, Phil. — Zgasiła światło, położyła się, wbiła wzrok w ciemność, próbując odsunąć od siebie wszelkie myśli. W końcu uległa zmęczeniu, zamknęła oczy i zasnęła.

Obudziła się rano w blasku słońca wpadającego do sypialni przez szparę w zasłonach. Bolało ją całe ciało i czuła się tak, jakby spała tylko godzinę. Zapuchnięte oczy swędziały ją od płaczu, prześcieradło było mokre od potu. Przez kilka minut leżała w absolutnym bezruchu, patrząc w sufit i rozważając, czy zdoła zwlec się do pracy. Nagle usłyszała koło siebie szelest. Usiadła na łóżku.

Na krześle siedział Dawid. Obserwował ją i czekał, aż się obudzi. Jego zazwyczaj zwichrzone włosy były jeszcze mokre po prysznicu i starannie zaczesane do góry. Miał na sobie koszulę od garnituru — jedną z dwóch, jakie od niej dostał — i czarne spodnie. Nałożył nawet swoje czarne buty na specjalne okazje, chociaż ostatnio nie chciał ich nosić, twierdząc, że są już za małe.

— Która godzina? — spytała zaniepokojona.

— Siódma.

— Długo tu siedzisz?

— Od szóstej.

Obrzuciła wzrokiem jego uroczysty strój i serce jej zamarło. Dawid czekał na ojca.

— Usiądź koło mnie — szepnęła, poklepując koc.

— Nie. Koszula mi się pogniecie. Wiesz, że tatuś nie cierpi zmiętych koszul. Muszę wyglądać porządnie. Chcę, żeby wiedział, że już dorosłem, że postępowałem tak, jak mi kazał.

— Podaj mi szlafrok. Przygotuję ci śniadanie.

— Nie. — Podszedł do drzwi, zdjął z wieszaka szlafrok i podał go matce. — Nie chcę jeść bez tatusia. Zjemy śniadanie jak rodzina.

Jak rodzina — zakołatały jej w głowie słowa syna. Nie wiedział, że ta rodzina była w stanie rozkładu.

— Kochanie, nie wiadomo, czy to na pewno on. Dziś w nocy długo o tym myślałam. Człowiek, który mnie tu zaatakował, nosił maskę, bo nie chciał, żebym go rozpoznała. Zabrał twoje zdjęcie. Wypowiedział nawet twoje imię. Niewykluczone, że ktoś próbuje naśladować głos taty. Może to komputer albo coś takiego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie rozumiesz, kochanie? Wszyscy wiedzą, co się stało z twoim ojcem. Gdy mnie postrzelono, cała historia wróciła na pierwsze strony gazet. Ten, kto się za tym wszystkim kryje, usiłuje naśladować głos taty, bo wie, że w ten sposób nas zrani. — Odwróciła głowę. Jeśli jej domysły były słuszne, zranił ich głębiej, niż mógł przypuszczać. Widok ożywionego płonnymi nadziejami Dawida łamał jej serce.

— Nie wierzę w to — odparł, czekając, aż matka nałoży aksamitny szlafrok i wstanie z łóżka. — To był tatuś. Znam głos tatusia. To głupie. Po co ktoś miałby to robić?

— Nie wiem. Może chce mnie zdenerwować, zdeprymować, doprowadzić do szaleństwa. Może chce, żebym pomyślała, że zwariowałam. Nie mam pojęcia. Dawid, jest wiele rzeczy, o których nie wiesz.

— To był tatuś — warknął wściekle. Odwrócił się na pięcie i wymaszerował z sypialni. — Mówisz tak, bo nie chcesz, żeby wrócił! — wrzasnął w korytarzu. — Kłóciłaś się z nim, to dlatego!

A więc wiedział o tym. I mimo to winił ją, nie ojca. Czyżby oprócz wybuchowego temperamentu odziedziczył po nim i to — negatywny stosunek do niej? Czyżby jej syn uważał, że zasługiwała na takie traktowanie, że to ona prowokowała te wszystkie awantury? Idąc do kuchni, by zaparzyć kawę w dzbanku, minęła go w saloniku. Siedział na podłodze nieruchomo jak posąg i oglądał kreskówki. Pokręciła głowę. Kreskówek nie oglądał już od lat. Wolał telewizyjne filmy popularnonaukowe. Nasypała kawy do papierowego filtra i właśnie miała go włożyć do ekspresu, gdy zadzwonił telefon. Sięgnęła po słuchawkę, ale w saloniku zaszurało, zatupotało i Dawid ją uprzedził. Powiedziała: „Słucham”, a on już krzyczał:

— Tatusiu? Tatusiu, czy to ty? Czekamy na ciebie. Kiedy przyjdiesz?

— Dawid? — odpowiedział mu głęboki głos Reeda. — Mówi Tommy. Dzwonię, żeby spytać, jak sobie radzisz. Ci z laboratorium pracują nad twoją taśmą, wiesz?

— Dlaczego jeszcze go nie ma, Tommy? Przecież powiedział, że dzisiaj przyjdzie.

— Trzymaj się, chłopcze. Wszystko sprawdzimy, do wszystkiego dojdziemy. Czy jest tam mama?

— Tak — mruknął przybity. — Jest.

— Jestem, jestem, Tommy — odezwała się Anna. — Dawid, kochanie, odłóż słuchawkę. Chciałabym porozmawiać z Tommym. — Gdy usłyszała cichy trzask, głos jej się załamał. — Wariujemy, Tommy, naprawdę. Dlaczego Melanie jeszcze nie skończyła? Dawid ubrał się jak na Boże Narodzenie i myśli, że on zaraz tu przyjdzie. Chryste, ten biedak...

— Spokojnie, Anno — przerwał jej łagodnie. — Melanie miała wczoraj od groma roboty. Nie zdążyła.

— No i co z tego?! — wykrzyknęła Anna. — Nie może zapędzić do pracy kogoś innego? Przecież ma tego Alexa. Cholera jasna, niech kogoś ściągnie! Musimy wiedzieć, kto za tym stoi!

— Zadzwoń do niej i sprawdź. — Odłożył słuchawkę.

Anna trzasnęła przełącznikiem przenośnego telefonu i wpadła do saloniku, żeby pocieszyć syna. Działała odruchowo, już nie myślała, bo nie panując nad emocjami, logicznie myśleć nie mogła. Przycisnęła syna do piersi.

— Idź do szkoły, kochanie. Nie możesz tu siedzieć i czekać cały dzień.

— Nie, nigdzie nie pójdę. — Z oczu ciekły mu łzy. — Tatuś przyjdzie, a mnie nie będzie.

— Proszę cię, nie płacz. Idź do łazienki i obmyj twarz zimną wodą. Zobaczysz, od razu poczujesz się lepiej. Proszę cię, Dawid.

Wyrwał się z jej objęć.

— Nie. Rozmawiałem z nim. Nie pójdę do szkoły. Możesz robić, co chcesz, ale ja na niego zaczekam.

Pobiegł do swego pokoju i zatrzasnął drzwi.

Wiedziała, że dopóki sytuacja się nie wyjaśni, nie może posłać go do szkoły ani pójść do pracy. Zadzwoiła do Claudette i wzięła dzień wolnego. Czekwała. Minuty przemieniły się w godziny. Wreszcie, o dwunastej, zatelefonowała Melanie.

— To są dwa identyczne głosy, Anno. To twój mąż, prawda?

— Są... identyczne? — wyjąkała. — To Hank? To on do mnie wydzwania?

— Tego nie jestem pewna. Wiem tylko tyle, że na jednej i na drugiej taśmie nagrany jest głos tego samego człowieka.

Anna nie mogła się w tym połapać.

— Skoro to głos Hanka, w takim razie dzwoni Hank. Nie rozumiem, o czym mówisz.

— Nagranie policyjne jest znacznie lepszej jakości niż nagranie na taśmie z automatycznej sekretarki. Mamy tu bardzo czuły sprzęt i w tle wykryliśmy mechaniczne odgłosy.

— Jakie odgłosy?

— Mechaniczne. No, wiesz, odgłosy, jakie wydaje pracujący mechanizm. Trzaski, szумы, zgrzyty. Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, które z nich są oryginalne, a które pochodzą z magnetofonów policyjnych. Mogłabym ustalić ich źródło, ale musiałabym mieć jeszcze jedną próbkę nagrania z furgonetki. Czy któryś z chłopaków może mi ją dostarczyć?

— Tak, cały czas siedzą na nasłuchu. Powiem im, żeby podzucili ci taśmę z nagraniem naszej ostatniej rozmowy. Dobra?

— To powinno wystarczyć. A teraz daj mi święty spokój.

Anna przycisnęła widełki telefonu i zadzwoniła do furgonetki. Odebrał Oscar Chapa, jeden z detektywów. Poprosiła go, żeby przygotowali taśmę i zawieźli ją do laboratorium.

— Anno, czy to znaczy, że twój mąż żyje? — spytał.

A więc wszystko słyszał.

— Przesłuchiwałeś taśmę, Oscar. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy. Wyślij kogoś do Melanie, dobrze? Jak najszybciej.

— Nie ma sprawy.

Nadeszła pora lunchu, a Dawid wciąż siedział w sypialni. Zrobiła mu kanapkę i zapukała do drzwi.

— Wpuść mnie. Musisz coś zjeść, synku.

— Odejdź. Nie jestem głodny.

— Dawid, proszę, przynajmniej pozwól mi wejść, porozmawiamy. Nie odwracaj się ode mnie.

— Odejdź. Zostaw mnie w spokoju.

Postawiła talerzyk przed progiem i wróciła do saloniku. Czekwała. Próbowwała czytać gazetę, oglądać telewizję, ale nie mogła się skupić. W końcu zaczęła sprzątać: na czworakach wyszorowała podłogę w kuchni, szczoteczką do zębów usunęła stare plamy na blacie stołu, przestawiała porcelanę w kredensie.

O piątej wzięła się do czyszczenia sztućców i wtedy ktoś zapukał do frontowych drzwi. Oblał ją zimny pot. To jest to — pomyślała. Zerknęła przez judasza i na progu zobaczyła obcą kobietę.

— Kto tam? — spytała. — Czego pani sobie życzy?

— Czy pani Anna Carlisle? Nazywam się Connie Davidson. Jestem dziennikarką ze „Star Free Press”. Gnałabym z panią porozmawiać.

Anna trzasnęła zasuwami i otworzyła drzwi. Czyżby mieli wiadomości o Hanku?

— Słucham.

Z cienia wyszedł fotograf i zaczął pstrykać jej zdjęcie za zdjęciem. Zasłoniła twarz rękami.

— Niech pan przestanie. Proszę przestać fotografować, bo zamknę drzwi.

Dziennikarka odesłała fotografa machnięciem ręki.

— Mogłabym wejść? Chcę pani zadać tylko kilka pytań.

Anna obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem.

— Jakich pytań?

— Pani Carlisle... Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, wołałabym jednak porozmawiać w domu.

— Syn źle się czuje. O co chodzi?

— Zgłosił się do nas doktor Sawyer i opowiedział nam o pani związku z jego synem. Czy mogłabym zadać pani kilka pytań na ten temat? A może zechce pani złożyć oświadczenie?

Poczuła się tak, jakby wepchnięto jej do gardła kłęb waty.. Nie, baba jej nie podpuści. Bronić się? Cokolwiek powie, doleje tylko oliwy do ognia.

— Nie — odrzekła. — Niech pani sobie pisze, co chce. Jeśli mnie pani zniesławi, podam panią do sądu. Jestem kuratorką Jimmy'ego Sawyera. Poza tym nic mnie z nim nie łączy. — Chciała zamknąć drzwi, ale dziennikarka zablokowała je nogą.

— Czy to prawda, że Sawyer uratował pani życie tylko dlatego, iż miała pani z nim romans? Czy wymyśliła pani tę historię z obciętych palcami, bo chciała się pani na nim zemścić? Czy pierwszy raz nawiązuje pani intymny stosunek ze swoim podopiecznym?

Anna wyteżyła siły i przyciągnęła do siebie drzwi, które ścisnęły stopę kobiety tak mocno, że w końcu ją cofnęła. Anna oparła się o framugę i z trudem oddychała. Tylko tego jej brakowało...

— Tekst pójdzie tak czy inaczej, pani Carlisle! — zawołała dziennikarka zza drzwi. — Nie chce pani przedstawić swego punktu widzenia, zanim puścimy artykuł do druku?

— Proszę odejść! — krzyknęła rozdygotana. — To teren prywatny!

Gdy usłyszała oddalające się kroki, weszła do korytarza tak rozkojarzona, że nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Drzwi do sypialni syna stały otworem.

— Dawid...

Chłopiec siedział na brzegu łóżka. Jego puciołowata twarz była ściągnięta, zrozpaczone oczy pełne łez. Już nie miał na sobie odświętnego ubrania. Przebrał się w dzinsy i podkoszulek. W końcu uległ.

— Dawidku!

Padł jej w ramiona.

— Dlaczego on nie przyszedł, mamusiu? Powiedział, że przyjdzie.

— Nic nie mów, synku. Zmówmy za tatusia paciorek, żeby tam, gdzie teraz jest, znalazł spokoju, żeby nie cierpiał. Tylko o to możemy się modlić, kochanie.

Stali tak, obejmując się i milcząc.

— Kocham cię — wychlipał zdławionym szeptem. — Przepraszam, że tak brzydko o tobie mówiłem.

— Synku, synku — powtarzała, głaszcząc go po głowie. — Ja też cię kocham. Bez względu na to, co mówisz. — Spojrzała mu w oczy. — Wierzysz mi? Jesteśmy kumplami? Jak zawsze?

— Tak — wyszeptał cichutko. — Ale bez tatusia nie jesteśmy rodziną.

Przytuliła go jeszcze mocniej.

— Nie masz racji, synku. Moja mama umarła, kiedy byłam małą dziewczynką, i wychowywał mnie ojciec. I byliśmy rodziną. Rozumiesz? Prawdziwą rodziną. To, że tatuś z nami nie ma, wcale nie znaczy, że nie jesteśmy rodziną. Rodzina to miłość i szacunek.

Nie odpowiedział. Obejmowała go, dopóki nie wysunął się z jej ramion, by pójść do saloniku i włączyć telewizor.

Gdy wieczorem zadzwonił dzwonek do drzwi, grali w kuchni w remika. Dawid zerwał się na równe nogi, ale wyprzedziła go i otworzyła pierwsza. W progu stał Tommy Reed. Miał ponurą twarz. Widząc Dawida za plecami Anny, od razu zwrócił się do niego:

— Mam dla ciebie niespodziankę, wodzu. Na ulicy stoi furgonetka speców od nasłuchu. Oscar pokaże ci, jak to wszystko działa.

— Bomba. A właściwie co w tej furgonetce jest?

— Najwymyślniejszy sprzęt elektroniczny, jaki tylko możesz sobie wyobrazić. Leć. Oscar już czeka.

Gdy Dawid wybiegł z domu, Reed spojrzał na Annę.

— Muszę ci coś powiedzieć. Lepiej usiądź. Zaprowadził Annę do saloniku, położył jej ręce na ramionach, delikatnie posadził ją na sofie i oznajmił:

— Jest coś nowego w sprawie Hanka.

Zdrętwiała. Nie przychodziło jej na myśl nic gorszego niż to, co przeszła z Dawidem.

— Wczoraj zawiadomiłem wydział śledczy policji drogowej. Wysłali do Arizony kilku swoich ludzi. — Tommy odchrząknął. — Zatrzymali podejrzanego.

— Nie. — Anna pochyliła się i objęła w pół ramionami. — Hank...

— Jeszcze nie znamy wszystkich szczegółów. Wiedzą tylko tyle, że ten człowiek miał jego rewolwer. Jedna z naszych urzędniczek przeprowadziła małe śledztwo na własną rękę i odkryła, że facet podawał numer odznaki służbowej twego męża jako datę swego urodzenia. Pewnie wszędzie tę odznakę z sobą nosił i podświadomie zapamiętał jej numer. Aresztowali go, zdjęli odciski palców i ustalili jego tożsamość. Nazywa się Wayne Coffey i jest poszukiwany listem gończym za morderstwo, wydanym ponad sześć lat temu w Teksasie. Ukrywał się pod przybranym nazwiskiem.

— Zakładają, że to on uprowadził Hanka?

Tak długo czekała, by poznać prawdę, że kiedy ją w końcu poznała, prawda nie sprawiała wrażenia wiarygodnej. Czyżby to, co przed chwilą usłyszała, było taką samą złudą jak telefony od Hanka? Czyżby wszystko było tylko mirażem, koszmarnym snem?

— Na to wygląda — odrzekł Tommy. — Tak jak przypuszczaliśmy, pamiętasz? Hank zatrzymał kogoś poszukiwanego i kiedy szedł do radiowozu, żeby to sprawdzić, facet go zaskoczył i obezwładnił.

Anna kiwała się w przód i w tył, próbując zrozumieć to, co usłyszała.

— Ale ciągle nie wiadomo, czy Hank żyje, czy nie.

— Ci z drogówki wysłali tam najlepszych speców, Anno, współpracują z nimi agenci FBI. Maglują tego Coffera od wczoraj, od wczoraj próbują go złamać. Okazuje się, że to alkoholik, że cierpi na jakąś chorobę wątroby. Mamy szczęście, że nie wykorzystał, zanim go dorwaliśmy. Facet jest w kiepskim stanie.

Chciało jej się krzyczeć. Byli tak blisko i tak daleko zarazem — wciąż nie wiedzieli nic.

— Co teraz? — spytała.

— Popracują nad nim jeszcze trochę, a później przywiozą go tutaj. Będą musieli szybko udokumentować sprawę, bo Teksas natychmiast rozpocznie postępowanie ekstradycyjne.

A jeszcze niedawno Melanie oznajmiła jej, że człowiek, który do niej wydzwania, jest jej własnym mężem. Nie mogła uwierzyć w opowieść Tommy'ego. Jeśli okaże się, że to nieprawda, trafi do domu wariatów.

— Czy jest choć cień nadziei, że Hank zdołał uciec? Że żyje? Tommy, Melanie twierdzi, że to jego głos. Coś tu nie gra.

— Nadzieja jest zawsze, Anno, ale nie sądzę, żeby tak było. A skoro już pytasz o...

— Może jest ranny — przerwała mu, i jak to ona, z uporem kontynuowała wątek. — To by wyjaśniało te dziwne telefony. Mówi głosem Hanka, tylko tak jakoś... nielogicznie, i zawsze odkłada słuchawkę. A jeżeli ten Coffe uderzył Hanka w głowę i myśląc, że on nie żyje, zostawił go gdzieś i odjechał? Jeśli cios spowodował uszkodzenie mózgu, Hank może nie pamiętać, kim jest.

Reed objął ją i przytulił.

— Tak mi przykro, Anno. Ale przynajmniej mamy tego faceta. To chyba coś, prawda?

Wyrwała mu się z zaciśniętymi ustami.

— Nie. Nie pogodzę się z tym, dopóki nie odnajdą jego zwłok. Niewykluczone, że Hank żyje.

Wtedy zobaczyła, że w kuchennych drzwiach stoi Dawid. Twarz miał upiornie spopieliała, usta otwarte.

— Długo tu jesteś? — Serce waliło jej tak głośno, że ledwo siebie słyszała.

— On nie żyje — skonstatował z goryczą. — Tatuś nie żyje. Ten człowiek go zabił. To nieprawda, że miał wrócić. — Z oczu puściły mu się strumienie łez. — Ale przecież do mnie dzwonił. Jak mógł dzwonić, skoro nie żyje?

Anna i Tommy podeszli do chłopca.

— Dawid — rzekł z wahaniem Reed — istnieje cień szansy, że twój ojciec wciąż żyje. Byłbym nie w porządku, gdybym zaprzeczył, ale wkrótce poznamy prawdę.

— Kochanie — pocieszała go Anna, odgarniając mu włosy z czoła — to już nie-długo, to prawie koniec. Musimy jeszcze trochę wytrzymać i będziemy wiedzieli na pewno.

— On nie żyje — powtórzył apatycznie Dawid.

Anna i Tommy wymienili spojrzenia. Cóż mogli dodać? Dawid wreszcie zrozumiał.

Rozdział 20

W środę rano odwiozła syna do szkoły, a później, osłabiona i rozdygotana po ostatniej nocy, pojechała do sądu. Tommy został do późnego wieczora, a kilka minut po dziesiątej śledczy z Arizony powiadomili go, że na razie kończą robotę. Jak dotąd, Coffey się nie przyznał. Anna wiedziała, że zaraz po otrzymaniu nakazu rewizji przeszukają jego mieszkanie, z nadzieją na znalezienie nowych dowodów rzeczowych, jednak tymczasem musieli czekać — nic innego nie mogli zrobić.

Po wyjściu Reeda Anna siedziała z Dawidem do północy, przeglądając stare albumy fotograficzne, opowiadając mu szczegółowe historyjki o Hanku — te same, które nieraz mu opowiadała. Śmiali się razem i płakali, lecz czuła, że to konieczne. Dawid miał pogrzebać ojca. Chciała, żeby zachował o nim żywe wspomnienia.

Idąc przed dziedziniec sądu do kafejki na poranną kawę, Claudette ciągle potrącała Annę.

— Dlaczego zawsze to robisz? — warknęła Anna. Napięcie wprawiło ją w paskudny nastrój i wywołało pulsujący ból głowy. — Czy ty w ogóle zdajesz sobie z tego sprawę? Czy wiesz, jakie to irytujące?

— Co jest irytujące? Co ja takiego zrobiłam?

— Ilekroć gdzieś razem idziemy, ciągle na mnie wpadasz. Krzywo chodzisz, zygza-kujesz jak pijana.

— Dzięki, że mnie uświadomiłaś, złotko — odrzekła pogodnie Claudette, ale dostrzegłszy napięcie na twarzy Anny, spoważniała. — Powiedziałaś Tommy'emu, żeby zadzwonił do biura, jak tylko się czegoś dowie?

— Naturalnie.

— Cholera. To wszystko zaczyna być coraz bardziej niesamowite. Ta historia z Hankiem... Sprawdziłaś, co z Carlem Simmonsem?

— Gdy mnie postrzelono, siedział w więzieniu, ale zwolniono go tydzień później. Nie sądzę, żebyśmy mieli tu do czynienia z dwiema osobami, Claudette. Terroryzuje mnie ten sam człowiek, który do mnie strzelał. Noah Abrams wbił mi to do głowy.

— Sama nie wiem. Może Simmons tak to sobie wykombinował?

— Znaczy: jak?

— O ile dobrze pamiętam, to wykształcony facet. Może z niego wariat, ale głupi na pewno nie jest. Siedząc w pudle, mógł wynająć kogoś z zewnątrz i ten ktoś cię postrzelił, zapewniając Simmonsowi stuprocentowe alibi. Zamach nie udał się, bo żyjesz, więc Simmons zaczął polować na ciebie na własną rękę.

Z cienia wychynął jakiś mężczyzna.

— Anna Carlisle? — spytał. — Czy pani Anna Carlisle?

Claudette chwyciła ją za ramię i przyciągnęła do siebie.

— Czego pan chce? — rzuciła z trwogą w oczach.

Mężczyzna otaksował ją krótkim spojrzeniem i wręczył Annie jakiś dokument.

— Zechce pani pokwitować w miejscu, gdzie stoi krzyżyk.

Anna spojrzała na dokument, potem na przyjaciółkę.

— To tylko doręczyciel, Claudette. Dostałam wezwanie do sądu, pewnie od któregoś z obrońców prowadzących sprawy moich podopiecznych. — Naskrobała podpis, wetknęła papier do torebki i oddała pokwitowanie doręczycielowi. Chwycił je i spiesznie odszedł w poszukiwaniu następnego klienta.

Anna pociągnęła za klamkę ciężkich drzwi prowadzących do głównego gmachu sądu. Claudette nalegała na kawę, a kiedy Claudette nalegała, lepiej było tę kawę wypić.

— Nawet na to nie zerkniesz? — spytała zaintrygowana.

— Nie — odrzekła Anna, myśląc o czymś innym. — Później.

Claudette przystanęła pośrodku holu, otoczona strumieniem ludzi wchodzących do sądu. Miała w oczach coś, co mówiło, że musi natychmiast zaspokoić ciekawość.

— Daj spokój. Dlaczego nie przeczytasz tego od razu? Zobaczmy, co to za sprawa.

— Nie, Claudette — odrzekła Anna i nie oglądając się za siebie, ruszyła naprzód.

Usłyszała szybki tupot nóg, Claudette dogoniła ją, przy okazji znów ją potrąciła, a gdy zrównały krok, spytała:

— Ale potem mi powiesz, co? Po kawie, tak?

— Może — odrzekła Anna z chłodnym uśmiechem. — Ty stawiasz.

— Ja stawiam — odwarknęła Claudette. — Stawiam tę cholerną kawę. Nawet pączka ci kupię.

Staneły w kolejce. Anna rozejrzała się w poszukiwaniu Glena.

— A co z tym Delvecchiem? — spytała Claudette, gdy usiadły przy kawie. — O ile pamiętam, mówiłaś, że masz coś nowego.

Anna zakrztusiła się, słysząc nazwisko Delvecchia.

— Muszę porozmawiać z Glenem — wychrypiała odchrząknąwszy. — W akcie oskarżenia jest coś, czego nie rozumiem.

— Zajmiemy się tym. Jest werdykt, musimy przedstawić sędziemu raport.

W kawiarni panował tłok i hałas. Adwokaci naradzali się ze sobą, dyskutowali przy kawie o aktualnie rozpoznawanych sprawach. Inni siedzieli samotnie, przeglądając notatki w pękaty, rozłożonych przed nimi aktach. Tu i tam sączyły kawę szkaradne, mocno wytatuowane typy — oskarżeni czekający na wezwanie do sali rozpraw. Przy stoliku, obok wybitnie paskudnego osobnika, siedziała spora grupa ludzi, w których Anna rozpoznała zastępców prokuratora okręgowego.

Nachyliła się do Claudette i szepnęła:

— Spójrz. Wszyscy razem w jednym gmachu. Nie uważasz, że to niebezpieczne?

— Nie. — Claudette wbiła widelczyk w drożdżówkę i podsunęła ją pod nos Annie.

— Weź gryzą. Miałas zamówić sobie pączka. Przytyłam cztery i pół kilo. Boże, i jak ja mam to zrzucić?

Anna odepchnęła jej rękę.

— Nie jestem głodna. Widzisz tego faceta siedzącego obok stolika prokuratorów?

Claudette obróciła głowę.

— Widzę. No i co? Wygląda na mordercę.

— Co go powstrzymuje od wyciągnięcia rewolweru i wpakowania im kuli w łeb? Skąd wiadomo, czy jeden z nich nie jest jego oskarżycielem?

Claudette przeżuwała ostatni kęs drożdżówki. Połknęła to, co przeżuła, i otarła usta serwetką.

— Masz obsesję. Nawet w starym budynku podsądni i prokuratorzy przebywali razem. To nieuniknione, skoro w pobliżu sądu jest bar otwarty dla wszystkich.

Anna wiedziała, że przyjaciółka ma rację. Mimo to wciąż uważała, że to zbyt niebezpieczne, zbyt prowokujące. Dookoła widziała same okrutne twarze.

— Spójrz na tamtego — szepnęła, zanim zdążyła pomyśleć. — Milutki, co? Wygląda na takiego, co to chętnie wyrwałby ci serce i zjadł je na śniadanie.

Claudette parsknęła śmiechem.

— Przecież to prokurator, Anno.

— A widzisz? Mówiłam, że to groźny typ. — Zawtórowała jej śmiechem i natrętne myśli pierzchły.

— No? Otwórz to wezwanie.

Anna wykrzywiła usta w mimowolnym uśmiechu — Claudette po prostu nie mogła dłużej wytrzymać. Wyjęła papier z torebki i odsunawszy filiżankę z kawą, rozłożyła go na stoliku.

— Cholera jasna, to od Sawyera! — wykrzyknęła z płonąca gniewem twarzą. — Podaje mnie do sądu za bezprawne aresztowanie, zniesławienie i nachodzenie.

— No, nie — mruknęła Claudette. Ilekroć podawano do sądu podległych jej pracowników, dostawała furii. Była ich przełożoną i zawsze brała na siebie całą odpowiedzialność. — Mówiłam ci, że to ten Sawyer. Ale teraz wiemy już na pewno, że to on. To oczywiste. Ten człowiek zrobi wszystko, absolutnie wszystko, żeby tylko nie pójść do pierdła. Oślizgły padalec.

Zaspokoiwszy ciekawość, wróciła myślą do spraw bieżących.

— Sawyerem zajmiesz się później — poradziła wstając. — Teraz weź na tapetę Delvecchia.

Po wyjściu z kawiarenki, zamiast wrócić do wydziału kuratorskiego, Anna pojechała windą na trzecie piętro, gdzie mieściło się biuro prokuratora okręgowego. Uważała, że Glen powinien wnieść o ponowne rozpatrzenie sprawy i zrobić wszystko, co możliwe, żeby oczyścić Delvecchia z zarzutów. Naturalnie wiedziała, że łączy się z tym poważny problem: skoro Randy jest niewinny, prawdziwy gwałciciel wciąż przebywa na wolności.

Gdy zabręczały elektronicznie otwierane drzwi i strażnik wpuścił ją do środka, w korytarzu zobaczyła roześmianego od ucha do ucha Glena, pogrążonego w rozmowie z piękną brunetką.

— Anno! — wykrzyknął, odrywając się od ściany. — Co ty tu robisz?

— Do zobaczenia na lunchu — zaszczębiotała zalotnie brunetka i odeszła.

— Znasz Lindę Weinstein? — spytał Hopkins z wymuszonym uśmiechem. — Pracuje w wydziale przestępstw seksualnych. Początkowo zajmowała się Delvecchciem, ale przekonałem ją, że bardzo mi na tej sprawie zależy, i zgodziła się ją odstąpić.

Anna poczuła ukłucie zazdrości. Linda Weinstein — długie włosy, elegancki niebieski kostium, wypielęgnowane paznokcie — należała do kobiet olśniewających. Paznokcie Anny były nierówne i nie polakierowane, a rano narzuciła na siebie to, co leżało na wierzchu: białą bluzkę z wytartym kołnierzykiem i prostą czarną spódnicę. Do tego jeszcze te znoszone buciki na płaskim obcasie — wyglądała jak nauczycielka.

— Właściwie dlaczego tak ci na tym zależy? — spytała. — Rozumiem, to ohydna zbrodnia, ale przecież masz tyle innych spraw. Zawsze narzekasz, że jesteś przepracowany.

— No, cóż... — Urwał, zerkając nerwowo przez ramię.

— Glen...

— Tak? — Wziął Annę za rękę, chcąc zaprowadzić ją do gabinetu.

Ani drgnęła.

— Czy Estella Summer rzeczywiście była twoją nauczycielką? Do jakiej szkoły chodziłeś?

— Tak — burknął. — Porozmawiamy w gabinecie.

Widziała, że z jakiegoś powodu jest na nią zły, wytrącony z równowagi i rozdrażniony. Cóż takiego powiedziała? Przecież pytała go o toczącą się sprawę, o nic więcej. Czyżby był zły, że nakryła go, jak podrywa tę Weinstein?

Ścisnął jej dłoń jeszcze mocniej i pociągnął w stronę gabinetu. Wyrwała się, ale tuż przedtem wyczuła na jego nadgarstku coś szorstkiego. Szybko chwyciła go za prawą rękę, uniosła ją, żeby zobaczyć, co to jest, i ujrzała nierówną, wystrzępioną i pokrytą strupami ranę po skaleczeniu.

— Co to takiego?

— Nic — syknął przez zaciśnięte zęby. — Co ci jest? Czuję się przy tobie jak łajdak, jakbym za twoimi plecami miał romans z tą Weinstein. A ja z nią tylko rozmawiałem, przecież to moja koleżanka. — Jego oczy zionęły złością. — Wariujesz przez te telefony. Potrzebna ci pomoc lekarza. Idź do psychiatry albo co.

Annę zamurowało. A więc to jednak prawda, pomyślała, na pewno spotyka się z tą kobietą. Gdyby nie czuł się przyłapany, nie byłby taki zadziorny, taki brutalny. Chciała mu powiedzieć o Hanku, chciała mu powiedzieć, że już prawie wszystko wiadomo, ale nie mogła. Ogarnął ją instynktowny, irracjonalny strach. Nie będąc w stanie oderwać oczu od Glena, pokręciła głową. Dlaczego tak na nią patrzył? Co jej powiedział? Kim naprawdę był?

Wiedziała, że nie wytrzyma z nim ani sekundy dłużej.

— Muszę... muszę iść — wyjąkała i rozpychając po drodze ludzi, ruszyła spieszenie do drzwi. Wyszła na korytarz i zaczęła biec. Biegła, pędziła przed siebie, aż zobaczyła toaletę. Wpadła do środka.

Wyszła stamtąd kwadrans później, nie przestając myśleć o skaleczeniu na rękę Glena. Nagle usłyszała, jak przez głośniki wywołują jej nazwisko. Wróciła do biura i podniosła słuchawkę telefonu.

— Mam dla ciebie wiadomości — powiedziała Melanie Chase. — Próbowałam dozwonić się do Reeda, ale numer jest ciągle zajęty. Przepraszam, że tak długo to trwało, ale mamy tu prawdziwy dom wariatów.

— Mów — odrzekła przerażona Anna, przeczuwając najgorsze.

— Skończyłam analizę odprysków lakieru zebranych z wozu potrąconego naprzeciwko twego domu. Uderzył go czarny samochód, Anno, prawdopodobnie rolls-royce. To było stosunkowo proste. Tylko Rolls-Royce używa takich mas uszczelniających. Rolls i Bentley. Lakier pochodzi z jednego wozu albo z drugiego.

Anna opadła na krzesło, nie wierząc własnym uszom.

— Rolls-royce?

Jesteś pewna, że lakier pochodzi z czarnego rolls-royce'a?

— Nie — odrzekła stanowczo Melanie. — Tego nie powiedziałam. Powiedziałam, że lakier może pochodzić albo z rolls-royce'a, albo z bentleya. Oba samochody są produkowane w tej samej fabryce, więc albo-albo.

Oczyrna duszy ujrzała czarny samochód Glena. Rolls. Uwielbiał go, był z niego taki dumny. Ściany zawirowały wokół niej, jakby przepierzenie miało się zaraz przewrócić. I nagle Annę olśniło.

— Zaczekaj, nie odkładaj słuchawki! — poprosiła rozgorączkowana. — Mówiłaś, że ten człowiek się skaleczył, ten mężczyzna, który włamał się do mojego domu, tak? O co się skaleczył? Gdzie?

— No, nie. Ty mnie o to pytasz? — mruknęła rozdrażniona. Pstryknęła zapalniczką, zaciągnęła się i wypuściła dym. — A skąd mam, do diabła, wiedzieć? Przecież nie widziałam faceta na oczy. Kurde, wszyscy myślą, że ze mnie jakaś cudotwórczyni.

— Myślałam, że...

— Przepraszam — dodała Melanie łagodniejszym głosem. — Mam za sobą kilka parszywych dni.

Nawet jeśli samo skaleczenie niczego nie dowodziło, Glen był zbudowany identycznie jak mężczyzna, który zaatakował ją w domu. I rozpoznała jego oczy!

Maska! Podczas konfrontacji wyłowiono Delvecchia z rzędu mężczyzn w maskach! Randy twierdził, że człowiek, od którego dostał płaszcz, prowadził czarny samochód. Nie rozpoznał marki, ale pamiętał, że wóz był wielki, pudełkowaty, jak... rolls-royce.

— Zatrzymaliście włosy łonowe znalezione na ciele ofiary gwałtu? Mówiłaś, że je macie.

— Nooo... oczywiście — odrzekła zaskoczona Melanie. — Ale myślałam, że rozmawiamy o włamaniu do twego domu.

— Bo rozmawiamy — odrzekła Anna, nie mogąc złapać tchu. Czuli się tak, jakby jej pierś oplótł boa dusiciel i powoli wyciskał z niej życie. Bo to Glen ją napadł. To Glen zgwałcił i brutalnie pohańbił trzy bezbronne staruszki. Jak to możliwe? Przecież nie miał ku temu żadnego powodu. I po co miałby jechać na włamanie samochodem tak rzucającym się w oczy jak rolls-royce? To głupi błąd, a Glen głupcem nie był. Poza tym miał motocykl. I nagle przypomniała sobie, że w noc włamania szalała burza, że lało jak z cebra. Tak, teraz wszystko pasowało.

Lecz w dalszym ciągu niczego nie tłumaczyło. Glen Hopkins był atrakcyjnym mężczyzną, więc po co miałby kogoś gwałcić? Błąd w rozumowaniu. Wiedziała, że gwałt nie ma nic wspólnego z seksem. Gwałt to przejaw agresji, nienawiści i przemocy.

Pożegnała się z Melanie, odłożyła słuchawkę i wsparła głowę na blacie biurka. Musiała zachować spokój, musiała myśleć logicznie. Delvecchio nie rozpoznał samo-

chodu, ale gdyby pokazać mu zdjęcie wozu Glena, mógłby coś sobie przypomnieć. Rolls miał uszkodzoną karoserię. Na pewno. Hopkins był za sprytny, żeby oddawać samochód do blacharza zaraz po dokonaniu przestępstwa. Chciał odczekać, aż sprawa przycichnie.

Raptem ktoś ścisnął ją mocno za ramię. Poderwała głowę.

— Anno — powiedział łagodnie Glen. — Pokłóciliśmy się, przepraszam. Linda i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Chciałem zaprosić ją na lunch, żeby podziękować za Delvecchia. Wpadłem w złość, bo mi nie uwierzyłaś.

— Nic nie szkodzi — odrzekła z wymuszonym uśmiechem. Przez bluzkę czuła jego gorącą dłoń. Chciała tę dłoń odtrącić, ale nie mogła okazać po sobie strachu. Jeśli Glen jest gwałcicielem, natychmiast by to wykorzystał: żywiłby się jej przerażeniem, chętna byłaby je jak pies, jej strach dodałby mu siły. — To przez te telefony. Doprowadzają mnie do szału.

— Pytałaś o to skaleczenie. — Podciągnął rękaw. — To tylko zadrapanie. Naprawiałem wczoraj motocykl i musiałem zahaczyć o coś ręką. Szczerze mówiąc, gdyby nie ty, pewnie bym tego nie zauważył.

Anna ujęła go za nadgarstek. Rana miała nierówne, wystrzępione brzegi. Nie ulegało wątpliwości, że mógł się skaleczyć kawałkiem szkła. Czy wiedział, że ona już wie? Czując, jak drgają jej mięśnie szyi, puściła jego rękę.

— Chciałam ci tylko doradzić, żebyś zakleił to plastrem. — Westchnęła, udając, że o nic więcej jej nie chodziło. — Odezwała się we mnie dobra mama, to wszystko. Zawsze bałam się infekcji.

Roześmiał się, odzyskując pewność siebie.

— Jak tam Dawid?

— Świetnie. Wszystko by grało, gdyby nie te telefony. Nie mogę dojść, kto do mnie wydzwaniania.

— Wyrwiesz się dzisiaj wieczorkiem? — Puścił do niej oko. — Tylko na parę godzin. Zobaczysz, postaram się.

Pokręciła głową.

— Nie, nie, naprawdę nie mogę, Glen. Obiecałam Dawidowi, że zabiorę go do kina. Momentalnie wzmógł czujność.

— W środku tygodnia? Nie idzie jutro do szkoły?

— Pójdziemy na wczesny seans — wyjaśniła szybko. — Glen, przepraszam cię, ale mam zaraz spotkanie. Wiesz, podopieczni wzywają.

— Nie ma sprawy. — Wstał i pieszczotliwym gestem rozczochrał jej włosy. — Zadzwoń później, dobra?

— Jasne. — Wstrzymała oddech, czekając, aż jego kroki ucichną na korytarzu. Jak można być człowiekiem tak okrutnym, tak bezlitosnym? Jak mogła się w nim zakochać? Czyżby tak kiepsko znała się na ludziach? I co teraz?

Teraz rolls — zdecydowała.

Było późne popołudnie, a Tommy Reed wciąż nie dzwonił. Anna odchodziła od zmysłów. Ukuła pewien plan — chciała zweryfikować swoje podejrzenia w stosunku do Glena — ale nie mogła wyjść z pracy przed rozmową z Reedem, bo Reed miał jej przekazać najświeższe wiadomości na temat Hanka. Wreszcie, o piątej, zadzwonił telefon.

— Przyznał się — oznajmił Tommy. — Już po wszystkim, Anno.

Zasłoniła usta ręką, nie będąc w stanie wyartykułować zrozumiałej odpowiedzi.

— Śledczy z drogówki powiedzieli mi, że w mieszkaniu Coffera znaleźli odznakę służbową Hanka. Gdy mu ją pokazali, przyznał się do zabójstwa. Wiedział, że to już koniec. Wolał odpowiadać za morderstwo w Kalifornii niż wrócić do Teksasu. Tamtejszy wymiar sprawiedliwości jest znacznie surowszy od naszego. Groziłaby mu kara śmierci.

— Powiedział... Wskazał miejsce, gdzie go pogrzebał?

— Już tam jadą.

Ogarnęła ją fala olbrzymiej ulgi.

— W takim razie to chyba naprawdę koniec.

— Tak, Anno — odrzekł łagodnie Reed. — To naprawdę koniec.

O siódmej wyciągnęła się na łóżku w sypialni. Dawid przyjął wiadomość znacznie lepiej, niż oczekiwała. Podobnie jak ona odczuła ulgę, że w końcu poznał prawdę.

Zadzwonił telefon. Sięgnęła po słuchawkę, myśląc, że to Reed, bo miał ją zawiadomić, o której przylatuje samolot z Arizony. Znaleźli zwłoki Hanka i mieli je nazajutrz przetransportować. Powiedziała Dawidowi, że będzie pogrzeb, że trzeba wszystko przygotować.

— Anno? Jak się podobał film? Na czym byliście?

Glen.

Nie dała się zaskoczyć.

— Nie poszliśmy. Dawid źle się czuje. — Spokojnie, szeptała w duchu, tylko spokojnie. — Co słychać?

— Siedzę tu sam jak palec i dumam. Tęsknię za tobą, Anno. Nie mogłabyś do mnie wpaść, kiedy Dawid pójdzie spać? Od rana czuję wyrzuty sumienia. — Roześmiał się. — Czy to nasza pierwsza kłótnia?

Pierwsza i ostatnia — pomyślała z goryczą.

— Chyba tak. Czasami to nieuniknione. Słuchaj, mam pomysł. Spotkajmy się w Sail Loft. Za pół godziny Dawid powinien już spać. Co ty na to?

— Super. Nie masz pojęcia, jak mi ulżyło. Nie cierpię kłótni z ludźmi, których kocham.

On ją kocha? Nigdy dotąd tego nie mówił. Nie mogła się oprzeć pokusie.

— Naprawdę mnie kochasz, Glen? — spytała.

— Myślę, że zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

Wzruszające — pomyślała i wykrzesawszy z siebie całą namiętność, na jaką ją było stać, odrzekła:

— Do zobaczenia. Jak się spotkamy, powiesz mi więcej.

— Będę czekał.

Odłożyła słuchawkę, czując w brzuchu lodowatą kulę wściekłości. Przez Glena nie mogła znaleźć chwili czasu na refleksję, nie mogła spokojnie pomyśleć o śmierci Hanka, pocieszyć syna ani zorganizować pogrzebu.

Musiała działać szybko.

Powiedziała Dawidowi, że musi wyjść — niby do zakładu pogrzebowego — i zapukała do drzwi furgonetki tych od nasłuchu. Po chwili drzwi się otworzyły i wychynał zza nich olbrzym z obwisłą szczęką. Oscar Chapa miał pięćdziesiąt parę lat. Mówiono, że jest rodowitym Siuksem. Poruszał się leniwie, mówił powoli. Natura obdarzyła go taką twarzą, że w ciemnej uliczce mógł wystraszyć człowieka na śmierć, lecz jego wygląd był zwodniczy — Anna nie spotkała łagodniejszego człowieka niż on.

— Oscar, czy możesz zostać w domu z Dawidem? Muszę na kilka godzin wyjść i nie chcę zostawiać go samego.

— Naturalnie.

Zaparkowała i zbierając się na odwagę, wbiła wzrok w dom Hopkinsa. Musiała tam wejść. W domu paliło się światło, ale wiedziała, że Glen czeka na nią w Sail Loft.

Podeszła do drzwi, na wszelki wypadek zadzwoniła i wytarła zwilgotniałe dłoń o spodnie. Minuty wlokły się jak godziny. Cisza. Spokój. Nigdy w życiu nie złamała prawa. Nigdy. Tak, jako mała dziewczynka ukradła koleżance zabawkę, ale to wszystko. Ojciec złożył jej tyłek tak mocno, że przez tydzień nie mogła usiąść. To zadecydowało, że nigdy potem nie wyciągnęła ręki po cudzą własność.

Teraz jednak sytuacja była inna. Gdyby włamała się do domu Glena, popełniłaby prawdziwe przestępstwo. Puf! — jej kariera zawodowa rozwiałyby się jak dymek na wietrze. Wewnętrzny głos radził jej odejść stamtąd, zawiadomić o wszystkim Tommy'ego i pozwolić mu doprowadzić rzecz do końca.

Lecz inny głos mówił: „Teraz albo nigdy”. Nie mogła zrezygnować. Nie, ilekroć stawką w grze było ludzkie życie, nigdy nie uległa strachowi, bez względu na to, jakie niebezpieczeństwa w tej grze czyhały. A w tej rozgrywce stawką mogło być jej życie.

Podjęła decyzję.

Obeszła dom mocno pochylona, skulona, żeby nie zauważyli jej sąsiedzi, bo mogliby wezwać policję. Glen kazał zainstalować w domu system alarmowy, lecz nie znała

kodu, co oznaczało, że gdyby otworzyła okno lub drzwi, w centrali firmy ochroniarskiej natychmiast rozbrzęczałyby się dzwonki. Lecz kiedyś była policjantką i wiedziała, że zanimby zareagowali, upłynęłoby sporo czasu. W okolicy, gdzie mieszkał Glen, nie wolno było używać alarmów dźwiękowych. Zbyt często uruchamiał je wiatr, kaprysy pogody czy nawet koty — policja przyjeżdżała niepotrzebnie, a mieszkańcy podnosili raban, bo syreny alarmowe wyły dopóty, dopóki ktoś ich wreszcie nie wyłączył.

Wejdzie do domu, znajdzie co trzeba i ucieknie, zanim policja dostanie meldunek o włamaniu, bo ci z firmy ochroniarskiej najpierw powiadomią swój wóz patrolowy, a wóz może być na drugim końcu miasta. Policję wzywali tylko wtedy, gdy zauważyli ślady wtargnięcia przy użyciu siły.

Pomyślała o swoim samochodzie zaparkowanym na ulicy i doszła do wniosku, że to największa głupota. Wróciła, uruchomiła silnik, skręciła w boczną uliczkę i zatrzymała wóz za rogiem. Wysiadła i otworzyła bagażnik, żeby poszukać w nim czegoś, co mogłaby na siebie narzucić, jakiegoś prymitywnego przebrania, na wypadek, gdyby ją ktoś zauważył. Garaż znajdował się z drugiej strony domu. Gdyby Glen niespodziewanie wrócił, wszedłby właśnie przez garaż. Dlatego musiała włamać się od podwórza, bo wówczas zauważyłaby go i zdążyłaby uciec. Znalazła starą wiatrówkę, którą minionego lata nosiła na plaży, i nałożyła ją. Na dnie bagażnika zobaczyła polaroid. Szybko sprawdziła magazynek i okazało się, że filmu starczy na cztery zdjęcia. Na koniec wyjęła spory kamień, który specjalnie z sobą przywiozła.

Wróciła do domu Glena i sprawdziła wszystkie okna od ulicy — były zamknięte. Chyłkiem weszła na podwórze i tam poczuła się bezpieczniej, bo otaczał je wysoki palisadowy płot. Zdjęła wiatrówkę, owinęła nią sobie rękę i szybko wybiła szybę kamieniem. Dźwignęła drewnianą ramę i weszła do środka, uważając, żeby nie poharatać się szkłem. Wiedziała, że w tej samej chwili w centrali firmy ochroniarskiej zabrzączał sygnał. Musiała działać szybko.

Przebiegła przez sypialnię i wpadła do łazienki. Znalazła szczotkę do włosów, schowała ją do kieszeni i na wszelki wypadek zaczęła szukać grzebienia. Nie znalazła, a czas uciekał. Idąc korytarzem, minęła otwarte drzwi do pokoju, którego nigdy dotąd nie widziała, bo ilekroć odwiedzała Glena, pokój był zamknięty.

Weszła do środka. Gabinet. Liczne dyplomy, oprawione fotografie. W rogu — biurko. Całą przeciwległą ścianę zajmowała wielka półka na broń. Jej uwagę przykuły zdjęcia. Na jednym z nich zobaczyła małego Glena. Ścisnął w rączkach olbrzymią strzelbę. Inne pokazywało Glena w wieku dziesięciu-dwunastu lat. Zrobiono je na targowisku: Glen stał obok ładnego cielaczka, pewnie jego ulubieńca, i miał łzy w oczach. Czyżby zamierzali sprzedać cielaczka na rzeź? Zobaczyła też fotografię Glena z matką, kobietą o surowym wyrazie twarzy. Musiał być bardzo wrażliwym dzieckiem i mieć silnie dominującą matkę — przemknęło jej przez myśl. Czy właśnie dlatego dopuszczał się gwałtów?

Następne zdjęcie było zdjęciem grupowym i pokazywało uczniów ostatniej klasy szkoły średniej w Boulder. Rozpoznała wśród nich twarz Glena. A więc kłamał, kłamał, że Estella Summer była jego nauczycielką angielskiego — pomyślała, zdejmując fotografię ze ściany, żeby ją z sobą zabrać. Nie mogła go uczyć, bo chociaż chodził do kole-dżu w Berkeley, szkołę średnią skończył w Kolorado. Kłamstwa, same kłamstwa. Glen Hopkins to ucieleśnienie łgarstwa.

Dom był spokojny i śmiertelnie cichy.

Błyskawicznie przejrzała dokumenty leżące na biurku. Prawie same rachunki. Otworzyła szufladę. Gdy zaczęła w niej grzebać, usłyszała cichy brzęk — z jednej z ko-pert coś wypadło. Srebrny amulet z medalionikami. Chwyciła go i spostrzegła wygra-werowny napis: *Babuni od Billy'ego*. I data: 1965. Wepchnęła amulet do kieszeni spodni. Na pewno należał do którejś ofiary gwałtu. Wiedząc, że musi wrócić do garażu i jak naj-szybciej stamtąd uciec, podbiegła do półki z bronią.

Strzelby, karabiny wojskowe dużej mocy, wyposażone w celowniki optyczne, pisto-lety i rewolwery. Ani razu nie wspomniał, że kolekcjonuje broń. Oczywiście wiedział, że Anna jej nienawidzi. Ten z celownikiem — pomyślała, z trudem chwytając oddech. Z tego karabinu do niej strzelał? Zabrać go?

Nie, miała coraz mniej czasu. Poza tym, gdyby strzelał do niej z karabinu wyposa-żonego w celownik optyczny, już dawno by nie żyła. Lada chwila mógł wrócić, lada chwila mogły nadjechać radiowozy na sygnale, lada chwila mogła zostać aresztowana. Musiała uciekać, i to natychmiast. Rzuciła fotografię przedstawiającą ostatnią klasę szkoły śred-niej Glena i pobiegła do garażu.

Był tam, stał przykryty płóciennym pokrowcem: czarny rolls-royce rocznik siedem-dziesiąt dziewięć. Glen pojechał na spotkanie motocyklem, bo harley zniknął. Zdarła pokrowiec, od razu zauważyła wgniecenie w przedniej części karoserii i zaczęła robić zdjęcia. Wypstrykała wszystkie cztery, żeby jak najdokładniej obfotografować uszko-dzenie. Czowała, że zostało jej bardzo mało czasu.

Gotowe zdjęcia wsunęła do tylnej kieszeni spodni i właśnie miała wyjść, gdy wtem drzwi garażu otworzyły się. Serce jej załomotało — zobaczyła motocykl skręcający na podjazd. Szybko rzuciła polaroid za stertę sprzętu narciarskiego, przykryła go wiatró-wką, przyglądała włosy i spróbowała uspokoić oddech. Co mu powie? Jak się wytłuma-czy? Boże, przecież od razu ją zabije. Tu, na miejscu.

— Anna? — Zatrzymał motocykl, zdjął kask i otaksował ją mrocznym spojrzeniem.
— Co tu robisz? Czekałem na ciebie w Sail Loft.

— Glen, tak się cieszę, że nareszcie jesteś. Kilka przecznic stąd zabrakło mi benzy-ny. Nigdzie nie było budki telefonicznej, więc postanowiłam przyjść i sprawdzić, czy nie wróciłeś. — Mówiła tak szybko, że słowa zlewały się. Musiała zwolnić, choćby na siłę, musiała się stamtąd wydostać, musiała uciec. — Przyszłam i zobaczyłam wybite okno. Pomyślałam, że coś sobie zrobiłeś, że może jesteś ranny, i weszłam do środka, a przed chwilą zajrzałam tu, do garażu, żeby sprawdzić, czy jest samochód i...

Wciąż siedział na motocyklu. Dłonie trzymał na kierownicy. Zwierały się kurczowo i rozwierały.

— Pieprzysz — wysyczał wściekle.

Anna cofnęła się, rozglądając się po garażu. Blokował jej drogę, drzwiami uciec nie mogła. Nikt nie wiedział, że tu przyszła, i gdyby wbiegła do domu, dopadłby ją i zabił.

Palce. Jak mogła zapomnieć o tych koszmarnych palcach? To też jego sprawka? Wrobił Delvecchia. Sawyera też? Zaszlachtował jakąś Bogu ducha winną kobietę, obciął jej palce i podrzucił je Jimmy'emu? Chryste, sypiała z potworem.

Szedł w jej stronę. Zacisnęła zęby i nie ruszyła się z miejsca. Im bliższy kontakt z przeciwnikiem, tym większa szansa na jego obezwładnienie i na skuteczną obronę. Niech podejdzie — myślała napinając mięśnie. Ćwiczy podnoszenie ciężarów, ale w samoobronie jest kiepski.

— Dlaczego mi to robisz? — spytał, owiewając jej twarz gorącym oddechem. — Jesteś taka sama jak inni.

— Nie, Glen — błagała, dając mu to, czego w tej chwili pragnął. — Nie rób mi krzywdy. Proszę, nie rób mi krzywdy. — Zobaczył w jej twarzy strach, zadarł głowę i oczy mu zmętniały.

Pijany jej przerażeniem, na moment opuścił gardę. Teraz albo nigdy. Położyła mu ręce na ramionach, przyciągnęła go bliżej, jakby zamierzała się do niego przytulić, i potężnym wyrzutem kolana grzmotnęła go w krocze.

— Kurwa mać! — wrzasnął, wykrzywiając z bólu twarz i zwijając się wpół. Upadł. Podkurczył kolana i przycisnął je do piersi.

Anna odskoczyła w bok. Błyskawicznie chwyciła wiatrówkę, aparat fotograficzny i popędziła w stronę ulicy, słysząc, jak Glen miota za nią przekleństwa i dzwiga się niezdarnie z ziemi. Z kieszeni wypadła jej szczotka. Trzasnęła o beton i Glen przystanął, żeby ją podnieść. Był tuż-tuż, ledwie o metr za nią. Odpuść sobie — podszeptował wewnętrzny głos. Nie, szczotki nie mogła sobie odpuścić. Musiała mieć dowód. Dlatego ryzykowała życie. Wiedziała, że trzeba wrócić.

W chwili gdy palce Glena zaciskały się na uchwycie szczotki, nastąpiła mu na dłoń, przygwoździła ją do betonu całym ciężarem ciała i wyrwała mu szczotkę z ręki. Gdyby miała przy sobie berettę, już by nie żył: zastrzeliłaby go bez sekundy namysłu. Spotkali się oczyma i spostrzegła, że role się odwróciły: to on był teraz przerażony, to on był bezbronny. Nie cofnęła stopy.

— Nie zbliżaj się do mnie — plunęła mu w twarz — bo rozpieprzę ci łeb.

Wolną ręką próbował złapać ją za kostkę u nogi, lecz Anna była szybsza. Przecięła podjazd, wypadła na ulicę i skręciła za róg. Wskoczyła do samochodu, uruchomiła silnik, wcisnęła pedał gazu i odjechała. Po drodze minęła radiowóz, zmierzający w stronę domu Glena.

Rozdział 21

— Muszę się widzieć z Melanie. Natychmiast! — Była w laboratorium. Waliła pięściami o kontuar i wrzeszczała na Alexa. — To pilne!

— Anna? — W rogu stanęła zdumiona Melanie. — Wejdz. Co się dzieje? Wyglądasz koszmarnie.

Anna przeszła spojrzeniem Alexa, odwróciła głowę i próbowała się uspokoić.

— Czuję się jeszcze gorzej — mruknęła, przyglądając włosy. Weszły do laboratorium. Gdy Melanie usiadła na taborecie, Anna wręczyła jej szczotkę. — Musisz obejrzyć te włosy i porównać je z włosami łonowymi znalezionymi na ciele ofiar Delvecchia.

— Co się stało? — spytała głęboko zatroskana Melanie. Trąciła nogą stołek obok, dając Annie do zrozumienia, żeby usiadła. — Nie kiwnę palcem, dopóki nie powiesz, o co chodzi.

Anna opowiedziała jej o wszystkim, co odkryła. W tym stanie wołała rozmawiać z kobietą niż tłumaczyć się przed mężczyzną.

— A ja z nim spałam — wyrzucała sobie, skończywszy relację. Załamała ręce. — Jak mogłam być taka głupia? Dlaczego nic nie widziałam, nic nie wyczułam?

Melanie zsunęła się ze stołka i objęła ją.

— Kochanie, wszyscy mężczyźni to żałosne dupki. Wszyscy oprócz niego, bo jemu do mężczyzny daleko.

— Ale dlaczego? — spytała Anna, roztrzęsiona. — Dlaczego do mnie strzelał? Dlaczego mnie napadł? Nie rozumiem tego. Gdybym rozumiała...

— To gwałciiciel, Anno — odparła Melanie głosem spiętym i skrzekliwym. Oczy jej płonęły. — On czerpie przyjemność z widoku cierpiących kobiet, ten widok go podnieca. Chory sukinsyn. Głowę daję, że gdyby było inaczej, nie mógłby się z tobą kochać.

Anna wciąż nie mogła tego pojąć.

— Przecież widywałam go, zanim to się zaczęło. Sypialiśmy z sobą. Wtedy się nie bałam i naprawdę nie miał z tym żadnych problemów.

Nagle przypomniała sobie jego ciągotki do uprawiania seksu w miejscach publicznych, do ryzyka, że ktoś go na tym nakryje. To, co wydawało się wówczas podniecające, teraz go zdradzało. Gdy opowiedziała o tym Melanie, laborantka usiadła wygodniej, przypaliła papierosa, odłożyła go do popielniczki i zacisnęła wściekle usta.

— Już wtedy byłaś ofiarą, Anno — rzekła. — Przykro mi o tym mówić i, broń Boże, nie zrozum mnie źle, ale słowo „ofiara” miałaś wypisane na czole. — Machnęła ręką, rozpraszając dym. — Hank...

Anna poczuła ssanie w żołądku. Czyżby Melanie wiedziała, że Hank ją bił? Czyżby wszyscy o tym wiedzieli?

— Chcesz powiedzieć, że to dlatego Glen zaczął się ze mną spotykać?

— Prawdopodobnie. — Melanie zaciągnęła się szybko i znów odłożyła papierosa do popielniczki. — Naznaczyło cię zniknięcie Hanka. — Nagle przyszło jej do głowy coś innego. — Powiedz mi: w jaki sposób przydzielają u was sprawy?

— Nie rozumiem...

— Czy punkt przełomowy całej historii nie nastąpił przypadkiem wtedy, gdy Hopkins dowiedział się, że przydzielono ci sprawę Delvecchia?

Anna sięgnęła pamięcią wstecz. W dniu, kiedy ją postrzelono, wspomniała Glenowi, że kazano jej przygotować bingotabelę dla sędziego, ale już przedtem miała na tapecie raport w sprawie pogwałcenia warunków dozoru.

— Przydzielają mi sprawy z dużą liczbą zarzutów. Glen o tym wie. Tylko ja daję sobie radę z bingotabelą. Ale nadal nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że strzelał do mnie, bo bał się, że odkryję prawdę?

— To możliwe, ale chyba nie dlatego — odrzekła zamyślona. — Nie, wprost przeciwnie. Fakt, że przydzielili ci sprawę Delvecchia, bardzo go podekscytował, podniecił go seksualnie. Takie typy gwałcą nie tylko dlatego, że odczuwają chęć podporządkowania sobie innych, ale i dlatego, że kochają ryzyko związane z gwałtem. To śmiertelnie niebezpieczna gra i Glen z lubością w nią grał. Nie, on nie jest zwykłym gwałcicielem.

— W jakim sensie? — spytała zaskoczona Anna. Niektóre z teorii, jakie wygłaszał psycholog Dawida, były więcej niż chybione.

Melanie wbiła wzrok w punkt nad głową Anny i układając myśli, mówiła dalej.

— Jest inteligentny. — Zaciągnęła się i zgmiotła papierosa w popielniczce. — Ale pewnie się za takiego nie uważa. Może dlatego, że jego matka zajmuje wysoką pozycję w światku prawniczym. Jako kobieta dominująca, mogła go przytłaczać, umniejszać jego zasługi, mogła mu kiedyś powiedzieć, że nigdy nie dorośnie jej do pięt. Przechytrzając ludzi związanych z systemem, którego symbolem jest dla niego matka, przechytrza własną matkę. Nie rozumiesz? Jesteś częścią tego systemu, widział w tobie swoją matkę, cel, na którym mógł wyładować swoją wściekłość.

Anna podniosła oczy.

— Dlatego, że mam dziecko?

— Otóż to. Pracę traktujesz idealistycznie. Jesteś zdeterminowana i silna, jesteś wyszkoloną policjantką. Ktoś do ciebie strzela, rani cię, a ty przesch do przodu jakby nigdy nic. Przypominasz mu matkę.

— Mów dalej.

— Ale z drugiej strony widzi, że jesteś idealną matką dla Dawida, matką troskliwą i wyrozumiałą. Jego matka jest pewnie surowa, wymagająca i nastawiona krytycznie do wszystkiego, co Glen robi, żeby się jej przypodobać. — Melanie pochyliła się i wzięła Annę za rękę. — Jesteś wszystkim, czego Hopkins nienawidzi, i wszystkim, czego pożąda. Wiesz, czego on chce? Chce zająć miejsce Dawida, chce się go pozbyć. Bo wówczas to on mógłby pławić się w twojej miłości.

Annę poraził nagły strach. Zeskoczyła z taboretu.

— Dawid. On chce skrzywdzić Dawida?

Melanie wzięła szczotkę i wskazała nią telefon.

— Zadzwoń. Sprawdź, czy wszystko w porządku.

— Zerkniesz na te włosy?

— Jasne. — Melanie sięgnęła po mikroskop.

Anna zamieniła kilka słów z Oscarem Chapą, upewniła się, że Dawid spokojnie śpi, stanęła koło przyjaciółki i spojrzała jej przez ramię.

— Jak to wygląda?

— Złotko, przyniosłaś mi włosy głowowe. Kiedy tu wpadłaś jak bomba, nie chciałam nic mówić, ale zabezpieczyliśmy próbki włosów łonowych, nie głowowych. To duża różnica.

Anna zcisnęła ręce na oparciu krzesła. Chciało jej się krzyżeć.

— Musisz je porównać, Melanie. Musisz zbadać, czy należą do tej samej osoby.

— Uspokój się, Anno. — Podniosła rękę, nie odrywając oczu od obiektu mikroskopu. — Układ niektórych zespołów komórkowych jest taki sam, ale żeby ustalić to jednoznacznie, muszę mieć włosy łonowe.

— Boże — jęknęła Anna. — Włosy łonowe. — Włamała się do domu Hopkinsa i wszystko na próżno. Zdobyć to, czego potrzebowała Melanie, mogła tylko w jeden sposób: pójść z Glenem do łóżka, a to nie wchodziło w rachubę.

— Cholera — zakłęła Melanie, podnosząc głowę. — Powinnaś była zauważyć to już podczas pierwszego badania. Glen twierdził, że szczegółowe badanie próbki jest niekonieczne, więc tylko na nią zerknęłam. Włosy łonowe znalezione na ciele ofiar należą do białego. Delvecchio jest Murzynem, prawda?

— Tak.

— No to nie jest naszym gwałcicielem.

— To już wiemy — prychnęła coraz bardziej sfrustrowana Anna. — Musimy udowodnić, że są to włosy łonowe Glena.

— Niestety, nic tu nie zdziałam, skarbie — odrzekła równie rozgoryczona Melanie. — Przykro mi, ale jak już mówiłam, włosy łonowe i głowowe to nie to samo. Owszem, gdybyśmy miały dużo czasu, mogłabym zbadać wewnętrzną strukturę komórek, porównać DNA, ale tak na chybcika...

Amulet. Anna wsunęła rękę do kieszeni. Z amuletu zwisały medalioniki ze zminiaturyzowanymi fotografiami dzieci, rzeźbionymi serduszkami, z maciupeńkami obrazkami przedstawiającymi różne przedmioty: pianino, mikroskopijne, złożone jak do modlitwy rączki, krzyżyk, jednorożec. Trzymała w dłoniach czyjś bezcenny skarb, wspomnienia z całego życia.

Melanie pomachała triumfalnie raportem.

— Estella Summer. To jej amulet. Zaginął podczas napadu. Wszystko jest jasne, czarno na białym. Mamy go.

Anna zacisnęła amulet w dłoni i otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, gdy nagle Melanie przestała się uśmiechać.

— Włamałaś się do jego domu — skonstatowała, kręcąc głową, aż rude loki opadły jej na czoło. — Nie możemy tego wykorzystać. Powinnaś była zostawić go tam, gdzie leżał. Dowód niedopuszczalny, każdy sąd go odrzuci.

— Ale... — Otworzyła dłoń i spojrzała nieprzytomnie na amulet. — W takim razie co zrobimy?

Widząc, że Anna jest bliska załamania nerwowego, Melanie chwyciła ją mocno za ramiona.

— Spójrz na mnie. Co się stało, to się nie odstanie. Anno, musisz być silna. Potrafisz?

Anna tylko na nią patrzyła. Nie była w stanie mówić.

— Nie, kochanie, tak nie można. Zachowujesz się jak ofiara. Przestań. Zmusz go do wykonania jakiegoś ruchu. To jedyny sposób, żeby przyłapać go na gorącym uczynku i postawić przed sądem.

— Ale jak? — spytała Anna drżącym głosem. — Może skrzywdzić Dawida. Nie chcę narażać syna na...

— Ukryj go — przerwała jej Melanie. Puściła ją i zaczęła krążyć po pokoju jak tygrysica w klatce. — Opowiedz wszystko Reedowi. Niech cię pilnuje w dzień i w nocy. Zachowuj się tak, jakby nic się nie stało, jakby między tobą a Hopkinsem nie doszło do żadnej bijatyki. Doprowadź go do szału. Będzie musiał wykonać jakiś ruch. Rozumiesz? Jak go sprowokujesz, zacznie działać, zechce w ciebie uderzyć, a wtedy przyłapią go, i po herbacie.

Anna doskonale to rozumiała. Dzięki informacjom i dowodom rzeczowym, które zdobyła, mogła doprowadzić do aresztowania Glena, lecz wiedziała, że długo by za kratkami nie posiedział. Wyszedłby za kaucją jak inni, a wtedy szukaj wiatru w polu. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby uciec z kraju. Dom pełen antyków i dzieł sztuki — mógłby je sprzedać i tyle by go widzieli. Albo, co gorsza, wyszedłby za kaucją, zacząłby się ukrywać i polować na nią, dopóki by jej nie zabił. Natomiast gdyby postąpiła zgodnie z planem Melanie, gdyby nie uległa, Glen musiałby przejść do ofensywy, to on musiałby ryzykować wszystko, żeby ją powstrzymać.

— Masz rację. Tak zrobię.

Melanie poklepała ją po plecach.

— Zuch dziewczyna.

Pół godziny później wyszła na ganek, żeby porozmawiać z Oscarem. Ktoś musiał ochraniać Dawida, a Chapa nadawał się do tego idealnie. Mieszkał samotnie, był kawalerem, miał przyczepę kempingową gdzieś w górach, chyba w Ojai, niedaleko Ventury.

— Oscar, potrzebuję twojej pomocy. — Wyjaśniła mu, co się dzieje, i spytała, czy mógłby wywieźć Dawida na kilka dni.

— Ale co z pracą? — spytał z zakłopotaną miną; przecież nie mógł wziąć wolnego, żeby opiekować się dzieckiem.

— To jest właśnie twoja praca — odrzekła głośniejszym głosem, niż zamierzała. — Załatwię to z Reedem i z twoim szefem. Ale przedtem chciałam zapytać ciebie.

Oscar uśmiechnął się.

— No, jasne. To miły dzieciak. Przy mnie nic mu się nie stanie.

Anna poklepała wielkoluda po policzku.

— Wiem. Właśnie dlatego ciebie wybrałam.

Zadzwoiła do Reeda i opowiedziała mu o swoich odkryciach. Miał liczne pytania, ale zbywała go ogólnikami, bo chciała poczekać, aż do niej przyjedzie, by przeanalizować wszystko krok po kroku.

Powiedział, że natychmiast wyjeżdża, obudziła więc Dawida. Gdy przebierał się w łazience, wrzuciła do sportowej torby parę ciuchów na zmianę. Skłamała: powiedziała mu, że musi polecieć do Arizony, żeby zidentyfikować zwłoki Hanka, że bez tego władze nie pozwolą ich wywieźć.

Chciała, żeby wyruszyli od razu, żeby Oscar jak najszybciej wywiózł Dawida w góry. Nie zamierzała czekać do świtu. W domu Glena widziała cały arsenał. Hopkins w każdej chwili mógł się podkraść i zabić ich.

Gdy zaspany i zdeorientowany Dawid wyszedł z łazienki, wypchnęła ich na dwór.

— Zaraz będzie tu Reed. Dzięki, Oscar — rzuciła na pożegnanie, zamknęła drzwi i zatrasnęła zasuwę.

Usiadła na sofie i żeby zapanować nad drżeniem palców, splotła dłonie na kolanach. Patrzyła na telefon, nie spuszczała z niego oczu.

Sukinsyn — pomyślała, chwytając za słuchawkę. Wykręciła jego numer, a gdy odebrał, przerwała połączenie. Niech się skurwiel wnerwi. Niech zobaczy, jak to jest, gdy telefon wydzwania w dzień i w nocy. Tylko jak on naśladował głos Hanka? Właśnie. Głos Hanka — jedyny aspekt sprawy, którego w żaden sposób nie mogła rozgryźć.

Nagle pomyślała o analizie fonicznej. Melanie utrzymywała, że to na pewno jest głos Hanka, ale wspomniała, że towarzyszą mu zakłócenia mechaniczne. Tak, Anna też je słyszała: dziwne hałasy w tle, jakby terkotanie czy stłumione postukiwanie. I raptem ją olśniło. Głos brzmiał jak głos Hanka, bo po prostu nim był!

Wpadła do sypialni Dawida i na dnie szafy zaczęła szukać starych kaset wideo. Przypomniała sobie że Dawid trzymał je na biurku, w pudełku po butach. Pudełko

znalazła, ale puste. Spojrzała w okno i już wiedziała, w czym rzecz. Glen włamał się do domu w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby doprowadzić ją do szaleństwa, co mogłoby sprawić, że pomyślałaby, iż odchodzi od zmysłów. W ten sposób podważyłby jej wiarygodność. Gdyby odkryła prawdę, gdyby wskazała go palcem, nikt by jej nie uwierzył. W tym celu Hopkins musiał tylko wykraść stare taśmy wideo i odegrać je przez telefon. Wiedziała, że skądś zna te słowa i zdania. Po zniknięciu Hanka Dawid puszczał te kasety tyle razy, że w końcu kazała mu je schować.

„Gdzie Dawid?” — pytał wrogo głos. „Zabierz Dawida”. W głowie miała gonitwę myśli. Tak, jedną z taśm nakręcili w parku. Tego dnia Hank dostał nagłe wezwanie, co zepsuło cały piknik, i od razu wpadł w furię. Pamiętała, że wrzeszczał na nią, że kazał jej iść po Dawida, że nawet powalił ją uderzeniem na ziemię. Dawid często pytał, dlaczego film się nagle urywa, dlaczego na ekranie telewizora widać tylko odwrócone do góry nogami drzewa. Był wtedy po drugiej stronie parku, na huśtawkach, i dzięki Bogu, nie widział, jak ojciec szaleje.

Może Glen myślał, że uda mu się wykończyć ją psychicznie, wysłać do szpitala dla umysłowo chorych. Wszyscy wiedzieli, że po zniknięciu męża kompletnie jej odbiło, że zachowywała się jak nieporozumiała. Melanie twierdziła, że Hopkins właśnie dlatego ją wybrał. Była ofiarą. Ofiarą. Ofiarą. Zwęszył ją jak zwierzę, jak okrutny drapieżnik.

Słyszając walenie w drzwi i wrzask Reeda, rzuciła pudełko i czując w sobie przyplływ odwagi podsyconej bezgraniczną wściekłością, poszła mu otworzyć. Nie, nie ugnie się, przenigdy. Nie da się zastraszyć. Hopkins zapłaci za to. Zmusi go do tego, nawet gdyby była to ostatnia rzecz, jaką dane jej będzie zrobić.

Reed i Abrams zostali z nią całą noc, czuwając na zmianę: jeden spał, drugi trzymał wartę. Anna nie spała dłużej niż godzinę. Zajęła stanowisko w kuchni, podczas gdy detektywi mieli na oku salonik i pokoje od ulicy. Początkowo Reed zachowywał duży sceptycyzm wobec jej podejrzeń, ale gdy przedstawiła dowody, uwierzył we wszystko; awersja, jaką darzył Hopkinsa, przekształciła się w otwartą wrogość.

O wschodzie słońca do kuchni wszedł Abrams. Przystawił sobie krzesło i usiadł koło Anny.

— Powinnaś odpocząć — radził łagodnie. — Dzisiaj prawie nie spałaś. Reed czuwa, ja czuwam. Połóż się, już dzień. Hopkins już nie przyjdzie.

— Nie mogę — odrzekła słabym głosem. Oczy miała przekrwione, w dłoniach kurczowo zaciskała rękojeść pistoletu. Tuż obok niej stał przenośny telefon. Nie wspomniała o tym detektywom, ale niedługo po wyjeździe Dawida i Oscara uruchomiła funkcję automatycznego wybierania numeru i za każdym razem, gdy Glen podnosił słuchawkę, przerywała połączenie. Zdawała sobie sprawę, że to tylko namiastka zemsty, lecz odczuwała swego rodzaju satysfakcję.

Siedzieli w milczeniu i patrzyli, jak niebo za oknem szarzeje, by wkrótce rozjarzyć się pomarańczową poświatą. W koronach drzew zaświergotały ptaki, w oknach domów naprzeciwko rozbłysło światło: ludzie wychodzili do pracy, matki szykowały dzieciom śniadanie, wyprawiały je do szkoły.

— On nie był ciebie godny, Anno — rzekł pogrążony w zadumie Noah.

Spojrzeni na siebie. W jego oczach Anna dostrzegła szczerą życzliwość, głęboką i wzruszającą. Dawno nie był taki poważny, ostatnio chyba w czasach kadeckich. Wtedy często odbywali długie pogawędki o przyszłości, snuli marzenia i plany. W promieniach porannego słońca rude włosy Noaha lśniły czerwienią. Uśmiechnęła się, dostrzegając piegi na jego twarzy — nadawały mu taki niewinny wygląd. Zazwyczaj nosił garnitur i jeden z tych rzucających się w oczy krawatów, ale tego ranka miał na sobie dżinsy i podkoszulek, tego ranka był młodzieńczy i naturalny. Taki jak kiedyś, jak przed laty.

— Nie wyszło nam, prawda? — skonstatowała z melancholią w głosie.

— To znaczy? — spytał zażenowany.

— Mieliśmy poślubić kogoś cudownego i żyć szczęśliwie z gromadką dzieci, pamiętasz?

Spuścił wzrok.

— Pamiętam. Zawsze myślałem, że tobie się udało, że Hank daje ci szczęście. Zazdrościłem mu takiej żony jak ty.

Westchnęła z żalem.

— Nie, szczęścia mi nie dawał. Był zgorzkniałym i zagubionym człowiekiem. — Nie wiedziała, co Noah o nich wie, co mu zdradził Reed. Abrams miał za sobą trzy nieudane małżeństwa, a ona romans z tym szaleńcem. Dlaczego tak się od siebie oddalili? Jako młoda dziewczyna kochała się w Noahu do szaleństwa, fantazjowała nawet, że kiedyś wezmą ślub. — Dlaczego nigdy się ze mną nie umówiłeś? — spytała zaciekawiona.

Odwrócił głowę, unikając jej wzroku.

— Bo myślałem, że ci się nie podobam. Nie, nie o to chodzi. No, wiesz, byłaś taka piękna, pewna siebie. A ja? Nudny pętaś, w dodatku chudy jak szczapa.

Owszem, wtedy miała czym oddychać. I oddychała pełną piersią, perfidnie to wykorzystywała. Ojciec był kapitanem i miała swoje przywileje. Wszyscy ją znali, wszyscy jej ustępowali, poświęcali czas, przełożeni przymykali oko na występki, za które innych kadetów dyscyplinarnie karali.

— Podobałeś mi się — odrzekła i zobaczyła ożywienie w jego oczach. — Naprawdę, Noah. Gdybyś mnie tylko poprosił, umówiłabym się z tobą bez chwili wahania.

— Poważnie? — Uśmiechnął się szeroko i z podekscytowania drgnęło mu prawe ramię.

I nagle oboje wybuchnęli gromkim śmiechem. Patrzyła na niego, śmiała się i nie mogła przestać. Łzy ściekały jej po policzkach, a ona chichotała, dając ujście napięciu, jakie narosło w niej przez te wszystkie dni.

— Wiesz co? — powiedziała, ocierając twarz. — Moglibyśmy uniknąć wielu smutków, gdybyś miał wtedy odwagę mnie poprosić.

— Tak, chyba tak — odrzekł, śmiejąc się nerwowo. — Spieprzyłem sprawę, co? — Z saloniku dobiegło ich wołanie Reeda. Noah wstał, żeby do niego pójść, lecz nagle znieruchomiał przy jej krześle. — Słuchaj, czy mogę zrobić coś, o czym... marzyłem od lat? — wykrztusił.

Podniosła oczy, niepewna, o co mu chodzi. Nie czekał na odpowiedź. Pochylił się szybko i w niezręcznym pocałunku przytknął wargi do jej warg. Niewinny pocałunek trwał nie dłużej niż sekundę, lecz od razu rozpoznała to wrażenie — zalała ją fala znajomego ciepła i cała przeszłość, wszystkie minione lata zniknęły. Świat się zmienił, los obdzielił ich solidną porcją nie spełnionych marzeń, lecz Noah nie zmienił się wcale. Czuła, że w głębi duszy ona też jest tą samą Anną sprzed wielu, wielu lat.

Dobro przetrwa — pomyślała, a serce wezbrało jej uczuciem. Noah wyszedł do saloniku. Patrzyła za nim ostatecznie przekonana, że zło zmienia się z natury, że się ciągle przekształca, że czyha na granicy cienia, jak Glen, tymczasem dobro tkwiące w Noahu jest niezmiennie i wieczne.

Czuwała, wzmocniona nową siłą i nadzieją.

O dziewiątej Noah zaparkował przed gmachem aresztu.

— Powinienem z tobą pójść.

— Nie. Osłaniaj mnie, dopóki nie wejdem do środka. W areszcie nic mi się nie stanie. Skoro chcemy, żeby wykonał jakiś ruch, nie może wiedzieć, że na niego dybiesz. Musi być przekonany, że nadal zbieram dowody. Tak to zaplanowaliśmy. Niech myśli, że jeszcze panuje nad sytuacją. Dzięki temu mamy przewagę.

— Masz rację. — Ścisnął jej rękę. — Chodziło mi tylko o to, że skoro już... No, wiesz...

Przeszyła go surowym spojrzeniem. To, co w nich rano odżyło, musiało poczekać. W areszcie siedział niewinny człowiek, a na wolności grasowało niebezpieczne zwierzę.

— To mi zajmie tylko kilka minut, Noah.

Niechętnie puścił jej rękę. Anna szybko podeszła do drzwi, zerkając w stronę okien biura prokuratora okręgowego.

Gdyby zdołała przedstawić wystarczająco dużo wątpliwości, proces Delvecchia można by unieważnić. Musiała coś zrobić, żeby mu pomóc, i to natychmiast. Tak nakażywało jej sumienie, bo za kratkami siedział Bogu ducha winny człowiek: Glen go wrobił, a obrońca nie wybronił. Uważała, że nawet bez interwencji Hopkinsa zdołałaby doprowadzić do rozprawy apelacyjnej, na której unieważniono by poprzedni proces, ale przez cały ten czas Delvecchio siedziałby w areszcie.

Jednak na obwinianie obrońcy z urzędu było jeszcze za wcześnie, bo sprawa miała dwa aspekty. Zgodnie z obowiązującymi regułami obrońca zażądał od oskarżyciela wszystkich informacji obciążających swego klienta. Ale kryjący się za tym obrzydliwstwem Glen mógł z łatwością wyeliminować niewygodne dla siebie wyniki badań laboratoryjnych. Jeśli zaś chodzi o kartę pracy Delvecchia, wiedziała, jak się to odbyło. Każdy podsądny, wchodząc do sali rozpraw, przysięgał, że jest niewinny i że ma na to dowód, tylko że ten dowód gdzieś się zapodział. Obrońca publiczny, zubożniały i głuchy na tego rodzaju tłumaczenia, jak wielu innych urzędników związanych z systemem sądowniczym, po prostu to zlekceważył.

Wrzuciła odznakę służbową do otworu. Zabrzęczało. Strażnik otworzył.

— Do sali przesłuchań — zażądała beznamiętnie.

Była tak rozdygotana i podminowana, że z trudem dopełniła niezbędnych formalności. Tyle się zdarzyło, i to w tak krótkim czasie.

Szła korytarzem, wzdłuż rzędu okratowanych drzwi, a siedzący w celach aresztanci gwizdali i krzyczeli:

— Chodź tu, malutka!

— Pokaż, kurwa, cycki!

Nie mogąc nad sobą zapanować, pokazała jednemu z nich uniesiony palec i warknęła:

— Pierdol się, gnoju!

Aresztant wyszczerzył zęby, szarpnął kratami i zarechotał. Wkrótce ryczał cały oddział. Więźniowie walili kubkami w kraty, gwizdali i wrzeszczeli.

Klawisz zerknął na Annę.

— Jeśli nie zwracać na nich uwagi, przestaną. Wystarczy jeden gest i dostają szau.

— Przepraszam. — Zwiesiła głowę. — Dzisiaj nie tryskam tolerancją.

Drzwi do sali przesłuchań były otwarte i Anna zobaczyła Delvecchia. Apatyczny i przygarbiony, siedział na krześle. Jak tylko weszła, natychmiast usiadł prosto i wyraził się ożywił.

— No więc tak, Randy. Robię postępy, ale niewielkie. Chciałabym, żebyś spojrzął na te fotografie i powiedział, co o nich myślisz. — Wyjęła polaroidowe zdjęcia i przesunęła je po stole w stronę Delvecchia.

Rozpoznał go natychmiast.

— To ten wóz! — wykrzyknął. — To gablota faceta, który dał mi płaszcz! Jak go pani znalazła?

Anna położyła dłonie na blacie, nachyliła się ku Randy'emu i patrząc mu w twarz spytała:

— Jesteś pewny? Absolutnie pewny? To na pewno ten samochód? Randy, wszystko, co teraz zeznasz, będziesz musiał powtórzyć pod przysięgą. Czy to jasne?

Żeby stąd wyjść, zidentyfikowałby samochód własnej matki. Musiała być stuprocentowo pewna. Wiedziała, że to robota Glena, mimo to chciała, żeby zeznanie Delvecchia było szczere i prawdziwe, żeby nie doszło do krzywoprzysięstwa.

Podekscytowany Randy wiercił się na krześle.

— Przysięgam, że to ten. Znam się na samochodach, ale takiego nigdy przedtem nie widziałem.

Anna szybko zabrała zdjęcia.

— Co się stało? Nie wierzy mi pani? Proszę, przysięgam, że to ten. Pani bym nie skłamał.

— Dlaczego mi powiedziałaś, że ugryzł cię pies? — spytała, przypominając sobie pierwsze przesłuchanie. — Biały pudel z kokardką na szyi. Tak mówiłaś, prawda?

Zwiesił głowę.

— Nie wiem — wymamrotał. — Gadałem byle co, bo chciałem się pani przypodobać. Przecież to pani chciała rozmawiać o pudlach.

— Co jeszcze zełgałaś?

— Nic, proszę pani, naprawdę nic. Jak mi pani nie pomoże, to mnie zabiją. Ta kobieta umarła i poślą mnie do komory gazowej.

Błagał ją zażawionymi oczyma. Spojrzała w nie, nie odwrócił wzroku. I nie dostrzegła w tych oczach zła ani niegodziwości. Nie dostrzegła szachrajstwa ani chytrości. W oczach Randy'ego Delvecchia zobaczyła to samo, co w swoim spojrzeniu, gdy patrzyła na własne odbicie w lustrze.

Zwierzęcy strach.

Randy'emu drgnęły mięśnie twarzy. Anna usłyszała nagle cichutki szmer.

Schyliła się, zajrzała pod stół. Delvecchio oddał moc. Zmoczył spodnie. Czując, że ogarnia ją strach, zadzwoniła na strażnika i stała przy drzwiach, dopóki ich nie otworzył.

Noah miał czekać przed tylnym wejściem do aresztu, gdzie było więcej miejsc do parkowania. Przebiła się przez tłum w poczekalni, minęła kilka korytarzy i nagle stanęła jak wryta, czując, że tężeją jej wszystkie mięśnie ciała.

Pośrodku korytarza stał Glen. Zagradzał jej drogę.

— Przepuść mnie — zażądała stanowczo.

— Nie. — Rzucił się na nią z wyciągniętymi rękami, chcąc ją schwytać. — Jesteś chora, Anno. Wszyscy o tym wiedzą. Jesteś umysłowo chora!

Cofnęła się, ale nie uciekła. Musiała wytrzymać, musiała mu pokazać, że się nie boi.

— Zejdź mi z drogi.

Ani drgnął.

— Proszę cię, Anno. Wiem, jak to jest, kiedy ma się problemy. Niedaleko stąd jest szpital, tam ci pomogą. Sam cię zawiozę.

Prawie mu współczuła. Był chory, umysłowo chory.

Naprawdę myślał, że mógłby wsadzić ją do domu wariatów i wyjść z tego obronna ręką? Zawróciła. Idąc najszybciej, jak tylko zdołała, dotarła w końcu do holu. Glen został w korytarzu. Wybiegła głównym wejściem, obeszła gmach aresztu i wskoczyła do samochodu Noaha.

O szóstej wieczorem Anna, Reed i Abrams jedli w kuchni pizzę i zastanawiali się, jak rozegrać sprawę. Tommy zdradził Annie, że zaraz po postrzeleniu jej na parking, została poddana badaniu lekarskiemu na okoliczność gwałtu. Anna nie posiadała się z radości.

— Tommy, w takim razie mają jego włosy łonowe! — wykrzyknęła. — Melanie musi je tylko porównać z tymi, które znaleziono na ciałach ofiar, i natychmiast idziemy z tym do Fieldera. To rozstrzygający dowód. — Podniosła szklankę jak do toastu. — Nie potrzebujemy niczego więcej. Aresztujemy go, przetrzymamy bez prawa do wyjścia za kaucją i Dawid będzie mógł wrócić do domu.

Zadzwoił telefon. Noah chciał podnieść słuchawkę, ale ubiegła go.

— Tak?

— Czy pani Anna Carlisle? Czy to pani kurator?

— Tak. Kto mówi?

— Muszę się z panią zobaczyć. To ważne.

Znała ten głos, na pewno skądś go znała.

— Jimmy? — szepnęła, zerkając na Reeda i Abramsa. Ruchem głowy wskazała kuchenne drzwi. Noah zrozumiał: wypadł z domu i na złamanie karku popędził do furgonetki. Pochłonięci sprawą Hopkinsa, zupełnie zapomnieli o podsłuchu. A tego rozmówcę bardzo chcieli namierzyć. — Skąd dzwonisz, Jimmy?

— Wiem, że poszukuje mnie policja. Nie dam się zapakować do aresztu. Nigdy. Przenigdy. — Mówił szybko, piskliwym głosem. — Przesiedziałem w tym sraczu sześć dni, kiedy aresztowali mnie pierwszy raz. To nie ja do pani strzelałem, przysięgam. Tak, handlowałem prochami, wygadywałem na panią te świństwa, żeby osłonić własną dupę, ale nikomu nie zrobiłem krzywdy.

— Jimmy, dlaczego chciałeś mnie oczernić? — Starła się mówić jak najwolniej, jak nadłużej przeciągnąć rozmowę, żeby Noah zdążył go namierzyć. — Naprawdę myślałeś, że uwierzą tobie, a nie mnie?

Zniżył głos do szeptu.

— Widziałem, jak pieprzyliście się na schodach w sądzie. Pomyślałem sobie, że skoro robi to pani z nim, to uwierzą, że ze mną też się pani pieprzy.

Nie mogła przełknąć śliny, jakby coś utknęło jej w gardle. Miała rację. To Sawyer ich wtedy widział. Taśmy. Czyżby się pomyliła? Musiała to sprawdzić.

— Jimmy, to ty do mnie wydzwaniałeś, podszywając się pod kogoś innego?

— Nie rozumiem...

— Dobrze rozumiesz — odrzekła, patrząc Reedowi w oczy. — Ktoś do mnie wydzwania, ktoś naśladuje głos mojego męża.

— Niech pani posłucha. Powiem wszystko, co wiem, ale tylko pani osobiście — odparł stanowczym głosem. — Ale nie chcę żadnych glin, żadnych prokuratorów. Jeśli te dupki za panią przyleżą, nici ze spotkania.

— Prokuratorów? — spytała, unosząc znacząco brwi. — Dobrze słyszałam? Mówiłeś coś o prokuratorach okręgowych? — Zerknęła na Reeda.

Tommy wyszedł do saloniku, żeby podnieść słuchawkę drugiego telefonu.

— Facet próbuje zrobić mnie w konia — odrzekł szybko Sawyer. — To ojciec kazał mi do pani zadzwonić. Powiedział, że zabiją mnie, jak mnie dopadną.

Anna nie wierzyła własnym uszom. Zdążyli już dojść do wniosku, że Sawyer i jego banda nie są w to zamieszani. Czyżby ze słów Jimmy'ego wynikało, że Glen jest jego współnikiem? Chryste! Otwartą dłonią trzasnęła w ścianę.

— Kto próbuje zrobić cię w konia, Jimmy? — spytała szorstko. — Podaj jego nazwisko.

— Nie przez telefon. Powiem wszystko, jak pani przyjedzie. Dużo widziałem, będę zeznawał. Jeżeli mi pani pomoże, jeśli nie wpakują mnie do tego kurewskiego sracza, stanę przed sądem i złożę pełne zeznanie.

Serce waliło jej jak młotem. Niewiarygodne. Glen z Sawyerem? Przecież to Glen wychodził z siebie, żeby Sawyera aresztować, to Glen wniósł sprawę, podczas gdy wszyscy inni uważali, że nie ma wystarczających dowodów.

— Czy Glen Hopkins kogoś zamordował i ukrył ciało w domu, który wynajmowałeś? — spytała z nadzieją, że właśnie to widział. — Palce, Jimmy, te obcięte palce. Jeśli chcesz mi pomóc, opowiedz mi o tych palcach.

Odłożył słuchawkę.

Do kuchni wpadł rozwścieczony Reed.

— Coś ty narobiła?! — wrzasnął. — Musiałaś go wkurzyć? Spanikował, jak usłyszał nazwisko Hopkinsa. Pomyślał, że wszystko wiemy, że pozbawiliśmy go atutowego asa. To było głupie, Anno. — Przeczesał ręką włosy. — Nie, wróć. To nie było głupie. To było debilne. Kurwa mać!

— No, dobra, przepraszam. Przepraszam! — wybuchnęła. — A jeśli Glen naprawdę zaszlachtował jakąś nieszczęsną kobietę? Nie chcesz tego wiedzieć? Chryste, Tommy, przecież tych palców już nie ma, zniknęły! Jimmy Sawyer może być naszym jedynym świadkiem!

— Jeśli w ogóle doszło do jakiegoś morderstwa — odparował Reed.

Wrócił Noah. Pokręcił głową — nie zdążył, rozmowa trwała za krótko. Kilka minut później telefon zadzwonił ponownie.

— Odbierz — szepnął. — Wszystko jest podłączone. Przetrzymaj go jak najdłużej.

— Gdzie chcesz się ze mną spotkać? — spytała, pewna, że to Sawyer. — Dlaczego nie możesz powiedzieć mi o tym przez telefon? Skąd mam wiedzieć, że gdzieś mnie nie zaciągniesz, że czegoś mi nie zrobisz?

— Spokojnie. — Mówił głosem o wiele pewniejszym niż przedtem. — Opowiem pani o tych palcach, a jakże. Tak, to były prawdziwe palce, ludzkie. Ale musi pani przyjść za godzinę do Marina Park. Niech pani wrzuci na siebie coś białego i usiądzie na ławce przy drabinkach. Proszę się nie spóźnić. Nie będę czekał.

— Nie, nie odkładaj słuchawki! — krzyknęła, chcąc przedłużyć rozmowę. — Co z tymi palcami? Dlaczego miałabym spotykać się z kimś takim jak ty, Jimmy? Kto mi zagwarantuje, że nie jesteś mordercą?

— Dlatego, że powiem pani wszystko, co wiem.

Przerwał połączenie. Anna trzasnęła słuchawką.

— Następnym razem — powtórzył po raz enty Noah — musisz przytrzymać go dłużej.

— Następnego razu nie będzie. On chce się ze mną spotkać — oznajmiła drżącym głosem. — Nie słyszeliście? Chce się poddać, jest gotów zeznawać przeciwko Glenowi. — Zamilkła, przeszywając ich wzrokiem. — Zbierzcie ludzi. Jadę na spotkanie z Sawyerem. Muszę wiedzieć, co jest grane. Jeśli tego nie zrobicie, pojedę sama. I powiedzcie im, żeby się pospieszyli. Mamy tylko godzinę.

Reed chwycił Annę za ramiona, potrząsnął nią i krzyknął jej w twarz:

— Nigdzie nie pojedziesz! Nie pozwolę! On może cię zabić! Nie wiadomo, czy się co do Hopkinsa nie mylimy!

Noah ich rozdzielił.

— Przestańmy się kłócić, dobra? — Spojrzał na Annę. — Sierżant ma rację, Anno. Nie powinnaś tam jechać.

— Nie! — ryknęła. — Jadę! Jeśli nie przyjdę na spotkanie, Sawyer da nogę i nigdy nie poznamy prawdy. To były ludzkie palce, do ciężkiej cholery!

Obaj wiedzieli, do czego Anna pije: sugerowała, że Hopkins popełnił morderstwo, a bez informacji uzyskanych od Sawyerera nie mogliby mu tego udowodnić. Gdy wybiegła z kuchni, Reed grzmotnęła pięścią w stół i warknęła:

— Dobra, Noah, dzwoń do centrali. Każ zebrać ludzi.

Rozdział 22

Siedem nieoznakowanych samochodów z wydziału do zwalczania handlu narkotykami i kilka radiowozów z urzędu szeryfa zaparkowało za sklepem spożywczym Alpha Beta, sześć przecznic od Marina Park. Noah Abrams wyskoczył z samochodu i podał Annie kabel mikrofonu. Reed i reszta ludzi zebrali się po drugiej stronie parkingu. Anna podwinęła białą wiatrówkę i sweter, przytrzymała mikrofon, a Noah przykleił go taśmą do jej ciała. Było chłodno, mimo to Anna spływała potem.

— Daj więcej taśmy, Noah. Jestem cała mokra, mikrofon może się obsunąć.

Abrams ukucnął, żeby przykleić jej do pleców pudełeczko nadajnika, i za paskiem spodni namacał berettę.

— Masz gnata. Cholera, a jak facet cię obszuka?

— Nie pozwolę mu się dotknąć — odrzekła. — Jeśli mnie obszuka, znajdzie mikrofon i nadajnik.

— Anno, bardzo mi na tobie zależy, naprawdę — szepnął, kładąc jej ręce na ramionach. — Wolałbym, żebyś tam nie jechała.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

Musnął czule jej policzek.

— Moglibyśmy ułożyć sobie razem życie, dobre życie. Zawsze za tobą szalałem, Anno, zawsze chciałem mieć prawdziwą rodzinę. Głupio mi o tym mówić, ale kiedy Hank zniknął, to się nawet ucieszyłem. — Zawstydzony, spuścił głowę. — Godne pogardy, co? Ale Reed nie pozwalał mi się do ciebie zbliżyć, był jak pies ogrodnika. — Podniósł oczy. — Pewnie myślał, że cię skrzywdzę. A to nieprawda.

Była tak wzruszona, że odebrało jej mowę. Przez te wszystkie lata bał się to wyznać. Gdyby tylko wiedziała...

— Tak czy inaczej, chyba już pora — dodał, widząc, że Anna nie może znaleźć słów. — Trzymaj. To słuchawka.

— Nie mogę tego wziąć — odrzekła, wciskając mu w dłoń miniaturową pluskiewkę.

Wykrzywił twarz.

— Musisz. Bez słuchawki nas nie usłyszysz.

— No to będziecie milczeć. Grunt, że wy mnie usłyszycie. — Niecierpliwiła się, chciała już iść, zanim sparaliżuje ją strach. — Spójrz na moje włosy, Noah. Są za krótkie, nie zakrywają uszu. Zobacz słuchawkę, jak tylko do niego podejdziesz. A gdy ją zobaczy, za Boga nie powie mi prawdy.

— To bardzo niebezpieczne, Anno — mówił, chodząc w kółko. — On może być uzbrojony po zęby. A może umówił się z tobą tylko po to, żeby cię zabić? — Przystanął. — Przyznał, że to były ludzkie palce, rozumiesz? Nie mamy pojęcia, co mu się załęgło we łbie.

Nie zważając na Abramsa, odeszła kilka kroków na bok z mikrofonem w ręku.

— Próba. Raz, dwa, trzy — szepnęła. — Słyszysz mnie, Noah?

Obejrzała się. Abrams smętnie kiwnął głową. Stała chwilę, potrząsając niespokojnie rękoma i szurając nogami. Próbowała dać upust napięciu.

W końcu głęboko odetchnęła.

— Jestem gotowa.

Wsiadła do wynajętego range rovera, ryknął silnik i odjechała.

Abrams podszedł do grupy policjantów.

— Sawyer nie może zbliżyć się do parku nawet na kilometr — instruował ich Reed. — Jasne?

W tym momencie wyrósł przed nimi kapitan Mathews.

— Stać! — warknął, widząc, że policjanci, uzbrojeni w potężne karabiny z celownikami optycznymi, rozchodzą się do radiowozów. — O czym pan mówi, sierżancie?

— Jak to o czym? — odszczeknął detektyw. — O Sawyerze. — Nagle uświadomił sobie, że stoi przed swoim zwierzchnikiem i głos mu złagodniał. — Panie kapitanie, Anna myśli, że Sawyer puści farbę i przypucuje Hopkinsa, ale na dobrą sprawę nie mamy zielonego pojęcia, w co ten facet gra. Jeśli zdejmujemy go, zanim dojedzie do parku...

Kapitan przeszył go ostrym spojrzeniem.

— Mówiąc „zdejmujemy go”, ma pan oczywiście na myśli zatrzymanie podejrzanego, prawda? — Reed wzruszył ramionami. Mathews zwrócił się do policjantów: — Nie macie prawa otwierać ognia, chyba że on zacznie strzelać do was albo do Anny Carlisle. Przyjechaliliśmy tu po informacje. Nie mam zamiaru przekształcać tego w jatkę.

Reed odciągnął Abramsa na bok.

— Sprawdziłeś, gdzie jest Hopkins?

— Tak. Jest u siebie. Dzwoniłem do niego przed wyjazdem z domu Anny. Odpowiedział. Kilka minut temu dzwoniłem jeszcze raz, komórkowym, i też odpowiedział. Niemożliwe, żeby dostał się tu nie zauważony. Mieszka daleko, u stóp wzgórza, a wszystkie ulice prowadzące do Marina Park są obstawione.

Reed kiwnął głową.

— Dobra, ale nie warto ryzykować. Każ wysłać radiowóz, niech czeka przed jego domem. Jak tylko Sawyer coś wyśpiewa, zgarniemy sukinsyna. Chcę mieć stuprocentową pewność, że Hopkins nie pojawi się tutaj. Tylko tego by nam brakowało. — Odwrócił się, żeby odejść, i nagle przystanął. — Pilnuj jej osobiście, Noah. Przeszliście na kanał awaryjny? Jeśli nie, możemy jej nie usłyszeć, bo jak w eterze będzie tłok...

— Jesteśmy na awaryjnym — przerwał mu Abrams — na tej samej częstotliwości.
— Podniósł do ucha przenośny radionadajnik. — Zaraz wejdzie do parku. Ci z centrali też siedzą na nasłuchu. Jak coś nie wypali, przekażą nam meldunek na obu pasmach.

Sierżant zapatrzył się niewidzącym wzrokiem w jakiś punkt i pogrążył w zadumie.

— No, dobra — mruknął po chwili, zyskawszy pewność, że niczego nie zaniedbał.
— Natychmiast wyślij radiowóz przed dom Hopkinsa — powtórzył. — Niech faceta nie tykają, chyba że zechce zwiać. I zanim tam dotrą, przekręć do niego jeszcze raz.

Reed wsiadł do samochodu, wyszarpnął z uchwytu strzelbę i sprawdził, czy jest nabita. Skoro kapitan chce grać zgodnie z regułami, trudno, pograją tak. Ale jeśli będzie musiał, skasuje Sawyera własnoręcznie. Sawyer jest mordercą i rzeźnikiem. Nie, nie pozwoli, żeby ją dopadł.

W tym momencie kątem oka zauważył czerwony samochód pędzący w stronę Marina Park. Wytężył wzrok, odczytał tablicę rejestracyjną, natychmiast uruchomił silnik, wdepnął pedał gazu, aż zapiszczały opony, i radiowóz wyjechał z parkingu, manewrując w szaleńczym tempie między policyjnymi samochodami. JINNY — taki napis widniał na tablicy czerwonej hondy. Jinny — imię dziewczyny, z którą Sawyer zamienił się na Porsche.

Reed chwycił mikrofon leżący na fotelu obok niego i wrzasnął:

— Ruszam w pościg! Jadę za czerwoną hondą i głowę daję, że za kierownicą siedzi Sawyer! Jesteśmy na zachód od sklepu, na Tradewinds. Przekażcie to jednostkom rozlokowanym przed nami. Niech odetną mu drogę, zanim dojedzie do parku!

Marina Park leży przy głównej plaży w Venturze, niedaleko domu rodziców Jimmy'ego Sawyera. Po licznych problemach z młodzieżą, która urządziła tam alkoholowe libacje i zażywała narkotyki, władze miasta postanowiły zamykać park na noc. Anna zahamowała i wyłączyła silnik. Między drzewami było zupełnie ciemno, ale przy wejściu stała pojedyncza latarnia, rzucająca wąski promień światła na plac zabaw. Bezludne i przerażające miejsce. Anna wysiadła z samochodu i zapięła białą wiatrówkę.

— Wchodzę — szepnęła do ukrytego mikrofonu.

Zebrała się w sobie i ruszyła. Szła wyprostowana, z podniesioną głową, choć miała wielką ochotę skulić się w sobie, taka była przerażona. Gdy dotarła do placu zabaw, nogi zaczęły jej grzęznąć w piasku. Gdzieś niedaleko słyszała szum fal bijących o brzeg. Było duszno i wilgotno. Zobaczyła coś, co wyglądało jak drewniana forteca służąca dzieciom do zabawy, a tuż obok niej spostrzegła drabinkę.

Usiadła na ławce. Czekała.

Minuty mijały upiornie wolno — czas stanął w miejscu. Nigdy nie czuła się taka samotna. Z oddali dobiegło ją zawodzenie syren. Zastanawiała się, dokąd jada. Pewnie do jakiegoś wypadku albo do pożaru — pomyślała.

Wiedziała, że policjanci prowadzą nieustanny nasłuch, że przy najmniejszych oznakach niebezpieczeństwa natychmiast pospieszą jej z pomocą. Choć była tego świadoma, sama świadomość na niewiele się zdała. Zanimby tu dojechali, Sawyer zdążyłby ją zabić. Szybko dotknęła zimnej stali pistoletu.

Słyszac w pobliżu szmer, zastygła bez ruchu, lecz nie umiała powiedzieć, skąd dochodzi hałas. Omal nie krzyknęła, gdy spostrzegła, że z za drewnianej fortecy wynurza się głowa, a za głową reszta ciała jakiegoś mężczyzny.

— Jimmy? — spytała w nadziei, że to nie bezdomny włóczęga, który wpłynął do środka budowli, żeby się przespać.

Wstała, wpatrując się w ciemność, próbując dojść, czy to Sawyer, gdy wtem mężczyzna runął na nią niczym dzikie zwierzę i powalił ją na ziemię. Odruchowo przekręciła się na brzuch i sięgnęła po berettę, lecz jej nie znalazła. Pistolet musiał wypaść, gdy niezajomy ją zaskoczył, i leżał pewnie w piasku.

Poczuła, jak napastnik wbija jej kolano w plecy, jak zaciska dłonią usta. Krzyknęła, a gdy zdławił jej krzyk, ugryzła go, ale nie zareagował. Walczyła, wiedząc, że jest dla niej za silny. Z istic herkulesową siłą przygwoździł jej do pleców jedną rękę, a drugą przyniatał do ziemi ciężarem ciała. Zadrapał jej paznokciami skórę na piersi. Już myślała, że chce ją zgwałcić, lecz nie, jemu chodziło o mikrofon: zerwał go i cisnął w ciemność.

Przetoczyła się na bok, zrzucając go z siebie, ale błyskawicznie ją chwycił i zwarci przeturlali się do oświetlonej części placu zabaw. Zobaczyła jego twarz.

To był Glen.

Zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć, święcie przekonana, że lada chwila nadbiegną policjanci.

Leżała na plecach. On siedział na niej okrakiem, przygważdżając kolanami jej ręce za głowę.

— Nie przyjdą — wysapał z szyderczym uśmiechem. — Właśnie aresztują Sawyera, są zbyt zajęci.

Z fortecy dobiegł ją bełkot zlewających się z sobą meldunków radiowych.

— Skaner? Masz policyjny namiernik? To stąd wiedziałeś, że jadę na spotkanie z Jimmym.

— Co? — syknął z dziwnym błyskiem w oczach. — Myślałaś, że taki gówniarz jak Sawyer mógłby mnie zniszczyć? Albo taka głupia baba jak ty? Że pozwoliłbym na to?

— Nie! — krzyknęła, odchodząc od zmysłów. — Jadą tu, są już na rogu ulicy! Zastrzelą cię... Zabiją.

— Biedna Anna — szepnął z uśmiechem szaleńca na ustach. — Byłaś taka doskonała. Naprawdę mi na tobie zależało, ale posunęłaś się za daleko, chciałaś wygrać. Uśmiech zniknął i jego twarz skamieniała pod maską zła i nieopisanej brzydoty. — Teraz chcesz zebrać laury, zgarnąć pochwały. Nic z tego. To mnie będą szanować, to mnie będą po-

dziwić, bo to ja wniosłem oskarżenie przeciwko Randy'emu Delvecchiowi. Wiesz, jaka dumna jest ze mnie matka? Myślisz, że zaimponowałbym jej, wygrywając pierwszą lepszą sprawę? Nie. Jej imponuje tylko wygrywanie spraw niemożliwych do wygrania.

— Policja o wszystkim wie! — krzyknęła. — Wszystko im opowiedziałam, przedstawiłam dowody! Zabijesz mnie, ale wysłedzą cię, aresztują i poślą cię do komory gazowej!

Przez króciutką chwilę widziała w jego oczach przeblysłk świadomości, lecz w ułamku sekundy znów zagościło w nich szaleństwo. Poczwała na szyi zimny dotyk rąk, zaciskających się jak stalowe kleszcze. Zaczęła się dławić, krztusić, broniła się, drapiąc Glenowi dłonie do krwi. Gdzie policja? I raptem przypomniała sobie, że już nie ma mikrofonu, że już jej nie słyszą.

Wtedy zdała sobie sprawę, że umrze.

Że Glen ją zabije. I że ujdzie mu to na sucho, jak inne ohydztwa. Ogarnęła ją dzika wściekłość, która tchnęła w nią nową moc niczym potężny silnik. Namacała na szyi jego mały palec i odgięła go, jak robią to policjanci, chcąc uwolnić się od chwytu osobnika, z którym walczą. Zwolnił uścisk, tak że zdążyła oderwać od gardła jego drugą rękę i o metr się odczołgać. Pełzła na czworakach, gdy wtem znów przygniótł ją do ziemi i wbił jej między łopatki coś twardego, coś, co natychmiast rozpoznała. Rewolwer. Zamarła. Stężały jej wszystkie mięśnie.

— Nie lubię używać broni palnej, Anno. Jest za głośna — wydyszał jej do ucha. — Ale do ciebie strzelałem z wielką przyjemnością — wyznał. — Nigdy dotąd nie polowałem na człowieka.

— Ale dlaczego?! — krzyknęła. — Dlaczego chciałeś mnie zabić? — Musiała go podejść, sprowokować do mówienia, wytrzymać, aż przyjdzie pomoc.

— Gdybym chciał cię wtedy zabić — szepnął, skubiąc zębami jej ucho — tobym cię zabił. Ale ja chciałem tylko, żebyś poszła na jakiś czas w odstawkę. Stanowiłaś dla mnie zagrożenie.

— Ja? — skamlała. — Przecież tuż przedtem się kochaliśmy!

— Chciałaś zrujnować moją fabrykę — mówił. — Ciężko harowałem, żeby zorganizować ten interes. Po raz pierwszy w życiu miałem prawdziwe pieniądze, własne pieniądze, więcej pieniędzy, niż inni zdołają zarobić przez całe życie.

Dźgnął ją lufą rewolweru. Krzyknęła. I raptem nacisk zelżał — Glen podniósł się i nogą w kowbojskim bucie odwrócił ją na plecy. Usiadła, gotowa rzucić się, zwalić go z nóg, lecz zastygła w absolutnym bezruchu.

Rewolwer wyglądał jak armata. Patrzyła w czarną lufę bez dna, zaledwie centymetry od jej twarzy. Nigdy w życiu tak się nie bała. Nieświadomie opróżniła pęcherz i ciepła ciecz przesiąkła przez dżinsy. Glen stanął nad Anną, szybko chwycił ją za włosy, tak że musiała uklęknąć. Gdy pchnął jej głowę w stronę rewolweru, otworzyła usta do krzyku, przekonana, że będzie to ostatni dźwięk, jaki wyda na tym świecie.

Wetknął jej zimną lufę do ust. Głęboko, aż do gardła. Annę zemdliło, zadławiła się śliną. Kilka sekund później odruch wymiotny ustał, bo przerażenie było silniejsze, i skamieniała jak posąg.

— To powinno zamknąć ci gębę — wychrypiał ze śmiechem, wbijając lufę jeszcze głębiej.

Zaczęła się modlić. Z oczy trysnęły jej łzy. Łzy żalu po ukochanym dziecku — przemknęło jej przez myśl, lecz wiedziała, że nie tylko dlatego płacze. Opłakiwała własną śmierć, wyobrażając sobie, co poczuje, gdy Glen zwolni spust. Widziała wielu samobójców, którzy strzelili sobie w usta, i zdawała sobie sprawę, że tego nie przeżyje. Kula rozsądzi jej czaszkę i wyrwie mózg.

Glen spenetrował wzrokiem okolicę. Wyglądało na to, że zauważył, jak niewielka odległość dzieli ich od parkingu i od latarni ulicznej. Upłynęło zbyt dużo czasu i nie chciał ryzykować. Wyjął lufę z jej ust.

— Wstawaj — warknął. — Idź przed siebie.

Wstała, z trudem zwalczając mdłości. W ustach miała obrzydliwy metaliczny posmak. Uniosła rękę, żeby rozmasować szyję. Dlaczego jej nie zabił? Dlaczego nie pociągnął za spust i nie skończył z nią? Była bezbronna, przerażona, błagała go o życie — ten widok musiał go ekscytować. Lecz gdyby ją zastrzelił, straciłby nad nią tę straszliwą władzę. A on, do cna obłąkany, w tej władzy się pławił, myśląc, że jest niezwyciężony.

Trącił ją lufą rewolweru. Omal nie upadła.

Zaryzykować? Uciekać? Nie. Zabiłby ją strzałem w plecy, a tej satysfakcji dać mu nie chciała. W chwili gdy Glen pociągnie za spust, pragnęła patrzeć mu prosto w oczy.

— Szybciej — rozkazał popychając ją.

W ciemności dostrzegła migotliwy blask wody. Co teraz ze mną zrobi? — myślała przerażona. Zamiast zastrzelić chce mnie utopić? Doszła do wniosku, że to wszystko jedno, i poddała się przeznaczeniu. Wiedziała, że musi umrzeć.

Czerwona honda stała w poprzek ulicy. Drzwi od strony pasażera były otwarte na oścież, a karoseria mocno uszkodzona. Samochód otaczało co najmniej kilkanaście radiowozów; niektóre z nich stały przednimi kołami na krawężnikach, inne wyhamowały na trawniku.

Jimmy Sawyer leżał rozciągnięty pośrodku jezdni, w jaskrawym świetle reflektorów.

— Rzuć broń! — szczerknął Reed przez megafon.

— Nie mam broni, przysięgam — skamlał Sawyer. — Nie strzelajcie. Proszę, nie strzelajcie.

Reed spojrzał na Abramsa.

— Powiedz Annie, że mamy Sawyera. Niech wraca.

Abrams jęknął.

— Ona nie ma słuchawki, sierżancie. Trzeba po nią podskoczyć.

Tommy uniósł brwi.

— Jesteś na kanale awaryjnym? — spytał szybko. — Może wzywała pomocy, a my jej nie słyszeliśmy?

— Wykluczone. Pewnie siedzi tam i zastanawia się, gdzie on przepadł.

Reed przeniósł wzrok na Sawyera. Przez ostatni kwadrans panował tu niezły rozgardiasz. Gdy detektyw spostrzegł czerwoną hondę, samochód jechał z tak dużą prędkością, że doszło do niebezpiecznego pościgu. Na jego czele pędził Reed, do Reeda dołączyły radiowozy z bocznych uliczek, aż w końcu Jimmy stracił panowanie nad kierownicą i honda grzmotnęła w drzewo.

Detektyw wziął mikrofon.

— Wstań powoli, ręce trzymaj z dala od ciała. Potem się rozbierz. Cały czas chcemy widzieć twoje łapy.

Sawyer wstał, opuścił ręce. Miał na sobie podkoszulek — szybko go ściągnął i natychmiast otworzył dłonie, pokazując, że nic w nich nie ukrywa.

— Spodnie też — rozkazał Reed i znów odwrócił się do Abramsa. — Jedź po nią. Nie chcę, żeby siedziała tam sama.

Podczas gdy Sawyer zdejmował dżinsy, Noah odszukał wzrokiem swój samochód i spostrzegł, że blokuje go kilka radiowozów.

— Będę musiał poczekać — odrzekł. — Nie wyjadę.

— No to idź na piechotę — odparował Reed i znów podniósł mikrofon do ust. — I spodenki, Sawyer! — krzyknął. — Spodenki też!

Jimmy zdjął ostatnią część ubrania, stanął nagi w świetle reflektorów i odruchowo zasłonił rękami genitalia.

Abrams, w obstawie kilku innych policjantów, podbiegł do niego z kajdankami. Miał nadzieję, że za chwilę blokada zostanie usunięta i będzie mógł pojechać po Annę. Sawyer odciągnął ich daleko od parku, więc gdyby Noah szedł pieszo, trwałoby to całe wieki. Nałożył Sawyerowi kajdanki i przekazał go Reedowi, który zaprowadził zatrzymanego do swego samochodu.

— Zimno mi — powiedział Sawyer, siedząc już w radiowozie. — Przyjechałem tu, żeby się poddać, no nie? Za każdym razem, kiedy próbuję zrobić coś jak trzeba, wszystko obraca się w jakiś pieprzony koszmar. Nie możecie mi oddać ubrania?

— Najpierw odpowiesz na kilka pytań — mruknął ponuro sierżant. — Tak dla informacji: twoi kumple sypanęli. Grożą ci poważne oskarżenia o wytwarzanie i rozprowadzanie narkotyków, Jimmy.

Sawyer milczał, ale zadrgały mu mięśnie twarzy.

Reed spojrział chłopakowi w oczy.

— Pracowałeś z Hopkinsem?

— Tak jakby. To znaczy: myśleliśmy, że pracujemy dla siebie, ale okazało się, że jest inaczej.

Sierżant nie wiedział, o co mu chodzi.

— Mówisz o tym laboratorium?

— Tak, o laboratorium — odrzekł Sawyer, pochylony do przodu, bo przeszkadzały mu skute na plecach ręce. — Hopkins był naszym bankierem. Peter poznał na mieście jednego faceta i ten gość powiedział, że może nam naraić kogoś, kto wyłoży dziesięć patoli na założenie domowego laboratorium i dostarczy wszystkich niezbędnych chemikaliów. Mieliśmy zarobić kupę szmalu. Skąd, do diabła, mogłem wiedzieć, że skurwiel jest zastępcą prokuratora okręgowego? — Szarpnął się, aż kajdanki zabrzęczały. — Szlag by trafił te obrączki.

Reed nie wierzył własnym uszom. Hopkins siedział w gównie znacznie głębiej, niż myśleli. Ogarnięty nagłym przyływem współczucia, zdjął Sawyerowi kajdanki i rzucił mu własną marynarkę.

— Kiedy się z nim zwąchałeś?

— Dokładnej daty nie pamiętam — odrzekł chłopak, nakładając marynarkę. — Chyba jakieś osiem miesięcy temu, coś koło tego. Widzi pan, było tak. Gwarantowałem, że nie pójdziemy siedzieć, a szmal płynął strumieniem. Robiliśmy prochy, dostarczaliśmy je do magazynu, który Hopkins wynajął w Los Angeles, a resztę opychaliśmy na mieście. Kupiliśmy te samochody, trochę nowych ciuchów. No, a później wpadliśmy i wszystko się popierdoliło.

— Mówisz o pierwszym aresztowaniu, tak? — Reed potarł brodę, przeklinając siebie w duchu, że kupił tę kretyńską historyjkę o Kolumbijczykach, którą wcisnął im szpicel Whittakera. Z drugiej strony, kogo jak kogo, ale Hopkinsa nigdy by o prochy nie podejrzewał.

— To ty strzelałeś do Anny Carlisle?

— Nie, przysięgam, że nie — zapewnił Jimmy poważnie. — To Hopkins do niej strzelał. Znaczy: nie widziałem, jak do niej celuje, ani nic, ale widziałem, jak biegł przez parking, trzymając coś w ręku. — Reed milczał, więc Sawyer mówił dalej: — Obiecałem, że oddadzą mnie tylko pod dozór, że to załatwi, ale w sądzie pani Carlisle wywróciła wszystko do góry nogami. Bałem się, że odkryje nasze laboratorium, więc chciałem pogadać z Hopkinsem i spytać go, co mamy robić. Ale nie mogłem, bo on był z nią. No to odjechałem, a później wróciłem, żeby go dorwać na osobności. Wtedy usłyszałem strzały i zobaczyłem, jak Hopkins biegnie przez parking.

— Dlaczego zatrzymałeś się, żeby jej pomóc? — spytał Reed. Jeszcze mu nie wierzył i chciał sprawdzić, czy chłopak nie wtyka mu głodnych kawałków, żeby uniknąć oskarżenia o zamach na Annę.

— Niech pan posłucha — odrzekł zirytowany Sawyer. — Fakt, handlowałem prochami, ale nie jestem mordercą. Jak widzę, że ktoś wykrwawia się na śmierć, to mu pomagam. Ona umierała, do cholery! A on stał i gapił się. Jak przyjechała karetka, odciągnął mnie na bok i kazał natychmiast przenieść laboratorium. Powiedział, że postrzelił ją, bo wpakowałyby nas w kabałę.

— Nie zdawał sobie sprawy, że gdyby ją zabił, sąd wyznaczyłby ci innego kuratora?

— A skąd mam wiedzieć? — burknął Sawyer i na chwilę zamilkł. — Zaraz, coś chyba powiedział. Powiedział, że trzeba wyłączyć ją z gry na kilka tygodni, że przez ten czas sprawy nikt nie tknie. I miał rację. Nikt nas nie nachodził, zdążyliśmy wynająć nowy dom i przenieść laboratorium. No, ale kiedy znalazła te palce, Hopkins kazał nam wszystko zlikwidować.

Reed przypomniał sobie o Annie, chwycił mikrofon i wywołał Abramsa. Gdy Noah odpowiedział, sierżant ryknął:

— Gdzie ty się podziewasz, do diabła?! Gdzie Anna? Myślałem, że już wróciłeś?

— Dojeżdżam do parku — zaskrzeczało w głośniku. — W życiu bym nie wyrobił na piechotę. Nie masz pojęcia, jak to daleko. Ale posłuchaj, Anna ani razu nas nie wzywała. Nic jej nie jest. W centrali też sprawdziłem.

Sierżant rzucił mikrofon na fotel i wbił wzrok w przednią szybę. Ilekroć coś było nie tak, zawsze ogarniało go dziwne uczucie. Teraz też. Niemożliwe. Anna nie wytrzymałaby tak długo, na pewno by się odezwała. Od chwili gdy weszła do parku, upłynęło co najmniej dwadzieścia minut. Zapominając o Sawyerze, podjechał do grupy mundurowych, nachylił się i otworzył drzwi od strony pasażera.

— Zabierzcie go — rozkazał i wypchnął Sawyera z wozu.

Nim zdążyli zareagować, samochód odjechał z otwartymi drzwiami. Reed wdepnął pedał gazu, wziął ostry zakręt i drzwi zatrzasnęły się same. Strzałka szybkościomierza pięła się po skali. Sierżant pędził do Marina Park.

Anna klęczała nad wodą, błagając Glena, żeby ją puścił. Lufa rewolweru była wycelowana w jej głowę.

— Proszę cię, Glen, nie zabijaj mnie. Jesteś chory, powinieneś się leczyć. Byliśmy sobie tacy bliscy. Mam dziecko. Nie rób mi nic złego.

— Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zaczęłaś wtykać nos w nie swoje sprawy — mruknął, ocierając spocone czoło połą koszuli.

Anna zamrugała oczyma. W oddali zauważyła coś, co mogło być reflektorami samochodu, który wjeżdżał na parking. Wiedziała, że może to być ktoś obcy, niekoniecznie policja. Przepelniała ją tak wielka nienawiść, że było jej wszystko jedno, czy umrze, czy nie, byleby tylko Hopkins zapłacił za swe zbrodnie. Nie, nie mogła znieść myśli, że mógłby uniknąć kary.

Spojrzała w otwór lufy i nagle uświadomiła sobie, że Glen lada chwila może pociągnąć za spust. Każdy gest wykonany w samoobronie dałby jej znacznie więcej niż całkowita bezczynność, bo gdyby podjęła desperacką próbę ucieczki, z góry skazaną na niepowodzenie, efekt byłby ten sam. Zerknęła w stronę parkingu i zobaczyła ciemną sylwetkę mężczyzny zmierzającego w kierunku placu zabaw. Skoro Glen miał ją zabić, chciała, żeby zabił ją teraz. Na oczach świadka.

Ale jest jeszcze szansa — pomyślała. Nikła, mimo to szansa. Gdy była kadetką, ojciec nauczył ją pewnej sztuczki: rozbijania napastnika znajdującego się w zasięgu ręki. Zamknęła oczy i spróbowała przypomnieć sobie ruchy, jakie należało wykonać.

I zaryzykowała. Błyskawicznie wyrzuciła ręce do przodu, chwyciła za lufę, z całej siły wykręciła Hopkinsowi nadgarstek, a gdy zesła z linii strzału, naparła bokiem na jego ramię i wykręciła mu rękę jeszcze mocniej. Rozległ się suchy trzask pękającej kości i Glen wrzasnął z bólu. Szybko wyłuskała mu z dłoni rewolwer i oboje runęli do tyłu.

Zacisnęła zęby, spojrzała mu w oczy i przytknęła lufę do jego czoła.

— Nie ruszaj się, Glen — syknęła. — Nie próbuj. Dostaniesz czkawki, a wpakuję ci kulę w łeb.

Zerknęła w bok i zobaczyła biegnącego Abramsa.

— Tutaj! — krzyknęła.

— Jezus, Maria — wydyszał Noah, widząc Annę i leżącego pod nią Hopkinsa. Natychmiast ją z niego ściągnął. — Nic ci nie jest? — Z tylnej kieszeni spodni wyszarpnął kajdanki i brutalnie skuł Hopkinsa.

Długo nie odpowiadała. Leżała na plecach, patrzyła w niebo. Rozłożyła ręce i upuściła rewolwer na piasek. Żyła.

— Nie, nic mi nie jest — odrzekła w końcu. Wstała i otrzepała ubranie. Nie pomogło. Piasek był wszędzie: we włosach, w ustach, w oczach, nawet pod bielizną. Zaczęła się gwałtownie drapać, jakby zaatakowały ją miliony czerwonych mrówek. Nagle spostrzegła, że patrzy na nią Abrams i oczy się jej zwęziły. — A propos. Mógłbyś mi powiedzieć, gdzieście byli? Dobrze, że nie miałam z nim żadnych kłopotów. Jak to miło wiedzieć, że obstawa czuwa. Człowiek ma wtedy poczucie bezpieczeństwa, prawda?

Abrams wyglądał jak siedem nieszczęść.

— Przepraszam. Nawet nie wiesz, jak parszywie się czuję. Nie mam pojęcia, co się stało. Gdy tylko obstawiliśmy ulicę, od razu do tego sukinsyna zadzwoniłem. Podniósł słuchawkę. Przed jego domem stał radiowóz. Jak powiedziałaś, że wchodzisz do parku, zadzwoniłem jeszcze raz. Cały czas był w domu. — Błyskawicznie chwycił go za gardło, szarpnął za włosy i wrzasnął mu prosto w twarz: — Jak to zrobiłeś, skurwysynu?

— On ma skaner — wyjaśniła Anna.

Zaskoczony Abrams znieruchomiał.

— To jeszcze nie wyjaśnia, jakim cudem podnosił słuchawkę. Przecież nie mógł być w dwóch miejscach naraz.

— Sekretarka. Odpowiadała automatyczna sekretarka, a ty myślałeś, że to on — wyjaśniła Anna.

— Wykluczone. To był głos żywego człowieka. Nie wiem, jak to zrobił, ale to był on. — Pchnął Hopkinsa na ziemię i zamachnął się nogą. — Gadaj, skurwielu, bo połamię ci wszystkie gnaty!

— Komórkowy — wymamrotał Hopkins, jęcząc z bólu. — Zgrałem oba aparaty, tak że kiedy ktoś dzwonił do domu, mogłem odebrać w samochodzie. Mam złamany nadgarstek, potrzebuję lekarza. Boli mnie...

— Zamknij mordę, pojebańcu, bo ci kark skręcę.

W oddali zobaczyli biegnącego ku nim sierżanta.

— To Reed wszystko schrzanił — mruknął Abrams. — Ścigaliśmy Sawyera. Gdyby nie to, przyjechałbym wcześniej.

Sierżant spojrział na nich, szybko ocenił sytuację i objął Annę.

— Już po wszystkim — wyszeptał czule. — Mamy Sawyera i mamy Hopkinsa. Teraz nic ci nie grozi.

Anna wyslizgnęła się z jego objęć i podała mu rewolwer Glena.

— Będzie wam potrzebny. Myślę, że z tego do mnie strzelał. Swój zgubiłam, jak mnie zaatakował. Leży gdzieś w piasku.

— O, żeż ty... — szepnął Reed, obracając w dłoniach rugera kaliber dziewięć milimetrów. — Sama... sama go rozbroiłaś? — Ale gdy podniósł wzrok, zobaczył, że Anna już odchodzi. — Zaczekaj! — krzyknął. — Podwiozę cię. Nie chcę, żebyś była w domu sama.

Zerknęła przez ramię i nie zwolniła kroku.

— Dokąd idziesz? — zawołał Abrams. — Może powinien zbadać cię lekarz?

Zatrzymała się i spojrzała na nich.

— To niekonieczne, moi panowie. — Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę parkingu. — Jadę po syna! — krzyknęła. — A potem wezmę prysznic. Wasza pomoc nie będzie mi chyba potrzebna.

Przed range roverem przystanęła. Oparła się o maskę samochodu i ogarnęła ją taka radość, że aż poczuła przyjemne mrowienie na całym ciele. Żyła. Przez chwilę patrzyła w niebo, wystawiając twarz na pieszczotliwe muśnięcia chłodnej bryzy. Wdychała słonawe powietrze i miała wrażenie, że ojciec jest przy niej. On wiedział, tak, on to przewidział. Przed laty, gdy uczył ją sztuczki, dzięki której rozbroiła Hopkinsa, powiedział jej, że pewnego dnia będzie musiała ten chwyt wykorzystać i że będzie to najodważniejszy czyn w jej życiu. Glen mógł przecież strzelić, mogła zginąć. Ojciec wiedział. Wiedział, że kiedyś jego córka znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Patrzyła, jak Reed i Abrams wloką Hopkinsa przez plażę. Po tym, co się zdarzyło, chcieli ją jeszcze ochraniać, chcieli ją odwieźć do domu. Boże, było to tak absurdalne, że prawie komiczne.

Dzisiaj dostała cenną nauzkę, nauzkę, której nie zapomni do końca życia. W chwilach najkrytyczniejszych, wymagających największej odwagi, nie obronią cię żadne armie świata. Dotyczy to mężczyzn, kobiet, nawet dzieci.

Już wiedziała, że na całym świecie istnieje tylko jedna osoba, która nigdy jej nie zawiedzie, która nigdy nie podsunie fałszywego osądu, która pojawi się zawsze wtedy, gdy osądu będzie potrzebowała. Uderzyła się w pierś, wyznając błąd.

Potem wsiadła do samochodu i odjechała.

Rozdział 23

Wślizgnęła się do sali rozpraw i usiadła w ostatnim rzędzie. Za pulpitem dla świadków stał Jimmy Sawyer, a sala pękała w szwach.

— Czy pan Hopkins kiedykolwiek odwiedzał dom przy Henderson Avenue? — spytał Harold Duke.

— Tak — odrzekł Sawyer. — Pierwszy raz przyjechał tam, jak tylko wypuścili mnie z aresztu.

— Czy było to tego samego wieczoru, kiedy Sally Farrar widziała go przez okno?

— Chyba tak. Urządzaliśmy wtedy przyjęcie. Hopkins pogadał najpierw ze mną, a potem zajął się dziewczynami. Nawet wziął kilka „laleczek”, że niby taki równiacha, a później zabawiał się do rana.

Sally Farrar zeznawała wcześniej. Rozpoznała Glena jako jednego z mężczyzn, którzy odwiedzali dom przy Henderson Avenue. Zażywał narkotyki i uprawiał seks grupowy. Człowiek, z którym sypiała, człowiek, którego próbowała pokochać. Co prawda nie rozumiała, dlaczego podejmował tak olbrzymie ryzyko, ale podobne wzorce zachowań obserwowała u wielu zbrodniarzy: wśród wielokrotnych morderców czy gwałcicieli. Zaczynali ostrożnie, lecz w miarę popełniania coraz to nowych przestępstw, które uchodziły im na sucho, stawali się coraz niefrasobliwsi i jakby sami przykładali sobie nóż do gardła. Glen popełnił te ohydne zbrodnie mniej więcej w tym samym czasie, gdy odwiedził dom przy Henderson Avenue. Anna była przekonana, że podświadomie krzyczał o pomoc, że chciał, by ktoś położył kres jego szaleństwu. Pokręciła głową, skupiając uwagę na przebiegu rozprawy.

Duke milczał chwilę, stojąc przy stole. Nagle odwrócił się twarzą do swego klienta.

— Pani Farrar zeznała, że na tylnym siedzeniu samochodu Petera Chena widziała duży przedmiot. Czy może pan powiedzieć wysokiemu sądowi, co to było?

Sawyer odgarnął włosy z czoła i przysunął się bliżej mikrofonu.

— Akurat przenosiliśmy laboratorium, więc myślę, że widziała część jakiegoś urządzenia.

— Ale to nie były ludzkie zwłoki, prawda? — spytał z uśmiechem Duke.

— Oczywiście, że nie — odrzekł stanowczo Sawyer.

— Kiedy rozmawiał pan z panem Hopkinsem po raz drugi?

— To było też na Henderson Avenue. Policja przeczesywała dom, szukali tych palców. Mnie wyprowadzili na dwór i wtedy pan Hopkins podszedł do mnie. Policjant, który mnie pilnował, wrócił po coś do domu, wówczas Hopkins powiedział, że będzie musiał wnieść przeciwko mnie oskarżenie. Powiedział, że jestem fujarą i że spierdoliłem sprawę. — Zamilkł i spojrzał na sędziego. — Przepraszam, wysoki sędzie. Nie chciałem być wulgarny, ale to jego słowa. Powiedział, że musi oskarżyć mnie o zamach na życie pani Carlisle i o pogwałcenie dozoru sądowego. Dodał, że zrobi to dla mojego dobra. Powiedział, że sąd wyznaczy mi kaucję, a on zadba o to, żeby mi włos z głowy nie spadł. Bo jakby mnie osądzili i uznali, że jestem niewinny, nie mogliby sądzić mnie po raz drugi. Nazwał to powtórным pociągnięciem do odpowiedzialności za to samo przestępstwo, a według naszego prawa to jest niemożliwe.

— Rozumiem — rzekł Duke. Wrócił do stołu i usiadł. — A czy nie dręczyła pana świadomość, że może pan pójść do więzienia za coś, czego pan nie zrobił?

— On był zastępcą prokuratora okręgowego — odparł z mocą Sawyer. — Myślałem, że wie, co robi. No i ostatecznie ja do niej nie strzelałem. Poza tym miałem straszliwego pietra. Widzi pan, Hopkins zwęszył, że opylamy towar na lewo i zgarniamy szmal. Bałem się, że jak go nie posłucham, to mnie zabije. No i był zły, że ona to znalazła. Mówił, że grozi mi sprawa o morderstwo, jeśli nie zrobię dokładnie tego, co mi każe.

— Ona? Czy ma pan na myśli panią Carlisle?

— Tak. Pani Carlisle znalazła palce.

— Jakie palce?

Sawyer spuścił głowę.

— Palce, które trzymałem w lodówce.

— Jak się one tam znalazły, panie Sawyer?

— Dostaliśmy je od jednego Chińczyka z Los Angeles. To znajomek Petera, dopiero co przyjechał z Chin i pracował w zakładzie pogrzebowym dla biedaków. Powiedział, że może nam załatwić, co tylko chcemy.

— Nie rozumiem. Co to za zakład?

— No, zakład. Płaci się kilka stów i kremują trupa. — Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że niewiele na ten temat wie.

— Jak weszliście w posiadanie tych palców?

— Kupiliśmy je.

Kilka osób ponuro westchnęło, rozległy się stłumione szepty. Sędzia Hillstorm objął salę surowym spojrzeniem i głosy ucichły.

— Czy palce sprzedał wam Chińczyk, o którym pan wspomniał? Ten wasz... znajomek, jak go pan określił? Oczywiście nie swoje własne palce, ale palce pochodzące ze zwłok, prawda?

— Tak. Mówił, że ma u siebie pełno trupów. Chcieliśmy kupić rękę, ale Peter powiedział, że ręka długo się nie przechowa, że palce są lepsze.

Harold Duke podszedł do miejsca dla świadków.

— Po co wam były ludzkie palce?

Sawyer potoczył wzrokiem po sali i znów spojrzał na obrońcę.

— Bo jak zaczęliśmy handlować prochami na własną rękę, miejscowe gangi chciały nas wykończyć. Mówili, że wchodzimy im w paradę, że działamy na ich terenie. Pomyśleliśmy sobie, że jak ich nastraszymy, to zostawią nas w spokoju. Dlatego skombinowaliśmy te palce. Pokazywaliśmy je na mieście jako dowód, że niby skasowaliśmy ostatniego faceta, który próbował nam przeszkodzić. Pochodziły ze zwłok jakiejś staruszki, ale nikt się im dokładnie nie przyglądał. Mimo to tamci próbowali zastrzelić Bretta, na szczęście chybili. Wtedy postanowiliśmy zrezygnować. Wycofaliśmy się z ich terenu i zaczęliśmy handlować w koledżach, w pasażach handlowych, w takich miejscach.

— Kiedy doszło do kolejnego spotkania z panem Hopkinsem?

— Zadzwoił do mnie tego dnia, kiedy wypuścili mnie z aresztu. Przyjechałem, a on mówi, że muszę włamać się do domu pani Carlisle, bo chce zdobyć jakieś przedmioty należące do jej syna albo do męża. Miał te rzeczy wykorzystać przeciwko niej, chciał ją nastraszyć, doprowadzić do szaleństwa, żeby nikt jej nie uwierzył, jak powie, że widziała te palce, i w ogóle.

— I zrobił pan to?

— Za dużo tego było — odrzekł spięty Sawyer. — Chciałem się wycofać. Jak rozmawialiśmy przez telefon, kazał mi przyjechać Porschem. Po co? — myślę. Nie mogłem tego rozgryźć i doszedłem do wniosku, że pewnie chce mnie wrobić. Wiedziałem, że śledzi mnie policja, więc zamieniłem się z koleżanką na samochody, z tą, co pracuje w pasażu. Hopkinsowi powiedziałem, że tego nie zrobię.

— Czego, panie Sawyer? — spytał Duke.

— Że nie włamię się do jej domu.

— Jakim samochodem przyjechał pan Hopkins?

— Czarnym rolls-royce'em.

— Co się stało potem?

— Pojechaliśmy do pani Carlisle i zaparkowaliśmy kilka domów dalej. On miał rewolwer, rugera. Dał mi go i powiedział, że skoro nie chcę iść, to muszę osłaniać go od

zewnątrz. — Chwilę milczał, zastanawiając się nad następnym zdaniem. — On ten dom znał. Mówił, że we wszystkich oknach są zamki, ale że jak tam wejdzie, to otworzy któreś okno od ulicy. Gdybym zobaczył, że ktoś podjeżdża, miałem wykręcić korki. Nawet pokazał mi, gdzie jest skrzynka.

— I zrobił pan to? Widział pan, jak pani Carlisle wraca do domu?

— Tak, ale korków tak zaraz nie wykręciłem. Naprawdę nie wiedziałem, co robić. Lało jak z cebra i chciałem prysnąć do domu.

— Co jeszcze kazał panu zrobić pan Hopkins?

— Gdybym usłyszał odgłosy szamotaniny czy coś takiego, miałem wejść przez okno i mu pomóc.

— I zrobił pan to?

Sawyer pokręcił głową.

— Nie. Pani Carlisle wróciła, weszła do domu i chyba od razu się położyła, bo zgasło światło. Wtedy obszedłem dom, żeby się zorientować, gdzie jest Hopkins. Chciałem go ostrzec, że już wróciła, no i wtedy go zobaczyłem.

— Gdzie go pan zobaczył?

— Jak wychodzi przez okno, przez okno, które wybił, żeby dostać się do środka. Podał mi te rzeczy i kazał wykręcić korki. Powiedział, że jeszcze zostanie, bo chce ją porządnie nastraszyć.

— Jakie rzeczy, panie Sawyer?

— Chyba zdjęcie i kilka taśm wideo.

— I co było dalej?

— Wykręciłem korki, jak mi kazał.

— Więc pan Hopkins wszedł do domu jeszcze raz?

— Tak, ale przez inne okno. Kilka minut później usłyszałem w domu strzał i myślałem, że Hopkins chce ją zabić. No to szybko podbiegłem do okna i wystrzeliłem.

— Do kogo pan strzelał?

— Myślałem, że do niego — tłumaczył sfrustrowany Sawyer. — To znaczy do Hopkinsa. Padało, było ciemno. Byłem przekonany, że go trafiłem.

— I co pan wtedy zrobił?

— Spanikowałem, pobiegłem do samochodu. Chciałem jak najszybciej zwać. Obleciał mnie taki strach, że ruszając wpadłem na jakiś samochód. Naprawdę myślałem, że zastrzeliłem Hopkinsa. Nie wiedziałem, że strzał był niecelny.

— Potrącił pan ten samochód i...?

— I pojechałem dalej.

— Rolls-royce'em pana Hopkinsa?

— Tak.

— A gdzie był wtedy pan Hopkins?

— Nie mam pojęcia.

— Co zrobił pan potem?

— Wytarłem rugera i zostawiłem go w samochodzie razem z rzeczami, które mi dał, i z kluczami. Kluczyki też wytarłem. Zaparkowałem na poboczu, koło mojego wozu, jakieś sześć przecznic od domu pani Carlisle.

— Czy potem pan widział pana Hopkinsa?

— Nie, ale chyba znalazł rollsa, bo nic mi nie mówił. — Parsknął śmiechem, jakby powiedział coś zabawnego.

Duke skrzywił się z niesmakiem i Sawyer spoważniał.

— Czy rozmawiał pan z nim przez telefon?

— Nie. Ukrywałem się na jachcie rodziców, a przedtem w domu na Henderson Avenue. Nikt nie wiedział, gdzie jestem. Chyba tylko ta sąsiadka wiedziała, pani Farrar, ale ona nie zawiadomiła policji.

— Dlaczego chciał się pan spotkać z panią Carlisle w Marina Park?

— Bo chciałem wszystko jej opowiedzieć i oddać się w ręce policji. Gdy wyznałem ojcu prawdę o narkotykach i o reszcie, doradził mi, żebym się poddał. Mówił, że jak tego nie zrobię, to gliniarze mnie zabiją. To on kazał mi zadzwonić do pani Carlisle. Uważał, że tylko ona może mi pomóc. Do żadnego prokuratora nie chciałem telefonować, bo nie wiedziałem, czy policja nie trzyma sztamy z Hopkinsem.

— Nie zadzwonił pan do pana Hopkinsa i nie poinformował go, że jedzie pan na spotkanie z panią Carlisle?

— Nie. Nie miałem pojęcia, że ma skaner i że się tam pokaże — odparł Sawyer i twarz mu zadrgała na wspomnienie tamtego wieczoru. — Proszę mi wierzyć, był ostatnią osobą, jaką chciałem wtedy widzieć.

— Nie mam dalszych pytań, wysoki sędzie — oświadczył Duke.

Sędzia Hillstorm spojrział na zegarek. Dochodziła trzecia.

— Proponuję piętnastominutową przerwę. Panie Duke, ilu jeszcze wezwie pan świadków?

— To był ostatni, wysoki sędzie.

— Świetnie — skonstatował Hillstorm. — W taki razie po przerwie zakończymy rozprawę.

Gdy wznowiono posiedzenie, głos zabrał prokurator okręgowy Robert Fielder. W sali panował jeszcze większy tłok i hałas — publiczności przybyło.

— Wysoki sędzie, stan Kalifornia odstępuje od zarzutów numer jeden, dwa i trzy, dotyczących zamachu na życie Anny Carlisle. Jednak z zeznań samego oskarżonego jasno wynika, że nie zaprzestając rozprowadzania narkotyków, pogwałcił on warunki dozoru sądowego i za rzeczony przestępstwo powinien zostać osądzony. Poza tym oskarżony

powinien ponieść odpowiedzialność za naruszenie punktu piątego paragrafu sto trzy-
naście sześćdziesiąt sześć Kodeksu Bezpieczeństwa i Higieny Pracy, który mówi o wy-
korzystywaniu posiadłości prywatnych do produkcji i składowania niebezpiecznych
substancji, oraz punktu szóstego paragrafu sto trzynaście sześćdziesiąt sześć tegoż ko-
deksu, mówiącego o ukrywaniu wyżej wspomnianego procederu i czerpaniu z niego
korzyści majątkowych, a także punktu siódmego paragrafu sto trzynaście osiemdziesiąt
trzy Kodeksu Bezpieczeństwa i Higieny Pracy, który zakazuje posiadania i przetwarza-
nia niebezpiecznych substancji.

Fielder usiadł. Sędzia spojrział na obrońcę.

— Panie Duke?

Anna wiedziała, że wolność Sawyera jest poważnie zagrożona. Za naruszenie więk-
szości wymienionych przez Fieldera paragrafów groziła mu kara więzienia. Jimmy
i jego kolesie nie tylko rozprowadzali narkotyki, ale także wytwarzali je, a kara za tego
rodzaju przestępstwo jest znacznie wyższa. Gdyby oskarżono go tylko o posiadanie nar-
kotyków, sędzia mógłby skazać go na karę aresztu, a nie na więzienie. Było bardzo praw-
dopodobne, że w zamian za bezcenne zeznania Sawyera w sprawie Hopkinsa — w spra-
wie o wiele poważniejszej niż wytwarzanie i rozprowadzanie narkotyków — prokura-
tor okręgowy odstąpi od niektórych zarzutów. Mimo to wciąż groziło mu więzienie.
Anna nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Wiedziała, że nie pomoże mu nawet
najaktywniejsza współpraca z sądem, bo i tak skończy w autobusie jadącym do więzie-
nia. Jedyne, co mógł dzięki tej współpracy osiągnąć, to skrócenie kary. Wstał Harold
Duke.

— Wysoki sędzie! Mój klient w pełni współpracował z władzami. Udowodnił to
szczerymi zeznaniami, które złożył dzisiaj przed wysokim sądem. Był świadom, że są to
zeznania obciążające go, zdawał sobie sprawę, że grozi mu kara więzienia, mimo to zde-
cydował się mówić prawdę. — Spojrzął na Hillstorma i zakończył: — Dlatego wnoszę
o przywrócenie uprzednio zasądzonej kaucji.

Hillstorm kiwnął głową, nałożył okulary i zaczął przekładać jakieś dokumenty. Po
chwili podniósł wzrok.

— Sąd przyjmuje wniosek oskarżenia i oddala zarzuty numer jeden, dwa i trzy.
Jeśli chodzi o zarzut numer cztery, czyli pogwałcenie warunków dozoru, sąd dopatruje
się prawdopodobieństwa winy. Prawdopodobieństwo winy istnieje również, jeśli cho-
dzi o zarzuty numer pięć, sześć i siedem, dotyczące wytwarzania i rozprowadzania sub-
stancji, których produkcja jest kontrolowana przez państwo. — Hillstorm przekazał
sprawę do rozpatrzenia przez sąd i uzgodnił ze stronami termin procesu.

Gdy formalności mieli już za sobą, spojrzął na Jimmy'ego Sawyera.

— Panie Sawyer, to smutne, że taki młody człowiek jak pan dał się wciągnąć w prze-
stępcze bagno. Mam nadzieję, że rezultat tej występnej działalności będzie dla pana na-

uczka, której długo pan nie zapomni. Nie ja będę sędzią na pańskim procesie, ale jeśli zostanie pan skazany, niechaj ta kara pomoże panu wrócić do społeczeństwa. Jest pan młodym człowiekiem, pochodzi pan z dobrej rodziny. Wielu ludzi, którzy znaleźli się tu przed panem, było w znacznie gorszej sytuacji. — Zamilkł i zmęczonymi, pełnymi współczucia oczyma spojrzął na rodziców Jimmy'ego. — No, dobrze. — Ciężko westchnął, rozważając decyzję. — Ponieważ stanął pan dzisiaj na wysokości zadania i wyznał prawdę, przychyliam się do wniosku pana Duke'a i przywracam uprzednio wyznaczoną kaucję. — Hillstorm zdjął okulary i uderzył młotkiem. — Zamykam rozprawę.

Dziennikarze zaczęli cisnąć się do drzwi, żeby czym prędzej przekazać wiadomość swoim redakcjom. Do Jimmy'ego podeszli rodzice. Ojciec objął go. Anna domyślała się, ile nadziei i marzeń Sawyer pokładał w synu. Wiedziała, że chłopak może z tego wyjść, ale wiedziała również, że ani on, ani jego rodzina już nigdy nie będą tacy sami. Bo więzienie naznacza człowieka na całe życie.

Odczekała, aż większość ludzi wyjdzie z sali, i podeszła bliżej. Jimmy zauważył ją. Doktor Sawyer odszedł na bok, wtedy wyciągnęła do chłopaka rękę.

— Zawsze będę ci wdzięczna, że się wtedy zatrzymałeś, Jimmy. Chciałam, żebyś o tym wiedział. Gdyby nie było w tobie dobroci, nigdy byś tego nie zrobił.

Doktor Sawyer spojrzął na nią i zażenowany odwrócił wzrok.

— Jak pańska ręka? — spytała uprzejmie.

Podniósł ją. Zobaczyła, że dwa palce ma w łubkach.

— Nieźle. Za kilka tygodni się zrośnie. Chyba mnie wtedy poniosło. Zechce pani przyjąć moje przeprosiny. Szło o mojego syna i...

— Ja też mam syna, doktorze — odparła, patrząc mu w oczy. — Nie musi się pan tłumaczyć. Doskonale to rozumiem. — Odwróciła się i wyszła z sali.

Zabrała Dawida do Bob's Big Boy, do jego ulubionej restauracji. Zjedli już hamburgery z frytkami, ale on znalazł jeszcze miejsce na lody z owocami. Wreszcie odchylił się na krześle, położył ręce na brzuchu i sapnął:

— Uuuch. Nazarłem się.

— A, to na pewno — odrzekła z uśmiechem. — Lody cię dobiły.

Szli do samochodu obejmując się jak kumple. Gdy wsiedli, spojrziała na syna i ujęła jego rękę.

— Kochanie, pogrzeb ojca będzie naprawdę ładny. Z całego stanu zjadą się policjanci z drogówki, wystąpią w galowych mundurach. Myślę, że tacie by się to podobało, prawda?

— Tak — odrzekł cicho. — Na pewno.

Gdy następnego ranka przyjechała do sądu, w biurze czekali Tommy Reed i Noah Abrams.

— Wczoraj przeszukali jego dom — oznajmił sierżant.

— Glena? — spytała.

— Tak. Znaleźli perukę, której używał podczas gwałtów. Chyba chciał mieć absolutną pewność, że w razie czego laboratorium nie zidentyfikuje go po próbkach włosów. Poza tym służyła mu jako kamuflaż.

Kiwnęła głową. Glen był człowiekiem byстрыm i przebiegłym, a zarazem nieostrożnym i głupim. Peruka i prezerwatywy. Powinien był zdawać sobie sprawę, że na ciałach ofiar może zostawić włosy łonowe. Przecież oskarżał w tylu sprawach o gwałt. Lecz wiedział, że w każdej chwili może zamaskować swoje błędy, że może je ukryć — miał ku temu idealne możliwości. Władza, możliwość manipulowania ludźmi i dowodami rzeczowymi doprowadziły go do szaleństwa, skutkiem czego im więcej uchodziło mu na sucho, tym odważniej sobie poczynał. Spojrzała na detektywów.

— Wiadomo już, od jak dawna miał do czynienia z handlem narkotykami?

— Według umowy magazyn, gdzie składowano prochy, wynajął dwa lata temu — odrzekł Reed. — Sawyer i jego kumple to jeszcze nie wszyscy, Anno. Jesteśmy niemal pewni, że Hopkins finansował kilka takich laboratoriów.

Pokręciła głową.

— Ale dlaczego?

Abrams potarł kciukiem palec wskazujący.

— Szmal, Anno. Chodziło o tęgi szmal. Ma na koncie ponad pół miliona dolców. W domu znaleźliśmy książeczki czekowe. Pewnie jeszcze nie wszystkie. I nie sprawdziliśmy jego skrytek depozytowych.

— Przecież pochodzi z bardzo bogatej rodziny — zauważyła Anna. — Po co miałyby się w tym babrać?

— Dzisiaj przyleciała jego matka. Spotkaliśmy ją u niego w domu. Ostra sztuka, piekielnie twarda baba. Mówi, że kiedy Glen objął stanowisko zastępcy prokuratora okręgowego, poszli na udry. Przestała go dofinansowywać, zagroziła nawet, że go wydziedziczy. Pragnęła, żeby synek związał się z jakąś znaną kancelarią adwokacką na Wschodzie, ale nigdzie go nie chcieli. Wygląda na to, że nie był najlepszym studentem. — Abrams wzruszył ramionami. — Chyba myślał, że gdy zarobi dużo pieniędzy, to jej zaimponuje. Podobnie jak z procesem Delvecchia. Żeby przypodobać się matce, chciał doprowadzić do skazania Randy'ego.

— No i wiemy już, jak to było z tymi telefonami — wtrącił Reed. — Miałaś rację.

— Taśmy? — spytała.

— Dziesiątka — odrzekł Abrams. — Znaleźliśmy je u niego w domu. Trafnie rozumowałaś. Wziął taśmę magnetofonową wysokiej jakości, przegrał na nią głos Hanka i puszczał ci ją przez telefon.

— Sukinsyn — warknęła; w tej chwili mogłaby udusić Hopkinsa gołymi rękami. Omamiał Dawida, kazał mu myśleć, że Hank żyje, a to szczytowe okrucieństwo. — Już za samo to powinien trafić do komory gazowej. — Przypomniała sobie o dotąd nie wyjaśnionych zabójstwach. — A co z tymi morderstwami? Melanie coś wykryła?

— Odciski palców zebrane na miejscu zbrodni nie należą do Hopkinsa — odrzekł Reed. — Jedynym podobieństwem jest fakt, że ofiary były staruszkami. Ponieważ do morderstw doszło przed serią gwałtów, uważamy, że chciał nas podpuścić i zasugerować, że zrobił to jeden i ten sam człowiek.

Anna spojrzała w okno. Róg żywopłotu. Miejsce, gdzie ją postrzelił.

Abrams jakby czytał w jej myślach.

— Hopkinsa już nie ma, Anno — powiedział. — Wczoraj wieczorem przeprowadziliśmy konfrontację i Delvecchio rozpoznał go. Wezwiemy żyjące ofiary gwałtu i sprawdzimy, czy one też go zidentyfikują. Nie widziały jego twarzy, ale głowę dają, że nie zapomniały głosu. Melanie ma próbkę krwi, pobraną z twojego okna. Porównamy DNA i do widzenia.

— Czekaj! — wykrzyknęła, bo Abrams poruszył kwestię, która nie dawała jej spokoju. — Przecież Delvecchio widywał Glena w sądzie, i to bardzo często. Dlaczego wtedy go nie rozpoznał?

— Chyba dlatego, że okoliczności były inne, inny kontekst — spekulował Abrams, kładąc jej rękę na ramieniu. — Po prostu nie skojarzył, że zastępca prokuratora okręgowego to ten sam człowiek, który dał mu płaszcz. Delvecchio jest niezbyt rozgarniętym facetem. Tym, co stali w szeregu podczas konfrontacji, kazaliśmy nałożyć ciemne okulary, takie same, jakie nosił wtedy Hopkins. Diabeł często tkwi w szczegółach.

Chciała zaczerpnąć świeżego powietrza. Wyszli na dwór i usiedli na murku wokół fontanny.

— Co będzie z Randym? Fielder już zdecydował?

Abrams zerknął przez ramię w stronę aresztu.

— Spójrz, kto idzie — rzekł z uśmiechem.

Przez dziedziniec sądu szedł Randy Delvecchio we własnej osobie.

Anna wstała.

— Przecież muszą oficjalnie oczyścić go z zarzutów. Jakim cudem tak szybko go wypuścili?

— A kto powiedział, że niewinny musi siedzieć w pierdlu? — rzekł zadowolony z siebie Reed. — Fielder zwolnił go za kaucją. A propos. Melanie zaprosiła mnie na Święto Dziękczynienia. Ciebie i Dawida też. Mało tego, zaprosiła nawet Noaha. Podoba mi się ta babka. Temperamencik ma, że proszę siadać.

Anna była zaszokowana.

— Ty i Melanie? Melanie Chase? Boże, Tommy, mówisz poważnie?

— A bo co? — odrzekł, rumieniając się jak panienka. Spojrzał na Abramsa i burknął: — Tobie też coś nie pasuje?

— Mnie? — spytał Noah, dźgając się palcem w pierś. — Panie sierżancie, może się pan umawiać, z kim pan tylko chce. Oczywiście, byłoby bardzo miło, gdyby zrewanżował się pan taką samą postawą w stosunku do mnie — dodał, pochylając głowę w stronę Anny.

Uśmiechnęła się i obu cmoknęła w policzek.

— Nie wiem, jak bym dała sobie bez was radę — szepnęła z czułością. — Ale z drugiej strony...

Obaj się nachmurzyli, wiedząc, że pije do wpadki w Marina Park. O, tak, wiedzieli, że nigdy im tego nie zapomni.

— No to jak? — spytał Reed, chcąc jak najszybciej zmienić temat. — Przyjdziecie do Melanie czy nie?

Tyle się wydarzyło, że zapomniała o całym świecie, ale Delvecchio, którego widziała kątem oka, uzmysłowił jej, że przynajmniej jedna osoba ma powody do naprawdę hucznych obchodów.

Randy też ją zobaczył. Podszedł i pocałował ją w rękę.

— Jest pani damą mego serca — rzekł, skłoniwszy się nisko. — Jak tylko weszła pani do mojej celi, odkryłem, że Bóg istnieje. Koledzy gadali, że mi odbiło, mówili, że pani jest zmija. Ale ja słyszałem głos Pana. „Randy — powiedział — ta kobieta cię ocali”.

Anna przyciągnęła jego głowę do siebie, zarzuciła mu ręce na szyję i wyściskała go jak własnego syna.

— Tak mi przykro, że musiałeś tyle wycierpieć — powiedziała cicho. Ile miesięcy przesiedział w więzieniu? Ile dni życia okrutnie mu skradziono? Mógłby wnieść sprawę o odszkodowanie, ale żadne pieniądze nie przywrócą straconego czasu.

Gdy go puściła, ruszył szparko przez dziedziniec. Szedł, mając za sobą słońce, i nagle przystanął.

— Poproszę mamę, to w przyszłym tygodniu upiecze indyka! — krzyknął na cały parking, podekscytowany jak pięciolatek. — Mama jest najlepszą kucharką w całym mieście!

Anna uśmiechnęła się, a gdy Delvecchio wskoczył do samochodu, w którym stłoczyła się chyba cała rodzina, pomachała mu na pożegnanie. Zamiast do więzienia Randy wracał do domu na święto.

— Boże, nawet nie jest rozgoryczony. Na jego miejscu rozpętałabym krwawą din-tojrę.

Gdy to powiedziała, natychmiast zdała sobie sprawę z ironii tych słów. Bo ile sama przeżyła? Nie tylko przez ostatnie miesiące, ale przez te wszystkie lata, gdy sama przed sobą ukrywała prawdę o Hanku? Czy była rozgoryczona? Nie. Mimo wszystko nie.

Uśmiechnęła się do Tommy'ego i Noaha. Wiedziała, co czuje Delvecchio: przepełniała go ulga, ulga tak wielka, że w jego duszy nie było już miejsca ani na gorycz, ani na nienawiść.

Skierowali się do gmachu sądu. Anna szła powoli, rozkoszując się ciepłymi promieniami słońca muskającymi jej skórę, świeżym, aromatycznym powietrzem i towarzystwem dwóch dobrych przyjaciół. Dopóki nie otarła się o śmierć, tak wiele drobiazgów przyjmowała za rzeczy dane i oczywiste. Teraz odczuwała szacunek dla życia, za co zawsze będzie wdzięczna. Smakowała tę powracającą myśl, cieszyła się nią i w podzięce wzniosła oczy do nieba.

— Żyję — powiedziała nagle. — Bóg był łaskaw i przeżyłam. Wiecie, jak wspaniale jest żyć?

Na wyrazistej twarzy Reeda zagościł szeroki uśmiech.

— Chyba tak.

Pchnął drzwi, przytrzymał jedno skrzydło, Abrams drugie i Anna przekroczyła próg. Detektywi weszli za nią i drzwi się powoli zamknęły.

SPIS TREŚCI

Podziękowania	3
Rozdział 1	4
Rozdział 2	20
Rozdział 3	32
Rozdział 4	41
Rozdział 5	49
Rozdział 6	60
Rozdział 7	73
Rozdział 8	82
Rozdział 9	98
Rozdział 10	103
Rozdział 11	113
Rozdział 12	122
Rozdział 13	135
Rozdział 14	143
Rozdział 15	155
Rozdział 16	163
Rozdział 17	177
Rozdział 18	186
Rozdział 19	197
Rozdział 20	207
Rozdział 21	219
Rozdział 22	232
Rozdział 23	243